

WOJCIECH
CHMIELARZ

RANA

MARGINESY





RANA

**WOJCIECH
CHMIELARZ**

RANA

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

PRZED SZKOŁĄ

LEKCJA PIERWSZA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

PRZERWA

LEKCJA DRUGA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

PRZERWA

LEKCJA TRZECIA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

PRZERWA

LEKCJA CZWARTA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

PRZERWA

LEKCJA PIĄTA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

PRZERWA

LEKCJA SZÓSTA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10

PRZERWA

LEKCJA SIÓDMA

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8

PO LEKCJACH

Wydawca i redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja KAROLINA MACIOS
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, ANNA HEGMAN
Projekt okładki i stron tytułowych MICHAŁ PAWŁOWSKI
Zdjęcia na okładce © mkurtbas / iStock, © Esad Hajdarevic / Flickr
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Wojciech Chmielarz
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2019

Warszawa 2019
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66335-05-9

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

PRZED SZKOŁĄ

Znowu śniła ten sam sen. Miała w nim sześć lat. Leżała w łóżku, z kołdrą podciągniętą pod samą szyję i otaczała ją ciemność. Leżała płasko, sztywno. Jak żołnierz w pozycji na baczność. Albo ciało w trumnie. Tylko w trumnie nie jest tak ciepło, lepko i parno. Oddychała płytko, cichutko, ledwo, ledwo. Za to serce waliło. Raz, dwa, trzy. W tempie szalonej perkusji. Raz, dwa, trzy. Jak młot pneumatyczny. Za mocno, za głośno. Zamknęła oczy. Zaciskała powieki z całych sił.

Jakby to mogło pomóc.

Tysiące macek ścisnęło jej ciało. Obslizgłych, wilgotnych. Wiedziała, co się zaraz stanie, i w żaden sposób nie mogła tego powstrzymać. Zaczęła płakać.

Poczuła wilgoć na nogach. Mocz uformował wokół niej rozległą kałużę. Od smrodu zakręciło jej się w głowie. Chwyciła kołdrę. Chciała się pod nią schować, ale nie zdążyła. Otworzyły się drzwi pokoju dziecięcego, mrok przebiły ostre jak żyłki promienie światła i ujrzała skąpaną w nich sylwetkę matki.

– Mamusiu – wyszeptała.

Matka ruszyła w stronę łóżka. Ciemność drżała przy każdym jej kroku. Matka była wielka. Matka była przerażająca. Ale pomimo tego ona ją kochała, bo miała tylko sześć lat, a kiedy masz sześć lat, to nie potrafisz inaczej. Ten wielki, przerażający potwór jest całym twoim światem i zrobisz wszystko, żeby tylko go zadowolić. Będiesz ładną, grzeczną dziewczynką. Nauczysz się każdego wierszyka. Będiesz siedzieć cichutko na ławce w parku, żeby tylko nie pobrudzić grubych rajstop i brzydkiej sukienki, samotna i opuszczona, kiedy inne dzieci będą biegały radośnie po placu zabaw. Będiesz blada, smutna i nieszczęśliwa. Byle zasłużyć na jedną pochwałę. Na jedno życzliwe spojrzenie. Bo kiedy masz sześć lat, matka jest wszystkim, a poza nią nie ma niczego.

Ale nie potrafisz zapanować nad własnym pęcherzem.

– Znowu...

Matka to powiedziała czy te słowa po prostu wybuchły w jej głowie?

– Wiesz, co masz zrobić?

Wiedziała i chciała, ale nie mogła. Ciało zmieniło się w kamień. Odmówiło współpracy. Grzeczna dziewczynka ciągle gdzieś tam tkwiła, skulona w kąciku własnego umysłu, jednak władzę nad całą resztą przejęło przerażone, spocone zwierzątko, które potrafiło tylko się trząść i bełkotać.

– Przepraszam... – wyjąkała. – Przepraszam...

Matka. Potwór. Mamusia. Poderwała kołdrę.

Nie wiedziała, dlaczego jest goła, bo zawsze kładła się spać w pidzamce, ale teraz była naga. Naga i brzydka. Wiedziała, że jest brzydka, bo matka to mówiła. Brzydka i zła dziewczynka. Niegrzeczna i niewdzięczna. Tak mówiła matka, a skoro matka tak mówiła, to musiała być prawda. Bo ona miała tylko sześć lat, a kiedy masz sześć lat, to każde słowo matki jest szczerą prawdą. Jedyną, jaka istnieje.

Naga i brzydka. Niegrzeczna i niewdzięczna. Zła i złośliwa.

Oto ona.

Matka chwyciła ją za ramię. Poderwała w górę. Mocno, jakby chciała je wyrwać, a potem rzuciła prosto na łóżko. Wcisnęła jej twarz w kałużę moczu. Tarła nią o szorstkie, mokre prześcieradło, które teraz zmieniło się w papier ścierny.

(Babcia kiedyś oduczyla tak sikać kota w domu. Chwyciła zwierzę, wsadziła mu pysk w siki. Skoro zadziało na kota, powinno zadziałać też na dziecko. Dziecko jest mądrzejsze. Powinno szybciej zrozumieć, że nie sika się do łóżka. Kot zrozumiał już za pierwszym razem. Ona nie. Była naga. Była brzydka. Niegrzeczna, niewdzięczna, zła i złośliwa. I przede wszystkim głupia. Głupsza od kota).

Matka uniosła rękę. W dłoni trzymała pas. Ona знаła ten pas. Jego zapach, ostry, nieprzyjemny. Każdą nierówność na skórzanej powierzchni, która odbijała się na jej ciele. Krawędzie, które wrzynały się jak żyłki. Pas należał do taty, a taty nigdy nie było w domu.

Znała ten pas lepiej niż twarz własnego ojca.

Zwierzątko zaskomlało. Dziewczynka chciała poprosić, żeby tym razem było bez sprzączki. Sprzączka jest najgorsza. Najstraszniejsza. Wielka, metalowa, masywna, ostra i bezlitosna. Po tym całym gnieceniu, biciu, miętoleniu jej skóra się zmieniła, stała się cienka niczym papier. Zniknęła cała tkanka tłuszczowa.

Wszystko, co mogłoby uchronić przed razami. Zostały same gołe nerwy. Tylko to, co jest potrzebne do przekazywania bólu. Znowu się zsikała. Tym razem ze strachu i tym przypieczętowała swój los. Sprzączka zabłysła w promyku światła niczym oko węża. A potem spadła prosto na nią ze świstem i ciemność dziko zawyła.

Obudziła się z tego snu tak jak zawsze. Bez krzyku, choć zachłyśnięta powietrzem, jakby się topiła, ze wzrokiem wbitym w bladą plamę sufitu. Przez ciało przepływały kolejne fale strachu. Za każdym razem ten moment trwał dłużej. O sekundę, może ułamek. Ale dłużej. Klementyna wiedziała, że to właśnie ją zabije. Nie żaden nowotwór. Nie cukrzyca czy pijany kierowca na pasach, ale właśnie ten sen. I przerażenie, które nie będzie jej opuszczać przez długie minuty po przebudzeniu, aż wreszcie umęczone serce rozpadnie się na kawałki.

Klementyna powoli wstała z łóżka. Oparła się dłonią o ścianę i długo oddychała. Przyzwyczajala wzrok do panującego w mieszkaniu półmroku, aż wreszcie wyłowila w nim leżącą na komodzie torebkę. Wyjęła z niej paczkę papierosów i zapalniczki. Wyszła na balkon i natychmiast skuliła się z zimna pod podmuchem wiatru. Drżącymi rękoma włożyła fajkę do ust. Przez chwilę po prostu tak ją trzymała, zastanawiając się, czy zapalić. Papierosy znów podrożały. Nawet te z bazaru. Ale te na bazarze też było coraz trudniej znaleźć. Zresztą polikwidowali targowiska. Zamknęli stadion dziesięciolecia, nawet bazar Różyckiego, a ona miała w sobie jeszcze tyle godności, żeby nie biegać po całym mieście w poszukiwaniu tanich fajek. Nie różniłaby się wtedy niczym od meneli z parteru.

Kolejny powiew wiatru sprawił, że tęsknie spojrziała na wnętrze pokoju. Mieszkała teraz sama. Mogłaby zapalić w środku. Przecież matka nie wygoni jej już na balkon i nie będzie głądzić nad uchem, że przez te fajki umrze szybciej od niej.

Myliła się.

Klementyna uśmiechnęła się lekko na tę myśl, a potem zaraz zmartwiła, bo jednak postąpiła niestosownie. Zrobiła krok w stronę drzwi balkonowych, ale zaraz się zatrzymała. Nie potrafiła jeszcze złamać matczynego zakazu. Był jak niewidzialna bariera, której nie dało się przekroczyć.

Ze złością odpaliła zapałkę. Schowała płomień we wnętrzu dłoni, a potem wyrzuciła przed siebie płonący jeszcze patyczek. Ogień zgasł po przeleceniu ledwie dwóch metrów.

Zaciągnęła się głęboko, czując, że dym wygania z niej resztki strachu. Oparła się na metalowej balustradzie i patrzyła na sunące ulicą nieliczne samochody. A jej serce, pokryte gęstą siecią niewidzialnych blizn, powoli odzyskiwało spokój.

LEKCJA PIERWSZA

1

– Pomoże mi pani?

Spojrzała na stojącą tuż obok staruszkę. Kobieta musiała być w wieku niedawno zmarłej matki Klementyny. Wysuszona, pomarszczona, przygarbiona, w brzydkich butach, za długim płaszczu i rozerwanej reklamówce z Biedronki na głowie, chroniącej przed zimnym deszczem.

– Strasznie ślisko dzisiaj – wyjaśniała przepraszającym tonem.

– Ależ oczywiście – powiedziała Klementyna.

Staruszka wzięła ją pod rękę i ścisnęła za dłoń. Nie miała rękawiczek. Jej skóra była miękka, jakby z waty, lekko obwisła, nieprzyjemnie nierówna. Klementyna potrafiła wyczuć niewielkie, tłuste zgrubienia, miękkie guzki. Przeszedł ją dreszcz. Pomyślała, że za niedługo też ją to czeka.

Taka brzydka starość. Kiedy ciało zaczyna się kurczyć, zwijać, porastać krostami, włoskami i po prostu śmierdzieć. To chyba ten zapach najbardziej przerażał. Coś jakby mieszanina naftaliny, moczu i śmierci. To dlatego starsze kobiety, jeśli tylko mogły sobie na to pozwolić, wylewały na siebie te ciężkie piżmowe perfumy.

– Ja panią przepraszam, ale ja się boję – wyjaśniła staruszka. – W moim wieku to człowiek się przewróci, poślizgnie i łup, biodro złamane. A jak biodro złamane, to się już można do trumny kłaść.

– Nic nie szkodzi – zapewniła Klementyna.

Przechodziły właśnie nad głęboką kałużą tuż przy krawężniku. Brodziły w szarej brei na wpół roztopionego ciemnego śniegu, pokrywającego białe pasy przejścia dla pieszych. Staruszka wyrzucała z siebie raz po raz krótkie, płytkie oddechy. Jak maszyna, która próbuje zaskoczyć. Klementyna pomyślała, że to pewnie coś z płucami. Nowotwór. Rozedma. Gruźlica. Podobno na nowo zbierała żniwo. A może po prostu banalne zapalenie. Wszystkie te choroby, które czekają również ją. I to nie w trudnej do przewidzenia przyszłości, ale za lat pięć, góra dziesięć.

– Wezmę od pani tę siate – powiedziała.

– Strasznie pani miła.

Kobieta podała ciężką torbę, wypełnioną po brzegi zakupami. Ważyło to chyba z pięć kilogramów. Klementyna poczuła ukłucie zazdrości. Jej lodówka była niemalże pusta. Został tylko skrawek żółtego sera oraz słoik dżemu. Ostatni kawałek szynki, jaki miała, zrobił się obślizgły, nieprzyjemnie pachniał. Bez żalu rzuciła go ptakom.

– Straszna jest ta pogoda – stwierdziła staruszka, wyszarpując z siebie słowa pomiędzy oddechami. – Niby na plusie, a zimno... zimno... no, zimno jak skurwysyn. Pani mi wybaczy, ale tak się dzisiaj mówi, prawda?

Klementyna skinęła głową. Przeszły na drugą stronę ulicy i skrzyły w lewo. Nie przeszkadzało jej to. I tak szła w tamtą stronę. Wędrowały wąskimi uliczkami starego Mokotowa.

– Dla mnie to nie jest zima. W zimie to ma być zimno. Poniżej zera. Śnieg. Wtedy da się żyć. A to, co teraz jest... Ech... Ledwo coś spadnie, a jeśli spadnie, to zaraz się topi. I potem jest taki brud. Takie nie wiadomo co! A pani wie, co jest najgorsze?

– Co takiego?

– Że przez tę ciepłość żadnych bakterii nie wymrozi. Bo to musi być mocno poniżej zera, żeby te wszystkie wirusy, te wszystkie bakterie pozdychały. A w takich temperaturach to one mają jak na wakacjach. I przez to tak ludzie chorują. Pani zobaczy. Kiedyś tak nie chorowali.

– Chyba tak – zgodziła się Klementyna. Wiedziała, że to najlepsza strategia podczas rozmów z takimi staruszkami. Potakiwać grzecznie, potwierdzać, zgadzać się mechanicznie. One i tak nie słuchały. Musiały powiedzieć swoje. Wyrzucić z siebie stosy słów, które zbierały się w nich całymi dniami. Jakby się bały, że inaczej się zmarnują. Mama była dokładnie taka sama.

– Pani wybaczy, ale ja tutaj – powiedziała. Wskazała na duży, dwupiętrowy przedwojenny budynek ze sporym poddaszem. Potem podała kobiecie torbę z zakupami. Ona jednak jej nie wzięła. Zrobiła lekko zmartwioną minę. – Miałam nadzieję, że odprowadzi mnie pani do domu – wyjaśniała. – Ślisko jest, ta torba ciężka. A to już blisko.

Klementyna uśmiechnęła się przepaszająco.

- Nie dam rady. Jestem umówiona.
- W tej szkole? – domyśliła się staruszka.
- Tak.

Staruszka zmarszczyła czoło tak mocno, że reklamówka z Biedronki nasunęła się jej na oczy.

– Niech pani nie puszcza tam swojego dziecka – powiedziała. – Tam źli ludzie pracują. Nie warto. Niech pani znajdzie normalną szkołę dziecku... – przerwała, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, na ile lat wygląda Klementyna – ...wnukowi może. Przepraszam, to nie moja sprawa, dziecko, wnuk...

- Pani wybaczy, ale muszę już iść.

Potrząsnęła zakupami, by ją trochę pospieszyć, i zaraz się zawstydziała. Gest był niepotrzebny i nieuprzejmy. Kobieta wzięła torbę.

– Dziękuję pani za pomoc. – Pokiwała głową. – Ale dziecka to niech pani tam nie posyła. Bardzo proszę.

Klementyna, patrząc, jak staruszka drobi, ostrożnie stawia kroki i chwieje się pod ciężarem siatki z zakupami, poczuła w sercu bolesny wyrzut sumienia. Idiotyczny, bo przecież pomogła tej kobiecie. A nie mogła się spóźnić na to spotkanie. Nie, biorąc pod uwagę jej sytuację.

Zadzwoiła domofonem przy bramie. Przedstawiła się. Powiedziała, z jaką sprawą przychodzi. Rozległo się nieprzyjemne, metalowe brzęczenie i wpuszczono ją do środka.

Żeliwne szpikulce wysokiego płotu, otaczającego podwórko, dźgały powietrze, a na kamiennych słupach umieszczono drobne, ostre druciki, które bardziej niż włamywaczy miały odstraszać ptaki. W przestrzeń pomiędzy potężnymi drzewami wkomponowano zgrabnie plac zabaw dla dzieci: huśtawki, małe ścianki do wspinania, boisko do koszykówki z jednym koszem. Pomiędzy nimi prowadził szeroki chodnik z czerwonej kostki.

Klementyna podeszła do ciężkich, wysokich drzwi prowadzących do wnętrza budynku. Otworzyły się przed nią automatycznie z cichym, nieprzyjemnym szumem elektrycznych urządzeń. W środku przywitał ją starszy mężczyzna z siwym wąsem, granatowy strój przypominał mundur.

- Pani do pani dyrektor? – zapytał.

– Tak.

– To pani się tutaj wpisze, dobrze?

Spod niewielkiego stolika wyjął gruby zeszyt formatu A4 i podsunął Klementynie. Znalazła odpowiednią rubrykę i wpisała swoje imię, nazwisko oraz godzinę wejścia.

– Proszę pójść na pierwsze piętro, a potem zaraz na lewo, do sekretariatu – powiedział ochroniarz.

– Dziękuję.

Uderzyła ją cisza, kiedy szła nadspodziewanie wąskim i dziwnie czystym korytarzem. Na ścianach pomalowanych na spokojny beżowy kolor zawieszono tablice edukacyjne oraz ogłoszenia o konkursach naukowych i osiągnięciach najzdolniejszych uczniów. Za to schody były drewniane. Skrzypiały pod każdym krokiem.

Zastukała do drzwi sekretariatu.

– Proszę!

Weszła do środka. Dwie sekretarki siedziały za ustawioną naprzeciw ladą i stukwały w klawiatury komputerów. Jedna z nich, blondynka w wieku około czterdziestu lat, poprawiła włosy i spojrzała na Klementynę ciężkim, zmęczonym wzrokiem.

– Tak?

– Klementyna Jastrzębska – przedstawiła się. – Jestem umówiona na rozmowę o pracę.

Sekretarka sięgnęła po telefon.

– Noż kurwa mać! – ryknął ktoś z pomieszczenia obok. Na drzwiach widniała pozłacana tabliczka z napisem „Dyrekcja”. – Ile razy mam ci to tłumaczyć?! To są, kurwa, wpływy, to są koszty. To pierwsze ma być większe od tego drugiego, do jasnego chuja!

– Nie odzywaj się tak do mnie! Nie u mnie w gabinecie! Nie wolno ci!

Pierwszy głos, mocny, należał do mężczyzny. Drugi, niebezpiecznie ocierający się o granicę hysterii, do kobiety.

– Ale muszę, kurwa! Bo jak mówię spokojnie, to do ciebie nie dociera!

– Masz w tej chwili przestać!!!

– Bo co?!

Klementyna odpowiedzi już nie usłyszała, bo kłócąca się dwójka ściszyła głos. Sekretarki posłały sobie znaczące spojrzenia. Potem blondynka zerknęła na nią, otworzyła usta, jakby chciała skomentować całą sytuację, ale zaraz chyba uznała, że lepiej tego nie robić, bo gwałtownie je zamknęła i zaczęła intensywnie stukać w klawisze klawiatury.

Klementyna dałaby wiele za szklanek zimnej wody i krzesło. Była zdenerwowana, a kłótnia, której stała się właśnie świadkiem, jeszcze tylko ten stan pogłębiła. Wzięła torebkę w obie dłonie i trzymała ją przed sobą niby tarczę. Ścisnęła, żeby ukryć drżenie rąk. Przez moment zastanawiała się, czy nie wyjść. Z rozmowy o pracy pewnie nic nie wyjdzie. Ona zamieniła się w strzępek nerwów, a dyrektorka pewnie nie będzie miała teraz głowy do rozmowy z potencjalną pracownicą. W najlepszym wypadku szybko się jej pozbędzie. W najgorszym i najbardziej prawdopodobnym spróbuje się na niej wyżyć. A potem Klementyna przypomniała sobie stos piętrzących się na stole rachunków i pustki w lodówce. Nie mogła pozwolić sobie na ucieczkę. Dostała szansę od losu. Musiała przynajmniej spróbować.

Drzwi pokoju dyrektorki otworzyły się gwałtownie i uderzyły z hukiem o ladę. Czarnowłosa, lekko opalony mężczyzna w szarym garniturze zatrzymał się w pół kroku. Spojrzał na pracujące za ladą kobiety, nagle machnął gniewnie ręką i wyszedł z sekretariatu.

Klementyna dostrzegła w głębi gabinetu szafy z dokumentami, kilka dyplomów, krzesło ze skórzanym obiciem i stare, ciężkie, dębowe meble. Brakowało tylko dwóch szabli zawieszonych na ścianie i gabloty z orderami.

– Czy powinnam...? – zapytała szeptem blondynki, ale ta tylko pokręciła przecząco głową i gestem dała znak, żeby była cicho.

Po kilku minutach Klementyna usłyszała szuranie odsuwanego krzesła i charakterystyczny dźwięk szpilek uderzających o podłogę. W progu pojawiła się dyrektorka. Ubrana w szarą garsonkę wysoka, szczupła kobieta o sięgających do ramion brązowych włosach, twarzy pokrytej grubą warstwą kosmetyków i ustami napuchniętymi od kwasu hialuronowego. Ściągnęła okulary w czarnej oprawie.

– Pani Klementyna? – zapytała sucho.

– Tak. Dzień dobry.

– Zapraszam do mojego gabinetu.

Nie czekając na reakcję, wróciła do siebie. Klementyna zerknęła szybko na sekretarki, szukając u nich wsparcia, porady albo chociaż odrobiny życzliwości. Zamiast tego blondynka pospieszyła ją gestem.

– Pani dyrektor nie lubi czekać – wyszeptała.

2

Ostry dźwięk dzwonka przerwał lekcję i wypowiedź Marty w pół słowa. Dziewczynka spojrzała pytająco na nauczycielkę, ale ta dała jej znak, że może siadać. Reszta klasy tylko na to czekała. Zaczęli zbierać swoje rzeczy i wrzucać podręczniki, piórniki i zeszyty do plecaków. Ela klasnęła kilka razy głośno, żeby zwrócić na siebie uwagę. Na moment tych osiemnastu nastolatków zamarło i wbiło w nią wzrok.

– Proszę, żeby zostali chwilę Karolina, Marysia i Gniewomir! – zawołała i dojrzała wyraz ulgi na twarzy niewywołanych. – Z resztą widzimy się jutro!

Dzieciaki wyrwały się na wyścigi ze swoich ławek. Przepychały się w drzwiach, dawały sobie kuksańce, odpychały się, jakby za nimi co najmniej się paliło. Ale to wszystko odbywało się z sympatią, bez agresji. Ela mimowolnie się uśmiechnęła. To były naprawdę dobre dzieciaki.

Poczekwała, aż klasa się opróżni, i przywołała do siebie Karolinę. Córka dyrektorki przypominała trochę matkę – dość ładna, zawsze elegancka i przesadnie zadbana. Uczesana, wymyta, paznokcie doskonale obcięte, ubrania czyste i wyprasowane. Zero luzu. Zero próby jakiegokolwiek buntu. Nawet na plecaku. Inne dzieciaki miały jakieś naszywki, jeden chłopak grubym flamastrem wypisał nazwy ulubionych zespołów, a jej torba zamiast z tornistrem kojarzyła się z biurową aktówką. Ela uważała, że coś z tym jest nie tak. Nastolatka powinna demonstrować swoją osobowość, odkrywać samą siebie, a tutaj nic takiego się nie działo. Może gdyby poszła do innej szkoły. Do takiej, której dyrektorką i zarazem właścicielką nie jest jej matka. Na szczęście Karolina w przyszłym roku rozpocznie liceum. Ciekawe, czy tam złapie trochę oddechu.

– Chciałam porozmawiać o twoim wypracowaniu – powiedziała Ela.

– Coś z nim nie tak? – zapytała zmartwionym głosem dziewczyna. W jej oczach pojawił się błysk strachu i szybko zamaskowała go energicznym mruganiem.

– Nie przeczytałaś lektury.

– To nieprawda – zaprzeczyła. – Może mnie pani przepytać z treści. Znam *Balladynę*. To opowieść o dwóch siostrach...

– Przestań – przerwała Ela, być może odrobinę zbyt ostro. – Karolina, ja uczę już prawie dziesięć lat. Potrafię odróżnić kogoś, kto przeczytał lekturę, od kogoś, kto przeczytał tylko bryk...

– Nie czytałam bryka!

– I co gorsza, postanowił go przepisać niemal słowo w słowo.

Dziewczynie nagle zabrakło słów. A rzadko to się zdarzało. Pobladła gwałtownie. Ela dałaby sobie głowę uciąć, że nawet ugięły się pod nią nogi.

– Co ty sobie myślisz, Karolina? – zapytała. – Że ja nie mam w domu internetu? Że nie potrafię sprawdzić, skąd wzięłaś te wszystkie okrągłe słówka? Że nie pamiętam, jak ty piszesz? Jaki masz styl?

– Przepraszam panią.

– Za co mnie przepraszasz?

Karolina spuściła wzrok.

– Za to, że nie przeczytałam lektury? – zaryzykowała.

– Ty mnie przepraszasz czy zgadujesz?

Dziewczyna przez chwilę milczała. Potem podniosła głowę.

– Mogę dostać swoją pracę? – zapytała hardo.

Ela po raz kolejny pomyślała, że ta dziewczyna potrafi zaskoczyć. Przed chwilą wyglądała tak, jakby miała się zaraz załamać, a teraz wydaje się gotowa do walki z całym światem. Silna i bezczelna. Ten przeskok od przesadnego przejmowania się błahymi przecież sprawami do nagłej agresji nie był do końca zdrowy i normalny.

Ela pogrzebała w stosie papierów i podała jej kartkę. Karolina wzięła ją, zerknęła na ocenę i podniosła wysoko brwi w wyrazie szczerzego zaskoczenia.

– Czwórka?

– Wiem, jak twoja mama zareaguje na jedynekę w dzienniku – powiedziała Ela. – Ale potraktuj to jako ostrzeżenie. Następnym razem będzie pała.

Dziewczyna złożyła wypracowanie na pół i schowała do plecaka. Potem zawiesiła wzrok na nauczycielce.

– Dziękuję pani.

– Proszę.

– Ale na czwórkę mama nie zareaguje dużo lepiej.

Ela poczuła, że brakuje jej słów. Dlatego po prostu pokiwała współczująco głową i poczekała, aż Karolina odejdzie. Dopiero potem zawołała Marysię.

Dziewczyna poderwała się z ławki i podeszła do nauczycielki pewnym krokiem, a Ela zaczęła się zastanawiać, gdzie podziało się to lekko przestraszone, zahukane dziecko, które trafiło do szkoły dwa lata temu. Jak ona wtedy się bała! Marysia pochodziła z biednej rodziny. Matka ciężko pracowała jako kucharka w stołówce jednej z firm pod Warszawą. Oprócz Marysi na utrzymaniu miała jeszcze trójkę dzieci. Ojciec był kierowcą ciężarówki. Zginął w wypadku, kiedy zasnął za kierownicą, wracając z ładunkiem z Niemiec. Podobno chorował na cukrzycę. Tak się spieszył, żeby wyrobić normy w pracy, że nie zdążył zjeść batonika przed wyjazdem z ładunkiem. W trasie spadł mu poziom cukru we krwi. Organizm po prostu się wyłączył. Marysia wzięła udział w konkursie ogłoszonym przez szkołę. Wygrała stypendium. W założeniu dyrekcji miała to być coroczna impreza. Sposób na promocję placówki i wyraz społecznej odpowiedzialności. Skończyło się na jednej edycji. Marysia od początku czuła się inna. Zresztą nic dziwnego. Tutejsze dzieciaki jeździły na rowerach wartych tyle, ile miesięczna pensja jej matki. Ubierały się w najlepszych sklepach, miały najnowsze modele komórek, konsole, komputery, wszystkie możliwe zabawki. Ona, typowy Kopciuszek, nie mogła się bardziej odróżniać. Nie że inni uczniowie z niej szydzili albo ją dręczyli. Wręcz przeciwnie, przyjęto ją z dużą dozą serdeczności. Ale pieniądze potrafią kopać rowy równie głębokie co kolor skóry czy narodowość. Na początku odnosiło się wrażenie, że Marysia posługuje się innym językiem. Nie znała tych wszystkich gier, apek, marek i zagranicznych miejsc na wakacyjne wyjazdy. A teraz? Zmieniła się. Nabrała pewności siebie. I potrafiła to okazać. W szkole obowiązywał zakaz malowania się, jednak dziewczyny zawsze potrafiły obejść takie restrykcje. Niektóre eksperymentowały z henną, a potem odpowiadały bezczelnie, że przecież nie mogą jej zmyć. Inne szły w ekstrawaganckie kolorowe okulary (przecież są potrzebne do nauki), bezbarwny lakier do paznokci, czasem ozdabiany kolorowymi kropeczkami. Modne robiły się nawilżające błyszczki do ust, kremy do twarzy działające jak podkłady, ale ponieważ nazywają się kremami, to nie można się ich czepiać, i dziesiątki

innych sposobów. Z których Marysia również często korzystała. Chociaż ona zazwyczaj ograniczała się do małych, fantazyjnych kolczyków i delikatnego makijażu z henny. Mimo to Ela zastanawiała się, skąd dziewczyna bierze na to wszystko pieniądze. Może zaczęła dorabiać. To by tłumaczyło gorsze wyniki w szkole. Opieka nad młodszym rodzeństwem i praca. Nie zostawało wiele czasu na naukę.

- Sprawdziłam twoje wypracowanie.
- Aha...
- Jest dużo poniżej twojego poziomu.
- Rozumiem.

Marysia odpowiadała trochę nieobecny głosem. Strzelała wzrokiem na boki, jakby nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła sobie pójść. Ela nie potrafiła się zdecydować, czy jest to wyraz zawstydzenia czy lekceważenia.

– Masz gorsze wyniki w nauce – zaczęła. – Nie tylko z polskiego. Z innych przedmiotów również. Marysiu, co się dzieje?

Dziewczynka przewróciła oczami.

- Czy potrzebujesz jakiejś pomocy?
- Nie – powiedziała. – Nie potrzebuję.

– To skąd te oceny?

– Przecież nie są takie złe! – zaprotestowała gorąco dziewczyna.

– Nie są. Ale z takimi ocenami będziesz miała problem, żeby trafić do naprawdę dobrego liceum. A przecież tego chcesz, prawda?

Długa chwila milczenia.

– Marysiu...

– Tak.

– To co się dzieje?

Westchnięcie.

– Mama musi dłużej pracować. Ja opiekuję się rodzeństwem. Zostało mi mniej czasu na naukę.

Ela po dziesięciu latach pracy w szkole potrafiła wyczuć, kiedy uczeń ją okłamuje. Ale wiedziała też, że czasami trzeba odpuścić. Nie naciskać. Jeśli będzie ostrożna i trochę jej się poszczęści, to Marysia w końcu sama do niej

przyjdzie i wszystko opowie.

– Rozumiem. Gdybyś potrzebowała pomocy, przyjdź do mnie. Coś wymyślimy.

– Dobrze.

– Marysiu?

– Tak.

– Jeśli na półrocze te oceny się utrzymają, to stracisz stypendium.

Dziewczyna gwałtownie podniosła głowę.

– Co takiego? Pół roku przed końcem szkoły?!

– Takie są zasady.

– Przecież to tylko pół roku!

– Nie ja je wymyśliłam – powiedziała Ela. – Przykro mi. Ale nauczyciele, nie tylko ja, chcą ci pomóc. I pomożemy ci! Sama jednak też musisz trochę się postarać. Rozumiesz? Nie chcesz przecież szukać nowej szkoły na ostatnie półrocze, prawda?

– Tak.

– Proszę, to twoje wypracowanie.

Dziewczyna wzięła zapisaną gęsto kartkę. Zmarszczyła brwi. W oczach błysnęły iskierki gniewu.

– Trójka?!

– Tak. To chyba twoja najsłabsza praca.

– Ale... Ale... Ale... – Marysia wzięła głęboki wdech, jej policzki poczerwieniały. – Karolina przepisała swoje wypracowanie z internetu i dostała czwórkę! Ja dostałam trójkę! A to moja praca! Sama ją napisałam!

A więc usłyszała rozmowę z Karoliną. Ela miała ochotę walnąć głową o blat biurka. Dobrze serce właśnie się na niej zemściło. To prawda, że każdemu starała się pomóc, jednak nie bez powodu potraktowała dziewczynki inaczej. Karolina to sympatyczna dziewczyna, pewnie pójdzie do niezłego liceum i skończy niezłe studia. Z niezłymi wynikami. Ale zawsze będzie co najwyżej średnia. A Marysia, Marysia miała potencjał. Była strasznie zdolna. Jeśli tylko trafi na dobrych nauczycieli, takich, którzy ją dostrzegą i wyciągną rękę w odpowiednim momencie, osiągnie w życiu naprawdę dużo. Tylko jak to teraz

wytłumaczyć czternastoletniemu dziecku.

– To ja stawiam oceny – powiedziała Ela, zdając sobie sprawę, że to zła odpowiedź. – I nie będę z tobą dyskutować na temat ocen innych uczniów.

– To niesprawiedliwe. Dała pani czwórkę Karolinie, bo jest córką dyrektorki.

– Nie będę na ten temat dyskutować – powtórzyła nauczycielka.

Marysia zacisnęła usta. Skinęła jej na pożegnanie i wyszła z klasy. Ela schowała głowę w dłonie i odetchnęła głęboko. Nie oszukiwała się – to była katastrofa. Zamiast pomóc dziewczynie, zapewnić ją o swojej życzliwości, dodatkowo ją skrzywdziła. Nie do końca wiedziała, jak to naprawić. A teraz czekała ją najmniej przyjemna z tych trzech rozmów.

– Gniewomir.

Chłopak zapamiętał gryzmolił coś w zeszycie. I dobrze. Przynajmniej on nie podsłuchiwał rozmów z dziewczynami. Wstał. Człapiąc krok za krokiem, podszedł do biurka. Był wysoki jak na swój wiek. Nawet biorąc pod uwagę, że przekiblował rok w innej szkole. Może z tego powodu nieustannie się garbił, jakby chciał być niższy. Krótko ostrzyżony maszynką, niechlujnie ubrany i chudy, tak chudy, że prawie składał się z samej skóry i kości.

Ela nie miała już siły na pedagogiczne rozmowy. Szczególnie że z Gniewomirem nie miało to żadnego sensu. Po prostu wyciągnęła ze stosu kartek tę z wypracowaniem chłopaka i podsunęła mu ją niemal pod nos.

– Co to jest?

Nie odpowiedział. Na kartce zamiast wypracowania znajdowała się seria rysunków. Na wszystkich młody chłopak podobny do Gniewomira w różnych pozycjach uprawiał seks z kobietą podobną do Eli. Brał ją od tyłu, zdierał z niej ubrania, odsłaniając ogromne (dużo większe niż miała w rzeczywistości) piersi, wpychał jej penisa w usta i (chyba, bo tutaj rysunek był niezbyt czytelny) w odbyt. Czasami kobieta uśmiechała się szeroko, wyraźnie zadowolona, czasami płakała, jakby ją gwałcił.

– Co to jest? – powtórzyła. – To jestem ja?!

Ciągle milczał.

– Co ty sobie wyobrażasz, Gniewomir?! Co ty sobie wyobrażasz?!
Gniewomir!

Podniósł głowę.

– Pytam cię o coś!

Nie odpowiedział. Ale Ela była pewna, że lekko uśmiechał się pod nosem. Miała ochotę go spoliczkować.

– Tutaj jesteś, Gniewek! – odezwał się ktoś w drzwiach.

Spojrzała w tamtym kierunku. Do klasy wszedł dwudziestoletni chłopak. Sławomir. Starszy brat Gniewomira. Niższy od niego o głowę, choć lepiej zbudowany. Podobno już prowadził swoją firmę, jakąś knajpę w modnym miejscu. Mieszkał sam. Uciekł z domu, kiedy tylko mógł to zrobić.

– Dzień dobry, pani profesor – powiedział. – Przyszedłem zabrać Gniewka, bo mam go zawieźć do alergologa. – Spojrzał pytająco na brata, potem na nauczycielkę. – Coś się stało?

Ela pokazała mu kartkę. Sławomir stanął jak wmurowany. Ostrożnie wziął ją od nauczycielki. Przejrzał rysunki. Pokręcił głową z niedowierzaniem, a potem poczerwieniał ze wstydu i gniewu. Przez chwilę wydawało się, że spróbuje podrzeć kartkę na kawałki, ale zamiast tego po prostu oddał ją Eli.

– Porozmawiam z nim – powiedział szeptem.

– Wolałabym, żeby porozmawiała z nim wasza mama.

Sławomir stęknął, jakby dostał w brzuch.

– Pani profesor – odparł cicho. – Pani przecież wie, jak jest.

Wiedziała.

– A ojciec?

– To już lepiej rozmawiać z matką. – Bezradnie rozłożył ręce.

Mogła się tego spodziewać. Zrobiło się jej żal Sławomira. Może i miał dwadzieścia lat, ale to tylko kolejny dzieciak, który musiał za szybko dorosnąć.

– Czy mogę go już zabrać? – zapytał nieśmiało.

– Jasne.

– Chodź, Gniewek.

Sławek chwycił brata delikatnie za ramię i poprowadził w stronę drzwi. Kiedy chłopak się odwracał, Ela dostrzegła pod kołnierzem koszulki duży fioletowy siniak.

– Stójcie! – zawołała.

Podeszła do Gniewka. Odgięła mu kołnierzyk. Siniak sięgał obojczyka

i niżej.

– Kto ci to zrobił? – zapytała.

Sławek zerknął na obrażenie. Zaraz cofnął się o krok.

– Gniewek – powiedział cicho. – Kto ci to zrobił? – powtórzył pytanie nauczycielki.

Chłopak długo milczał. Ale kiedy zdał sobie sprawę, że nie wyjdzie z klasy, dopóki nie udzieli odpowiedzi, uległ.

– Sam. Przewróciłem się – wybąkał.

Sławek zerknął pytająco na Elę. Ona tylko pokręciła bezradnie głową.

– Wie pani, jak jest – wyszeptał.

Kiedy już została sama w klasie, opadła bezwładnie na krzesło. Czowała się zupełnie wyczerpana. Gniewomir. Chłopak miał szesnaście lat i ledwo potrafił czytać. Przepychany z klasy do klasy pieniędzmi mamusi, która potrafiła zrobić awanturę o byle co, a całe dni spędzała na zakupach, obściskiwaniu się z kolejnymi kochankami i picciu drogich alkoholi. I pewnie ćpaniu. Rodzina Marysi, biedna, ale zadbana, to nie była żadna patologia.

Rodzina Gniewomira – to już zupełnie inna historia.

3

Dyrektorka, stukając obcasami, weszła za biurko i usiadła na czarnym skórzanym fotelu biurowym, tak wielkim, że spokojnie zmieściłyby się w nim jeszcze dwie osoby. Skojarzenie z tronem nasunęło się Klementynie samo.

– Proszę usiąść – powiedziała dyrektorka, wpatrzona już w ekran monitora, zaciekle klikając komputerową myszką.

Klementyna zajęła miejsce na jednym z dwóch krzeseł ustawionych naprzeciwko biurka. Dyrektorka skończyła klikać, odsunęła od siebie myszkę, a potem oparła się łokciami o blat, zwiesiła głowę i zaczęła okrężnymi ruchami masować sobie skronie. Trwało to przez kilkanaście sekund.

– Jeśli to zły moment... – odezwała się nieśmiało Klementyna.

Dyrektorka wyprostowała się gwałtownie. Na jej twarzy odmalowało się najpierw oburzenie, szybko jednak przykrył je sztuczny uśmiech.

– To nie jest zły moment – powiedziała. – W naszej szkole po prostu zawsze dużo się dzieje. Czasami potrzebuję chwili, żeby złapać oddech. Wszyscy tego potrzebujemy, prawda?

– Tak – potwierdziła uprzejmie Klementyna.

Kobieta zakołysała się na fotelu, zakładając nogę na nogę. Potem sięgnęła po jedną z leżących na stole teczek i otworzyła ją. Rzuciła okiem na znajdujące się tam dokumenty.

– Pani Klementyno – zaczęła – jestem pewna, że obie jesteśmy bardzo zajęte kobietami, które szanują nawzajem swój czas.

Klementyna przytaknęła, chociaż czasu miała akurat w nadmiarze.

– Przejdę zatem do rzeczy. Razem z mężem mieliśmy marzenie. To marzenie polegało na stworzeniu wyjątkowego miejsca, wyjątkowej szkoły. Przyjaznej uczniom, pomagającej im, ale równocześnie wymagającej i kształtującej odpowiednie postawy obywatelskie. Od początku rozumieliśmy, że do realizacji tego celu będziemy potrzebować pomocy wyjątkowych nauczycieli. I poświęcamy wiele czasu, żeby ich odnaleźć. Bo zdajemy sobie sprawę, że nie

przyjdą do nas sami. Choć – dyrektorka przerwała na chwilę, podniosła palec w górę – sami niekiedy też przychodzą. Zmierzam do tego, że wymagamy od siebie tego, czego później wymagamy także od naszych pracowników. Aktywności. Inicjatywy. Takiej inicjatywy, jaką pani wykazała, zamieszczając w sieci ogłoszenie o pracę. Od razu zwróciło naszą uwagę. Pani domyśla się dlaczego?

Nie miała pojęcia. Ogłoszenie wrzuciła do internetu w odruchu czystej desperacji. Była zdziwiona, że ktokolwiek je przeczytał. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją to, że zadzwoniono do niej z propozycją spotkania i rozmowy kwalifikacyjnej.

– Nie – odpowiedziała szczerze.

Dyrektorka nachyliła się nieznacznie w jej stronę.

– Wiek. Podoba mi się to, że jest pani, proszę mi wybaczyć, starszą kobietą.

Przerwała na chwilę, jakby spodziewała się jakiejś reakcji, ale Klementyna milczała. Autentycznie zaskoczona, nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć.

– Przychodzą do nas młodzi nauczyciele. Oczywiście aktywni. Z ciekawymi pomysłami. Zaangażowani w pracę. Naprawdę, naprawdę, proszę mi wierzyć, że jest to absolutnie wspaniałe grono pedagogiczne. Jednak brakuje im doświadczenia. Trochę nauczycielskiego, ale przede wszystkim, wie pani, takiego życiowego. Takiego pięknego, zdrowego rozsądku, perspektywy, którą zdobywa się dopiero wtedy, kiedy można spojrzeć na pewne sytuacje, mając w pamięci te kilkanaście, kilkadziesiąt minionych lat. Co pani na ten temat sądzi?

Klementyna nerwowym ruchem obciągnęła spódnicę.

– Tak. Wydaje mi się, że pani dyrektor ma rację – powiedziała wreszcie. – Młodzi nauczyciele... Czasami brak im tego życiowego i zawodowego doświadczenia. Nawet jeśli bardzo się starają.

Dyrektorka uśmiechnęła się szeroko, tym razem szczerze. Ucieszyła się z tego, co usłyszała, a Klementyna pomyślała, że to dziwne. Powtórzyła przecież tylko w trochę innej formie to, co tamta przed chwilą powiedziała. Potraktowała ją właściwie tak samo jak tamtą staruszkę, której pomogła przejść przez jezdnię.

– Niech pani przestanie z tą panią dyrektor – zachnęła się kobieta. – Jestem

Zofia. Staramy się tutaj mówić sobie po imieniu. Zależy nam na stworzeniu przyjaznej atmosfery w naszym wspólnym miejscu pracy.

– Rozumiem.

– Pani Klementyno, widzę, że miała pani przerwę w pracy nauczycielskiej.

Obawiała się tego pytania i wyobrażała sobie, jak zareaguje, kiedy je usłyszy. Szkiełowała w głowie różne scenariusze tego, jak się zachowa, co powie. Ale teraz zaschło jej w gardle, a jedna z dłoni zaczęła lekko drżeć.

– Ja... Tak... Miałam, miałam przerwę, proszę pani dyrektor. Pani Zofio znaczy się. Miałam przerwę.

Poczuła falę gorąca i przestraszyła się, że zaraz zarumieni się jak mała dziewczynka.

– Skąd ta przerwa? – drażyla dyrektorka.

– Na początku... – Klementyna musiała się uspokoić. Przemyślała to dogłębnie. Wiedziała, co odpowiedzieć. Wzięła głęboki wdech. – Na początku, w okresie transformacji zrezygnowałam z pracy w szkole. Wtedy dużo się działo. Pracowałam przez kilka lat w handlu. Potem firma upadła, za to ja musiałam zajmować się rodzicami. Oboje byli bardzo chorzy. Ojciec zmarł już dziesięć lat temu, ale mama dopiero niedawno.

– Na co chorowali?

– Tata nowotwór. Mama alzheimer.

Dyrektorka pokiwała głową.

– Straszna choroba – powiedziała.

– Tak.

– Nikt nie mógł pani pomóc?

– Nie. Jestem jedynaczką. A nie mogłam zostawić mamy samej. Pod koniec... Umarłaby po prostu z głodu, gdybym jej nie karmiła.

Dyrektorka lekko wzdrygnęła się, a potem spojrzała na nią z ukosa. Tym razem jednak w inny sposób. Jakby tą swoją opowieścią przypomniła jej o czymś nieprzyjemnym. Klementyna lekko się zawstydzila. Nie chciała tego wyciągać. Nie chciała sprawiać wrażenia, że współczuciem wymusza przyjęcie do pracy.

– Bardzo mi przykro – stwierdziła sucho dyrektorka. – Musiało być pani

trudno.

– Dziękuję.

– Dlaczego zdecydowała się pani wrócić do pracy w szkole?

Klementyna z ulgą przyjęła zmianę tematu.

– Bardzo to lubiłam – powiedziała. – Pomyślałam, że ciągle się do tego nadaję. Podszkoliłam się w domu. Chodziłam do biblioteki pedagogicznej, czytałam te wszystkie czasopisma. Wiem, jakie są teraz metody, czego się oczekuje od nauczycieli, jaka jest podstawa programowa.

Przerwała, bo miała wrażenie, że dyrektora przestała słuchać. Kobieta zmarszczyła brwi i wpatrywała się w monitor. Chwilę nad czymś się zastanawiała, a potem nerwowo wzięła długopis i zapisała coś na marginesie jej życiorysu. Klementyna przez moment poczuła ukłucie irracjonalnego strachu, że dyrektorka właśnie otrzymała wiadomość, w której ktoś odsłonił prawdę o przeszłości. Że wszystkie kłamstwa zawarte w życiorysie właśnie wyszły na jaw. Dyrektorka zaraz wstanie, zacznie na nią krzyczeć, wyzywać od najgorszych i wyrzuci za drzwi, grożąc, że wezwie policję, jeśli tylko Klementyna pojawi się w okolicy szkoły. To ukłucie było tak mocne, że niemal zgięło ją z bólu. Zrobiło jej się gorąco. Powtarzała sobie raz za razem, że powinna się uspokoić. Że przeszłość jest bezpieczna. Nikt jej nie wyda. Nic złego nie może się przydarzyć. Nie teraz.

– Przepraszam – odezwała się dyrektorka. – Pilna sprawa. Jak pani widzi – zaśmiała się – nasza szkoła ciągle żyje. Nieustannie.

– Rozumiem. Pewnie ma pani dużo rzeczy na głowie. Nie chciałabym zajmować pani czasu niepotrzebnie...

– Oferuję dwa i pół tysiąca za pełen etat – powiedziała dyrektorka. – Ale u mnie to nie jest jak w szkole państwowej. Pełen etat to pełen etat, czterdzieści godzin w szkole. Nie przy tablicy, ale musi być pani do mojej dyspozycji. Umowa próbna na trzy miesiące. Jeśli pani się sprawdzi, będziemy mogli rozmawiać o podwyżce. Co pani na to?

Klementyna chciała poderwać się z radości. Z trudem się powstrzymała. Łzy napłynęły jej do oczu. Wyjęła z torebki paczkę chusteczek i otarła szybko powieki, mając nadzieję, że nie zrobi z siebie większej kretynki niż do tej pory.

– Pani Klementyno...

Zdała sobie sprawę, że kobieta oczekuje odpowiedzi.

– Tak. Tak, oczywiście, wszystko mi pasuje. Zgadzam się.

Dyrektorka uśmiechnęła się.

– To dobrze. Proszę przyjść jutro na godzinę dziesiątą. Będzie dla pani przygotowana umowa. Koleżanka oprowadzi też panią po szkole, opowie dokładnie o obowiązkach i zasadach tu obowiązujących. Czego wymagamy od uczniów, a czego wymagamy od nauczycieli.

– Będę jutro o dziesiątej.

– Znakomicie.

Dyrektorka wstała i wyciągnęła rękę na pożegnanie. Zamarła w połowie ruchu. Jej wzrok zawiesił się na zawartości torebki Klementyny.

– To pani papierosy? – zapytała.

Klementyna potwierdziła.

– Będzie musiała pani przestać palić. Zależy nam na tym, żeby nauczyciele w każdym calu stanowili wzór dla uczniów. Rozumiem, że w pani czasach było trochę inaczej, ale takie tutaj mamy zasady.

– Oczywiście! Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby palić w szkole.

Dyrektorka potrząsnęła głową.

– Nie. Chodzi mi o to, żeby przestała pani palić w ogóle – powiedziała mocnym, stanowczym głosem. – Dym papierosowy strasznie przechodzi przez ubranie. Będzie czuć, że paliła pani w domu. Uczniowie się dowiedzą. Rodzice również. Rozumie pani?

– Chyba tak.

– Jest pani gotowa to zrobić?

Pytanie zawisło między nimi i Klementyna zrozumiała, że to jest właśnie najważniejszy moment rozmowy kwalifikacyjnej.

– Tak. Jestem gotowa – powiedziała. – Zresztą i tak powinnam już dawno rzucić.

– Znakomicie – stwierdziła zadowolona z siebie dyrektorka. – W takim razie widzimy się jutro o dziesiątej.

Uścisnęły sobie dłonie. Dyrektorka poprowadziła ją do sekretariatu. Poprosiła jedną z pracownic o przygotowanie dokumentów na jutro. Sekretarka spisała

dane Klementyny, których potrzebowała do sporządzenia umowy, a dyrektorka zniknęła w swoim gabinecie. Klementyna cierpliwie czekała i co rusz zaciskała palce na rąbku spódnicy. Potrzebowała tej pracy. Potrzebowała najbardziej na świecie. I wiedziała, że być może po raz pierwszy w życiu spotkało ją niewiarygodne szczęście. Ale wiedziała też, że za nic, za nic nie będzie w stanie rzucić palenia.

4

Kupowanie testu ciążowego było najbardziej przerażającą i upokarzającą chwilą w życiu Marysi. Postanowiła to zrobić w miejscu z dala od domu. Gdzieś, gdzie nikt jej nie zna i nie doniesie o zakupach mamie. Wybrała sklep Rossmann w centrum handlowym Arkadia. Pomyślała, że tam nikt na nią nie zwróci uwagi. Roztopi się w tłumie kupujących.

Podeszła do półki w sklepie. Wrzuciła do koszyka pierwszy z brzegu test. Taki różowy, nie wiadomo dlaczego z uśmiechniętym dzidziusiem na opakowaniu. Żeby nie kupować tylko tego, dołożyła jeszcze pomadkę do ust, batonik i butelkę wody mineralnej. Miała nadzieję, że ekspedientka zeskanuje te produkty mechanicznie, nawet nie patrząc na to, co sprzedaje.

Pomyliła się.

Obsługiwała ją młoda dziewczyna, blondynka z małym srebrnym ćwiekiem w nosie i oczami pomalowanymi tak mocno, jakby zaraz po pracy wybierała się na imprezę do Explosion. Wydawało się, że biały fartuch, który miała na sobie, aż ją piecze. Co chwila zabawnie podrzucała głową i poprawiała fryzurę. Kiedy wzięła do ręki test ciążowy, spojrzała pytająco na Marysię.

– To dla mamy – odpowiedziała szybko dziewczyna.

– Na pewno? – zapytała powątpiewającym głosem ekspedientka.

– Ojej... Przecież nie muszę kupować – rzuciła Marysia.

Ekspedientka zawahała się na moment, a dziewczyna miała ochotę zostawić wszystkie rzeczy i uciec ze sklepu. Ale wtedy usłyszała piknięcie i test ciążowy wyłądował obok pomadki Nivea. Spakowała wszystkie rzeczy do plecaka i szybko wyszła z drogerii z mocno bijącym sercem i drżącymi kolanami.

Po przejściu kilku metrów usłyszała kobiecy głos.

– Hej! Zatrzymaj się! Dziewczynko!

Popełniła błąd i się obróciła. Sprzedawczyni biegła w jej kierunku, a poły białego fartucha unosiły się i opadały w rytm kroków. Zanim Marysia zdążyła zareagować, kobieta była już przy niej.

– To nie jest dla twojej mamy, prawda? – odezwała się, zniżając głos. Położyła dłoń na jej ramieniu. Marysia zastygła z zaskoczenia, a potem zrzuciła z siebie rękę kobiety gwałtownym, mocnym ruchem.

– Przepraszam – powiedziała ekspedientka.

– To dla mamy! – powtórzyła dziewczyna.

Sprzedawczyni rzuciła okiem w stronę Rossmanna. Z otwartych drzwi drogerii wychylała się głowa ochroniarza.

– Jeszcze momencik! – rzuciła w jego kierunku i zwróciła się w stronę Marysi: – Słuchaj, gdybyś chciała porozmawiać...

– To dla mamy.

– To mój numer telefonu. Możesz zadzwonić. Wiem, jak jest.

Wyciągnęła w jej stronę złożoną na pół kartkę. Marysia zacisnęła usta. Potem chwyciła papier i schowała go do kieszeni.

– To dla mamy.

– Zadzwoń, kiedy chcesz – powiedziała ekspedientka. Potem uśmiechnęła się pocieszająco. Zrobiła ruch, jakby chciała pogłaskać ją po policzku w pocieszającym geście, ale zrezygnowała. – Cześć – rzuciła tylko.

Wróciła do drogerii, obracając się co kilka kroków. Marysia z jakiegoś powodu pomachała jej na pożegnanie. Potem wyszła szybko z centrum handlowego, a numer telefonu od sprzedawczyni podarła i wyrzuciła do pierwszego napotkanego kosza.

Teraz, kiedy siedziała w szkolnej ubikacji, rozkładała szeroko nogi i próbowała wcelować patyczkiem w strumień moczu, żałowała, że to zrobiła. Chciałaby móc z kimś porozmawiać. Opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło. O swoim strachu, przerażeniu. O ściśniętym w supeł żołądku. O łzach napływających do oczu dniem i nocą. O tym, że nie może zasnąć. O tej niewidzialnej ręce, która ściska ją za gardło i nie puszcza. Chciałaby z kimś porozmawiać, tylko z kim? Mama nie wchodziła w rachubę. Miała za dużo pracy i przede wszystkim za dużo własnych problemów. Marysia nie chciała dokładać kolejnych.

Rodzeństwo się nie liczyło, za małe i za głupie. Koleżanki z podwórka to straszne plotkary. Prędzej czy później komuś by się wygadały, a potem od słowa do słowa wszystko dotarłoby do mamy. Poza tym od kiedy Marysia

trafiła do nowej szkoły, straciła trochę z nimi kontakt. Dużo się uczyła, bo musiała utrzymać wymaganą średnią, a one uznały, że zadziera nosa. Koleżanki z klasy – nawet nie była pewna, czy jakkolwiek tak naprawdę ma. To znaczy do tej pory zachowywały się okej, nie wywyższały się, a jeśli nawet, to niespecjalnie. Po prostu od czasu do czasu coś chlapnęły głupiego o jej starym telefonie albo dziwiły się, że nie ma dostępu do Netflixa czy HBO GO jak człowiek. Nie chciała im tłumaczyć, że mamę stać tylko na podstawowy abonament z kablówki, a komputer w domu jest tylko jeden, stary, i do tego muszą się nim dzielić. Zresztą mama kupiła go na raty. Żadnej z tych koleżanek nie mogła opowiedzieć o tym, co się dzieje. Nawet nie potrafiłaby sobie wyobrazić, jak by zareagowały. Pewnie żadna z nich nie wyszła jeszcze poza pocałunki i lekkie macanki z chłopakami. Nie dlatego, że by nie chciały, bo może by i chciały, ale ich dni wypełniała szkoła, nauka gry na gitarze, pianino, skrzypce, karate, judo, jazda konna, basen, angielski, francuski, niemiecki, portugalski, kółko szachowe, komputerowe, zajęcia inżynierskie, z programowania czy tysiąc innych rzeczy, tak że zostawało im akurat tyle czasu, by coś zjeść, umyć zęby i położyć się spać. A raczej paść jak kłoda. Zresztą teraz im zazdrościła. Bardzo. Zrobiłaby wszystko, żeby cofnąć czas. To nie tak, że ona chciała uprawiać seks. Uprawiała seks, bo była głupia. A tamten chłopak był taki, taki... Niesamowity. Kiedy była przy nim, nagle przestawała myśleć.

Zamknęła oczy i poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Pociągnęła nosem. Wysunęła patyczek spod krocza. Teraz musiała poczekać na wynik. Z kieszeni wyjęła instrukcję, żeby sprawdzić, ile to potrwa. Wiedziała, że test powinna zrobić z pierwszego, porannego moczu. Ale na to nie miała najmniejszych szans. Rano w domu panował straszny rozgardiasz. Non stop ktoś dobijał się do drzwi łazienki. Czasami zamek nie działał. Mama lub młodsze rodzeństwo mogliby ją podejrzeć. Poza tym bała się swojej reakcji, gdyby okazało się, że wynik jest pozytywny. Nie dałaby rady ukryć emocji. Tak jak teraz.

Poczuła, że robi jej się niedobrze i nie wytrzyma w tej toalecie. Wrzuciła patyczek do plecaka wraz z instrukcją. Ubrała się i wyszła z kabiny. Chciała jak najszybciej odetchnąć świeżym powietrzem.

Na korytarz wypadła z takim impetem, że prawie przewróciła Karolinę. Lekcje już się skończyły. Dziewczyna powinna być w domu. Ale skoro szkoła

należała do jej mamy, to w pewnym sensie była w domu.

– Oj, sorry... – rzuciła Marysia.

– Spoko.

Chciała ją wyminąć, ale Karolina próbowała zrobić to samo i po raz kolejny o mały włos by się nie zderzyły. Karolina najpierw zachichotała, a potem nagle spoważniała.

– Płakałaś? – zapytała.

Zaprzeczenie nic by nie dało. Twarz Marysi zdradzała wszystko.

– Tak.

– To przez panią Elę? Przez to, co ci powiedziała?

Przytaknęła. To wygodne kłamstwo, wiarygodne i co najważniejsze, wymyśliła je sama Karolina.

– Nie przejmuj się – powiedziała dziewczyna. – To tylko oceny.

I wtedy Marysia ją uderzyła. Nie mocno, ale trafiła Karolinę pod szczękę, i na tyle niespodziewanie, że wylądowała tyłkiem na podłodze. Obie były równie zdumione. Karolina patrzyła z niedowierzaniem na Marysię, a Marysia na swoją zaciśniętą pięść. Do tej pory biła się tylko raz. Z Lilką, bo ta głupia kurwa powiedziała, że tatuś Marysi zginął w wypadku po pijaku. A to było kłamstwo. Jej tatuś prawie nie pił. Tylko troszkę na imieninach czy urodzinach. Ale Marysia nigdy nie widziała go pijanego. To tato Lilki chlał ile wlezie i chodził na dziwki. A kiedy się solidnie napił, lał żonę. Ona musiała chować dzieci po szafach, a krzyki słyszała cała kamienica. Marysia wtedy solidnie przyłożyła Lilce. Rozbiła dziewczynie nos i wargę. Potem miała kłopoty. Mama nie chciała słuchać, dlaczego to zrobiła. A nawet gdy usłyszała, powiedziała, że nic jej to nie obchodzi. Przyłała Marysi pasem i zakazała wychodzić z domu na podwórko przez dwa tygodnie. Tej samej nocy przysła jednak do niej, przytuliła się i spały razem, wczepione w siebie nawzajem na niewielkim dziecięcym łóżku. Ale to było dawno temu. Od tamtego czasu nikogo nie uderzyła. Aż do teraz.

– Przepraszam, przepraszam – mówiła gorączkowo. Próbowała pomóc Karolinie, jednak ta ją odepchnęła.

– Wariatka! Odbiło ci!

– Nie! To nie tak! To wypadek! Nie chciałam! – powtarzała przerażona.

Karolina samodzielnie podniosła się z ziemi.

– Nie dotykaj mnie! Nie odzywaj się do mnie! Idiotka!

Odeszła szybkim krokiem, a Marysia została na pustym korytarzu sama. Oddychała szybko. Serce biło jej jak oszalałe. Nie rozumiała, co się stało. To był impuls. Nagły wybuch gniewu, któremu nie potrafiła się oprzeć. Jakby wszystko wydarzyło się poza nią, bez udziału głowy i mózgu. Karolina powiedziała głupotę. Dla Marysi to nie tylko oceny. Dla każdego innego dzieciaka może i tak, ale nie dla niej. Jeśli spadnie jej średnia, wyrzucą ją ze szkoły. A to będzie koniec marzeń o dobrym liceum. A potem studiach. Chciała je skończyć. Chciała dostać dobrą pracę, żeby pomóc mamie. Sprawić, że mama będzie z niej dumna. Marysia rozumiała, że dziewczyna próbowała ją tylko pocieszyć. Pewnie naprawdę się zmartwiła, kiedy zobaczyła jej łzy. Ale nie tak. Powinna to zrozumieć. No i teraz Marysia wpakowała się w jeszcze większe kłopoty. Jeśli Karolina opowie o wszystkim mamie, to nawet najlepsza średnia nie pomoże.

Wybiegła ze szkoły. Poszła szybko w kierunku metra. Cały czas myślała o Karolinie i o tym, co się stanie, jeśli wyrzucą ją ze szkoły.

Kiedy dotarła do stacji, przypomniała sobie o teście w plecaku. Zatrzymała się. Rozejrzała dookoła, ale nie dostrzegła nikogo znajomego. Odeszła na bok. Stała przy płocie okalającym najbliższą posiadłość – ładną przedwojenną willę. Wyjęła test ciążowy i sprawdziła wynik.

Dwie kreski.

Nie musiała sięgać do instrukcji, żeby wiedzieć, co to oznacza.

Była w ciąży.

5

Klementyna po wyjściu z gabinetu dyrektorki czuła się tak, jakby po raz kolejny przechodziła menopauzę. Uderzenia gorąca, mocno bijące serce, zawroty głowy. Na przemian ogarniała ją radość i przerażenie.

Znalazła najbliższą toaletę z napisem „Dla personelu” i wparowała do środka. Chciała tylko ochłapać sobie twarz zimną wodą, uspokoić się trochę. Otworzyła drzwi tak mocno, że uderzyły z hukiem o ścianę. Stojąca naprzeciwko przy otwartym oknie kobieta aż podskoczyła i gwałtownie pobladła. I zaraz potem zaczęła machać gorączkowo ręką.

– Niech pani zamyka! Szybko!

Klementyna zrobiła to, o co ją poproszono.

– Zasuwkę też!

Kobieta poczekała, aż Klementyna upewni się, że drzwi są zamknięte, i dopiero wtedy odetchnęła głębiej. Uśmiechnęła się przeproszająco. W palcach trzymała palącego się papierosa.

– Przestraszyła mnie pani – powiedziała. – Tutaj dyrekcja... No, powiedzmy, że nie lubi, kiedy nauczyciele palą.

– Wiem. Pani dyrektor już mi o tym powiedziała.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Spotkała się z nią pani?

– Tak.

– Pani jest...

– Mam tutaj pracować. Jako nauczycielka matematyki.

– Zamiast Małgośki – domyśliła się kobieta.

– Chyba tak.

Kobieta zaciągnęła się powoli papierosem, a potem wychyliła się za okno i wypuściła dym na zewnątrz. Spojrzała porozumiewawczo na Klementynę.

– Nie wyda mnie pani?

– Nie – powiedziała Klementyna i po chwili dodała z wahaniem: – Sama chętnie bym zapaliła.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko i zachichotała, po czym zakryła usta dłonią. Potem poprawiła włosy, które opadły jej na twarz, i sięgnęła po leżącą na parapecie paczkę papierosów. To były mentolowe vogi, lepsze od tych w jej torebce, więc Klementyna chętnie skorzystała z zaproszenia. Poza tym pamiętała jeszcze ten okres swojego życia, kiedy na papierosy przeliczało się wszystko, łącznie z jedzeniem i piciem. Pożałowała, kiedy tylko zaciągnęła się po raz pierwszy – jakby zamiast tytoniu paliła pastę do zębów.

– Ela jestem – przedstawiła się kobieta. – Uczę tutaj polskiego.

– Klementyna.

Ela po raz kolejny wychyliła się za okno i wydmuchała dym. Wyglądała na niewiele ponad trzydzieści lat. Nosila kremowe szpilki na średnim obcasie, obcisłe czarne spodnie i zieloną bluzkę. Rozpięte górne guziki odsłaniały dekolt. Nie za dużo, ale Klementyna i tak poczuła się zaskoczona. Pomyślała, że Ela ubrała się do pracy w szkole zbyt ładnie, zbyt seksownie, jednak zaraz pojawiła się kolejna myśl – może sama jest już stara i po prostu się nie zna. A poza tym to nie jej sprawa.

– Zwykle nie palę w szkole – powiedziała Ela. – Ale czasami po prostu się nie da.

Klementyna kiwnęła głową. Nie chciała, żeby nauczycielka się przed nią z czegokolwiek tłumaczyła. Krępowало ją to. Rozejrzała się po toalecie. W niewielkim pomieszczeniu mieściły się dwie kabiny i jedna umywalka.

– Jeśli dopadnie cię kiedyś potrzeba – ciągnęła Ela – to to jest najlepsze miejsce. Dyrektorka rzadko tutaj zagląda. Choć niestety się zdarza. Dlatego palimy przy otwartym oknie i zawsze potem używamy odświeżacza powietrza. Stoi tam w kącie.

– A ona nie wyczuje zapachu tytoniu?

Ela machnęła ręką.

– Tak, wiem. Opowiadała ci pewnie, że przeszkadza jej zapach, że wsiąka w ubrania i potem się go wyczuwa nawet wiele godzin po ostatniej fajce. Ale powiem ci, że wparowała tutaj raz, kiedy ledwo co skończyłam palić. Przysięgam, dymek jeszcze unosił się pod sufitem!

– Nic nie wyczuła?

– Albo nic nie wyczuła, albo nic nie powiedziała. Najadłam się wtedy strachu. Od tego czasu używamy odświeżacza. Tak na wszelki wypadek.

– Rozumiem.

– Gdzie wcześniej uczyłaś? – zapytała polonistka.

Klementyna odwróciła wzrok.

– Miałam długą przerwę – powiedziała wreszcie. – Zajmowałam się chorymi rodzicami.

Ela pokiwała w zamyśleniu głową.

– Wszystkie nas to kiedyś czeka – stwierdziła. – Dobrze by było, gdybyśmy też miały kogoś, kto się nami zaopiekuje, kiedy będzie trzeba, prawda?

Klementynie wydawało się, że w głosie nauczycielki zabrzmiał dziwny smutek. Kobieta jednak szybko się z niego otrząsnęła. Zgasiła niedopałek po zewnętrznej stronie parapetu, zawinęła w kawałek papieru toaletowego i wyrzuciła do kosza na śmieci.

– Czuję się jak nastolatka, która musi się ukrywać przed rodzicami – skomentowała. – Ja, dorosła kobieta.

Potem skrzyżowała ręce na piersiach i ciekawsko, z lekko zawadiackim uśmiechem zaczęła się przyglądać kończącej swojego papierosa Klementynie.

– Co takiego? – zapytała Klementyna, zastanawiając się, czy nic jej się nie przylepiło do twarzy.

– Nic. Po prostu... Opowiadam, jak chowałam się przed rodzicami z papierosami, a pani, nawet nie wiem, czemu i kiedy przeszłam na ty, jest mniej więcej w wieku mojej mamy. Trochę mi się zrobiło dziwnie.

– Mnie też – przyznała Klementyna. – Ale nie przez panią. To nieco zwariowany dla mnie dzień. Nowa praca. Dawno mnie nie było przy tablicy. Zastanawiam się, czy dam radę.

– To jak z jazdą na rowerze – powiedziała Ela. – Tego się nie zapomina.

Klementyna spojrzała na nią z wdzięcznością. Potrzebowała takiego dobrego słowa. Kogoś, kto w nią uwierzy. Nigdy nie spodziewała się, że otrzyma to od dopiero co poznanej osoby. Samotność na krótką chwilę stała się mniej przerażająca i dojmująca. Postanowiła się odwdzińczyć.

– Dlaczego pani się zdenerwowała? – zapytała.

Ela skrzywiła się.

– Gryzie mnie ta „pani” – odparła. – Tak zwracają się do mnie dzieci na lekcji.

– To przejdźmy na ty – zaproponowała Klementyna, chociaż to z kolei ją gryzło. Ale tak została wychowana. Żeby wychodzić naprzeciw ludziom, dogadzać im. Nawet jeśli tym kimś była kobieta niemal dwukrotnie od niej młodsza. Nienawidziła w sobie tej cechy, ale nie potrafiła się jej wyzbyć. – Czemu się zdenerwowałaś?

– Jeden z uczniów... A zresztą sama zobacz. – Ela machnęła ręką.

Wyjęła z leżącej pod stopami torby złożoną na czworo kartkę i podała jej. Klementyna rozpostarła ją i stęknęła głucho, kiedy ujrzała serię pornograficznych rysunków.

– Gdybyś się nie domyśliła – ciągnęła Ela – ta kobieta to ja. Ten facet to on. A to – postukała palcem w kartkę – nie jest pierwszy tego typu rysunek, jaki od niego dostałam. Ani nawet najbardziej wulgarny.

– Dużo jest tu takich dzieci? – zapytała Klementyna. Przestraszyła się, że czegoś nie doczytała. Że zamiast trafić do elitarnej prywatnej szkoły, wylądowała w placówce dla trudnej młodzieży. Nie żeby to cokolwiek zmieniało. Pracę i tak musiała przyjąć.

– Nie. Dzieciaki są niezłe. Chociaż... – zawahała się. – Ale nie. Nie chcę cię straszyć. Pewne rzeczy trzeba po prostu samemu zobaczyć, bo nie da się ich opowiedzieć. Natomiast taki – zabrała Klementynie kartkę i schowała ją do torby – jest tylko jeden. Gniewomir. Mam nadzieję, że na niego nie trafisz.

Klementyna skończyła palić. Wzorem Eli zgasiła papierosa o zewnętrzny parapet, zawinęła w papier toaletowy i dopiero wtedy wyrzuciła do kosza. I tak jak wcześniej Elę, tak teraz ją ogarnęło poczucie absurdalności całej sytuacji.

Polonistka podniosła odświeżacz powietrza i obficie spryskała całe pomieszczenie. Odurzający lawendowy zapach wypełnił toaletę. Klementynie zachciało się od niego kaszleć.

– No to idziemy – powiedziała Ela.

– Poczekaj, nie możesz pokazać tych rysunków dyrektorce?

Nauczycielka roześmiała się krótko i nieprzyjemnie, jakby kawałek szkła

utkwiał jej w gardle.

– A co to da?

– No powinna coś z tym zrobić! Wysłać chłopaka do psychiatry, pedagoga, cokolwiek. Różne miłości już się zdarzały. Młodzi chłopcy często zakochiwali się w swoich nauczycielkach, ale to nie jest normalne! O niczym takim nigdy nie słyszałam ani czegoś takiego nie widziałam!

– Dyrektorka nic z tym nie robi.

– Ale jak to?! Przecież powinna jakoś zareagować.

Ela odsunęła zasuwkę od zamka i nacisnęła kłamkę od toalety.

– To jest szkoła prywatna.

– I co to znaczy? – zapytała skołowana Klementyna.

– To znaczy tyle, że klient płaci i klient wymaga – odpowiedziała gorzko. –
Lepiej się przyzwyczaj, jeśli chcesz tutaj pracować.

6

Karolina chciała natychmiast pójść do mamy i opowiedzieć, co zrobiła Marysia. Jednak w sekretariacie usłyszała, że mama jest zajęta i prosiła, by jej nie przeszkadzać. Karolina doskonale wiedziała, co to znaczy, więc wróciła do domu.

W lodówce po raz kolejny nie znalazła obiadu. Mama chyba w tej pracy zupełnie zapomniała o posiłkach. Ojciec najczęściej jadał na mieście z partnerami biznesowymi. O niej nikt nie myślał. Czasami mama przygotowywała supę na kilka dni albo robiła kilkanaście kotletów mielonych i wydawało jej się, że to wystarczy na nie wiadomo jak długo. Niby mieli w tej szkole catering. Codziennie jakaś firma dowoziła obiady, ale Karolinie nie smakowały. Zalatywały plastikiem.

Wzięła portmonetkę i poszła do pobliskiego sklepu. Kupiła tam paczkę parówek. Ugotowała je w domu, pokroiła i dodała do makaronu, a potem zabrała się do lekcji. Skończyła szybko i siadła przed komputerem. Trochę przeglądała Facebooka i Instagrama, ale nie miała z kim tam porozmawiać, więc skończyło się na tym, że po prostu oglądała kolejne filmiki na YouTube. Myślała też trochę o Marysi. Złość powoli jej przechodziła, a po uderzeniu prawie nie został ślad, chociaż bała się, że będzie siniak. Nie rozumiała, dlaczego Marysia tak się zachowała. Nigdy nie były wielkimi koleżankami, ale też Karolina nie miała nic złego na myśli, kiedy zapytała ją, dlaczego płakała. Uznała, że z Marysią po prostu jest coś nie tak. Ostatnio zaczęła się inaczej zachowywać. Przestała być taka zahukana jak kiedyś, zrobiła się jakby odważniejsza i równocześnie trochę nieobecna. Obsunęła się w nauce, a zawsze poważnie ją traktowała. Według Aśki to dlatego, że Marysia się zakochała, ale nie wiadomo w kim. A może, pomyślała Karolina, ten chłopak dał jej kosza i dlatego płakała? Tym lepiej. Należało jej się, skoro bije ludzi. Karolina miała nadzieję, że ten gość wcześniej ją przeruchał. Przeruchał i zostawił. Najlepiej jakiś zboczeniec, który naprawdę mocno ją skrzywdził. Ale i tak postanowiła, że opowie o wszystkim mamie.

Jednak kiedy mama wróciła do domu, Karolina zobaczyła po jej minie, że nic z tego. Że to kolejny z tych dni, kiedy to mama potrzebowała pomocy, a ona będzie musiała się nią zająć. Dziewczyna przygotowała więc herbatę i kanapki. Herbatę może mama wypije, kanapek nie ruszy. To nic. Ważne, by zauważyła, że córka jest przy niej. Że się stara. Ale nic takiego nie nastąpiło. Mama zatopiła się w przyniesionych ze szkoły papierach, co chwila stękając znad nich boleśnie, krzywiąc się i przeklinając głośno. Wreszcie wstała i poszła do kuchni zrobić sobie drinka. Wtedy Karolina naprawdę się przestraszyła. Mama co prawda od pewnego czasu piła prawie codziennie, ale zazwyczaj tuż przed snem. Kiedy rozpoczynała tak wcześnie, zawsze wydarzało się coś strasznego.

Karolina krążyła więc dyskretnie dookoła matki. Bała się podejść, chociaż wydawało się, że przytulenie mogłoby poprawić sytuację. Zazwyczaj poprawiało. Ale kiedy niedawno tego spróbowała, mama odepchnęła ją mocno, a potem wstała i wyszła, nawet na nią nie spoglądając. Wieczorem udawała, że nic się nie wydarzyło, chociaż tak ją popchnęła, że dziewczyna wylądowała na ziemi. Postanowiła więc nie ryzykować. Zamiast tego zajęła się sprzątaniami domu, mając nikłą nadzieję, że ten wysiłek zostanie jakoś zauważony. Nikłą, bo sprzątała już wczoraj i przedwczoraj, i nikt nie zwrócił uwagi.

Uśmiech na twarzy mamy. Życzliwość w jej oczach. To wszystko, czego teraz potrzebowała.

Sytuacja zmieniła się, kiedy ojciec wrócił do domu. Mama wstała od stołu, zostawiając za sobą stos porozrzucanych papierów, i zamknęła się w sypialni, trzaskając drzwiami. Ojciec pokręcił głową. Rzucił marynarkę na oparcie fotela, obok wylądował krawat.

- Jak w szkole? – zapytał córkę.
- Dostałam czwórkę z polskiego.
- To dobrze.

Ojciec nigdy nie przejmował się jej ocenami. W przeciwieństwie do mamy.

Usiadł w drugim fotelu. Włączył telewizor, wyjął z kieszeni komórkę i zaczął sprawdzać wiadomości. Po kilku minutach podniósł głowę znad telefonu.

- Jest jakaś kolacja w tym domu? – zapytał.
- Zaraz zrobię – odparła szybko.

Gdyby powiedziała, że niczego nie ma, ojciec by się zdenerwował i zaczął

krzyczeć na mamę. Mama krzyczałaby na niego i czekałby ich wieczór przepełniony awanturami. Karolina doskonale o tym wiedziała, dlatego postanowiła zrobić kanapki. W chlebaku została tylko resztką pieczywa. Zagryzła palce. Tak, żeby bolało, ale nie został żaden ślad. Była zła na siebie. Przecież poszła dzisiaj do sklepu. Mogła dokupić chleba. Zapomniała. Pomyślała, że może dać tacie kanapki przygotowane dla mamy, ale już się zeschły. Zamiast tego nasypała do miseczki płatków, zalała to wszystko mlekiem i zaniósła mu z bijącym sercem. Tata spojrzał najpierw na płatki, potem na córkę i skrzywił się.

– Mama znowu nie zrobiła zakupów? – powiedział.

– Nie. To ja. Mama mnie prosiła, ale zapomniałam.

Wziął od niej miskę i zaczął jeść. Dziewczyna stała przy nim chwilę, czekając, czy coś jeszcze powie, jednak ojciec milczał. Nie wiedziała, czy to dlatego, że złości się na nią za kłamstwo, czy dlatego, że myśli o swoich interesach, które robił nie wiadomo z kim i nie wiadomo gdzie. Postanowiła schować się w swoim pokoju i posłuchać muzyki z nadzieją, że udało się zażegnać kryzys, kiedy do salonu wparowała mama. Zdążyła się przebrać, rozpuścić włosy i zmyć makijaż. Zamiast eleganckiego kostiumu miała teraz na sobie stary, wyciągnięty T-shirt i lekko pobrudzony dres, zazwyczaj noszony podczas sprzątania piwnicy.

– Powiedz jej! – zażądała stanowczo.

Ojciec powoli odłożył miskę. Na jego twarzy malowało się śmiertelne zmęczenie i zniechęcenie.

– To nie jest rozmowa na teraz – stwierdził.

– Miałeś odwagę powiedzieć to w szkole, przy moich pracownikach, miej odwagę powtórzyć to przy własnej córce.

– Karolinko, idź do siebie do pokoju.

Zadrzała. Ojciec zdrabniał jej imię tylko wtedy, kiedy robiło się naprawdę nieprzyjemnie.

– Karolina, zostań.

– Może coś obejrzymy? – rzuciła rozpaczliwie, próbując powstrzymać nieuniknione. – Koleżanki mówiły, że na HBO GO jest fajny film.

– Powiedz jej, Michał – naciskała matka.

– To naprawdę nie jest dobry pomysł.

– Powiedz!

– Nawet nie wiem, co miałbym powiedzieć.

– Powiedz, że jestem idiotką, która nie potrafi dodać dwa do dwóch. No! Powiedz swojej córce, że jej matka, a twoja żona jest idiotką. Żądam tego od ciebie! – Mocny głos mamy niósł się po całym salonie. Karolina czuła, że jej ciało zrywa się do ucieczki, chociaż nogi są jak dwa betonowe słupy.

Ojciec podniósł się z fotela. Powoli pomasował sobie kark, mrużąc przy tym oczy jak kot. Podszedł do córki. Delikatnie ujął ją za podbródek i pogłaskał kciukiem po policzku.

– Twoja matka jest idiotką – powiedział. – I to nie tylko dlatego, że nie rozumie, że jak wpływy nie równoważą wydatków, to trzeba ciąć, kurwa, wydatki, a nie wydawać więcej. Ale ty to rozumiesz, kochanie? Prawda?

Coś ścisnęło mocno jej serce, a do oczu napłynęły łzy. Całą sobą walczyła o to, żeby się nie rozplakać. Wiedziała, jakiej odpowiedzi oczekuje ojciec. Wiedziała też, że odpowiadając tak, jak on chce, złamie mamie serce. Była w potrzasku, każdy ruch tylko bardziej ją pogrążał. Kiedyś to wyglądało inaczej. Kiedyś naprawdę się kochali. Chciała, żeby to wróciło. Żeby znowu stali się szczęśliwą rodziną. Zrobiłaby wszystko, żeby to osiągnąć. Nie wiedziała tylko, co to mogłoby być.

Ojciec patrzył na nią wyczekująco. Mama także.

– Nie wiem – wyjąkała wreszcie Karolina. – Chyba jeszcze tego nie przerabialiśmy.

Ojciec wypuścił z syknieniem powietrze z płuc.

– To twoja córka – warknął do mamy. – Twoja, kurwa, córka.

Potem chwycił Karolinę za ramiona tak mocno, że dziewczyna aż pisnęła ze strachu. Mama zrobiła krok w ich kierunku, jakby chciała go powstrzymać albo odgonić, ale nagle się zatrzymała. Może uważała, że on nie robi dziecku krzywdy, może ze strachu. Przyglądała im się jednak z chorą fascynacją. Jakby jakaś jej część chciała, żeby sytuacja się pogorszyła, eskalowała, żeby przekroczyli w trójkę tę ostatnią granicę i powędrowali wspólnie na samo dno.

– Nie bądź jak mama – powiedział. – Nie bądź jak mama, Karolinko, bo skończysz jak ona. Będziesz wisieć na kieszeni bogatego frajera, który nie

zostawi cię tylko wtedy, jeśli wcześniej wrobisz go w dzieciaka.

– Tak! – rzuciła szyderczo mama. – Nie pochlebiaj sobie! Zostaw mnie, jeśli chcesz! Zostaw nas! Świetnie sobie poradzimy! Ciekawe, czy jakaś inna cię zechce! Jestem pewna, że żadna!

Ojciec odwrócił się w jej stronę. Przez długie sekundy miętolił słowa w ustach, a wreszcie tylko zaśmiał się krótko i gardłowo.

– Idę coś zjeść – stwierdził. – Bo oczywiście tak byłaś zajęta wydawaniem moich pieniędzy, że zapomniałaś kupić chleb.

– Naszych pieniędzy! – krzyknęła mama. – To są nasze pieniądze!

Ale ojciec już nie słuchał. Porwał marynarkę i wyszedł z domu.

Mama wpatrywała się tylko w przestrzeń, gdzie ojciec stał jeszcze przed chwilą. Jakby ciągle go tam widziała. Jakby się zastanawiała, co jeszcze może mu powiedzieć. Jakby dla niej ta kłótnia wcale się nie skończyła.

– Myślisz, że ma kogoś? – zapytała głuchym głosem.

Karolina otworzyła szeroko oczy i zaprzeczyła energicznym ruchem głowy.

– Nie! Na pewno nie! Nie tato! Nie!

– Pewnie dlatego jest, jaki jest – ciągnęła mama, jakby nie słyszała córki. – Mężczyźni tacy są, Karolina. Znajdują sobie nowe i wierzą w każde ich słowo. W każde ich kłamstwo. Inne kobiety to żmije. Pamiętaj o tym.

– Tato by tego nie zrobił.

Mama uśmiechnęła się lekko w odpowiedzi. Podeszła do córki. Przytuliła ją mocno. Ciągle pachniała perfumami.

– Będziesz ze mną dzisiaj spała?

– Oczywiście, mamó.

– Bo nie chcę spać sama.

– Dobrze, mamó.

– Weźmiemy sobie lody. Włączymy ten film, o którym mówiłaś. Zrobimy sobie babski wieczorek.

– Tak, mamó.

– Kocham cię, córeczko.

– Kocham cię, mamó.

Mama pocałowała Karolinę w czubek głowy i jeszcze mocniej ścisnęła. Jakby chciała całą ją w sobie zmieścić.

7

Ela odebrała esemesa. Przeczytała jego treść i odłożyła telefon do torebki.

W salonie Bartek grał na konsoli w jakąś grę. Nie wiedziała w jaką. Było tam dużo skakania i jeszcze więcej strzelania. Nie żeby to stanowiło jakikolwiek wyróżnik. Kiedyś próbowała udawać, że choć trochę ją to interesuje. Od pewnego czasu przestała.

– Boli mnie głowa. Jadę do apteki – powiedziała.

O dziwo, zastopował grę. Co oznaczało, że nie grał on-line. Podejrzewała, że nie przerwałby partii multiplayera nawet wtedy, gdyby dwóch facetów właśnie gwałciło ją na kuchennym stole. Nie, uznała, to niesprawiedliwe. Wtedy pewnie by coś zrobił. Ale dla głupiego bólu głowy – nigdy.

– O tej porze? – zapytał.

Zegarek nad telewizorem wskazywał okolicę dziesiątej.

– Znajdę coś otwartego.

– Nie mamy już ibupromu?

– Strasznie mnie boli. Potrzebuję czegoś mocniejszego, bo nie zasnę. A jutro otwieram szkołę. Muszę być przed siódmą.

– To ja pojedę – powiedział, unosząc swoje cielsko z fotela.

Cielsko to dobre słowo, pomyślała. Kiedyś był niemal szczupły. Od kiedy wzięli ślub, utył ponad dwadzieścia kilo. Zaczął palić, co niby nie powinno jej przeszkadzać, bo ona też popalała, ale przeszkadzało. Zapuścił się i śmierdział. Ale pewnie to wszystko nie miałyby znaczenia, gdyby zwracał na nią choć trochę więcej uwagi niż na kolejną grę wideo.

– Nie trzeba.

Znowu chwycił za pada i wrócił do gry. Ela przez chwilę stała w progu w nikłej nadziei, że jednak zmieni zdanie, ale nic takiego się nie stało. Wolał zabijać wirtualnych przeciwników. W sumie to nawet lepiej. Porwała kluczyki do samochodu i wyszła z domu.

Pojechała do centrum handlowego Ursynów przy Puławskiej, gdzie

znajdował się Auchan, Obi, dwa sklepy sportowe i market z elektroniką, a pomiędzy tym wszystkim ogromny parking. Zajeżdżała niemal na jego koniec, w okolicy płotu i zatrzymała się obok ciemnego mercedesa. Wyszła ze swojego auta i wsiadła do merca.

– Dzięki, że przyjechałaś – powiedział Michał.

– Po prostu ściągnij spodnie – rzuciła, bo nie miała czasu ani ochoty na pogawędkę, a poza tym już widziała jego erekcję, co ją tak podnieciło, że w gardle zrobiło jej się zupełnie sucho, a tam na dole bardzo wilgotno.

Wyjął penisa. Był wielki, nabrzmiały. Pomyślała, że to jest najlepszy dowód na dyskryminację. Szybki seks na parkingu. On musi tylko zsunąć odrobinę gacie, ona wygina się na różne strony, mocując się z butami, spodniami, a wreszcie majtkami, raz po raz uderzając głową o dach, a łokciem o boczne okno. Obserwował ją z uśmiechem, równocześnie się masturbując.

– Przesuń siedzenie – poleciała.

Zrobił to, co kazała, i wtedy na niego wsiadła. Wsunął się w nią błyskawicznie, bez żadnego problemu. Jęknęła, a potem zagryzła dolną wargę, żeby nie krzyknąć. Ujeżdżała go. Najpierw powoli. Po chwili coraz szybciej, uderzając przy tym boleśnie plecami o kierownicę.

– O tak... O tak... – jęczał Michał. – Pokaż mi, pokaż... – Nie dokończył zdania.

Poczuła jego dłonie na swoich nagich pośladkach. A potem to, jak próbuje się przebić przez warstwy odzieży, żeby dotrzeć do jej piersi. Kiedy mu się udało, odchylił stanik i chwycił sutki pomiędzy dwa palce. Trochę za mocno, ale już o to nie dbała. Poruszyła miednicą jeszcze kilka razy i wtedy poczuła, jak eksploduje w środku. Jego penis pęczniał i pulsował. Jeszcze przez chwilę go ujeżdżała, czekając, aż zwiotczeje. Dopiero wtedy się z niego zsunęła i opadła na siedzenie pasażera.

– Ale to, kurwa, było dobre – powiedział Michał.

– Aha – potwierdziła.

Krople potu spływały jej wzdłuż kręgosłupa. Serce biło jak oszalałe. Pomiedzy nogami czuła wypływającą z niej spermę i pomyślała, że Michał, zanim wróci do swojej upiornej żony, będzie musiał wyczyścić tapicerkę. Rozbawiło ją to. Otworzyła oczy i wtedy krzyknęła.

– Co jest?! – Michał poderwał się błyskawicznie.

– Przed nami.

Kilka metrów przed samochodem ktoś stał. Nie wiadomo, czy mężczyzna, czy kobieta. Niewątpliwie jednak wpatrywał się w nich.

– Kto to jest? – zapytał Michał.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć?

– Wpierdolić mu?

– Po prostu jedź.

Michał odpalił silnik i światła reflektorów omiotły człowieka przed nimi. Wysoki mężczyzna w długim płaszczu, sięgającym do kostek, zasłonił ręką oczy, by nie raziły go lampy. Mercedes ruszył ostro do przodu. Michał przejechał tuż obok, tak że tamten musiał uskoczyć. Potem coś za nimi krzyczał, pewnie przekleństwa.

Wyjechali z parkingu na ulicę Płaskowickiej i pojechali w stronę Ursynowa.

– Myślisz, że nas podglądał? – Ela spojrzała nerwowo na Michała.

– Wyglądał na takiego, który walił sobie konia pod płaszczem – powiedział, zwalniając przed rondem i podciągając spodnie.

– Ale to nie był nikt znajomy?

– Raczej nie.

– Zboczeniec – mruknęła.

Michał przez chwilę prowadził w milczeniu, a potem zaśmiał się głośno. Spojrzała na niego zaskoczona.

– Mam nadzieję, że się przynajmniej dobrze bawił.

Nie skomentowała tego. Zaczęła się ubierać. Okazało się to równie trudne jak rozbieranie. Teraz, kiedy całe seksualne podniecenie minęło, bała się, że któryś z nielicznych przechodniów zobaczy jej goły tyłek w szybie mercedesa. A sytuacja z nieznanym na parkingu wyprowadziła ją z równowagi. Tyle po świecie łąziło świrów. Takich jak Gniewomir.

– Mieliśmy się dzisiaj nie spotykać – zauważyła, kiedy wreszcie uporała się ze spodniami.

– Wiem. Ale znowu pokłóciłem się z Zofią.

– I musiałeś sobie ulżyć.

– Tego nie powiedziałem – mruknął, zaciskając dłonie na kierownicy.

Ela oparła się o boczną szybę. Odetchnęła głęboko i poprawiła włosy.

– Spoko – odezwała się. – Ja też miałam dzisiaj kiepski dzień. Dobrze jest czasem upuścić trochę pary.

„Upuścić trochę pary” – co za idiotyczne wyrażenie. Dlaczego to powiedziała? Zachowywała się tak, jakby próbowała mu się przypodobać. W refleksach ulicznych latarni dojrzała, że lekko się uśmiecha. Zdenerwowało ją to, ale nie chciała robić mu żadnej awantury. Nie łączyła ich żadna wielka miłość, żaden wielki związek. Nie namawiała go do odejścia od żony. Zresztą nawet tego nie chciała. Nie wytrzymałaby z nim na dłuższą metę. Potrzebowała po prostu kogoś, kto ją przeleci. A on był tuż obok i co najważniejsze – pragnął jej. Nawet nie odczuwała wstydu ze względu na to, co zrobiła. Jej mąż wołał gry komputerowe. Kończył grać w środku nocy, zazwyczaj po kilku piwach. Mył się lub nie i walił się do łóżka tylko po to, żeby w nim chrapać. Na dobrą sprawę nic ich nie łączyło. Nie mieli dzieci. Nikogo nie krzywdziła.

– Co się stało? – zapytał Michał, a ona wiedziała, że robi to z czystej uprzejmości. Jak nisko upadła, że nawet to nieszczerze zainteresowanie sprawiło jej przyjemność.

– Musicie coś zrobić z Gniewomirem – powiedziała.

– Dał ci kolejny rysunek? – domyślił się.

– Tak.

Michał postukał palcami w kierownicę.

– To nie takie proste. Poza tym wiesz, to młody chłopak. Targają nim te wszystkie hormony, emocje. Nie wie, jak je wyrazić. Pamiętam, co ja robiłem w jego wieku. Masturbowałem się w każdym możliwym momencie. Kiedyś nawet na lekcji. Była taka jedna nauczycielka, ładna jak ty, i zwałem sobie, kiedy prowadziła zajęcia. Cały czas na nią patrzyłem. Do teraz zastanawiam się, czy wiedziała, co robię.

Jej policzki poczerwieniały, czego nie mógł dostrzec, ale błyski oburzenia w oczach już na pewno.

– I to ma mnie pocieszyć?! Niby jak?!

– Mówię tylko, że chłopcy w tym wieku...

– Gniewomir jest świrem! – zawołała. – Wiesz, czym się interesuje?!

Michał lekko zwolnił, kiedy wjeżdżali na kolejne rondo, i przycisnął gaz do dechy, kiedy z niego wyjeżdżali. Przyspieszenie mercedesa wbiło ją w fotel.

– Czym? – zapytał.

– Seryjnymi zabójcami. Jakimiś masakrami. Morderstwami. Ma tego cały zeszyt. Co najmniej jeden, widziałam. Kiedyś przeglądał go na przerwie. Wkleja tam wycinki, zdjęcia, robi jakieś notatki. No okropieństwo. Nie w mówisz mi, że to jest normalne! Bo nie jest.

– Nie jest – przyznał.

– To zróbcie coś z nim.

Michał zacisnął zęby.

– Już niedługo. Jeszcze pół roku.

– Chcecie go wypuścić ze szkoły? Przecież on się nie nadaje. Ledwo czyta. Na poziomie trzeciej klasy. Z innych przedmiotów nie jest lepiej.

– To czego ty właściwie chcesz?! – zapytał ostrym tonem Michał. – Mamy go wypchnąć z tej szkoły czy zostawić na kolejny rok?!

Machnęła tylko ręką. Patrzyła na światła w oknach mijanych bloków. Jedyne gwiazdy na warszawskim niebie.

– Będzie z tego nieszczęście – odezwała się po minucie. – Zobacysz.

– Nie. Będzie dobrze – odpowiedział mechanicznie, ale w jego głosie brakowało tej pewności siebie, która zazwyczaj go cechowała. – Odwieźć cię do domu?

– Zostawiłam samochód na tamtym parkingu – przypomniała mu.

– Słusznie.

Wrócili pod centrum handlowe. Michał najpierw objechał parking, wypatrując tajemniczego mężczyzny, jednak facet w płaszczu musiał już sobie pójść. Dopiero kiedy się o tym upewnił, zaparkował. Ale i tak odprowadził Elę do samochodu. Ten wyraz troski sprawił, że jej złość na niego nagle wyparowała.

– Spotkamy się jeszcze? – zapytał i oboje wiedzieli, że chodzi mu o seks. W budynku szkoły widzieli się przecież niemal codziennie.

– Nie wiem – odpowiedziała, chociaż wiedziała, że kłamie. Spotkają się. W wynajętym pokoju hotelowym. W lesie gdzieś pod Warszawą. Na parkingu

pod sklepem. Albo nawet, jak to już się zdarzyło dwa razy, w tej szkolnej ubikacji, gdzie po kryjomu paliła. Wziął ją tam od tyłu, ona opierała się o spłuczkę i drżała na myśl, że ktoś wejdzie i ich nakryje. Ale równocześnie tak ją to podniecało, że miała jeden z najbardziej intensywnych orgazmów w życiu.

Uśmiechnął się i na pożegnanie pocałował ją w policzek. A potem rozjechali się. Każde do swoich domów, problemów i żyć.

PRZERWA

Czasami Klementyna nie wiedziała, czy śpi czy nie. Leżała wtedy w łóżku. Była pewna, że ma otwarte oczy. Słyszała szum samochodów za oknem, telewizor za ścianą u sąsiadów nastawiony nieustannie na TVN24, a jej wzrok prześlizgiwał się po dobrze znanych nierównościach sufitu. I tylko rytmiczne stukanie zegara uśmiercało kolejne sekundy.

A jednak obrazy nadchodziły, a razem z nimi kłębowisko myśli i emocji. Była u siebie. Była starą kobietą, której niedawno zmarła matka. Samotną i nieszczęśliwą. Krótkie chwile wytchnienia dawały jej jedynie wypalone na balkonie papierosy. Jeśli tylko będzie miała szczęście, szybko ją zabiją. To zabawne, że możesz dojść do miejsca w życiu, kiedy rak będzie najlepszą rzeczą, jaka ci się przydarzy.

A równocześnie była tą małą dziewczynką, skuloną we własnym łóżeczku. Złą na siebie, bo przekonaną, że wszystko, co ją spotyka, cały ten ból, całe to zło jest tylko i wyłącznie jej winą. Mama przecież powtarzała, raz po raz, tak często, że te słowa były jak wytatuowane w jej pamięci, że gdyby tylko Klementyna się postarała, gdyby tylko zrobiła to, o co ją poprosiła, to mama nie musiałaby jej karać. I Klementyna się starała. Ale zawsze jej coś nie wychodziło. Nie sprzątała dość dokładnie. Nawet jeśli była pewna, że wszystkie swoje zabawki wrzuciła do pudełka, a książki odłożyła na półkę, to i tak zawsze zawieruszył się gdzieś jakiś klocek. Za wolno wykonywała polecenia. Za długo jadła. Za bardzo płakała, chociaż ze wszystkich sił starała się zmusić swoje oczy, żeby przestały wyrzucać łzy. Nie odpowiadała. Nie słyszała. Nie potrafiła czegoś zrobić, co zrobić według mamy powinna.

Zawsze było coś nie tak. Zawsze to była jej wina.

Leżała w swoim łóżku. Stara kobieta, która już wszystko przeżyła i wszystko straciła. Szum za oknem. Telewizor za ścianą. Śpi, ale nie śpi. Gdzieś na skraju pola widzenia pojawiła się mroczna sylwetka. Straszna, zimna i ukochana. Mama. W dłoni trzyma pasek. Sprzączka lśniła w bladym blasku ulicznych świateł.

Klementyna wiedziała, że znowu się nie udało. Że wszystkie starania były na nic. I wiedziała, co ją teraz czeka.

Zaczynała płakać, chlipać, wtulając twarz w poduszkę. Żeby mama nie

usłyszała, jak ona płacze, bo wtedy było tylko gorzej. Łzy rozsierdzały mamę. Kazała jej przestać, Klementyna nie potrafiła, więc mama biła mocniej.

I tak leżała w tym swoim mieszkaniu, stara kobieta dręczona koszmarami. Płakała cichutko tak długo, aż naprawdę zasypiała.

LEKCJA DRUGA

1

Dyrektorka przywitała Klementynę tak serdecznie, jakby były najlepszymi przyjaciółkami. Uściskała jej ręce i zaprosiła do gabinetu. Zaproponowała czekoladki, kawę lub herbatę. Klementyna poczęstowała się czekoladkami (belgijskimi, jak podkreślała wielokrotnie dyrektorka), za kawę i herbatę podziękowała. Piła już w domu. Bała się, że jeśli wypije kolejną, będzie musiała iść siku. Dyrektorka wzięła ją pod rękę i oprowadziła po szkole. Po kolei wchodziła do klas, przerywając w połowie zajęcia.

– Pani się nie przejmuj, pani Kasiu, pani Iwono, pani Luizo – mówiła raz za razem – to tylko nasza nowa koleżanka, pani Klementyna. Pani Klementyna będzie uczyć matematyki. Pokazuję jej właśnie szkołę. To jest sala biologiczna, geograficzna, chemiczna. Proszę zwrócić uwagę, pani Klementyno, na te pomoce, te mapy, ten sprzęt do eksperymentów...

Klementyna czuła na sobie wzrok innych nauczycieli i zaciekawione spojrzenia dzieciaków. Miała wrażenie, że zaraz spali się ze wstydu. A dyrektorka ciągle mówiła. Nieustannie. Wyrzucała z siebie potok słów, jak katarynka.

– Zawsze o tym marzyłam, pani Klementyno. O własnej szkole. Nawet jako mała dziewczynka, kiedy inne bawiły się w dom, w sklep, w szpital, ja bawiłam się... Pani wie w co?

– W szkołę?

– Właśnie tak, pani Klementyno. W szkołę. Ustawiałam swoje pluszaki i lalki, przygotowywałam im ławki i prowadziłam lekcję. Uczyłam je pisać, czytać, liczyć. Zadawałam prace domowe. Ale zawsze najwięcej przyjemności sprawiało mi organizowanie tej całej zabawy. Ustawianie krzesełek, wyposażanie klasy. Wymyślanie rozkładu zajęć. Uzupełnianie dziennika. Pewnie wydaje się to pani dziwne, prawda?

– Nie.

– A może i byłam trochę dziwna. Ale co w tym złego, prawda?

– Tak.

– Zawsze chciałam mieć własną szkołę.

Dyrektorka przystanąła na korytarzu. Rozejrzała się, jakby znalazła się na nim po raz pierwszy w życiu, i uśmiechnęła się szeroko.

– Czasami marzenia się spełniają – powiedziała i poklepała Klementynę po dłoni.

Nie rozumiała, co miał oznaczać ten gest. Dyrektorka chciała ją pocieszyć? Dodać otuchy? A może to tylko bezmyślny wyraz samozadowolenia i poczucia wyższości? Bez względu na intencje Klementynie wydał się on bardzo nieprzyjemny.

– Pani wie, co tu się znajdowało przed wojną? – zapytała dyrektorka.

Klementyna pokręciła przecząco głową.

– Szkoła! – odparła tak zadowolona, jakby udał się jej najlepszy kawał. – Prywatna szkoła. Jedna z pierwszych w Warszawie po odzyskaniu niepodległości. Założona przez stowarzyszenie oficerów Wojska Polskiego, którzy posyłali tutaj swoje dzieci. Wtedy to była elita. Absolutna elita. Ich dzieci także. Ale szkoła pełniła również funkcje społeczne. Niech pani sobie nie myśli. Ci ludzie, przedwojenni oficerowie, oni mieli poczucie honoru. Mieli poczucie odpowiedzialności za ojczyznę. Komuniści to wszystko zniszczyli. Pani wie?

– Tak – odpowiedziała cicho Klementyna i natychmiast pomyślała o ojcu.

– W szkole uczyły się już wtedy dzieci rodziców niezwiązanych z wojskiem. Te szczególnie zdolne mogły liczyć na stypendium, obniżone czesne. Czasami w ogóle z niego rezygnowano, jeśli rodzina znajdowała się w trudnym położeniu. Pani wie, czasy wtedy były ciężkie. Ale i ludzie twardsi.

– Faktycznie. – Klementyna nauczyła się już, że dyrektorka oczekuje do niej tego, by od czasu do czasu jej przytakiwała.

– Budynek przetrwał wojnę – kontynuowała kobieta – ale komuniści, jak to oni, nie pomyśleli. A może tak nienawidzili przedwojennych oficerów, że nie wystarczyło im rozstrzelanie ich wszystkich w Katyniu i chcieli jeszcze zetrzeć z powierzchni ziemi każdy ślad ich działalności dla dobra narodu.

– Nie znam się aż tak dobrze na historii.

– W każdym razie budynek szkoły został przekształcony w blok mieszkalny. Klasy zmieniono na mieszkania ze wspólnymi toaletami. Inna sprawa, że

faktycznie sytuacja mieszkaniowa w Warszawie była trudna, bardzo trudna. No ale to była szkoła! Prawdziwa szkoła! Nawet trochę wyposażenia przetrwało wojenną pożogę!

Dyrektorka machnęła ręką. Opowiadając o wydarzeniach sprzed ponad siedemdziesięciu lat, zerknęła na Klementynę w taki sposób, jakby oczekiwała, że ta będzie równie oburzona jak ona. Kiedy tego oburzenia nie dostrzegła, na jej twarzy mignął grymas rozczarowania. Szybko go co prawda zamaskowała, jednak przestała trzymać Klementynę pod rękę i poszła dalej, nie oglądając się nawet na nową nauczycielkę.

– Udało nam się odzyskać gmach – ciągnęła. – Wymagało to od nas wiele wysiłku. Naprawdę. Ale nie chcę tutaj pani zanudzać prawnymi szczegółami. Postanowiliśmy z mężem przywrócić temu budynkowi pierwotną funkcję. Funkcję edukacyjną. Żeby to osiągnąć, musieliśmy wykonać gigantyczną pracę. Bo, proszę mi wierzyć, kilka lat temu, kiedy dopiero zaczynaliśmy, nie rozpoznaliby pani tego miejsca. Tytaniczna robota. A teraz, kiedy spacerujemy tak tymi korytarzami, to wie pani, co myślę?

– Co takiego?

– Że było warto. Bo widzi pani, głęboko wierzę, że praca nauczyciela jest jedną z najważniejszych, jeśli nie najważniejszych prac w tym kraju. Bo nasi nauczyciele, nauczyciele tacy jak pani, kształtują tych młodych ludzi. A przez to kształtują przyszłość naszego kraju. Moim zadaniem jest im w tym pomóc. Stworzyć najlepsze warunki do pracy. Dopilnować, żeby ten cały proces sprawiał przyjemność i wam, i waszym uczniom.

– To bardzo miłe – powiedziała Klementyna. – Dziękuję.

– Oczywiście zdarzają się krytycy. Naszej szkoły, ale także całego sektora szkolnictwa prywatnego. Że wyjmujemy ze szkół państwowych najlepsze dzieci. Że tworzymy jakieś tam zamknięte enklawy. Że uniemożliwiamy społeczną integrację dzieci. Zamykamy ich w złotej klatce. A pani wie, co my naprawdę robimy?

Klementyna pokręciła przecząco głową.

– Stwarzamy szansę. Pokazujemy kierunek. Eksperymentujemy. Wywieramy presję. Wszędzie na świecie najlepsze szkoły są i będą prywatne. W Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanii. Dlatego że prywatne placówki są

dynamiczne. Potrafią się zmieniać. Rozmawiają z rodzicami. Jesteśmy w awangardzie!

– Tak, rozumiem.

– Kształtujemy przyszłą elitę i ta elita ma prawo do odpowiednich warunków nauczania. Pani się ze mną zgadza?

– Tak.

– Sama pani widzi. Poza tym na naszej działalności zyskują też szkoły państwowe. Mogą u nas podpatrywać pewne programy, rozwiązania. Wdrażać je u siebie. Działalność szkół prywatnych to korzyść dla wszystkich.

Powoli szły z powrotem do gabinetu. Zabrział dzwonek. Dzieciaki wybiegły z krzykiem na szkolny korytarz. Dyrektorka poczekała, aż minie pierwszy, największy harmider.

– Co oczywiście nie oznacza, że nie mamy problemów – powiedziała po chwili. – Bo mamy. Największy z salą gimnastyczną. Jedna jest na strychu, druga w piwnicy, obie są za małe. Cały czas kombinujemy z mężem, co można zrobić. Najlepiej byłoby wybudować nową, na to jednak potrzebne są pieniądze i miejsce. Trzeba by wydzierżawić sąsiednią posesję. Prowadzimy rozmowy na ten temat z miastem, ale... – Przerwała nagle, żeby uśmiechnąć się szeroko, nieszczercze. – To nie jest problem, którym powinnam zawracać pani głowę. Bardzo się cieszę, powtórzę to, bardzo się cieszę, że dołączy pani do naszego zespołu. Teraz zapraszam do sekretariatu. Czeka tam umowa dla pani i wszystkie inne niezbędne dokumenty.

Delikatnie, choć stanowczo pchnęła Klementynę w odpowiednim kierunku. Za drzwiami, oprócz sekretarek, spotkały Elę. Na jej widok dyrektorka poczerwieniała lekko. Wycelowała palec w polonistkę i syknęła:

– Nie mam teraz czasu z panią rozmawiać.

A potem bez pożegnania ani słowa wyjaśnienia schowała się w swoim gabinecie. Ela przewróciła tylko oczami. Potem stanęła tak, żeby nie widziały jej sekretarki, i podniosła do ust dwa palce w geście imitującym palenie papierosów. Spojrzała pytająco na Klementynę. Ta po chwili wahania kiwnęła głową.

2

Michał wszedł do Cafe Mozaika, jednej z knajp na Mokotowie, niedaleko ich szkoły. Wystrojem nawiązywała do peerelowskich klimatów. Bar pokryty boazerią, kryształowe żyrandole, palmy z trudem mieszczące się w ogromnych donicach. Tylko że w peerelowskich knajpach nie widywało się młodych facetów z koczkiem na głowie, macbookiem na blacie i smartfonem nieustająco brzęczącym w kieszeni.

Michał wziął z baru kartę i usiadł przy stoliku w rogu lokalu, z dala od tych wszystkich absurdalnie młodych i absurdalnie przystojnych facetów, którzy robili tutaj nie wiadomo co, zamiast przykładowie zapierdalać w jakiejś korporacji. Nie wiedział, dlaczego ich widok tak go drażni. Może dlatego, że im wszystko przychodziło z taką łatwością. On w ich wieku harował na wszystkich możliwych frontach. A do roboty zawsze chodził w garniturze i pod krawatem. Wyglądał zresztą jak luj, bo to były kiepskie garnitury z marnej sieciówki. Nie pamiętał już nawet jakiej. Źle dopasowane. Zwisały z niego jak z wieszaka. Golił się prawie codziennie, raz na miesiąc chodził do fryzjera i co rano przyskał tanimi dezodorantami, bo na droższe nie miał pieniędzy. Rzecz w tym, pomyślał, że za jego czasów, by pozwolić sobie na brodę i długie włosy, człowiek musiał co najmniej grać w zespole rockowym. A na ten idiotyczny koczek nie pozwoliłby sobie nikt.

Podeszła do niego kelnerka. Poprosił tylko o herbatę. Cierpliwie czekał, spoglądając co pewien czas w stronę drzwi. Obserwował tych młodych facetów naprzeciwko. Do trzech przysiadły się dziewczyny w ich wieku. Wszystkie szczupłe, ładne i wytatuowane. Tej mody też nie rozumiał. Dużo się śmiały i przewracały oczami. Michał westchnął. Po prostu im zazdrościł. Młodości, swobody i możliwości. On miał tylko prywatną szkołę, która sprawiała coraz więcej problemów. Żonę, z którą nieustannie się kłócił. I kochankę, którą musiał pierdolić na parkingu, a jakiś zbok podglądał ich, waląc konia. Michał mimowolnie uśmiechnął się na to wspomnienie. Pomyślał, że jeśli dzisiejsze spotkanie skończy się sukcesem, to będzie bliżej rozwiązania przynajmniej jednego problemu.

Wreszcie wyczekiwany przez niego człowiek pojawił się w drzwiach. Andrzej Babiarez. Facet miał ponad sześćdziesiąt lat i idealnie pasował do tego miejsca. Wyglądał jak trochę lepsza kopia porucznika Borewicza. Wysoki, postawny, pomimo swojego wieku ciągle dobrze zbudowany i poruszający się sprężystym, pełnym energii krokiem. Włosy miał co prawda już siwe, ale gęste i krótko obcięte.

Michał wygooglał, a potem zebrał jeszcze sporo informacji na jego temat. Szukał czegokolwiek, co by mu dało przewagę negocjacyjną. Niczego nie znalazł. Facet działał w opozycji demokratycznej w poprzednim ustroju. Siedział. Ukrywał się. Znowu siedział. Skończył tylko historię, jak oni wszyscy chyba. Ale po przemianach to wystarczyło, żeby wskoczyć na karuzelę stanowisk w sektorze rządowym oraz prywatnym i skończyć na ciepłej posadce jako dyrektor ważnego departamentu w jednym z największych banków w Polsce. Michała to wkurzało. Komuna upadła w tym kraju prawie trzydzieści lat temu, a wciąż najważniejsze kryterium do zajmowania wysoko płatnych stanowisk to nie kompetencje, tylko to, po której stronie stało się przed przełomem i z kim było się blisko. Czasami miał wrażenie, że Polska nigdy nie wydobędzie się z tego bagna. Kiedyś czytał, że w Korei Południowej do dzisiaj sobie wypominają, czyj pradziadek czy prapradziadek wysługiwał się Japończykom albo czyja praciotka dawała japońskim żołnierzom w obwoźnych burdelach. Jeśli u nich tak to wyglądało, pomimo tylu lat i wspólnie robionego mundialu, to dlaczego nad Wisłą miałyby być inaczej?

Babiarez się nie spieszył. Najpierw długo rozmawiał z szatniarką, kobietą w mniej więcej jego wieku. Potem przywitał się z kelnerką. Wymienił z nią kilka słów. Dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Dopiero wtedy mężczyzna dostrzegł Michała i ruszył w kierunku jego stolika. Przywitali się uściskiem ręki. Babiarez ściągnął krawat i schował do kieszeni, a potem zdjął marynarkę i przewiesił przez oparcie krzesła. Rozpiął kołnierzyk i Michał zobaczył kilka siwych włosów na klatce piersiowej mężczyzny. Pomyślał, że to obrzydliwe i że brakuje mu tylko wytatuowanej syrenki na przedramieniu.

Babiarez sięgnął po menu. Wtedy rozdzwonił się jego telefon. Wyjął, sprawdził, kto dzwoni, i mruknął coś niezrozumiałego pod nosem.

– Muszę odebrać – powiedział. – Wybierz mi coś, dobra?

Wyszedł z knajpy. Michał przywołał kelnerkę. Zamówił dwa łososie z czarną

soczewicą, bobem i fasolką szparagową. Potem czekał, niecierpliwie spoglądając na zegarek i patrząc, jak po drugiej stronie szyby jego towarzysz krąży po chodniku wte i wewte niczym więzień na spacerunku z telefonem przy uchu i co chwila energicznie gestykuje. Wrócił dopiero po dwudziestu minutach. Nawet nie przeprosił. Po prostu schował komórkę do kieszeni marynarki.

Kelnerka przyniosła im zamówione danie. Babiaryz skrzywił się wyraźnie. Wziął widelec i lekko podniósł łososa, jakby spodziewał się znaleźć pod nim płat mięsa.

– Coś nie tak? – zapytał Michał.

– Nie przepadam za łososem. A od tego – zatoczył widelcem krąg nad soczewicą, bobem i fasolką – mam wzdęcia. Sam zrozumiesz, jak to jest, kiedy będziesz w moim wieku.

– Możemy zamówić coś innego. – Michał podniósł się, żeby przywołać kelnerkę, ale Babiaryz go usadził.

– Szkoda czasu.

Zabrał się do jedzenia. Jak na człowieka, który niedawno narzekał na dobór dania, pałaszował szybko i z dużą przyjemnością.

– I co tam słyhać u szanownej małżonki? – zapytał pomiędzy jednym kęsem łososa a drugim.

– Wszystko w porządku – odpowiedział Michał. – Kręci się.

– No to cudnie, no to cudnie.

Babiaryz przerwał jedzenie, żeby zamówić białe wino.

– A jak nasza sprawa? – dodał, kiedy kelnerka przyniosła mu pełny kieliszek i upił już dwa łyki.

W końcu przechodzili do interesów.

– Zatrudniłsiemy tę kobietę. Wczoraj się zjawiła. Dzisiaj podpisujemy umowę.

– Za dobre pieniądze?

– Z tymi kwalifikacjami? Za bardzo godne.

Babiaryz nabił na widelec dwa kawałki fasolki, wymaczał je w śmietanie i szybko zjadł.

– Będę musiał zobaczyć umowę o pracę.

– Chcesz, żebym ci ją przyniósł?

– Oj. Wystarczy, że mejlem podeślesz.

– No raczej będzie trudno. GIODO, RODO i inne duperele. Przecież nie mogę pokazywać ot tak umów osobom trzecim.

Babiarz skończył jeść łososia i wytarł sobie usta serwetką. Nachylił się do Michała.

– A weź mi nie pierdol – powiedział. – Twój wniosek ciągle leży na moim biurku. Chcesz, żeby je opuścił? To idź do tej swojej szkoły, poproś panią sekretarkę, żeby pokazała ci takie urządzenie, które się nazywa skaner, na pewno jedno macie, zeskanuj tę umowę i mi ją, kurwa, wyślij. Proste.

Michał kiwnął głową. Nie było sensu kłócić się o taką drobnostkę i tracić czasu. Zaprotestował tylko z obowiązku.

– Będziesz to miał dzisiaj – zapewnił.

– Dzięki – mruknął Babiarz. – A z ciekawości, na co ci te pieniądze?

– Interes z nieruchomościami.

– Z nieruchomościami? Taki jak poprzednio?

– Mniej więcej.

Babiarz pokręcił głową.

– Wiesz, że to nie jest dobry pomysł? – zapytał. – Klimat się zmienił. To już nie idzie tak łatwo. A można łatwo się naciąć.

Michał nie chciał na ten temat rozmawiać. To jego decyzja i jego biznes. Ale Babiarz ciągle nie wypuścił wniosku o kredyt ze swoją pieczęcią i podpisem, więc nie mógł go zignorować.

– Mirek ma dojścia, kontakty i wie, jak to załatwić.

– Aha... Byli już tacy, którzy też tak mówili. Mają dojścia, mają kontakty, a teraz siedzą w areszcie i maglują ich prokuratorzy z Wrocławia.

– Spłacę ci ten twój kredyt.

Babiarz zaśmiał się lekko.

– Wiesz, mnie to wali. Po pierwsze, do emerytury niewiele mi już zostało. Nie zależy mi, a to pieniądze banku. Po drugie, mamy zabezpieczenie. Ale ty, Michał... – Zawiesił głos. – Możecie stracić szkołę. Możecie stracić dom. A może być też jeszcze gorzej. Po prostu się nad tym zastanów, okej?

Michał nie odpowiedział. Babiaryz jeszcze chwilę grzebał widelcem w swoim talerzu, przesuując soczewicę z jednej strony na drugą, ale już nic nie jadł. Dopił tylko wino.

– Wyświadczyłeś mi przysługę – powiedział, wstając od stolika. – Odwdzięczam się tak, jak ci to obiecałem, dobra? Myślę, że jutro, pojutrze możemy się umawiać na załatwianie ostatnich formalności.

Podali sobie ręce na pożegnanie. Babiaryz podszedł do baru. Porozmawiał chwilę z kelnerką. Wyjął telefon i zapłacił. Jak się okazało, za ich obu. Michał odebrał to jako pewną formę upokorzenia.

3

To było tak, jakby wróciła do liceum. Tylko że tym razem bez miesięczek. Ale poza tym było prawie tak samo. Ukradkowe wślizgnięcie się do toalety. Zamknięcie drzwi na zamek, otworzenie szeroko okna, machanie dłonią, żeby dym leciał na zewnątrz. Ela znowu poczęstowała ją papierosem. Paliki dość szybko, co pewien czas zerkając w stronę wejścia i zastygając, kiedy usłyszały jakikolwiek szmer na korytarzu. Wszystko to spowodowało, że Klementyna nagle zaczęła chichotać. Ela najpierw spojrzała na nią ze zdziwieniem, a potem też się roześmiała. Ta głupawka trwała blisko minutę. Kiedy się skończyła, obie kobiety musiały wytrzeć załzawione z wesołości oczy.

– I jak ci się u nas podoba? – zapytała Ela, kiedy już się uspokoiły.

– Chyba jest dobrze.

– Obyś tylko szybko nie zmieniła zdania.

– Co masz na myśli?

Ela, oparta o parapet, zamarła na kilka sekund z papierosem w ustach, a potem wypuściła dym kącikiem ust. Zachichotała po raz kolejny i zaraz spoważniała.

– Ta szkoła jest jak gówno zapakowane w ładne sreberko – odezwała się wreszcie. – Wybacz mi ten język i obrazowe porównanie, jednak nie potrafię teraz wymyślić niczego lepszego.

– Chyba nie rozumiem. Są jakieś problemy?

– Tu są same problemy! – powiedziała Ela. – Gdybym ci miała o nich wszystkich opowiedzieć, to musiałybyśmy tu siedzieć do białego rana. Ale na przykład nie zastanawiało cię, dlaczego szukają matematyczki w środku roku szkolnego?

– Bo poprzednia odeszła, tak?

– W pewnym sensie – mruknęła Ela, zgniatając papierosa na parapecie i zaraz sięgając po kolejnego. – Trochę nam to jednak zajmie – wyjaśniła zaskoczonej Klementynie, bo umawiały się tylko na jednego.

Odpaliła. Zaciągnęła się. Wypuściła cienką, intensywnie szarą smużkę z ust.

– Małgośka to dobra nauczycielka – odezwała się. – Uczniowie bardzo ją lubili. Ale w pewnym momencie stanęła przed wyborem. Albo złoży wymówienie, albo wyskoczy przez balkon na główkę. A mieszka na szóstym piętrze i ma dwójkę dzieci, więc wybór był dość oczywisty, prawda?

Klementyna lekko pobladła. Nawet nie ze względu na samą historię, tylko na sposób, w jaki Ela ją opowiadała. Jakby miała w zanadru jeszcze kilkanaście podobnych i tylko czekała na zachętę, żeby się nimi podzielić.

– Może to z powodu problemów osobistych?

Polonistka pokręciła przecząco głową.

– Dla ciebie dyrektorka jest miła – powiedziała. – Dla każdego na początku jest miła. Dla mnie też taka była, chociaż teraz udaje, że mnie nie zauważa. Ale poczekaj. Niech minie kilka tygodni i się zaczniesz. Ma nierealne oczekiwania. Nierealne wymagania. Zawali cię pracą. Przydzielili kolejne obowiązki. Każę wypełniać następne raporty, opisy, papiery, których nikt nigdy nie będzie czytać. A kiedy nie będziesz już dawać rady, to zaczniesz podważać twoje kompetencje zawodowe. Opowiadać, że się nie starasz. Że robisz krzywdę dzieciom. I tak dalej, i tak dalej. Sporo by się tego zebrało.

Przerwała na moment, jakby potrzebowała chwili na zastanowienie się. Klementyna zauważyła, że dłonie Eli zaczęły lekko drżeć. A razem z nimi papirus. W rezultacie popiół zamiast na zewnątrz spadł na podłogę łazienki. Klementyna zapamiętała sobie, że powinny to posprzątać przed wyjściem.

– Małgosia jako trzecia matematyczka odeszła w przeciągu ostatniego półtora roku – ciągnęła polonistka. – We wrześniu zaczynała z nami semestr Jola. Ona już tu pracowała dwa lata, ale wytrzymała tylko do listopada. Na jej miejsce szybko przyszła Karina. Konkretna babka, bo jeszcze mogła uczyć fizyki i pokończyła wszystkie możliwe kursy. Już po trzech tygodniach zaczęła się kłócić z dyrektorką. Nie pozwalała sobie wchodzić na głowę, a przed feriami stwierdziła, że to pierdoli, i do szkoły nie wróciła. Wtedy przyszła Małgosia i wytrzymała prawie rok. Co jest niesamowitym wynikiem, biorąc pod uwagę, że zwolnić się chciała już przed wakacjami. I nie myśl, że tak jest tylko z matematykami. Chemii uczy fizyczka, która nie ma do tego uprawnień, bo poprzednia nauczycielka rzuciła papierami trzy tygodnie temu i do tej pory nie udało się znaleźć zastępstwa. W związku z tym Gaja jest przeciążona pracą

i wygląda jak zombi. Ale pomimo tego, że ratuje dupsko dyrektorce, i tak regularnie dostaje zębki.

Klementyna nie wiedziała, co powiedzieć i jak zareagować. Zgasiła swojego papierosa. Zawinęła go w papier toaletowy i wyrzuciła do kosza na śmieci.

– Opowiadała ci pewnie o historii szkoły, co? – odezwała się Ela.

– Tak.

– O tym całym towarzystwie oświatowym i tak dalej, prawda?

– Zgadza się.

– Nie zdziwiło cię, że otrzymała ten budynek? Wiesz, w ramach reprivatyzacji.

– Nie znam się na tym. Mało oglądam telewizji.

– Przed wojną budynek był własnością towarzystwa oświatowego. Po wojnie przebudowano go na lokale mieszkalne. Niby na chwilę, ale tak już zostało. To już wiesz. Tymczasem kilka lat temu, wyobraź sobie, przychodzi nasza dyrektorka ze swoim mężem do urzędu i mówi, że podczas wojny albo tuż po wojnie władze towarzystwa sprzedały komuś, jakiemuś Albertowi, nie pamiętam nazwiska, budynek. A oni kupili roszczenia od potomków tego Alberta. Na wszystko oczywiście mają papiery, jednak gdy ludzie zaczęli się temu przyglądać, wzbudziły w nich podejrzenia. Notariusz, u którego podpisywali akt notarialny, prawdopodobnie nie mieszkał wtedy w Warszawie. Jedna z osób, które z ramienia towarzystwa sprzedawały budynek, nie żyła od trzech miesięcy, i tego typu historie. Ale co z tego, skoro decyzje w ratuszu już zapadły i nasza pani dyrektor ze swoim małżonkiem dostali klucze do budynku. A potem zaczęła się dobrze ci znana z gazet historia. Chyba że gazet też nie czytasz?

– Czasami. Jak jestem w bibliotece.

– Podnoszenie czynszu do absurdalnej wysokości. Odłączenie prądu. Wody. Nachodzenie. Zabijanie drzwi deskami. Tak długo się w to bawili, aż w końcu wygonili stąd wszystkich lokatorów. W większości starych ludzi, jak to na Mokotowie. Takich, którzy mieszkali tu od dziesiątek lat i nie znali innego życia. Część z nich wyjechała do rodziny. Inni dostali marne lokale zastępcze. Z dwójką się dogadali. A jedna rodzina to podobno żyje do dzisiaj w altance w ogródku działkowym. No ale dyrektorka mogła sobie wreszcie zrobić tę

swoją wymarzoną szkołę.

Ktoś nacisnął klamkę i szarpnął drzwiami. Spojrzały na siebie spłoszone. Rozległo się pukanie.

– Już! Chwila! Momencik! – krzyknęła Ela i wyrzuciła niedopałki.

W pośpiechu zaczęły sprzątać. Klementyna zamknęła okno i obficie popsikała pomieszczenie odświeżaczem. Ela zdążyła jej jeszcze dać gumę do żucia i puściła oko, zanim otworzyła drzwi. Po drugiej stronie stała około czterdziestoletnia kobieta o rudych, sięgających ramion włosach.

– O! Gaja! Właśnie o tobie mówiłam. I przepraszam, musiałam instynktownie przekręcić zamek, kiedy wchodziłam do ubikacji.

Kobieta tylko machnęła ręką.

– Gaja, to Klementyna. Klementyna będzie nową matematyczką.

– Cześć – rzuciła szybko kobieta. Klementyna dopiero teraz zauważyła, że ma niezdrowo bladą cerę i podkrążone oczy. – Słuchajcie, przepraszam was bardzo, chętnie bym porozmawiała, ale mam dużo pracy i strasznie chce mi się siusiu.

Minęła je, wchodząc do ubikacji, ale nagle przystanęła i pociągnęła kilka razy nosem.

– Co tu tak śmierdzi?

Ela w teatralnym geście rozłożyła szeroko ramiona.

– Sprzątaczką musiała przesadzić z odświeżaczem powietrza. Dyrektorka się wkurzy, wiesz, jak nie lubi marnowania materiałów szkolnych. Pewnie lepiej jej nie mówić.

Gaja uśmiechnęła się kwaśno i zniknęła w kabinie.

– Jeszcze jedno – powiedziała Ela, zniżając głos. – Uważaj, co opowiadasz w pokoju nauczycielskim. Podobno jest tam podsłuch.

Klementyna w pierwszej chwili myślała, że nauczycielka żartuje. Chciała się roześmiać, ale po minie koleżanki poznała, że tamta mówi poważnie.

– Jeśli tu jest tak strasznie – zapytała, zanim się rozstały – to dlaczego tutaj pracujesz?

Ela westchnęła.

– Czasami sama zadaję sobie to pytanie. Dobrze płacą. Dzieciaki są w sumie

fajne. Poza tym – w jej głosie dało się usłyszeć lekkie wahanie – mam taki mały sekrecik, który sprawia, że ilekroć widzę dyrektorkę, poprawia mi się humor.

– Jaki?

Ela uśmiechnęła się tajemniczo.

– Może kiedyś ci powiem.

4

Sławek pomyślał, że gdyby jego nauczycielka matematyki, tęga i nieustannie uśmiechnięta pani Włodawska, którą nazywali panią Pączek, mogła go teraz zobaczyć, byłaby zdumiona. Powiedzieć, że w szkole nie zaliczał się do orłów, to nic nie powiedzieć. Żył tylko dla imprez, wrywania kolejnych dziewczyn i wciągania koksu. Nieustannie zagrożony właściwie ze wszystkiego, tylko z geografii z jakiegoś powodu miał mocną trójcę, a z WOS-u ocierał się o piątkę. W trzeciej klasie chciał go uwalić nawet wuefista, co prawdopodobnie stanowiło pierwszy taki wypadek w dziejach szkoły. Ale matematyka zawsze była najgorsza. To, że w ogóle udało mu się skończyć liceum, zawdzięczał chyba tylko sile perswazji pieniędzy ojca. A teraz siedział przed laptopem w swojej knajpie, popijał kawę i pracował na tabelkach w Excelu, prowadząc w pamięci równocześnie trzy skomplikowane procesy obliczeniowe. Badał przychody i szukał sposobu na ograniczenie kosztów. Analizował statystyki spożycia wina, wódki i piwa z uwzględnieniem weekendowych peaków i poniedziałkowego dołka. Zastanawiał się nad lunchowym menu, podliczając cenę składników i przygotowując prognozę, ile będą musieli sprzedać, żeby to miało ekonomiczny sens. I wszystko przychodziło mu z zadziwiającą łatwością.

– Przepraszam, panie Sławku – usłyszał obok siebie piskliwy głos. Należał do Jaśka, drobnego chłopaczka. Sławek zatrudnił go jako kelnera tylko dlatego, że ten nie miał brody, koczka ani żadnego tatuażu. Jednym słowem, wyglądał, jakby ciągle wierzył w modę na metroseksualność sprzed... Sławek w sumie nie wiedział, jak dawno temu to było.

– Co jest?

– Klient nie chce zapłacić.

– Bo?

– Bo mówi, że nie. I żąda spotkania z właścicielem.

Sławek poczuł, jak rośnie w nim irytacja. I na upierdliwego klienta, i na Jaśka, który nie potrafi sam załatwić sprawy. Pomyślał, że gdyby zamiast niego zatrudnił jakiegoś wielkiego faceta z mordą zbira i Polską Walczącą

wytatuowaną na bicepsie, nie miałyby takich problemów.

– Który to cwaniaczy?

Jasiek wskazał mu łożę w kącie sali. Siedział tam posiwiasty, brodaty mężczyzna z lekką nadwagą. Bawił się komórką i wydawał się niebywale zadowolony z siebie. Sławek pokręcił z niedowierzaniem głową i zamknął ze złością klapę laptopa.

– Ja się tym zajmę – powiedział i dostrzegł w oczach Jaśka błysk ulgi. Postanowił poważnie porozmawiać z chłopakiem. W knajpie co pewien czas dochodziło do różnych sytuacji konfliktowych i Jasiek powinien umieć sobie z nimi radzić. Sławek nie będzie tu cały czas warował, żeby w razie czego ratować mu tyłek.

Dopił kawę i podszedł do łoży. Siedzący tam mężczyzna zauważył, że się zbliża. Odłożył komórkę na bok.

– Czego, ojciec, nie chcesz płacić? – zapytał Sławek, siadając naprzeciwko.

– A od kiedy to rodzina nie jada za darmo?

Sławek zerknął na leżący z boku talerz. Ojciec zjadł duży stek i zapił go winem. Rachunek na oko wynosił ponad stówkę. Co oznaczało, że siedział tu pewnie prawie od godziny. Sławka tak pochłoneła praca, że go nie zauważył.

– Od zawsze. Jesz, to płacisz. To nie jest żadna Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy dla milionerów, tylko normalny lokal.

Ojciec złożył dłonie w piramidkę. Jego twarz spoważniała, ale tylko na moment. Zaraz kąciki ust rozciągnęły się w ironicznym uśmiechu.

– Dbasz o swoje interesy. Dobrze. Masz to po mnie, bo matka to tylko potrafi wydawać pieniądze.

Klepnął syna po ramieniu.

– Przynieś terminal, od razu to załatwimy.

Sławek odwrócił się i machnął na Jaśka.

– Powiedziałem, żebyś to ty przyniósł – powiedział ojciec. – Tyle możesz, kurwa, zrobić dla staruszka, skoro kupił ci tę knajpę. Obsłużyć go, nie?

W taki właśnie sposób ojciec zaznaczał swoją wyższość. Drobne upokorzenie przypominało, kto tu jest ważniejszy. Sławek to rozumiał. Nie podobało mu się to, ale nie miał czasu ani ochoty, żeby bawić się w te gierki. Zabrał Jaśkowi

terminal, przyjął płatność, odłożył go na bar, a potem wrócił do łoży. Wiedział, że ojciec nie przyszedł tutaj tylko na obiad. Ojciec zawsze czegoś chciał.

– Lokal się robi modny – zauważył ojciec.

– Trochę – przyznał Sławek.

– I gustownie tutaj. Coś zmieniłeś?

– Od twojej ostatniej wizyty? Nie.

Nie mógł się już doczekać, kiedy ojciec przejdzie do rzeczy. Załatwią, co mają załatwić, i będzie mógł wrócić do pracy. Ojciec to wyczuł. A może po prostu i on nie chciał już tracić czasu na pogawędki, które do niczego nie prowadzą. Sięgnął do marynarki. Z wewnętrznej kieszeni wyjął kopertę i rzucił na stół przed synem.

– Co to jest?

– A jak, kurwa, myślisz? – odpowiedział pytaniem ojciec. – Będzie tak. O twojej knajpie usłyszał ktoś, kto robi dla komisji weryfikacyjnej...

– Chryste – jęknął Sławek. – Nie chcę się w to mieszać.

Już się podnosił, ale ojciec okazał się szybszy. Chwycił go za ramiona i usadził z powrotem. Był zaskakująco silny. Sławomir poczuł nieprzyjemny skurcz żołądka. Kiedyś ojciec ich lał, czasami pasem, czasami po prostu pięścią, a mały Sławek wyobrażał sobie, że gdy będzie już dorosły, w podobnej sytuacji po prostu rodzicowi porządnie przyłoży. Jakoś te wizje pobitego ojca łagodziły ból siniaków i rozbitych warg. Ojciec przestał go już dawno bić. Dorosły Sławek sporo czasu spędził na siłowni, nabrał mięśni, ale wciąż nie był pewien, czy gdyby przyszło co do czego, dałby mu radę.

– Nie pierdol – warknął ojciec. – To nie pierwszy raz, więc nie rób z siebie teraz Maryi Panny zawsze dziewicy. Poza tym za darmo ci tej knajpy nie dałem.

Lekko poczerwieniał. Dziwne, w interesach nigdy nie tracił nad sobą panowania. Coś się zmieniło. On sam to poczuł, bo nagle umilkł. Odsapnął. Wydawało się, że w myślach odlicza do dziesięciu. Kiedy znowu się odezwał, głos miał spokojny i chłodny jak zawsze.

– Przyjdzie facet. Wiesz który.

– Ten, co zawsze.

– Ten, co zawsze – potwierdził ojciec. – Zje sobie tutaj obiadek. I jemu

rachunku nie podawaj. Zapłacę za niego, jeśli takie z ciebie skąpiradło. Potem pójdzie do kibla. Udasz się za nim i dasz mu kopertę.

– To nie lekka przesada?

– A co? Nie chcesz, by ludzie pomyśleli, że mu laskę robisz?

– Nie.

– Bo jeśli będzie trzeba, to mu zrobisz, synek.

– Pierdol się.

Ojciec zarechotał i Sławek zrozumiał, że to żart. Rodzic znowu klepnął go po ramieniu.

– Spoko. Nie martw się. Nie spedałę cię dla kasy. Nawet ja mam granice.

– Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło – mruknął cierpko Sławek.

– No. To wszystko, co masz zrobić. Facet wchodzi do kibla, ty mu dajesz kopertę. O nic nie pytasz, nic nie gadasz, po prostu dajesz kopertę i wychodzisz. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

Ojciec zaczął zbierać się do wyjścia.

– Gniewomira ze sobą nie bierzesz?

Ojciec rozejrzał się po lokalu.

– To on tu jest?

– Na zapleczu. Zostawiłem go z komórką. Coś tam grzebie w internecie albo gra w gierki.

– Lekcje by odrobił.

Sławek tylko wzruszył ramionami.

– Nie może tutaj zostać – oznajmił. – Ja muszę zaraz się zbierać, bo mam sprawy do załatwienia na mieście.

– Niech matka go weźmie. Zresztą co on tutaj robi? Ona się nim zajmuje, nie?

– Zadzwoiła do mnie. Powiedziała, że nie może go odebrać.

– Niby dlaczego?

– Nie wiem. Przecież mi się nie tłumaczy.

– Kurwa, pewnie znowu na jakieś spa poszła albo sobie nowego fagasa

znalazła.

– Nie wiem, co mama robi – odparł Sławek – ale mam umówione spotkanie w sprawie innego lokalu i nie mogę go odwołać. A Gniewka też ze sobą nie wezmę.

– No ja też go nie wezmę.

– Dlaczego?

– Bo nie mogę.

– A co będziesz robił?

– Chuj cię to obchodzi, synek! Matka nie musi ci się tłumaczyć, ale ja to już tak?

Sławek wiedział, że nie ma sensu ciągnąć tej dyskusji.

– To co ja mam zrobić?

– Zadzwoń do matki.

– Nie odbiera.

– Nic mnie to nie obchodzi – warknął ojciec. – Co miesiąc tyle tej kurwie płacę, że zajmowanie się Gniewkiem to jej jebany obowiązek.

– Ale nie odbiera!

– To odwieź go z powrotem do szkoły. Też im co miesiąc płacę grube tysiące, to mogą się nim zająć, nie?

Ojciec nie czekał na dalszy ciąg tej rozmowy. Po prostu wstał, włożył marynarkę i schował telefon do kieszeni.

– Cześć, Gniewko – rzucił, kiedy przechodził obok Sławka. – Co tam słychać, synu?

Sławek odwrócił się natychmiast. Gniewomir stał jakieś dwa metry od nich. Od jak dawna? Ile słyszał z całej rozmowy? I od kiedy ojciec wiedział, że młodszy syn tutaj jest?

– Wszystko dobrze, tato – powiedział chłopak.

– No i dobrze.

Ojciec minął go. Podszedł do wieszaka i zabrał swój płaszcz.

– Aha, Sławek – rzucił przed wyjściem.

– Co?

– Powiedz kucharzowi, że jak zamawiam średnio wysmażony stek, to ma być średnio wysmażony, a nie prawie surowy. Żeby nie było, też był zajebisty, ale nie to zamawiałem. I dlatego nie chciałem zapłacić, a nie dlatego, że złamas jestem. Żebyś sobie nie myślał, chłopcze.

– Przekażę – odparł Sławek. Nie mógł się doczekać, kiedy ojciec wreszcie zostawi go w spokoju.

5

Komputer Klementyny był stary już w chwili, kiedy go kupowała w podejrzanej budzie w przejściu podziemnym na alei Armii Ludowej. Sprzedawca, starszy mężczyzna z wielkimi siwymi wąsami, bardzo starał się ją poderwać. Oferował pomoc przy instalacji oprogramowania, konfiguracji i jeszcze kilku innych rzeczach. Grzecznie odmówiła. Ale też z grzeczności wzięła od niego wizytówkę.

Wykupiła internet w ramach najtańszej oferty najtańszej sieci kablowej dostępnej w ich budynku. Podobno okropnie wolny, co jednak wcale jej nie przeszkadzało, bo komputer też pracował, jak chciał. Programy włączały się tak opornie, że zdążyła w tym czasie pójść do kuchni i przygotować sobie herbatę.

Popijała ją teraz, przeglądając kolejne strony internetowe, i czuła narastającą panikę. Czemu postanowiła zatrudnić się jako nauczycielka? Dlaczego nie poszła na kasę do Biedronki albo nie próbowała szukać pracy w jednym z miejskich szaletów? Od lat nie stała przy tablicy. Zupełnie nie знаła współczesnej młodzieży. Nie wiedziała, jakim językiem się posługują, co ich interesuje. Czym się teraz bawią. Jakiej muzyki słuchają. Czy tylko siedzą w tych swoich komórkach, czy czasami wychodzą jeszcze na dwór, żeby pograć w piłkę albo pojeździć na rowerach. W tej okolicy, w Śródmieściu, mieszkali prawie sami starzy ludzie. Tacy, którzy dostali tu mieszkania jeszcze w latach czterdziestych, pięćdziesiątych, sześćdziesiątych za zasługi w budowaniu nowego systemu. Tacy jak jej rodzice. Nieliczne młode matki nieustannie trzymały swoje dzieci za ręce, jakby się bały, że wszyscy dookoła czyhają tylko na okazję, by je porwać i zgwałcić.

A ona sama? Ostatnie lata spędziła niemal wyłącznie w tym mieszkaniu, opiekując się coraz bardziej chorą matką. Wychodziła tylko na zakupy, po lekarstwa i szybko wracała. W pewnym sensie Klementynie to odpowiadało. Taka dobrowolna izolacja. Była tutaj nieszczęśliwa, niewątpliwie, ale wyjście na zewnątrz, do ludzi, w żaden sposób by nie pomogło. A matka przynajmniej nie mogła już jej skrzywdzić. Z zaawansowanym alzheimerem pamiętała tylko

o tym, żeby wyganiać Klementynę na balkon, kiedy ta chciała zapalić.

Chociaż od czasu do czasu zdarzały się lepsze dni. Mgła zasnuwająca spojrzenie i umysł matki zdawała się rzednąć. Wyłaniały się z nich fragmenty wspomnień. Wykoślawione, poszarpane, ale prawdziwe.

– Wie pani, ja mam córkę – mówiła wtedy.

– To ja, mamó.

Matka marszczyła brwi, próbując zebrać myśli. Stawała się przez to podobna do małego zwierzątka, bo na starość jej brwi się powiększyły, a twarz jakby zmalała. Wyglądała jak chomik albo myszosczek.

– Nie. Pani nie jest moją córką.

– Jestem, mamó.

– Moja córka... Moja córka jest zła.

Sądziła, że takie słowa nie potrafią sprawić przykrości. Że już się na nie uodporniła. Ale czasami, czasami nie wytrzymała. Wzbierał w niej płacz. Chciała wtedy chwycić matkę za twarz, spojrzeć jej prosto w oczy i wykrzyknąć, że przecież jest tutaj. Zajmuje się nią. Karmi, poi i masuje. Pilnuje godzin podawania lekarstw. Zmienia pieluchy. Myje. Jak w takim razie może być zła? Jednak nigdy tego nie zrobiła. Nie miało to sensu. Matka by nie zrozumiała. Choroba za bardzo zniszczyła jej mózg. A poza tym... może po prostu miała rację?

– Staraliśmy się z Gienkiem, żeby była dobra. Dobrze ją wychowywaliśmy. Surowo – wypowiadając to słowo, czasami wznosiła palec w górę, by je zaakcentować – ale sprawiedliwie! Pasem, ale zawsze sprawiedliwie. Gienek tego pilnował. Żeby sprawiedliwie było. Ale surowo! Tego chcieliśmy ją nauczyć! Sprawiedliwie. Ale surowo.

Pamiętała to dokładnie. Te wszystkie razy wymierzone ręką, pięścią i pasem za najmniejsze przewinienie. Ojciec, wojskowy, wciąż tylko powtarzał, że u niego w domu to ma być dys-cy-pli-na! Dyscyplina! Przychodziła do szkoły cała posiniaczona albo z podbitym okiem, jednak wtedy nikt nie zwracał na takie rzeczy uwagi. Zresztą nauczyciele też ich lali. Nie tak mocno jak ojciec czy matka, ale drewniane linijki szły w ruch. Tak, pomyślała, wspominając własne dzieciństwo, było surowo. Na pewno nie było sprawiedliwie.

– Wiem, mamó.

– Ale się nie udało. Zła ta moja córka jest. Bardzo zła. Chce pani usłyszeć, co kiedyś moja córka zrobiła?

– Nie, mammo, nie chcę.

Matka zaczynała mrugać intensywnie, jakby ta odmowa zupełnie ją zaskoczyła. Gubiła wtedy wątek. Zapominała, o czym przed chwilą mówiła.

– Włączę ci telewizor, mammo.

– Tak. Telewizor. Dobrze.

Resztę dnia spędzała wpatrzona w zmieniające się na ekranie obrazki. Tylko co pewien czas przebudzała się z tego letargu, żeby zapytać, czemu nie ma kolejnego odcinka *M jak miłość*. Klementyna cierpliwie jej odpowiadała, że jeszcze nie czas. Że dopiero wieczorem. Matka wtedy się złościła. Krzyczała. Rzuciła przedmiotami. W końcu Klementyna odłożyła na tani odtwarzacz DVD. Zdobyła kilka odcinków na płycie. Od tego czasu te same odcinki leciały w ich mieszkaniu niemal bez przerwy. Znała je na pamięć. Wszystkie linie dialogowe, wszystkich bohaterów. Od czasu śmierci mamy nie włączyła tej płyty ani razu.

Wypiła łyk herbaty. Przez chwilę rozważała, czy zadzwonić rano do szkoły i powiedzieć, że się zwalnia. Ale nie miała aż tyle odwagi. Była tchórzem, co oznaczało, że będzie tam chodzić tak długo, aż sami ją zwolnią.

Wstała od komputera. Przeszła do kuchni i zaczęła przeszukiwać szafki. Wreszcie w jednej z nich znalazła wódkę. Kupiła ją przed laty, bo wtedy matka po kieliszku się uspokajała i zasypiała. Ten okres nie trwał długo, ale na wódkę wypita butelka została. Klementyna naląła sobie kieliszek i wypiła. Mocna, ciepła i paskudna wódka nie przyniosła uspokojenia. Na kolejny nie miała już ochoty.

Wróciła do stołu. Znów zaczęła przeglądać podręcznik do matematyki, z którego miała uczyć, i porównywała go z obowiązującą podstawą programową. Materiał nie był trudny. Łatwiejszy niż to, czego jej kazano się uczyć, kiedy sama chodziła do szkoły. Ale z jakiegoś powodu te proste wzory, liczby, działania wydawały jej się obce, dziwne i niezrozumiałe. Jak w takim razie miała ich czegokolwiek nauczyć? To będzie wielka kompromitacja.

Drżącymi dłońmi odszukała paczkę papierosów. Zostały tylko trzy. Palenie, pomyślała, palenie ją uspokoi. Przynajmniej na chwilę.

Już miała iść na balkon, kiedy usłyszała głośny, ostry dźwięk oznajmujący nadejście esemesa. Zdziwiła się. Niewiele osób posiadało jej numer. Nikt do niej nie dzwonił. Właściwie tylko operator wysyłał wiadomości poganiające ją do zapłacenia rachunku. Ale to już w tym miesiącu zrobiła.

Podniosła komórkę i odczytała nazwę nadawcy: Elżbieta Szkoła. Przypomniała sobie, że przed rozstaniem wymieniły się numerami. Ela na to nalegała. Bo może, argumentowała, Klementyna będzie miała jakieś pytania, wątpliwości. Wtedy Ela pomoże.

Nacisnęła przycisk, żeby przeczytać wiadomość. Była krótka: „Jutro wielki dzień! Powodzenia w nowej pracy! I nie przejmuj się tym, co mówiłam. Na pewno wszystko będzie dobrze”.

Klementyna wpatrywała się w esemesa, jakby jego treść do niej nie docierała. A potem uśmiechnęła się szeroko. Nagle straciła ochotę na papierosa. Zdenerwowanie nie zniknęło, ale znacząco się zmniejszyło. Wróciła do stołu, podręcznika i komputera. Zabrała się do robienia notatek.

Miała lekcje do przygotowania.

6

Nowa nauczycielka matematyki przyszła na zajęcia spóźniona o kilka minut. Karolina pomyślała, że dziwnie wygląda. Była starsza od ich poprzedniej matematyczki i wychudzona. Kojarzyła się dziewczynie z sosnowym badylem, tak wysuszonym, że pęka, gdy lekko na niego nadepnąć. Nawet unosiła się za nią wyraźna woń lasu.

Wszyscy zamilkli na jej widok i przypatrywali się z rosnącą ciekawością, gdy podchodziła do biurka i odkładała podręcznik. A potem jakby się zawiesiła. Stała po prostu z jedną dłonią na książce i drugą zwieszoną wzdłuż ciała. Nagle chrząknęła głośno, odwróciła się do nich i uśmiechnęła sztucznie, dziwnie, jakby robiła to po raz pierwszy od wielu, wielu lat.

– Dzień dobry – odezwała się. – Nazywam się Klementyna Jastrzębska. Od dzisiaj będę was uczyła matematyki. Wiem, że teraz mieliście pewną przerwę. Pod koniec roku czeka was natomiast egzamin ósmoklasisty, dlatego najbliższe tygodnie będą bardzo intensywne, bo musimy nadgonić materiał.

Przez klasę przeszedł delikatny szmer. Uczniowie patrzyli po sobie, zastanawiając się, co to dokładnie znaczy. Nauki już i tak mieli dużo.

– Teraz przeczytam listę obecności. Dzisiaj wyjątkowo prosiłabym każdego o wstanie po wyczytaniu jego nazwiska. Chciałabym się wam przyjrzeć.

Zaczęła wyczytywać poszczególnych uczniów. Tak jak prosiła, każdy z klasy wstawał na kilka sekund, a potem nauczycielka prosiła, żeby usiadł z powrotem. Wyglądało to tak, jakby naprawdę starała się ich zapamiętać.

Karolina czekała na swoją kolej i mimowolnie skubała rąbek granatowej sukienki. Matematyka była dzisiaj ich przedostatnią lekcją. Wkrótce będzie musiała iść do domu i bała się, że spotka tam tatę. Wczoraj wydarzyła się nieprzyjemna rzecz i nie wiedziała, jak powinna dzisiaj się zachować. Udawać, że nic się nie stało? Najbardziej bała się nawet nie tego, że ojciec będzie na nią zły, tylko samej rozmowy. Nie chciała go okłamywać. Nie chciała przekazywać mu tego, co mówiła o nim mama. Ale jak inaczej miała wytłumaczyć to, co zrobiła?

– Gniewomir.

Odwróciła wzrok w stronę chłopaka. Gniewomir wciąż siedział, z nosem w tym swoim upiornym zeszytce, w którym zbierał informacje o seryjnych zabójcach i innych okropieństwach. Karolina pomyślała, że z tym chłopakiem jest coś nie tak. I cieszyła się, że wkrótce nie będzie musiała go więcej oglądać. Była pewna, że prędzej czy później zrobi komuś coś złego.

– Gniewomir! – powtórzyła głośniej, bardzo stanowczo nauczycielka.

Chłopak dopiero teraz usłyszał swoje imię. Powoli podniósł się z krzesła.

– Nie słyszałeś?

– Nie, proszę pani – odpowiedział po chwili.

– Dlaczego mnie nie słyszałeś?

Karolina zamrugła zaskoczona. Inni nauczyciele wiedzieli, kim jest Gniewomir. Większość z nich przestała już zupełnie zwracać na niego uwagę. Zadowalali się tym, że siedzi gdzieś z tyłu i nie przeszkadza.

– Nie wiem...

– Nie wiesz?

– Nie, proszę pani.

– Bo już się bałam, że może za cicho mówię. Ale wszyscy inni mnie słyszeli. Prawda?

Nauczycielka popatrzyła na nich. Zaczęli kiwać głowami. Dwie, trzy osoby się odezwały, a Karolina pomyślała, że nie wiadomo kiedy i nie wiadomo jak, jednak coś się zmieniło. Gdy matematyczka weszła do klasy, wyglądała na przerażoną. A teraz to oni bali się jej. A przecież nic takiego się nie stało.

Nauczycielka ruszyła w stronę Gniewomira. Chłopak błyskawicznie schował swój „morderczy” zeszyt. Wsunął go pod podręcznik do matematyki. Kobieta stanęła tuż przy nim. Patrzyła mu prosto w oczy, więc Gniewomir natychmiast odwrócił głowę. On też się przestraszył!

– Słyszałam o tobie – odezwała się. – I chcę, żebyś wiedział dwie rzeczy. Po pierwsze, nie pozwolę ci na żadne... niegodne zachowania. Po drugie, nauczę cię matematyki. Rozumiesz?

– Tak, proszę pani.

– To siadaj.

Gniewomir wykonał polecenie, z ulgą wypuszczając z ust powietrze. Karolina dostrzegła plamę potu na koszulce pod jego pachami. Obrzydliwe. Powinien w końcu zacząć używać dezodorantu.

– Karolina – wyczytała nauczycielka, kiedy wróciła do biurka. Spojrzała na nią, gdy dziewczyna wstała, uśmiechnęła się przyjaźnie i pozwoliła usiąść.

Po kilku minutach skończyła sprawdzać obecność. Otworzyła podręcznik. Zerknęła na to, co było tam napisane, i przeszła pod tablicę. Sięgnęła po mazak i zamarła. Odwróciła się do klasy.

– Wcześniej pracowałam wyłącznie na kredowej tablicy – oznajmiła i namalowała parę szlaczków mazakiem. – Ale ta też się nada. Dobrze, klaso, przejdźmy teraz do omawiania działań na sumach algebraicznych. Prosiłabym jedną osobę, żeby zreferowała mi, na czym skończyliście omawiać to zagadnienie. Może zrobi to...

Karolina przestała słuchać. Kiedy odeszła poprzednia nauczycielka, przestraszyła się, że nowa nie zdąży przygotować ich do egzaminu. Dlatego zaczęła uczyć się sama i akurat to zagadnienie już przerobiła. Zrobiła nawet wszystkie ćwiczenia z podręcznika i kilkanaście z internetu.

Poprzedniego wieczora mama przyszła bardzo zmęczona. Bardziej niż zazwyczaj. Kolejna rzecz, która Karolinie wydawała się bardzo dziwna. W szkole mama była wulkanem energii. W domu zmieniała się we flak, potrafiła tylko robić sobie kolejne drinki, narzekać i leżeć na kanapie. Chyba że musiała popracować. Na pracę mama zawsze znajdowała czas i siły. Karolina przygotowała mamie posiłek. Ona jak zwykle nawet tego nie zauważyła.

– Gdzie jest ojciec? – zapytała.

– Nie wiem, mamo.

– Możesz się dowiedzieć.

– Jak?

– Zadzwoń do niego – odpowiedziała mama z irytacją w głosie.

Zadzwoiła więc. Zdenerwowany poinformował ją, że mu przeszkadza. Powiedział, że jest na spotkaniu. Nie powiedział z kim. Nie powiedział, kiedy wróci. Przekazała to wszystko matce.

– Pewnie znowu jest z jakąś kurewką – stwierdziła mama. – A mnie zostawił to wszystko na głowie. Przecież tu trzeba posprzątać, ugotować coś,

przygotować cię do szkoły!

Potem ani nie sprzątała, ani nie gotowała, ani nie pomogła przygotować się Karolinie do szkoły. To dziewczyna robiła zresztą od lat sama. Mama z lampką wina w ręku poszła zrobić sobie długą relaksującą kąpiel. Karolina w tym czasie ogarnęła trochę dom.

Mama przyszła do niej koło dziesiątej. Zapytała, czy może z nią spać także dzisiejszej nocy. Karolina się zgodziła. Nie wyobrażała sobie nawet, że mogłaby odmówić.

Ojciec wrócił koło północy. Obudziła się, kiedy wchodził do domu. Chyba był lekko pijany, bo uderzył się o stół w kuchni i strasznie zaklął. Potem poszedł do sypialni. Otworzył drzwi. Karolina widziała jego sylwetkę. Przypatrywał się mamie. Przypatrywał się córce.

– Kurwa – mruknął i pokręcił głową.

Chwilę później usłyszała, jak wchodzi do łazienki i odkręca prysznic. Po krótkim wahaniu wyslizgnęła się z uścisku matki. Na palcach przeszła do salonu, gdzie znalazła ubrania ojca. Pamiętała słowa mamy o „kurewce”. Nie wierzyła w nie, jednak jeśli tata miał romans, jeśli naprawdę tak późno wrócił do domu, bo spotyka się z inną kobietą, to powinien zostać jakiś ślad. Wzięła jego koszulę. Przeglądała mankiety i kołnierzyk, wypatrując czerwonych śladów szminki. Żadnego nie znalazła. Przycisnęła materiał do nosa i wciągnęła mocno powietrze. Szukała woni damskich perfum, ale jedyne, co poczuła, to dezodorant ojca.

– Co robisz?

Przestraszona odrzuciła koszulę. Ta spadła na podłogę.

– Nic – odpowiedziała, bo tylko to przyszło jej do głowy.

Ojciec stał przed nią przepasany ręcznikiem. Włosy miał mokre. Kropelki wody spływały po jego klatce piersiowej. Przypatrywał się badawczo córce, a Karolina modliła się, żeby o nic więcej nie pytał. Nie chciała kłamać. Nie wiedziała, czy by potrafiła. Wielkie rumieńce wypłynęły jej na policzki.

– Matka kazała ci to zrobić? – zapytał.

– Nie – odparła, i to akurat była prawda. Ale on pewnie i tak nie uwierzył. Czują wzbierający w piersiach szloch. Chciała się tylko upewnić, że ojciec nie ma kochanki. A potem powiedzieć mamie, by się nie martwiła. Chciała pomóc,

a wszystko pogorszyła. Teraz tato będzie myśleć, że mama wysłała ją na przespiegi. Będą się o to kłócić i... Musiała ugryźć się w wargę, żeby nie zacząć krzyczeć.

– Stęskniłam się – wykrztusiła. Ojciec spojrział na nią jak na wariatkę. Otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował. Machnął ręką.

– Wracaj spać – rzucił, odwracając się do niej plecami i idąc z powrotem do łazienki.

Zrobiła to, co jej kazał. Rano, kiedy zeszła na śniadanie, już go nie zastała. Bała się ich następnego spotkania. Powinna mu jakoś wyjaśnić, że ta cała sytuacja to wielkie nieporozumienie, ale nie wiedziała, jak mogłaby to zrobić.

Nauczycielka męczyła przy tablicy Marcina, kiedy nagle drzwi się otworzyły. Do klasy weszła mama Karoliny wraz z panią Krzaczewską, nauczycielką angielskiego i wychowawczynią ich klasy oraz szkolną psycholożką. Wszystkie miały poważny wyraz twarzy, Krzaczewska do tego rozmazany makijaż i ślady po niedawnym płaczu, a psycholożka najwyraźniej chciała odwrócić się na pięcie i uciec.

– Przepraszam, że przerywam pani lekcję – odezwała się mama, stając tuż przed tablicą i odsyłając Marcina na jego miejsce – ale mam coś bardzo ważnego do zakomunikowania.

Przerwała na moment, jakby nagle zabrakło jej powietrza.

– Wasza koleżanka – kolejna pauza – Marysia – pauza – nie żyje.

Bartek nawet zauważył, że coś jest nie tak. Zapytał, co się dzieje. Odpowiedziała mu. Niezdarnie ją przytulił. Przygotował herbatę, a potem usiedli na kanapie, żeby mogła wszystko z siebie wyrzucić. Takie normalne, zwyczajne. Tak właśnie powinien zareagować mąż, żeby pocieszyć żonę. A jeśli chodzi o nich – takie nieoczekiwane. Jeśli czegoś się spodziewała, to tego, że poświęci jej może z pięć minut, a potem siądzie do tej swojej głupiej konsoli. Tymczasem on wszystko wyłączył, a ona wtulała się w niego, czuła ciepło jego ciała i myślała sobie, że może nie wszystko jest jeszcze stracone.

Kiedyś go kochała. Kiedyś on kochał ją. Istniała szansa, że cień tego uczucia wciąż gdzieś w nich tkwił.

Tragedia powinna zbliżać ludzi. W ich przypadku stało się zupełnie na odwrót. Wiedziała, że on nigdy nie wybaczył jej tego, co się stało. Ale też nigdy niczego nie zarzucił. Brakowało mu na to odwagi. Tylko czy ona tak naprawdę zawiniła? Nie. Tak. Może. Już sama za bardzo się tym zadreślała. On powinien jej pomóc, a nie dorzucać zmartwień.

I tak sobie od lat żyli. On miał do niej żal. Ona miała żal do niego, że on ma żal. Rosło to między nimi jak jakiś cholerny grzyb, pleśń, która zżera wszystko, co piękne i wartościowe.

Ale nie teraz. Teraz było tak, jakby tamto się nie wydarzyło. Położyła głowę na piersi Bartka i wsłuchiwała się w równe bicie jego serca.

Policjantka, gdy do nich przysła, wydawała się zawstydzona tym, że tak niewiele wie. Marysia nie żyje. Zginęła. Wpadła pod pociąg. Po prostu rzuciła się na tory. Jeszcze nie są pewni, jeszcze badania trwają, jeszcze biegli pracują, a właściwie dopiero zaczęli pracę, jednak wygląda na to, że maszynista nie mógł nic zrobić. Pociąg to bestia. Ciężka bestia. Tego nie da się zatrzymać ot tak. A ona hyc, z ciemności, prosto na tory. Ledwo ją dostrzegł. Jakby nie dostrzegł, to może nawet by dalej pojechał. Ale dostrzegł. Zatrzymał się. I nie wiedzą. Wypadek czy samobójstwo. Zastanawiają się jeszcze. Szukają. Nikt nic nie wie. A jak pani myśli?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze Ela.

– Wyglądała, jakby coś ją martwiło?

– Proszę pani, Marysię zawsze coś martwiło. Nic w tym dziwnego, jej mama cały czas pracowała, a Marysia opiekowała się rodzeństwem.

– Aha, aha. – Policjantka pokiwała głową z wyuczoną empatią. – A w szkole kłopoty miała?

– Nie. To była dobra uczennica. – Ela nie wspomniała o tym, że Marysia od niedawna dostawała coraz gorsze oceny. Miała wrażenie, że gdyby o tym powiedziała, postawiłaby dziewczynę w złym świetle i zachowała się nie fair. Zdradziłaby ją.

– A może miała inne problemy? Niekoniecznie z ocenami?

– Nie rozumiem.

– Może koleżanki albo koledzy robili jej przykrości?

Od razu pomyślała o Gniewomirze. O paskudnych rysunkach. Ale to dotyczyło jej i jego. Nie widziała, żeby cokolwiek zrobił Marysi. Kilka razy zauważyła ich, kiedy ze sobą rozmawiali. Pamiętała, że to ją zaskoczyło. Marysia wydawała się wtedy taka skupiona. Gniewomir coś mówił, tak jak to on, z dziwnym wyrazem twarzy. Czy groził jej wtedy? Opowiadał jakieś straszne rzeczy? Ela by się nie zdziwiła. Jednak nie chciała oskarżać chłopaka, nie mając stuprocentowej pewności. Nawet jeśli chodziło o Gniewomira.

– Nie. Wszyscy ją lubili.

Policjantka z trudem ukryła zawód.

Serce Bartka biło mocno i wyraźnie. Nagle coś zaburczało w jego brzuchu, a potem rozległo się stłumione kanapą i poduszkami, ale wyraźne pierdnięcie.

– Przepraszam – powiedział. – Wstrzymywałem długo, ale...

Nie dała mu dokończyć. Wybuchnęła śmiechem. Szczerym i długim. Po chwili zorientowała się, że on też się uśmiecha. Kiedy po raz ostatni wspólnie się śmiali? Poczula przemożną ochotę, żeby teraz go chwycić i zaciągnąć do łóżka. Poczuć go całego na sobie. W sobie. Ale nie. Jeszcze nie. Na razie musiał jej wystarczyć wspólny śmiech z przypadkiem puszczonego bąka. To też było przyjemne. Na swój sposób.

Chciała na powrót się do niego przytulić, kiedy usłyszała dźwięk

przychodzącej wiadomości na Messengera. Odruchowo sięgnęła po telefon. Od Michała. Zasłoniła ekran tak, żeby Bartek nie widział. Czasami pisali do siebie pikantne teksty, wysyłali zdjęcia. Powinna wszystko wykasować, bo gdyby mąż je zobaczył, stanowiłyby piękny materiał na rozprawie rozwodowej. Ale trzymała je. Lubiła czasami do nich wracać. Czytać o tych wszystkich świąństwach, które Michał planował jej zrobić. A poza tym... może w ten sposób sabotowała własne małżeństwo? Może chciała, by Bartek je znalazł? Przeczytał? Czasami nawet złościła się, że jeszcze tego nie zrobił. Nie zainteresował się tym, z kim wymienia tyle wiadomości. Dawała mu też inne sygnały, w sposób absolutnie świadomy, wręcz prowokujący. Od kiedy zaczęła romans z Michałem, inaczej ubierała się do pracy. Bardziej wyzywająco, seksownie, chociaż nie przekraczała granic przyzwoitości. Myślała, że Bartek zwróci na to uwagę. Coś powie. Zapyta. Przynajmniej spojrzy na nią podejrzliwie. Ale nic takiego się nie stało. Teraz jednak telefon parzył ją w dłoń, a wszystkie zapisane na nim wiadomości wydały jej się nieznośnie ciężkie. Obiecała sobie, że w końcu je wykasuje.

Odebrała, bo sądziła, że to w sprawie szkoły. Michał był rozsądnym facetem. On też wiedział, co się stało. Nie pisałyby tego dnia żadnych świąństw. A jednak treść esemesa brzmiała: „Jestem na dole. Zejdź do mnie”.

Odpisała szybko, jednym słowem: „Nie”.

Potem przeprosiła na chwilę Bartka. Pod pozorem odstawienia kubka po herbacie do zlewu podeszła do okna. Wyjrzała na parking przed budynkiem. Faktycznie, na jego końcu dostrzegła mercedesa Michała.

Kolejna wiadomość: „Przyjdź, bo ja przyjdę do ciebie”.

Z trudem pohamowała gniew. To nie była odpowiednia pora. To nie była odpowiednia chwila. Chciała zostać z mężem. Poza tym ustalili, że nigdy nie będą odwiedzać się w domach. Nigdy tam, gdzie ktoś mógłby ich zobaczyć.

„Proszę...”

„Proszę... Przyjdź. Bo ja przyjdę. Nie żartuję”.

Mieszanka żalonych błagań i gróźb. Chciało jej się od tego wymiotować. Jakby największe koszmary właśnie zmieniły się w rzeczywistość.

Bartek wciąż na nią czekał na kanapie. On też coś czuł. Nić wzajemnego porozumienia, którą teraz musiała przeciąć.

– Pójdę się przejść – rzuciła, udając, że właśnie wpadła na ten pomysł.

Podniósł się.

– Pójdę z tobą.

Pokręciła przecząco głową, a w środku wyła jak wściekły pies.

– Nie. Chciałabym pobyć sama. Pozbierać myśli – powiedziała z trudem. Popatrzyła na niego błagalnie. – Może kiedy wrócę, to... Nie wiem. Zobaczmy coś wspólnie?

Opadł z powrotem na kanapę.

– Jutro idę wcześniej do pracy – mruknął. – Zaraz się kładę.

– Tak. Oczywiście. Dobranoc.

Nie chciała więcej na niego patrzeć. Bała się, że jeszcze chwila i się rozpłacze. Ubrała się szybko, niedbale. Zapomniała czapki. Szalik ledwo zarzuciła na szyję. Bartek śledził każdy jej ruch. Wypadła z mieszkania.

Zanim ruszyła przez parking, zerknęła na okna mieszkania. Nie zauważyła w nich sylwetki Bartka, więc szybko pobiegła do mercedesa. Niemal wskoczyła do środka, zamykając za sobą drzwi z potężnym, głośnym trzaśnięciem.

– Co ty, kurwa, robisz?! – krzyknęła od razu.

– Co takiego? O co ci chodzi? – Michał wyglądał na naprawdę zaskoczonego, a nawet obrażonego.

– Miałeś nie przyjeżdżać pod mój dom! I to, co napisałeś! Że do mnie przyjdiesz?! Co ty sobie wyobrażasz?!

Wywrzeszczała swoje i teraz tylko ciężko dyszała. Michał natomiast krzywił się, jakby nie wiedział, o co jej właściwie chodzi. Jakby to ona zachowywała się nieodpowiedzialnie. Nagle poczuła wyraźny zapach alkoholu płynący z jego ust i zrozumiała, że jest pijany.

– Nie no... Wiesz... Ja... Nie sądziłem, że tak to odbierzesz.

– Chyba sobie żartujesz. A jak miałam odebrać to inaczej?! – warknęła, chociaż podejrzewała, że niewiele z tego, co powiedziała, do niego dotarło. Nie wiedziała, ile wypił, zanim tutaj przyjechał. Na pewno tyle, że jego zdolność myślenia była poważnie upośledzona.

– Po prostu ta cała afera z dzisiaj – wybełkotał, siłąc się na to, żeby brzmieć wyraźnie i trzeźwo – to są kłopoty. Poważne kłopoty dla szkoły. Rozumiesz?

– Rozumiem. I to nie jest afera. To dziecko. Marysia. Ja ją uczyłam.

– Właśnie – potwierdził. – Pomyślałem, że, wiesz, w takiej sytuacji oboje potrzebujemy relaksu.

Nie potrafiła uwierzyć w to, co usłyszała. Chwyliła za klamkę i w tym samym momencie poczuła dłoń zaciskającą się na jej ramieniu.

– Puść mnie – powiedziała.

– Daj spokój...

– Puść mnie – powtórzyła wolniej, przez zaciśnięte zęby.

– Rozumiem. Nie masz ochoty.

– Tak, właśnie. Nie mam ochoty.

– Ale ja cię potrzebuję. Potrzebuję tego. Więc po prostu mi obciągnij.

– Spierdalaj.

Pociągnęła za klamkę, jednak drzwi się nie otworzyły. Poczła strach, nagły i mocny, jak kopnięcie. Michał chwycił ją za kark, za włosy. Szarpnął. Zawyla cicho. Cicho, bo było jej wstyd. Bolało. Ten facet... Nie potrafiła znieść tej myśli, ale ten facet chciał ją zmusić do... A ona wstydziła się krzyczeć. Drugą ręką odpinał już spodnie. Zsuwał majtki, wypuszczając na zewnątrz blade penis.

Uderzyła go pięścią w brzuch. Jęknął z bólu. Zwolnił uścisk. Odepchnęła go. Spojrzał na nią zaskoczony. Zaskoczony i zły. Uderzył ją otwartą dłonią w twarz. W samochodzie rozległo się głośne plaśnięcie, a potem zapadła cisza. Oboje tylko oddychali szybko i nerwowo.

– Chryste... – wyjąkał. – Chryste... Przepraszam. – Chciał się do niej nacylić, ale ona się odsunęła, niemal wprasowała w drzwi, więc się zatrzymał. – Przepraszam.

– Wypuść mnie.

– Nie chciałem cię uderzyć – powiedział. – Ale ty uderzyłaś mnie pierwsza!

– Co?! Ty... Ty wiesz, co właśnie zrobiłeś?!

– Myślałem, że to taka zabawa.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. I zaraz potem zrozumiała, że taka właśnie będzie jego linia obrony. Że to tylko zabawa. Trochę ostrzejszy seks. Odrobinę więcej niż klaps w pośladki.

– Wypuść mnie – powtórzyła.

Nacisnęła jakiś przycisk i usłyszała trzask zwalnianego zamka. Otworzyła drzwi. Wyszła z samochodu. Chciała biec, ale zmusiła się do tego, żeby normalnym krokiem przejść przez parking z powrotem do bloku. Nie chciała czuć jeszcze większego upokorzenia.

Michał się upił. Żadne usprawiedliwienie. Miała nadzieję, że po pijaku wjedzie w jakąś ciężarówkę i spali się do gołych kości.

W lustrze w windzie dokładnie obejrzała swój policzek. Był cały czerwony, ale następnego dnia nie powinno być żadnego śladu. A jeśli będzie, zamaskuje to makijażem. Jednak dzisiaj nie da rady tego ukryć.

Weszła do domu. Miała nadzieję, że Bartek już śpi. Nie spał. Grał na konsoli. Nawet nie spojrzał w jej kierunku. Poszła do łazienki i wzięła prysznic.

Cokolwiek kielkowało przez te kilka chwil pomiędzy nią a Bartkiem – Michałowi udało się to zniszczyć.

Nienawidziła go za to.

8

W pokoju nauczycielskim nauczyciele rozmawiali ze sobą zazwyczaj szeptem i zawsze na błahe tematy. Jeśli tylko ktoś miał potrzebę porozmawiać o czymś poważniejszym, wychodził na korytarz. Plotki o podsłuchu, prawdziwe lub wydumane, zrobiły swoje. Tego dnia jednak wszyscy milczeli. Jakby ta śmierć zacisnęła się łańcuchem na ich strunach głosowych. Wszyscy przyszli też ubrani na czarno. Nie umawiali się wcześniej, po prostu każdy z nich uznał, że to najodpowiedniejszy strój na ten dzień. Z wyjątkiem Klementyny. W białej bluzce i szarej spódnicy, sięgającej za kolana, najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Tłumaczyła sobie, że pracuje tutaj zaledwie kilka dni, że nie znała tej dziewczyny, a więc nie wyczuła nastrojów. Ale i tak było jej wstyd.

– Nie róbmy z tego większej afery, niż rzeczywiście jest – powiedziała dyrektorka.

Przyszła do pokoju nauczycielskiego na długiej przerwie. Zwołała wszystkich obecnych w szkole nauczycieli, oprócz tych, którzy mieli akurat dyżury.

Powędrowała wzrokiem po siedzących przy stole pracownikach, zatrzymując się na dłużej przy Klementynie. Ledwo widocznie kiwnęła głową z aprobatą.

– Zdarzyło się nieszczęście – ciągnęła – jednak nie na terenie szkoły ani nie z naszej winy.

– Ale naszej uczennicy.

Dyrektorka skrzywiła się, jakby ktoś właśnie wbił jej pinezkę w pośladek.

– Tak. Naszej uczennicy – powiedziała. – Dziękuję, pani Elu, że mi pani to przypomniała.

– Nie ma za co.

– To sarkazm, pani Elu! Pani uczy polskiego, pani powinna wiedzieć, co to jest!

Ela milczała, chociaż Klementyna znała już ją na tyle długo, by wiedzieć, że nauczycielka ma ostry komentarz na końcu języka. Dyrektorka odetchnęła głęboko. Położyła sobie dłoń na piersi.

– Marysia była naszą uczennicą – odezwała się. – To, co się zdarzyło, to tragedia. Tragedia! Niech żadnemu z państwa nie wydaje się, że mam na ten temat inne zdanie. Że bagatelizuję to zdarzenie! Nie! To tragedia! Ale mamy w tej szkole inne dzieci! I to nimi trzeba się zająć. Trzeba je ochronić przed tą traumą. A państwa dzisiejsze stroje, z przykrością muszę to powiedzieć, nie pomagają nam w tym zadaniu.

Klementyna usłyszała, jak ktoś za nią, chyba wuefista, szepcze: „Ja pierdołę”. Przestraszyła się, że dyrektorka to usłyszała, chociaż to nie ona przekłęła. Nienawidziła siebie za tę irracjonalność, za idiotyczny brak odwagi, a może nawet czegoś więcej, zwykłego szacunku dla samej siebie, resztek godności.

– Na tym powinniśmy się skupić. Żeby to wydarzenie nie uderzyło w naszych uczniów. W naszą szkołę. Proszę o tym pamiętać.

– Co to znaczy? – odezwała się stojąca z boku Ela.

– Słucham? Nie za bardzo rozumiem pani pytania, pani Elu. Mam wrażenie, że jako polonistka powinna się pani wyrażać bardziej precyzyjnie.

– Spróbuję więc, pani dyrektor, wyrazić się bardziej precyzyjnie – powiedziała z kamienną twarzą nauczycielka. – Chodzi mi o to, że nie rozumiem, czego pani ode mnie oczekuje. Jak mamy postępować, ja i moi koledzy? Mamy udawać, że nic się nie wydarzyło? Kiedy uczniowie będą pytać o Marysię, mamy mówić, że nie znamy takiej dziewczynki i nigdy się u nas nie uczyła? Jak dokładnie mam rozmawiać o tym z uczniami? A może oczekuje pani, że urządzimy dyskotekę szkolną z tej okazji? Żeby chronić dzieci przed negatywnymi emocjami i sprawić, żeby to wydarzenie kojarzyło im się pozytywnie, a nie negatywnie?

Dyrektorka wciągnęła ze świstem powietrze. Zadrżał jej podbródek.

– Pani Elu! – uniosła się. – Jak pani w ogóle może... Jak... To jest... To jest skandal! To jest oburzające! Czy pani w ogóle pomyślała...

– Po prostu chcę wiedzieć, czego pani oczekuje.

– Empatii!!! Zna pani takie słowo? Nauczycielskiego, pedagogicznego wyczucia! Tego, że kiedy rozmawia pani z młodymi ludźmi, z ludźmi, których psychika jest dopiero kształtowana, powinna pani myśleć o ich wrażliwości. O tym, że to nie są w pełni ukształtowane jednostki. Że są krusi. Że łatwo ich skrzywdzić. Czy pani teraz rozumie, czego od pani oczekuję? A może mam

polecić pani jakieś podręczniki, skoro nie czytała ich pani na studiach nauczycielskich, tylko ciągle imprezowała czy co tam pani wtedy robiła i z kim!

Ela poczerwieniała i zacisnęła usta w gniewną cienką linię. Dyrektorka wbijała w nią wzrok, jakby w ten sposób chciała ją zmusić do odpowiedzi. Nauczycielka jednak milczała.

– Dobrze – dodała, siląc się na spokój, dyrektorka. – Skoro sobie to wyjaśniliśmy, to proszę, żebyście wzięli to państwo pod uwagę. Wszyscy.

Potem bez słowa ruszyła do drzwi. Otworzyła je. Zatrzymała się w progu i odwróciła się do pracowników.

– Pani Klementyno, mogę panią prosić?

Zaskoczona Klementyna poszła za dyrektorką, czując na plecach spojrzenia innych nauczycieli.

W gabinecie dyrektorka opadła na fotel. Schowała twarz w dłoniach i przez długą chwilę trwała tak bez ruchu. Klementyna stała przed biurkiem i nie wiedziała, co powinna zrobić. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy może przypadkiem dyrektorka nie zapomniała o jej obecności. Ale nagle kobieta wyprostowała się.

– Dlaczego pani nie siada, pani Klementyno? – zapytała.

Klementyna uśmiechnęła się przepaszająco. Usiadła na krześle.

– Napije się pani czegoś? Kawy, herbaty?

– Nie. Dziękuję – odparła. – Pani dyrektor...

– Zofia – przerwała jej kobieta. – Prosiłam panią, żeby mówiła mi pani po imieniu.

– Tak. Rzeczywiście... Pani dyrektor, czego pani ode mnie chciała?

Kobieta w pierwszej chwili nie odpowiedziała. Chwyciła za leżący na biurku długopis. Postukała nim zamyślona o blat.

– Wie pani, pani Klementyno – przerwała ciszę – chyba po prostu chciałam porozmawiać z kimś, kto nie dał się porwać temu czarnemu szaleństwu. Pani to się udało.

Klementyna dopiero po kilku sekundach zorientowała się, że chodzi o jej strój. Zaskoczona kiwnęła głową.

– To była tragedia, to, co się wydarzyło, tak jak mówiłam, ale... – Dyrektorka

zmarszczyła brwi, jakby zastanawiała się, czy chce ciągnąć tę rozmowę. Chciała. – Rozmawiałam wczoraj z matką Marysi. Złożyłam kondolencje. Bardzo się przede mną otworzyła. Wie pani, ona mi, szkole, jest bardzo wdzięczna za to, co zrobiliśmy dla Marysi. Za szansę, którą jej daliśmy.

– Rozumiem.

– Długo rozmawiałyśmy. Wie pani, co mi powiedziała?

– Nie.

– Że Marysia mogła być w ciąży. – Powiedziała to takim tonem, jakby ta informacja wszystko zmieniała. Unieważniała całą żałobę, cały tragizm tego, co się wydarzyło.

– Naprawdę? – Tylko tyle wydobyła z siebie Klementyna.

Dyrektorka pokiwała gorączkowo głową.

– Tak podejrzewa. Czeka jeszcze na wyniki sekcji, ale mówi, że jest pewna. Matki wiedzą takie rzeczy. To wychodzi z gestów, z rozmów, z zachowania dziecka. Nie żebym ja miała taki problem – zapewniła szybko i zaraz się spieszyła. Poprawiła włosy. – W każdym razie prawdopodobnie Marysia zaszła w ciążę i być może to dlatego doszło do tego tragicznego zdarzenia. Oczywiście wszystko musi ustalić policja, jednak przyzna pani sama, że układa się to w logiczną całość.

– Rzeczywiście.

Dyrektorka uśmiechnęła się, jakby potrzebowała od kogoś takiego potwierdzenia swoich przemyśleń. Ponownie postukała długopisem w biurko.

– To właściwie jest smutne, wie pani – zaczęła. – Przyjeliśmy tę dziewczynkę do szkoły kilka lat temu. Pochodzi z biednej rodziny, z tragiczną historią. Wychowuje się w patologicznej okolicy, naprawdę patologicznej, w takiej, gdzie tylko kradną i piją. Raz tam się wybrałam. Strach było samochód zaparkować. A jej matka to wyjątkowa, dzielna kobieta. Ciężko pracowała, żeby zapewnić dzieciom godne życie, jakąś przyszłość. A ta dziewczyna to wszystko zmarnowała, bo nie potrafiła utrzymać majątek na tyłku. – Pokręciła głową. – To jest takie przykre. Tyle pracy, a to wszystko na nic. Niektórym ludziom niestety nie warto pomagać – stwierdziła.

W tym momencie rozległ się dzwonek na lekcję. Klementyna potraktowała to jako wybawienie. Nie chciała siedzieć w gabinecie. Nie chciała słyszeć tych

wszystkich strasznych słów. Nie chciała nieustannie potakiwać, żeby dyrektorka mogła poczuć się lepiej.

– Przepraszam, muszę iść na lekcję – powiedziała cicho. – Klasa na mnie czeka.

– Tak. Oczywiście – mruknęła kobieta, która wydawała się odpływać w jakieś inne rejony. Wyrzuciła z siebie całą żółć i teraz zajęła się już innymi rzeczami. Już jej nie potrzebowała.

Klementyna wstała.

– Następnym razem weźmiemy chłopca – rzuciła na odchodnym dyrektorka.

– Słucham?

– Następnym razem, kiedy będziemy komuś biednemu fundować stypendium, weźmiemy chłopca – sprecyzowała dyrektorka. – Mniej z nimi kłopotów.

9

– Przepraszam, po prostu nie mam z kim o tym wszystkim porozmawiać – powiedziała Ela, wchodząc do mieszkania.

Klementyna odsunęła się, żeby zrobić jej miejsce w przedpokoju. Pomyślała, że to dziwne. Tego samego dnia będzie robić za spowiednika dyrektorki i Eli. Ale tę drugą szczerze polubiła, a ta pierwsza trochę ją przerażała.

– Nic nie szkodzi – odezwała się, biorąc płaszcz od Eli i wieszając go w szafie. Na moment zamarła, kiedy w rogu ze zdziwieniem dojrzała ciemną, starą i porwaną u dołu kurtkę. Mama nie pozwoliła sobie kupić nowej. Przywiązała się do niej jak do jakiegoś zwierzątka. Chyba nawet bardziej niż do własnej córki. Ta myśl nieprzyjemnie zakłuła Klementynę. Sądziła, że wszystkie rzeczy mamy już wyrzuciła. Tę jednak z jakiegoś powodu przeoczyła. – A twój mąż?

Ela przewróciła oczami, co miało starczyć za całą odpowiedź. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej butelkę wina. Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Masz korkociąg?

Klementyna korkociąg znalazła. Równie stary jak wszystko w tym mieszkaniu. Prawdopodobnie nie pojawiło się tu nic nowego od co najmniej pięciu lat. Mama pod koniec życia nie pozwalała ani niczego wyrzucać, ani niczego kupować. Musiało być tak jak dotąd. Tylko w takim otoczeniu czuła się bezpiecznie. Po jej śmierci Klementyna chciała zrobić remont, wymienić dosłownie wszystko, jednak po prostu nie miała pieniędzy. Jediną więc znaczącą zmianą był brak umierającej staruszki w kącie. Nie znalazła za to kieliszków. Kiedyś na pewno posiadali komplet, ale gdzieś się zagubił w zakamarkach czasu.

Otworzyła wino i nalała im do szklanek, które wcześniej przemyła w zlewie. Kiedy przyszła do pokoju, Ela stała przy oknie balkonowym. Klementyna nie wiedziała, czy kobieta przypatruje się własnemu odbiciu czy samochodom jeżdżącym trasą na dole.

– Przepraszam, że nie ubrałam się dzisiaj na czarno – odezwała się

Klementyna.

Ela spojrzała na nią zdziwiona. Wzruszyła ramionami.

– Nie czułaś potrzeby.

– Chyba nie. Wiesz, ja nie znałam tej dziewczynki... – Przerwała, czując, że się rumieni.

Po raz kolejny tłumaczyła się z czegoś, z czego nie miała powodu się tłumaczyć. Schowała się za szklanką winą. Alkohol miał mocny smak. Cierpki i nieprzyjemny. Od jednego łyku zakręciło jej się w głowie.

– Ty ją lubiłaś? – zapytała, żeby powiedzieć cokolwiek. Czuła się niezręcznie. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni ktoś ją odwiedził. Nie wiedziała, jak powinna się zachować. Czy coś podać do jedzenia? Poprawiać poduszki? Zachęcić do zajęcia miejsca na kanapie, fotelu, przy stole? Nie mogła tylko milczeć. Cisza była najgorsza. Co do tego akurat miała pewność.

– Lubiłam – odpowiedziała Ela. – Niewiele jest takich dzielnych dziewczyn. Zdolnych. Ona wiedziała, czego chciała.

– Czego?

– Czegoś więcej. I była zdeterminowana, żeby to zdobyć. Dlatego nie wierzę w te bajki o samobójstwie. Ona by tego nie zrobiła. Nigdy.

– Wypadek?

– Może... – To ostatnie słowo Ela wypowiedziała ledwo słyszalnym szeptem.

– Podobno spodziewała się dziecka.

Ela wyprostowała się gwałtownie. W jej oczach pojawił się groźny błysk.

– Kto ci to powiedział?! – zapytała ostro.

– Dyrektorka... To znaczy trzeba to jeszcze potwierdzić. Na... na sekcji.

Żałowała już, że powiedziała o domniemanej ciąży. Ela robi z tego awanturę, a dyrektorka zdradziła jej to w sekrecie. Klementyna straci pracę. Dlaczego jest taka głupia? Dlaczego nie potrafi trzymać języka za zębami? Dlaczego w ogóle zgodziła się, żeby Ela do niej przyszła? Żle jej tu samej z własnymi myślami?

– Nie wiem, czy to jest prawda – dokończyła, żeby ratować sytuację.

– Ale dyrektorka tak powiedziała? – upewniła się Ela.

– Tak.

– Głupia kurwa.

Przekleństwo w ustach koleżanki zabrzmiało tak mocno, z taką nienawiścią, że Klementynie aż odebrało dech.

– Ona nic nie rozumie. Ona nic nie wie – mówiła Ela jak w transie. – Jest smutną babą, która wszystkich nienawidzi, która zaraz się zestarzeje, wszyscy ją porzucą i umrze, kurwa, samotnie. I dobrze jej tak.

Zamilkła. Wypiła niemal połowę szklanki wina. Nagle coś się w niej zmieniło. Rozejrzała się dookoła, w jej oczach pojawiła się panika. Podniosła dłoń do ust.

– Chryste... – jęknęła. – Przepraszam. Nie chciałam, żebyś pomyślała...

– W porządku – przerwała Klementyna. – Zdarza się.

– Chodziło mi o nią. Nie o ciebie.

– Wiem.

Ela bezradnie opuściła ramiona.

– Ja też jestem sama – powiedziała nieoczekiwanie.

Klementyna pokręciła głową.

– Masz męża.

– Jakbym go nie miała. – Ela odetchnęła głęboko. – Zapalimy? – zapytała.

Klementyna sięgnęła po paczkę. Specjalnie na przyjęcie koleżanki wykosztowała się i kupiła cienkie vogi. Takie, jak tamta lubiła. Już sięgała do klamki drzwi balkonowych, kiedy zdała sobie sprawę, że na dworze jest zimno. Wyganianie Eli na zewnątrz byłoby nieuprzejme. Zostały więc w mieszkaniu, ale kiedy Klementyna zapalała papierosa, drżały jej ręce. Spodziewała się, że zaraz usłyszy dochodzący z kąta krzyk matki, złej, bo właśnie złamała jeden ze świętych zakazów.

– Byłaś kiedyś zamężna? – zapytała Ela. – Przepraszam, jeśli wsadzam nos w nie swoje sprawy.

– Byłam.

– Długo?

– Kilka lat.

– Co się stało?

– Nie wiem. Słabo pamiętam. Chyba po prostu przestaliśmy się kochać.

Żyliśmy w dziwnych czasach.

– Dzieci?

– Nigdy nie miałam.

– Żałujesz?

Klementyna pozwoliła, żeby papierosowy dym masował jej płuca. Zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią i nad tym, co się tutaj dzieje. Normalnie gdyby ktoś próbował dowiedzieć się o niej takich intymnych rzeczy, dawno by uciekła. Ale Ela zadawała te pytania z taką troską, niemal miłością, że Klementyna czuła się bezpiecznie. I pojawiła się w niej wdzięczność, że może wypluć z siebie przynajmniej część cierni, które w niej tkwią.

– Tak. Każdego dnia – powiedziała.

– To boli.

– Strasznie. Czasami myślę, że zmarnowałam swoje życie. Nie, nie myślę. Ja wiem. Zmarnowałam je.

– Nie mów tak. Nie jesteś jeszcze aż tak stara.

– Jestem starsza, niż myślisz.

Ela dopiła swoje wino. Zapytała, czy coś jeszcze zostało. Zostało. Klementyna napełniła jej szklanke. Polonistka upiła dwa łyki.

– Nie mogę mieć dzieci – odezwała się po chwili.

– Przykro mi.

– Kiedyś mogłam – ciągnęła. – Zaszłam w ciążę. To miała być dziewczynka. Wracałam w nocy do domu. Potrącił mnie samochód. Na pasach. Facet po prostu mnie nie zauważył. Nie wiem jak. Może gadał przez telefon albo... był po prostu zmęczony. Poroniłam. Od tego czasu – wskazała dłonią na swoje podbrzusze – nic tutaj nie działa.

– Dlaczego?

– Lekarze mówią, że nie ma żadnych medycznych przeciwwskazań. Że to bariera psychologiczna – prychnęła gniewnie i dodała: – Gówna prawda.

– Może to twój mąż?

– Badał się wiele razy. Jest zdrowy. Mógłby zapłodnić każdą kobietę w tym mieście. Każdą oprócz mnie. Bariera psychologiczna.

W oczach Eli pojawiły się łzy. Starła je wierzchem dłoni.

– Który to był miesiąc?

– Szósty. Wszystko miało być dobrze. Wybraliśmy nawet imię.

Klementyna nie zapytała jakie. Wydawało się jej, że posunęłyby się za daleko.

– Od tego czasu nic się nie udaje – mówiła Ela. – Chyba dobrze to ujęłaś. Przestaliśmy się kochać.

– Może wszystko będzie jeszcze dobrze? Twoje ciało potrzebuje czasu.

– To wydarzyło się cztery lata temu. Ile moje ciało może jeszcze potrzebować? – zapytała i parsknęła gorzkim śmiechem. – Jestem zepsuta. Nic już nie będzie dobrze.

Nagle Klementyna pomyślała, że Ela wcale nie przyszła tutaj porozmawiać o Marysi. Nie potrzebowała żadnego wsparcia ani koleżanki. Po prostu chciała zobaczyć, jak będzie wyglądać jej życie za dwadzieścia, trzydzieści lat. Klementyna była jej przyszłością. Zwierciadłem czasu, w którym mogła się przejrzeć. Dokładnie obejrzeć swoje nadchodzące nieszczęście.

– Klementyna?

– Tak?

– Jeśli Marysia naprawdę spodziewała się dziecka, dowiem się, kto to zrobił – powiedziała Ela.

Klementyna kiwnęła głową. Wiedziała, że tak właśnie się stanie. Ela się dowie. A potem rozpęta się piekło.

PRZERWA

Czasami w nocy poci się ze strachu. Atakuje ją przeczucie, że zrobiła coś złego. A może nie zrobiła czegoś dobrego. O czymś zapomniała albo sobie nie przypomniała. Nie dopilnowała. Nie zapytała. Nie odpowiedziała. W każdym razie wydarzyło się coś, za co czeka ją kara.

Leży więc w łóżku, już całe ciało ją boli, jakby reagowało na niezadane jeszcze ciosy, i gorączkowo próbuje sobie przypomnieć, co to takiego było. To sen, więc nie jest w stanie tego zrozumieć. Nie myśli jasno. W ogóle nie myśli. Ale próbuje i próbuje. Bo kiedy wreszcie otworzą się drzwi od pokoju, kiedy potwór stanie u wezgłowia jej łóżka, kiedy w jego dłoni zakołysze się pas ze sprzączką, to zapyta:

– Czy wiesz, dlaczego tutaj jestem?

Od odpowiedzi na to pytanie wiele zależy. Jeśli będzie wiedziała, bicie aż tak nie zaboli. Czasami, jeśli ma szczęście, pasek spada na kołdrę. Wtedy prawie nic nie czuć. Ale jeśli nie zna odpowiedzi, jest strasznie. Potwór pyta raz za razem. Domaga się wyjaśnień, spowiedzi, przyznania się do winy. Ona chce się przyznać, tylko nie wie do czego. Wymyśla więc coś w nadziei, że zgadnie, że uśmierzy ten straszny gniew, jednak to się nigdy nie udaje. Zaczynają się krzyki. Krzyczy ona, krzyczy potwór, pasek wędruje w górę i w dół, sprzączka wbija się w jej ciało.

Ale jeszcze nie teraz.

Ciągle jeszcze leży w łóżku. Ciągle jeszcze czeka. Ciągle jeszcze ma nadzieję, że przypomni sobie, co zrobiła dzisiaj nie tak. Że obłaskawi potwora.

Jakby to kiedykolwiek jej się udało.

Pozostaje więc czekanie. Wskazówki zegara z każdą sekundą wbijają się coraz głębiej w skórę. Myśli parzą intensywnością. Ona nagle, zupełnie bezwolnie, zamiast szukać odpowiedzi, zaczyna sobie wyobrażać to, co się stanie. Zupełnie nie potrafi nad tym zapanować. Nad tymi obrazami potwora z paskiem w dłoniach.

Jakby śniła we śnie. Jeśli to w ogóle możliwe.

A potem słyszy, widzi, może czuje, jak otwierają się drzwi od pokoju. Jak pojawia się przy niej potwór. Wie, że zaraz się zacznie. I tak naprawdę czuje

tylko ulgę. Bo wreszcie skończy się ta straszna tortura czekania.

Z tym poczuciem ulgi budzi się u siebie w łóżku. Nie jest już dzieckiem. Jest starszą, samotną kobietą.

Ta ulga jest gorsza od strachu. Może nawet od bólu. Bo graniczy z wdzięcznością.

Klementyna na wpół zsuwa się, na wpół wstaje z łóżka. Zatacza się w ciemności, jakby była pijana, aż wreszcie trafia do łazienki. Czasami tam wymiotuje. Czasami po prostu siedzi z opuszczonymi do kostki majtkami na zimnym sedesie i chowa twarz w dłoniach.

LEKCJA TRZECIA

1

Ela znowu ubrała się na czarno. Z pewną satysfakcją stwierdziła, że nie jest jedyna. Oprócz niej w czarnym stroju przyszło do szkoły jeszcze troje nauczycieli. Geografka, biolożka i jeden z wuefistów. Chociaż on wybrał dość bezpieczną opcję, bo pod ciemny dres włożył białą koszulkę. Jakby co, zawsze będzie mógł się jakoś wytłumaczyć. Ale i tak ten gest poprawił jej trochę humor.

Tego dnia była bardzo rozkojarzona. Miała lekkiego kaca. Za dużo wypła wina u Klementyny, a po powrocie do domu doprawiła jeszcze wódką z sokiem. Bartek ją na tym przyłapał. Akurat wychodził z sypialni do łazienki. Przystanął i patrzył, jak przygotowuje sobie drinka. Zapytała, czy też chce jednego. Pokręcił przecząco głową. Wysikał się i wrócił spać. Nie zainteresował się, dlaczego pije w środku tygodnia. Nie pytał, gdzie i z kim się spotkała. Jego brak zainteresowania sprawił, że ścisnęło się jej serce. Zamknęła się potem w łazience i płakała, siedząc ze szklanką w dłoni na brzegu pustej wanny.

Dała dzieciakom jakiś test z gramatyki do rozwiązywania i od razu uspokoiła, że to nie na ocenę, ale po to, by sami sprawdzili swoją wiedzę. Totalnie jej nie zależało, więc gdy Tomek, rezolutny blondyn, którego ojciec dorobił się na sprzedaży i produkcji dachówek, zapytał, czy mogą korzystać z podręczników, tylko skinęła głową. Bo w sumie czemu, kurwa, nie?

Na przerwie złapał ją Michał. Poprosił oficjalnym tonem o rozmowę. Zgodziła się, a kiedy nachylił się nad nią i zasugerował spokojniejsze, bardziej dyskretne miejsce, zaprowadziła go do jedyne go pomieszczenia, gdzie mogli liczyć na jakikolwiek spokój – do nauczycielskiej toalety. Wchodząc tam, pomyślała, że nabawiła się odruchu Pawłowa, bo od razu zachciało jej się palić. Michał sprawdził, czy nikogo nie ma w kabinach. Kiedy upewnił się, że są sami, lekko się odprężył.

– Chciałem cię przeprosić – zaczął cicho, patrząc w bok, a nie na nią – za to, jak się ostatnio zachowałem.

– Za to, że próbowałeś mi siłą wsadzić kutasa do ust? – zapytała niby

obojętnym tonem, równocześnie zła na siebie, że nie powiedziała tego, co powinna powiedzieć. Że jej usta nie potrafiły wymówić tego słowa: „gwałt”.

– Przepraszam – powtórzył, chwytając się za kark. – Ela... Przechodzę teraz ciężki okres.

– Chryste! – jęknęła. – Możemy to sobie darować.

– Ale ja staram ci się wytłumaczyć...

– Co takiego?!

Powiedziała to za głośno. Krzyknęła właściwie. Oboje strzelili oczami w stronę drzwi toalety. Bali się, że ktoś zajrzy do środka, będzie chciał sprawdzić, co się tutaj dzieje. Jednak ze szkolnego korytarza dobiegały zwyczajne odgłosy – biegające dzieciaki, chichoty.

– Mam dużo stresów. W innych interesach dzieje się... różnie. Robię teraz jedną ryzykowną transakcję. W domu wiesz, jak jest. A do tego ta szkoła. Czasami wydaje mi się, że mi głowa pęknie.

– I to daje ci prawo, żeby przyjeżdżać pod mój dom i...

– Chciałem się odstresować.

– W taki sposób? Trzeba było sobie z bungee skoczyć. Najlepiej bez liny.

– To miała być zabawa. Sądziłem, że zrozumiesz.

Aż ją zatkało z oburzenia.

– Chyba sobie żartujesz – powiedziała wreszcie. – Teraz będziesz mi wmawiać, że to moja wina? Że nie zrozumiałam twojej zabawy?

– Przecież nic się nie stało.

Jeśli zaraz nie zapali, oszaleje, pomyślała, jednak nie zamierzała tego robić przy nim. Tylko by się odsłoniła. Pokazała, jak to wszystko ją boli i dręczy.

– Masz rację – odparła. – Nic się nie stało.

Chciała wyjść. Kiedy przechodziła obok, chwycił ją za ramię. Spojrzała na niego w taki sposób, że natychmiast puścił. Doszła do wniosku, że w sumie straszny z niego tchórz.

– Przeprosiłem – zauważył.

– Słyszałam.

Chwyciła za kłamkę, ale znowu ją powstrzymał.

– Tak?

– Czy mogę wyjść pierwszy? – zapytał. – A ty byś wyszła trochę po mnie. Najlepiej już po dzwonku. Jeśli ktoś zobaczy, że wychodzimy razem z toalety, może sobie coś pomyśleć.

– Na przykład że się pieprzymy? – Nie potrafiła się powstrzymać.

– Na przykład.

– No to się nie martw. Bo my się nie pieprzymy.

Wyszła pierwsza, zostawiając go w tej łazience samego. Nawet przez chwilę zastanawiała się, czy faktycznie siedział w tej łazience, czekając na koniec przerwy. Wydało jej się to zabawne i trochę polepszyło humor. Nieznacznie, ale jednak.

Potem pomyślała o Marysi i tej domniemanej ciąży. Najpierw w to nie uwierzyła, jednak teraz uznała za prawdopodobne. Przypomniała sobie nowy plecak, buty i ozdoby, które od pewnego czasu Marysia zaczęła nosić. Przecież Ela już wcześniej zwróciła na to uwagę. Zastanawiała się raz, drugi, skąd dziewczyna ma na to pieniądze, i teraz poczuła złość na samą siebie, że nie drażyła tego tematu.

Dziewczyny w takim wieku jak Marysia chcą się podobać. Sobie, innym dziewczynom, chłopcom. Wyglądać jak cała reszta. Ona nie mogła. Nie pasowała do tej szkoły. To rodziło kompleksy. Zawsze je miała, chociaż starannie ukrywała. Jeśli spotkała na swojej drodze kogoś, kto dawał jej prezenty za... Ela nie znalazła w sobie dość śmiałości, żeby dokończyć tę myśl. Powtarzała sobie tylko, że Marysia nie była taka. Nigdy by się na to nie zgodziła. Ale miała nowe rzeczy. Opuściła się w nauce. Zaszła w ciążę. Wszystko się układało w jedną logiczną całość. Poznała mężczyznę. Mężczyznę, który dawał drogie prezenty za seks. Mężczyznę, który ją zapłodnił. Mężczyznę, przez którego się zabiła.

Ela poczuła, że coś ściska jej wnętrzności. Wzbierał w niej płacz. Pomyślała, że strasznie zawiodła Marysię. Że i ona odpowiada za to, co się stało. Częściowo, ale jednak zawiniła. Wolała przemykać oczy, nie zadawać krępujących pytań, żeby tylko mieć spokój.

Zadzwoił dzwonek na przerwę.

– Proszę zostawić testy na moim biurku! – powiedziała, kiedy uczniowie zaczęli zbierać swoje rzeczy. Przypomniała sobie również, że nie zebrała od

nich zadań domowych. – Połóżcie mi też swoje wypracowania! Wypracowania na jednej kupce, testy na drugiej!

Rozczarowanie rozlało się po ich twarzach. Byli przekonani, że zapomniała o pracy domowej. Niechętnie sięgnęli do plecaków, zaczęli wyjmować przygotowane wcześniej rozprawki. Kładli je obok testów.

Gniewomir odłożył swoją pracę jako ostatni. Zauważyła, że testów prawie nie wypełnił. Może tylko kilka punktów. Nie zdziwiło jej to. Niczego innego się po nim nie spodziewała. Spojrzała na kartkę z jego wypracowaniem. Złożył ją na pół i choć nie miała pewności, co jest w środku, domyślała się. Chwyciła go za przegub i przytrzymała. Chłopak pobladł i już wiedziała, że trafiła. Poczekala, aż inni uczniowie wyjdą.

– To twoje wypracowanie? – zapytała, pokazując kartkę, kiedy zostali sami.

Kiwnął głową na znak, że tak.

– Jesteś pewien?

Dawała mu szansę, by się wycofał. Skłamał, że się pomylił, zapomniał odrobić pracę domową i podłożył coś innego. Cokolwiek. Był za głupi, żeby to dostrzec. Powtórnie kiwnął głową.

– Zobaczymy, co jest w środku?

Nie zareagował w żaden sposób. Po prostu patrzył na nią tępo. Rozłożyła kartkę. Wewnątrz znalazła kolejną serię wulgarnych, pornograficznych rysunków z nią w roli głównej. Podsunęła ją Gniewomirowi pod sam nos.

– Co ja o tym mówiłam?! Co ja o tym mówiłam?! Rozmawialiśmy o tym ostatnio! O tych świństwach!

Milczał.

– Nic nie powiesz?! Nic nie powiesz na ten temat?! Taki jesteś odważny tylko na rysunkach, co?! W normalnym życiu nic nie powiesz?! Tylko rysować potrafisz, zboczeńcu jeden?!

Ciągle milczał. I pomyślała, że to milczenie ją obraża. Bardziej niż Michał, który po pijaku próbował ją zgwałcić w aucie pod blokiem, bardziej niż mąż, który ledwo na nią spogląda, kiedy wraca do domu, bardziej niż ten facet, który wykorzystał piętnastoletnią dziewczynkę. Wszystko się rozmyło. Nie wiedziała, co się dzieje. Najpierw usłyszała kłaśnięcie, a dopiero później ujrzała swoją rękę uderzającą Gniewomira prosto w twarz. Zaskoczony chłopak jęknął,

prawie się przewrócił i cofnął o kilka kroków. Na jego rozciętej wardze pojawiła się krew. Jej kropelki Ela dostrzegła na swojej otwartej dłoni. Powinna czuć teraz wstyd, że straciła nad sobą panowanie. Powinna go przeprosić. Powinna przynajmniej się przestraszyć. Ale odczuwała tylko rosnącą z każdą sekundą satysfakcję.

– Idź już – powiedziała. – A jeśli jeszcze raz przyniesiesz mi coś takiego – potrząsnęła kartką – to wierz mi, na jednym plaskaczu się nie skończy.

Gniewomir pociągnął nosem. Poprawił plecak na ramieniu i szurając nogami, wyszedł z klasy. Nie była pewna, czy dotarło do niego cokolwiek z tego, co mu powiedziała.

2

Klementyna została wezwana do dyrektorki. Zrobiono to w tak oficjalny sposób, że musiało chodzić o coś złego. W pokoju nauczycielskim na początku długiej przerwy pojawiła się jedna z sekretarek. Wywołała ją, tak jak się wywołuje ucznia z klasy, głośno, by wszyscy słyszeli – pani dyrektor chce się z nią pilnie zobaczyć. Klementyna wiedziała, że nauczyciele zaraz zaczną plotkować na jej temat. Ale bardzo cicho, by nie wyłapał tego domniemany podsłuch.

Zrobiła w myślach szybki rachunek sumienia. Jeśli chodzi o pracę w szkole, nie było czego się czepiać. Lekcje przygotowywała dobrze, chociaż kosztowało ją to dużo wysiłku. Całe popołudnia i wieczory, z wyjątkiem wczorajszego, kiedy wpadła do niej Ela, spędzała obłożona podręcznikami, podstawą programową, śledząc fora nauczycielskie i przeglądając pedagogiczne wytyczne dotyczące pracy z uczniami podstawówek. Nigdy się nie spóźniła. Dzieciaki wydawały się zadowolone i nikomu nie wystawiła jeszcze złej oceny. Chyba że zła ocena to trójka, bo kilka osób już ją złapało. Ale nie chciało jej się wierzyć, że mogło chodzić o coś tak banalnego.

Idąc za sekretarką szkolnym korytarzem, walczyła z lękiem i wyzwalanymi przez niego fizjologicznymi objawami. Przyspieszony oddech, mocne bicie serca, skurcze żołądka, potliwość. Co odkryła dyrektorka? Kłamstwa w CV Klementyny? Prawdę o przeszłości? O tym, co wtedy się wydarzyło? Co się z nią działo przez te wszystkie lata?

Zakręciło jej się w głowie. Chciała poprosić sekretarkę, żeby się zatrzymały na moment, ale nie mogła wydusić z siebie słowa. Dlatego po prostu szła – krok za krokiem w stronę czekającego na nią szafotu.

Dyrektorka uśmiechnęła się szeroko na jej widok. Poderwała się zza biurka, niemalże do niej podbiegła i otoczyła czule ramieniem.

– Pani Klementyno! Udało się panią złapać! To FAN-TAS-TYCZ-NIE! – wykrzyknęła. – Może coś do picia pani podać?! Kawy, herbaty, wody?

– Wody – zdołała wykrztusić.

Teraz już zupełnie nie wiedziała, co się dzieje. Spodziewała się najgorszego, co najmniej zwolnienia z pracy. Wybuch entuzjazmu, z jakim powitała ją dyrektorka, dawał wyraźnie do zrozumienia, że wszystkie sekrety Klementyny są bezpieczne. Zamiast ulgi jednak spłynęła na nią kolejna fala niepokoju.

– Wody! Wody! Oczywiście, że wody! Kochane, dajcie pani Klementynie wody!

Po chwili ta sama sekretarka przyniosła wysoką, wąską szklanekę. Klementyna natychmiast wypila dwa duże łyki, a potem lekko się spieszyła, bo pomyślała, że to niegrzeczne tak pić naprzeciwko przełożonego, i do tego w taki łapczywy, gwałtowny sposób. A potem rozżościła się na siebie, bo znowu zachowywała się jak chodząca kupka kompleksów.

– Pani usiądzie, pani Klementyno, dobrze?

Skorzystała z propozycji. Dyrektorka tym razem nie wróciła za swoje wielkie biurko. Najpierw zamknęła drzwi od gabinetu, prosząc, żeby nikt im nie przeszkadzał, a potem wzięła jedno z krzeseł stojących pod ścianą, przysunęła do nauczycielki i dopiero wtedy usiadła. Znajdowały się tak blisko siebie, że niemal stykały się kolanami.

– Przede wszystkim chciałam panią przeprosić, pani Klementyno.

Klementyna była tak zaskoczona, że niemal zakrztusiła się wodą. Musiała odwrócić głowę na bok, żeby dyskretnie odkaszlnąć.

– Ale ja nie wiem za co.

– Zarządzanie szkołą zajmuje mi bardzo dużo czasu. Mamy mnóstwo papierkowej roboty, teraz wydarzyło się jeszcze to nieszczęście... Sama pani rozumie, miałam zupełnie zajęta głowę.

– Rozumiem, pani dyrektor.

– Pani Klementyno, prosiłam tyle razy, żeby pani sobie darowała tę panią dyrektor. Jestem Zofia.

– Dobrze.

– Niemniej chciałam panią przeprosić, że do tej pory nie znalazłam dla pani czasu. Jest pani tutaj nowa, a moim obowiązkiem jako dyrektorki jest pomóc pani się tutaj zaadaptować. Szczęśliwy nauczyciel, nauczyciel zadowolony to dobry nauczyciel. Zawsze to powtarzam. No to, pani Klementyno, jak się pani pracuje u nas w szkole? – zapytała dyrektorka.

– Bardzo dobrze.

– Nie pojawiły się żadne problemy, wątpliwości?

– Nie – bąknęła, a potem, ponieważ wydawało jej się, że tamta oczekuje bardziej rozbudowanych odpowiedzi, dodała: – Żadnych. Wszystko znakomicie się układa.

– A dzieci? Co pani sądzi o naszych dzieciach?

– Miłe. Dobrze wychowane. Zdolne. Trochę zagubione.

Dyrektorka napięła się jak struna.

– Co ma pani na myśli?

Klementyna pożałowała, że powiedziała o te dwa słowa za dużo. Szczególnie że sama nie do końca wiedziała, o co jej chodzi.

– Są tacy... – szukała w głowie odpowiednich słów, by wybrnąć z tej sytuacji.
– Jakby za mgłą. Samotni.

– Samotni – powtórzyła za nią dyrektorka. – Bardzo przykładamy się w szkole do socjalizacji młodych ludzi. Dbamy o to, żeby zdobywali odpowiednie umiejętności społeczne. Integrowali się w grupach.

Klementyna słyszała o tych wszystkich zajęciach od Eli. Spotkania z pedagogiem, warsztaty, miniwykłady, rozmowy, mediacje, kiedy tylko w klasie pojawia się najmniejszy konflikt. Ela miała na ten temat swoje zdanie. Mówiła, gestykulując przy tym energicznie, że to za dużo. Że czasami dzieci trzeba pozostawić samym sobie. Pozwolić im się pokłócić, powarczeć, samodzielnie nawiązywać przyjaźnie i je zrywać. Obrażać się i godzić. Tymczasem nikt w szkole najwyraźniej tego nie rozumiał. Chciano za to na siłę zadbać, żeby wszystkie dzieci były szczęśliwe, zadowolone i zaprzyjaźnione. Żeby nigdy nie dochodziło do żadnych starć i spięć. W efekcie, według Eli, dzieciaki nieustannie udawały. Uśmiechnięte i serdeczne, ale tak naprawdę wszystkie żyły jakby obok siebie. Nie widziała żadnych wielkich przyjaźni, żadnej serdeczności, tylko przedstawienie odgrywane przed dorosłymi, żeby ci dali im spokój. Klementyna z grzeczności zgadzała się z koleżanką. Sama nie wierzyła jednak, że pomiędzy dziećmiakami nie nawiązały się żadne więzi. Po prostu starannie je ukrywano. Jeśli miałyby nazwać uczucie dominujące w klasach, powiedziałyby, że to obojętność.

– Takie mam odczucie. Ale mogę się mylić. Te dzieci... – zastanawiała się, co

powiedzieć, by zakończyć ten niezręczny temat – są bardzo skupione na nauce.

Trafiła, bo dyrektorka pokiwała głową z aprobatą i dodała:

– Tak. A oprócz szkoły mają jeszcze zajęcia dodatkowe. Sport, szachy, kółka zainteresowań. Mogą być zmęczone. Po prostu zmęczone, dlatego sprawiają takie wrażenie.

– Rzeczywiście.

Dyrektorka poprawiła spódnicę i nachyliła się do Klementyny. Ta podskórnie poczuła, że zbliża się właściwy moment. Że cała ta rozmowa, uśmiechy, ociekający troską głos to tylko zasłona dymna ukrywająca prawdziwy cel spotkania. Zaraz dowie się, dlaczego została tu wezwana.

– A jak pani koledzy? Koleżanki?

– Chodzi o innych nauczycieli?

– Tak. Bo widzi pani, pani Klementyno, bardzo zależy mi na tym, żebyśmy mieli tu w szkole taki fajny, zgrany zespół. Zespół ludzi, którzy mogą sobie ufać i na sobie polegać. Jak pani to widzi? Jako osoba nowa? Prawie z zewnątrz, jeśli mogę tak powiedzieć?

– To znaczy... – Klementyna odetchnęła. Nie chciała znowu wpakować się na żadną minę. Zamierzała powiedzieć dokładnie to, co tamta chciała usłyszeć. – Wszystko jest w porządku. Wszyscy są mili. Pomagają mi. Jestem zadowolona. Bardzo zgrany zespół.

– To znakomicie. Znakomicie. Żadnych uwag?

– Żadnych, pani Zofio.

Dyrektorka pokiwała głową, jakby nad czymś się zastanawiała.

– To tak wygląda tylko z zewnątrz – odezwała się cicho, jakby zdradzała jej wielki sekret. – My też mamy swoje problemy. Swoje... niesnaski.

– Nie zauważyłam.

– Pani chyba zaprzyjaźniła się z panią Elą, prawda? Nauczycielką od polskiego?

– Eee... Nie wiem, czy zaprzyjaźniłam. Znamy się. Trochę rozmawiałyśmy.

– Inni nauczyciele twierdzą, że spędzacie sporo czasu razem. Znikacie gdzieś na przerwach...

Papierosy, pomyślała Klementyna. To o to chodziło. Ktoś zdradził ich mały

sekret o paleniu w ubikacji. A jednak będzie miała kłopoty, chociaż za popalenie w ubikacji dyrektorka nie może ich przecież zwolnić. Aż tak źle nie będzie.

– Spacerujemy – skłamała.

– Rozumiem. Nie mam nic przeciwko. Co prawda, spacerujecie panie w godzinach pracy, za które ja płacę, ale też rozumiem, że przerwa, o ile nie macie panie dyżuru, jest również dla nauczycieli.

– Chyba tak.

– Nie jestem tylko pewna, czy pani Ela to dla pani dobre towarzystwo – rzuciła dyrektorka. – Pani Klementyno, będę zupełnie szczerą. Tak na sto procent. I oczekuję podobnej szczerości, dobrze?

– Dobrze.

– Pani Ela nie do końca pasuje do naszej szkoły. Do filozofii, którą tutaj wyznajemy. Naszych wartości, które staramy się wpoić uczniom, nim wypuścimy ich w ten wielki, groźny świat. Krótko mówiąc, nie jestem do końca zadowolona z jej pracy.

– Przykro mi. Wiem, że Ela bardzo się stara...

Dyrektorka przerwała Klementynie ruchem ręki.

– Powiem wprost. Pani Ela jest bardzo blisko otrzymania wypowiedzenia. Być może będę zmuszona się z nią pożegnać. Nie chcę tego robić, bo, przyznaję, ma zalety jako nauczycielka, ale może zajść taka konieczność. Pani Ela jest bowiem osobą bardzo niezależną, co czasami bywa zaletą, ale bywa też wadą.

– Tak.

– Dlatego mam do pani prośbę, pani Klementyno. – Dyrektorka chwyciła nauczycielkę za dłoń i lekko ścisnęła. – Jest pani przyjaciółką pani Eli. Jeśli dowie się pani podczas waszych spacerów, rozmów, że pani Ela chce zrobić coś, co mogłoby zaszkodzić szkole lub naszym uczniom, snuje jakieś plany, bardzo proszę mi o tym powiedzieć. Chciałabym wiedzieć, czy ma negatywne nastawienie, złe myśli w stosunku do naszej placówki. Chciałabym wiedzieć wcześniej. Żeby móc zareagować. Żeby nie musieć posuwać się do ostateczności, jaką byłoby zwolnienie pani Eli. Czy pani mnie rozumie, pani Klementyno?

Rozumiała doskonale. Miała zostać kapusiem. Dostawała już takie propozycje wcześniej. W mniej zawołowany sposób i obarczone większym ryzykiem, gdyby ta rola wyszła na jaw. Pomyślała, że znalazła się w pułapce. Ta praca, ten etat, jej jedyne źródło utrzymania. Nie miała innego wyjścia.

– Oczywiście – odparła. – Jeśli tylko coś usłyszę, czegoś się dowiem, od razu pani powiem.

Dyrektorka uśmiechnęła się szeroko. Poklepała ją protekcyjnie po dłoni.

– Znakomicie. Wiedziałam, że my dwie od razu się dogadamy. Dziękuję pani bardzo.

– Tak.

– I proszę pamiętać o jednym, pani Klementyno. Obie chcemy pomóc pani Eli, a nie jej zaszkodzić. Pani to rozumie?

– Oczywiście.

Pomyślała, że wiele lat temu użyto wobec niej tych samych argumentów. Chcemy tylko pomóc, mówili. Kłamali, tak jak kłamała teraz dyrektorka. I Klementyna o tym wiedziała. Ale wtedy też się zgodziła.

3

Sławomir siedział na kanapie w mieszkaniu matki, które kiedyś było ich wspólnym lokum, ale potem rodzice się rozwiedli, a jeszcze później on sam stąd uciekł. Skakał pilotem po kanałach. Skórzaną kanapę, niegdyś śnieżnobiałą, wiele lat temu, chyba jeszcze przed narodzeniem się Gniewomira, sprowadził ojciec przez jakiegoś zagranicznego dilerę. Sławek pamiętał, jak oczy mu błyszczały, kiedy opowiadał o włoskiej skórze, ręcznej robocie, nienagannie wykonanych detalach. I jak cały się trząsał, kiedy Sławek siadał na kanapie z kubkiem herbaty, kawy, miską lodów lub ciastkiem czekoladowym. Oczy ojca bacznie go śledziły. Jeśli tylko pojawiło się najmniejsze zagrożenie, że kropla lub okruszek spadną na śnieżnobiałą skórę, wydzierał się na całe gardło i przeganiał syna do jego pokoju.

Kanapa stanowiła oczywiście symbol materialnego statusu. Tak jak samochód, mieszkanie, kochanki. Nawet rozwód. Ojciec wyprawił z tej okazji wielką imprezę, niby chciał świętować powrót do wolności, ale tak naprawdę pochwalić się wszystkim dookoła, że już go na to stać. Że jest na tyle bogaty i wpływowy, by oddać byłej żonie kawał majątku, a do tego co miesiąc płacić jej kilkunastotysięczne alimenty.

Chyba oboje byli zadowoleni po rozstaniu. Ojciec, bo mógł zupełnie bezkarnie uganiać się za młodszymi kobietami i zrzucić na matkę opiekę nad dziećmi, matka, bo w końcu osiągnęła swój życiowy cel – dostawała kupę kasy za nic. A może, co równie prawdopodobne, te lata małżeństwa z ojcem tak ją wymęczyły, że teraz potrafiła tylko wydawać tysiące złotych w salonach piękności i spotykać się z coraz to nowymi kochankami. Z których, jak Sławomir podejrzewał, przynajmniej kilku napuścił na nią ojciec. Wyłudzała od niej drogie gadzety, ciuchy, pieniądze i znikali w momencie, kiedy kupowała im nowy samochód. Sławomir wiedział, że zdarzyło się to co najmniej dwa razy.

Ojciec zaś znalazł sobie nowy sposób, by popisywać się bogactwem przed znajomymi. Zaczął zbierać obrazy. Nie znał się na sztuce ani jej nie rozumiał. Chodziło tylko o to, by pokazać, że stać go na wydanie kilkudziesięciu tysięcy

na oprawiony w złoconą ramę pejzaż. Gardził oczywiście wszystkim, co kojarzyło mu się z nowoczesną sztuką. Kupował samych przedwojennych mistrzów.

Przełączył kanał i trafił na średnio interesujący program motoryzacyjny. Przez chwilę oglądał z nudów. Potem wstał, poszedł do kuchni i nalał sobie wody z kranu. Wypił duszkiem, odstawił szklanekę i wrócił na kanapę. Kiedy usiadł, a skóra zatrzeszczała pod jego ciałem, mimowolnie się uśmiechnął. Chociaż minęło tyle lat, on ciągle bał się tutaj przychodzić nawet ze szklanką wody. I to pomimo tego, że biel zniknęła, ustępując brudnej szarości, urozmaiconej szkarłatnymi plamami po rozlanym winie, ciemniejszymi tłustymi smugami po słodyczach i kilkoma przetarciami. Sławomir pomyślał, że ojciec dobrze go wytresował.

Usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Westchnął z ulgą. Wyłączył telewizor, wstał z kanapy i skrzyżował ręce na piersiach. Czekał. Matka w czerwonych wysokich szpilkach, krótkiej spódnicy i skórzanej kurtce wparowała do środka i przystanęła, zaskoczona jego widokiem. Makijaż pewnie w zamierzeniu miał ją odmładzać, ale tak naprawdę postarzał o co najmniej dziesięć lat. Zbyt mocny, zbyt demonstracyjny, jak krzyk zdesperowanej kobiety.

– Sławek?! A co ty tu robisz?

– Przywiozłem Gniewka, pamiętasz? Dzisiaj twoja kolej, by go odebrać ode mnie i zawieźć na terapię, bo ja nie mogę. Jadę do pracy.

Matka zrobiła zmartwioną minę.

– No ja też nie mogę – powiedziała. – Jestem umówiona na spotkanie.

– Z kim?

– Z takim jednym... – Zauważyła grymas gniewu na jego twarzy i zaraz się poprawiła: – Z taką jedną koleżanką.

– Po co?

Prychnęła i postanowiła przejść do kontrataku.

– A to nie twój interes. Co to jest? Przesłuchanie? Jeśli dobrze pamiętam, to ja tu jestem twoją matką, a nie ty moją, więc wiesz... No! – Pogroziła mu palcem, jakby mogło zrobić to na nim jakiegokolwiek wrażenie, a potem potrząsnęła blond lokami. – Przykro mi, że musisz zmienić swoje plany, ale ty go zawieziesz na terapię. Ja nie mogę – powtórzyła.

– To i tak nie ma znaczenia, bo terapia rozpoczęła się pół godziny temu.

Przez chwilę wyglądała jak dziecko zagubione w centrum handlowym. Wielkie oczy i niepewny wzrok. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie fakt, że miał przed sobą dorosłą kobietę sprawującą opiekę nad niepełnoletnim chłopcem.

– To jaki właściwie jest problem? – zapytała wreszcie z rozbijającą szczerością.

Sławomir poczuł się nagle bardzo zmęczony, bardzo słaby i bardzo, ale to bardzo zły.

– Problem jest taki, że tylko ja zajmuję się Gniewkiem. Tylko ja wożę go na terapię. Tylko ja zabieram go ze szkoły. Tylko ja dbam o to, żeby odrobił lekcje, pilnuję, żeby dostawał jako takie oceny! A ja mam swoje życie i swoją pracę. Taki jest problem!

– Pretensje zgłaszaj ojcu – odburknęła.

– Pretensje zgłaszam tobie! To jest twój obowiązek!

– Obowiązek! Czyli co?! Wszystko ma być na mojej głowie! Mam tylko siedzieć tutaj w domu i zajmować się Gniewkiem! O nie! O nie! Ja też chcę żyć! Słyszysz! Ja też chcę żyć!

Wydawało mu się, że w jej oczach zabłyśły łzy. A jeśli istniała jedna rzecz, za którą cenił swoją matkę, to ta, że nigdy nie pozwalała sobie płakać przy ludziach. I teraz też tego nie zrobiła.

– Chcesz żyć? – zapytał. – Okej. Ale czemu zawsze kosztem mnie? Czemu zawsze kosztem Gniewka?

– O nie! O nie, kochanie! Nie zrobisz teraz ze mnie wyrodnej matki! Spóźniłam się raz lub dwa z zawiezieniem go na terapię!

– Chyba tuzin.

– No to tuzin! I co z tego?! To ja z nim mieszkam. Ja się nim zajmuję! Szykuję mu ubrania, jedzenie, sprzątam i... i... i robię wszystkie inne rzeczy. Jestem dobrą matką! Słyszysz?! Jestem dobrą matką!

Miał ochotę roześmiać się jej w twarz. A potem szukał w głowie takich słów, które najbardziej by ją zraniły. Mógłby opowiedzieć o tych wszystkich sytuacjach, kiedy widział ją pijaną. O tym, jak go zawiodła, raz, drugi, trzeci, aż wreszcie jako dwunastolatek zdał sobie sprawę, że nie może na nią liczyć, a od

ojca może oczekiwać wyłącznie pieniędzy. Tyle historii. Tyle wspomnień. Tylko co z tego? Ich przytaczanie nie miało teraz najmniejszego sensu. Chciał załatwić swoje i pójść dalej. Zrobiło mu się w pewien sposób przykro, kiedy uświadomił sobie, że jest dojrzały i bardziej odpowiedzialny od obojga rodziców.

– Jesteś dobrą matką?

– Tak!

Uśmiechnął się.

– Gniewko! – zawołał w stronę pokoju brata. – Gniewko!

Czekali, sekunda za sekundą, stojąc naprzeciwko siebie. Jej wzrok powędrował w stronę kuchni, lodówki, gdzie stała otwarta butelka wina. Pewnie marzyła o tym, żeby sobie nalać kieliszek, ale wstydziła się przy starszym synu. Nie teraz, kiedy ostatnie minuty spędziła na wmawianiu mu, jaką jest wspaniałą matką.

– Gniewko! – zawołał powtórnie Sławek.

– Jest u siebie? – zapytała matka.

– Tak. Grzebie w tym swoim dziwnym archiwum.

Wzruszyła ramionami. Zainteresowanie Gniewka seryjnymi zabójcami, morderstwami i zbrodniami w normalnej rodzinie sprawiłoby, że rozdzwoniłyby się wszystkie możliwe dzwonki alarmowe. Nie u nich. Wszyscy przeszli nad tym do porządku dziennego, zadowoleni, że poświęca czas swojemu hobby i nie trzeba się nim wtedy zajmować. Było też w tym coś dziwnego. Miał problem ze skupieniem uwagi i nie potrafił przeczytać najprostszego tekstu, a równocześnie kazał się wozić do Biblioteki Narodowej, gdzie spędzał długie godziny, przeglądając stare gazety w poszukiwaniu kolejnej przerażającej historii. Kolekcjonował je tak jak inni chłopcy karty z piłkarzami, kamienie czy kolorowe figurki z bohaterami z filmów Marvela.

– Gniewko!

Wreszcie usłyszeli skrzypnięcie drzwi. A potem szuranie, kiedy chłopak sunął niechętnie w ich kierunku. Stanął niedaleko ze spuszczoną głową, jakby zrobił coś złego. W przypadku kogoś innego być może byłoby to uzasadnione podejrzenie, ale tak wyglądała naturalna postawa Gniewka – lekko przygarbione plecy i wzrok wbity w podłogę.

– I po co go wołałeś? – zapytała matka.

Sławomir podszedł do brata. Delikatnie chwycił go za podbródek, uniósł i przekręcił tak, żeby odsłonić jedną stronę twarzy. Gniewko nie opierał się tym zabiegom.

Matka najpierw zamarła, kiedy dostrzegła u syna rozbitą wargę, a potem poczerwieniała.

– Co to jest?! – zawołała. – Kto ci to zrobił?! – A kiedy zdała sobie sprawę, że z Gniewka będzie trudno wydobyć odpowiedź, zwróciła się do Sławka: – Kto mu to zrobił?! Co się stało?!

Puścił brata. Klepnął go w ramię, jakby chciał pocieszyć, i ruszył do przedpokoju.

– Sławek! Co się, do kurwy nędzy, stało?! Pobił go ktoś?! Sam to sobie zrobił?! Na ulicy, w szkole?! O co chodzi?!

Ściągnął swoją kurtkę z wieszaka i zarzucił ją sobie przez ramię. Postanowił, że ubierze się już w windzie. Nie chciał spędzić z matką ani minuty dłużej.

– Co się wydarzyło?!

– Dobra matka by wiedziała – odpowiedział krótko, a potem wyszedł, miękko i cicho, zamykając za sobą drzwi.

Praskie kamienice przypominały Eli upiorne zamczyska. Małe dziedzińce, zazwyczaj wybetonowane, ozdobione kapliczkami z figurą Matki Boskiej, trzepakiem i kilkoma zdezelowanymi samochodami. W roli strażników występowali przyczajeni na parapetach starsi mieszkańcy – po równo kobiety i mężczyźni. Teraz było ich mniej niż latem, ale Ela i tak czuła na sobie wzrok starca ćmiącego papierosa na drugim piętrze. No i te mury. Pnące się pionowo w górę, tak wysokie, że niemal odcinały dziedziniec od nieba, i tak poszatowane siatką pęknięć, że nie dało się powiedzieć, ile tak naprawdę mają pięter – cztery, sześć lub osiem.

Odszukała właściwą klatkę. Zamontowano przy niej domofon, choć wystarczyło tylko mocniej pchnąć drzwi, żeby otworzyły się z nieprzyjemnym, przeciągłym skrzypnięciem, jakie wydaje z siebie dręczony kot. Nie mogła znaleźć windy, więc podjęła mozolną wspinaczkę w górę, na czwarte piętro. Kiedy pokonywała kolejne schody, zewsząd atakowały ją dziwne odgłosy. Każdy krok odbijał się od ścian delikatnym, ale wyraźnym echem. Wiatr hulający po klatce kojarzył jej się z oddechem astmatyka. Z mieszkań dochodziły do niej cienie toczącego się tam życia – rozmowy, śmiech bawiących się dzieci, ustawione na największą głośność telewizory, krzyki i kłótnie. I te dźwięki, których nie potrafiła zidentyfikować, szepty, świsty, skrobanie o ściany i podłogę. Ela czuła się tak, jakby wędrowała po wnętrznościach żyjącej istoty, jakby przemierzała trzewia ceglanego olbrzyma. Odetchnęła z ulgą, kiedy dotarła do celu. Zapukała do drzwi energicznie, by nie dać sobie czasu na rozmyślanie.

Stała tam około minuty, powtarzając w duchu, że przyszła tutaj dla Marysi, że chce dowiedzieć się, co się z nią stało. Długo jej zajęło, zanim się zdecydowała. Wcześniej tłumaczyła sobie, że powinna dać matce dziewczyny trochę czasu na ochłonięcie. Kilka dni co najmniej. Może nawet wytrzymać do pogrzebu. Ale kiedy obudziła się dzisiaj rano, kiedy uświadomiła sobie, że jest sobota i czekają ją całe dwa dni w towarzystwie Bartka, wiedziała, że musi coś zrobić. A wizyta w domu Marysi była pierwszą rzeczą, o której pomyślała. Do

tego tłumaczenie, że jedzie się spotkać z matką tragicznie zmarłej uczennicy, brzmiało naturalnie. Kiedy wychodziła z domu, jej mąż właśnie włączał konsolę.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich ponadczterdziestoletnia kobieta, jak większość kucharek dość tęga.

– Dobry wieczór – powiedziała, zaskoczona widokiem nauczycielki. Włosy miała krótkie, przystrzyżone tak, by nie wystawały spod kuchennego czepka. Nie nosiła żadnego makijażu, nawet nie starała się ukryć pomarszczonej skóry, obwisłych policzków i podkrążonych oczu. Jedyna ozdoba, srebrny krzyżyk, odznaczała się na ciemnym materiale bawełnianego podkoszulka.

– Dobry wieczór – przywitała się Ela.

Matka Marysi przyglądała się jej, jakby oczekiwała od niej jakiegoś wyjaśnienia. I dopiero po chwili nauczycielka zorientowała się, że kobieta po prostu jej nie poznaje.

– Jestem Ela. Uczę... – Nie zdążyła ugryźć się w język, więc teraz musiała się poprawić. – Uczyłam pani córkę polskiego. Marysię uczyłam.

Wydawało jej się, że kobieta czeka, aż ktoś, kto kryje się w głębi mieszkania, udzieli jej rady, bo obejrzała się za siebie, zanim szerzej otworzyła drzwi.

– Niech pani wejdzie – powiedziała cicho, jakby się poddawała. Ale komu? Jaką walkę przegrała? Ela nie miała pojęcia.

Poszła za nią do kuchni. Po drodze minęły duży pokój – dwie dziewczynki i mały chłopiec siedzieli tam w milczeniu na kanapie, wpatrzeni w obrazki migające na starym, jeszcze kineskopowym telewizorze.

Matka Marysi wskazała taboret, a potem zaproponowała herbatę. Nauczycielka podziękowała uprzejmie. Gospodyni usiadła po drugiej stronie stołu, oparła czoło na dłoni i westchnęła ciężko. Milczała.

Ela wiedziała, że przyjście tutaj nie będzie niczym łatwym ani przyjemnym, choć dopiero na miejscu, patrząc na załamana kobietę, zrozumiała, jak ciężkiego zadania się podjęła. Każde słowo, które zamierzała wypowiedzieć, każde pytanie, które chciała zadać, naruszało świętą żałobę panującą w tym mieszkaniu, krzywdziło kogoś, kto wycierpiał już dość. Kim ona była, żeby robić coś takiego? W imię czego? I nagle cała ta pewność siebie, całe to przekonanie, że tylko ona może odkryć prawdę o śmierci Marysi, nawet cały jej

gniew – to wszystko wyparowało. Poczła się mała, przegrana i szczerze mówiąc, po prostu śmieszna. Głupia nauczycielka, kompensująca sobie na różne sposoby zmarnowane życie. Już miała wstać, przeprosić za zamieszanie i wyjść, kiedy nieoczekiwanie usłyszała głos siedzącej naprzeciwko niej kobiety.

– Marysia panią lubiła.

Zaskoczona, w pierwszej chwili nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć.

– Dziękuję – szepnęła. – Ja... Ja też ją lubiłam. Nawet bardzo. Pani córka... pani córka była bardzo zdolną dziewczynką. To tragedia. Tragedia, co się stało.

Same oczywistości. Aż się zawstydzila, że to powiedziała. Ona, polonistka, do cholery. Kiedyś pisała wiersze, chciała być poetką. Powinno być ją stać na coś więcej niż stek banałów.

– Tak. To tragedia – powtórzyła jak echo matka dziewczyny.

– Wiadomo już, co się stało?

Kobieta pociągnęła nosem. Jej oczy zaszklily się i Ela przestraszyła się, że tamta zacznie płakać. A jednak nie. Doświadczona i zahartowana, odbyła już wiele takich rozmów. Ela poruszała się wydeptanym przez dziesiątki osób wcześniej szlakiem.

– Wpadła pod pociąg. Albo wbiegła.

– Przepraszam, ale... gdzie dokładnie?

Matka Marysi machnęła ręką w kierunku okna, a kiedy zdała sobie sprawę, że ten gest może być niezrozumiały, wyjaśniła:

– Za Dworcem Wschodnim, jak tory się rozdzielają. Tam są firmy, magazyny, jakieś takie. Ja nie wiem. Różne rzeczy tam są.

– Dlaczego tam poszła?

Gospodyni uśmiechnęła się mimowolnie pod nosem.

– Bo to jej miejsce.

– Nie rozumiem.

– Pani się rozejrzy. Teraz jest, jak jest. Cicho, bo Marysia... Ale tutaj mam normalnie jeszcze trójkę dzieciaków. Rozgardiasz jest, hałas. Biegają, kłócą się, wrzeszczą. Jak to dzieci. A Marysia mówiła, że tam za dworcem ma swoje miejsce, spokój. Pośród pędzących w jedną i drugą pociągów... – Zawahała się.

– Ja jej zakazywałam tam chodzić, ona i tak robiła swoje. W tym jednym tylko była mi nieposłuszna, w tym jednym. Potem sobie pomyślałam... że... że ona już duża jest. Rozsądna. Że takiej dużej i rozsądnej to krzywda się tam nie stanie.

Kobieta pomasaowała się po skroniach, jakby chciała odegnać stamtąd złe myśli. Mały chłopiec wszedł do kuchni i zatrzymał się na progu. Spojrzał wielkimi oczami na matkę.

– Co chcesz, kochanie? – zapytała.

– Pić.

– To nalej sobie, dobrze?

Chłopiec doskoczył do kranu tak, jakby bawił się w klasy. Chwycił za najbliższą szklanę, napełnił ją wodą, wypił duszkiem, a potem wrócił dokładnie w ten sam sposób do przedpokoju. Stamtąd już spokojnym krokiem przeszedł do pokoju z telewizorem.

– Gdzie pani zaparkowała? – zapytała kobieta. – Bo pani samochodem?

Ela przytaknęła.

– Niedaleko. Na Marcinkowskiego.

– Ha – mruknęła. – Jeszcze nie tak dawno temu powiedziałabym, że ten samochód pani ukradną. Albo przynajmniej okradną. Ale ostatnio spokojnie tu się zrobiło. Bardzo spokojnie.

Milczały przez kilkanaście sekund.

– Myślę, że po prostu lubiła patrzeć na pociągi – odezwała się nagle gospodyni.

– Słucham?

– Myślę, że Marysia lubiła patrzeć na pociągi. Dlatego tam chodziła. Żeby sobie popatrzeć. Powyobrazić. Mój stary... ojciec Marysi, on też lubił pociągi. Wie pani?

– Nie wiedziałam.

– Ja to chciałam się stąd wyprowadzić, jak jeszcze żył. W jakąś spokojniejszą okolicę, gdzie jest więcej zieleni. Tylko on nie chciał. Pani wie dlaczego?

– Nie wiem.

– Bo tutaj blisko dworzec jest. A on to zawsze na ten dworzec chodził i pociągi oglądał. Dziwne, nie?

– Ludzie mają różne hobby.

– On miał takie. Inni patrzyli na niego jak na wariata. Bo kiedyś na Wschodni to interesy się chodziło robić. Handlować z Rosjanami, Ormianami, Czeczenami. A on tylko te pociągi. Kiedyś mi powiedział, że jeździ tirami, bo pociągami nie może. Bo chciał pociągami, tylko coś nie wyszło i nie może. To tirami sobie pojeździ. Ale mówił, że to nie to samo.

– Rozumiem.

– Zabierał Marysię.

– Słucham?

– Na Wschodni. Oglądać pociągi. Brał ją ze sobą i razem jechali te pociągi oglądać. Tak jej zostało... – Kobieta zawiesiła głos, odetchnęła. – Mógłby Marysi tych pociągów nie pokazywać. Może ciągle by tu była.

– Tak – wydusiła z siebie Ela.

I znowu zapadło milczenie. Zaczęła się wsłuchiwać w dźwięki z telewizora. Leciała bajka o Maszy i niedźwiedziu. Chyba rosyjska. Nie знаła jej. Zastanawiała się przez chwilę, czy przypomina *Wilka i Zająca*, ale zaraz odgoniła te myśli. Skoro tu przyszła, siedziała, rozmawiały, to nie miała już wyjścia. Musiała zadać to pytanie.

– Mówią, że Marysia była w ciąży...

Różnych rzeczy się spodziewała. Wybuchu płaczu, oburzenia, gorączkowych zaprzeczeń, jednak matka Marysi tylko kiwnęła głową, zrezygnowana.

– Była – powiedziała.

– Wiedziała pani o tym?

– Czy wiedziałam? – Kobieta się zawahała. – Chyba wiedziałam. Człowiek dużo wie, bardzo dużo, a równocześnie nie wie. Bo woli nie wiedzieć. Nie wiedzieć jest łatwiej. I ja tak chyba wiedziałam, bo zarazem nie wiedziałam. Miałam pracę, trójkę pozostałych dzieci, którymi trzeba się zająć, a Marysia... Myślałam, że jest mądra, że sobie poradzi. Sądzi pani, że to straszne?

– Co takiego?

– Tak myśleć o własnym dziecku.

– Że jest mądre?

Gospodyni kiwnęła głową.

– Dlaczego?

– Bo wtedy każemy im być mądrymi, a dzieci są głupie. Dzieci powinny być głupie. Kiedy być głupim, jak nie wtedy, gdy jest się dzieckiem?

Ela pomyślała, że może to i prawda, choć uświadomiła sobie, że nigdy, nawet w liceum, kiedy eksperymentowała z trawą i chłopakami, i na studiach, kiedy zaliczyła swoją porcję szaleństw, nie robiła takich głupot jak teraz. Ona zamężna, on żonaty i pieprzą się na parkingu przed hipermarketem.

– Miała chłopaka? – zapytała.

– Chyba tak – przyznała po chwili kobieta. – Z kimś tam rozmawiała. Miała nowe rzeczy. Nie ode mnie.

– Nie interesowało to pani?

– Interesowało, tylko... Zawsze chciałam ją o to zapytać jutro. Jutro jest zawsze łatwiej. – Uśmiechnęła się. – Poza tym myślałam, że kiedyś może sama mi powie.

– Nie powiedziała?

Matka Marysi pokręciła przecząco głową.

– Była moim oparciem, a ja nie rozumiałam...

– Czego?

– Tego, że jeśli na kimś tak się opierasz, to ten ktoś prędzej czy później się złamie.

Twarz kobiety zmieniła się nagle w maskę. Martwą i przerażającą. Tylko jej oczy zostały żywe. I płynęły z nich strumienie łez. Zanim Ela pomyślała, co robi, doskoczyła do niej i mocno ją przytuliła. Pocałowała w te krótkie, pachnące tłuszczem i smażeniną włosy i zaczęła powtarzać raz za razem:

– To nie pani wina, to nie pani wina...

Trwały tak dłuższą chwilę, kiedy poczuła, że ktoś na nią patrzy. Odwróciła się i ujrzała trójkę dzieci stojących na progu.

– Jesteśmy głodni – powiedziała najstarsza z dziewczynek.

Ich matka chciała się poderwać, ale nauczycielka ją powstrzymała.

– Niech pani odpocznie. Ja im zrobię coś do jedzenia.

Kobieta podziękowała cicho i Ela zabrała się do pracy. Wyjęła talerze, krojony chleb, ser i jakąś tanią, paczkowaną wędlinę. Przygotowała kanapki,

ugotowała parówki. Potem podała to wszystko dzieciom. I długo patrzyła, jak zjadają ze smakiem.

5

Karolina była pod wrażeniem, ile szumu towarzyszyło śmierci Marysi i dla jak wielu osób dziewczyna okazała się nagle ważna. Koleżanki z klasy płakały, przytulały się, głaskały nawzajem po plecach i włosach, dodawały sobie otuchy.

Myślała o tym przez większość soboty. Na dworze było szaro, zimno, smutno i przygnębiająco, nie chciało się jej wychodzić z domu. Późnym popołudniem, kiedy skończyła już zadanie domowe, powtórzyła materiał na kartkówkę z biologii i zrobiła już właściwie wszystko, co miała zrobić, znowu zaczęła rozmyślać o Marysi i jej śmierci. Poszła do kuchni. Była sama. Mama po obiedzie poszła do szkoły, żeby uzupełnić jakieś dokumenty, a ojciec wyszedł na kolejne spotkanie, które pewnie będzie się ciągnąć do późnych godzin nocnych. Karolina wzięła jogurt i wróciła do siebie. I gdzieś pomiędzy jedną a drugą łyżeczką pomyślała, że mogłaby popełnić samobójstwo.

Skończyła jeść jogurt. Odłożyła kubeczek na biurko. Przez chwilę zastanawiała się nad tym, czy włączyć muzykę, jednak uznała, że woli ciszę. Podeszła do łóżka i położyła się ze złączonymi nogami, ręce założyła na piersiach. Wstrzymała oddech i zaczęła sobie wyobrażać, że nie żyje. Leży w trumnie, a nad nią pochylają się zrozpaczeni rodzice. Mama płacze, ojciec podtrzymuje ją, by nie upadła, stara się trzymać, ale jemu również łzy płyną po policzkach. Potem siedzą obok siebie na podłodze w domu wśród rozrzuconych zdjęć z Karoliną. Przytulają się i opowiadają sobie zabawne historie z ich martwą już córką w roli głównej. Śmieją się, płaczą, pocieszają wzajemnie, potem znowu się śmieją. Na powrót zaczynają spać w jednym łóżku. A jakiś czas później, Karolina nie potrafiła się zdecydować, ile czasu minęło, mama znów jest w ciąży. Rodzi im się kolejne dziecko – syn lub córka. Chodzą z nim na spacer, bawią się, śmieją, są dobrymi rodzicami.

Podniosła się. Te ostatnie wizje z nowym dzieckiem wcale nie sprawiały jej już przyjemności. Raczej ból. Poczła się jeszcze bardziej opuszczona i samotna niż do tej pory. Przeciągnęła się.

Wcale nie chciała się zabijać. Przede wszystkim dlatego, że nawet gdyby to

zrobiła, nie mogłaby poznać pozytywnych skutków swoich działań. Gdyby tylko – zaczęła znowu fantazjować – w jakiś sposób mogła się zabić i równocześnie sprawdzić, chociażby w krótkiej wizji, jaki to miałyby skutek. Albo jeszcze lepiej: gdyby jakiś duch, może nawet Bóg, zagwarantował Karolinie, że jej śmierć uratuje małżeństwo rodziców, wtedy być może by się na to zdecydowała.

Ta myśl w naturalny sposób poprowadziła do kolejnej – w jaki sposób powinna to zrobić. Zeszła do kuchni. W szufladzie znalazła ostry ceramiczny nóż do steków, z którego tato był bardzo dumny, a którego do tej pory użył chyba tylko raz. Pomyślała, że mogłaby oprzeć trzonek o ścianę, a potem z całych sił nadziać się na ostrze, jednak ten sposób szybko odrzuciła. Padłaby wtedy jak długa na ziemię, cała we krwi i zapaskudziłaby nią połowę mieszkania. Poza tym rodzice mogliby uznać, że ktoś ją zabił, a zabójstwo niekoniecznie musiałyby mieć dla nich tak dobroczynny skutek jak samobójstwo.

Mogła też podciąć sobie żyły w wannie. Robili tak często na filmach i podobno niezbyt bolało, a ona w sumie lubiła ciepłe kąpiele. Po prostu osunęłaby się w wodzie, i tyle. Jeszcze raz przyjrzała się nożowi. Na próbę przyłożyła ostrze do ręki. Aż się wzdrygnęła. Było zimne, po prostu nieprzyjemne. Wiedziała, że nigdy by się nie odważyła. Pospiesznie schowała nóż z powrotem do szuflady.

Odetchnęła. Poprawiła włosy. Przypomniała sobie, że w wannie można też się zabić, wrzucając do wody podłączoną do prądu suszarkę. Ale to musiało z kolei za bardzo boleć, a ona tak nie chciała. Powieszenie się również nie wchodziło w grę. Kilka lat temu na basenie przez chwilę się topiła. Nic się nie stało, dała radę nawet sama dopłynąć do brzegu, jednak wciąż pamiętała to przerażenie, jakie ją ogarnęło, kiedy woda zaczęła wlewać jej się do ust, a w płucach brakowało oddechu. Nie chciała, by tak wyglądały jej ostatnie chwile.

Wróciła na górę. Zatrzymała się przy drzwiach do pokoju mamy, a po krótkim wahaniu zdecydowała się wejść do środka. Podeszła do stoliczka nocnego. Otworzyła szufladkę i zgodnie z oczekiwaniami znalazła tam opakowanie relanium. Zaczęła je obracać w dłoniach. Pomyślała, że mogłaby zjeść całe, a potem popić alkoholem, bo chyba tak trzeba. Położyłaby się do

łóżka i zasnęła. I po sprawie. Jak Marilyn Monroe. Spokojnie. Bez strachu i bez bólu.

Karolinie spodobał się ten pomysł.

Tylko tak naprawdę nie chciała się zabijać, więc już miała odłożyć pudełko do szufladki, kiedy w jej głowie pojawiła się kolejna myśl. Przecież żeby osiągnąć swój cel, nie musiała tak naprawdę umierać! Być może wystarczyłoby, gdyby tylko spróbowała się zabić.

I nagle zrozumiała, że to jest właśnie to, co powinna zrobić. Teraz, w tej chwili, nie tracąc czasu. Weźmie tabletki, popije alkoholem i położy się w dużym pokoju. Gdzieś na widoku. Zostawi na wierzchu opakowanie po relanium i butelkę wódki, whisky czy co tam znajdzie. Mama i tata wrócą do domu, wpadną w panikę i zawiozą ją do szpitala, gdzie pewnie zrobią jej płukanie żołądka, co nie jest chyba ani miłe, ani przyjemne, i bez wątplenia potem będzie mieć spore kłopoty, ale koniec końców wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie.

Zbiegła na dół do kuchni. Wyjęła szklanekę i nalała do niej wódki. Skrzywiła się, gdy tylko poczuła zapach. Dolała trochę soku, żeby przełamać smak. Odetchnęła głęboko, wyjęła tabletki, a potem uświadomiła sobie, że w tym planie jest spora luka. Nie wiedziała, kiedy wrócą rodzice. Równie dobrze mogli to zrobić zaraz, jak i za kilka godzin, kiedy będzie już martwa i nic jej nie pomoże. Żaden szpital, żadna reanimacja, żadne płukanie żołądka.

Zastanawiała się, czy nie odłożyć realizacji planu na później. Na inny dzień, gdy będzie wiedziała dokładnie, kiedy rodzice wracają, ale pomyślała, że później może już nie mieć odwagi.

Sięgnęła więc po telefon i wybrała numer mamy. Za pierwszym razem nie odebrała, włączyła się skrzynka głosowa. Karolina się rozłączyła i znów spróbowała. Tym razem się udało.

– Co takiego? – usłyszała lekko zirytowany głos mamy, który nie wróżył niczego dobrego.

– Mamo... Mamo, kiedy wracasz do domu?

– Nie wiem.

– Mamo...

– Co takiego?

- Ale kiedy wracasz?
- A dlaczego pytasz?
- Bo... bo... – zerknęła na trzymane w dłoni tabletki – bo źle się czuję, mam.
- A co się stało? Co cię boli? Głowa? Brzuch? Okres masz?
- Ja... Nie wiem. No, źle się czuję.
- Ale co cię boli? Co konkretnie?
- No, konkretnie, konkretnie to tak ogólnie mnie boli. Tak źle się czuję.

Mama westchnęła do słuchawki.

– To idź do swojego pokoju i się połóż. Odpocznij trochę.

– A ty przyjdiesz do mnie? – zapytała z nadzieją.

– Jak tu skończę.

Karolina wiedziała, co to znaczy. Będzie siedzieć w szkole do oporu.

– Ale ja źle się czuję – spróbowała znów desperacko.

– Idź się połóż. Odczekaj godzinę. Samo ci przejdzie. A teraz przepraszam cię, naprawdę mam dużo pracy.

Rozłączyła się, zanim Karolina zdążyła się pożegnać. Dziewczyna przez chwilę stała w kuchni z telefonem w jednej ręce i relanium w drugiej. Wybrała numer do ojca. Włączyła się poczta głosowa. Nie próbowała dzwonić po raz kolejny. Wiedziała z doświadczenia, że tato nie odbierze. Albo jest na jakimś spotkaniu, albo z kimś rozmawia, albo nie wiadomo co. Nie było sensu się do niego dobijać.

Wylała wódkę z sokiem do zlewu. Odłożyła tabletki do szufladki w nocnym stoliku. Wróciła do swojego pokoju, włączyła komputer i odpaliła Spotify. Podkreśliła muzykę na maksymalną głośność. Zrobiłaby wszystko, żeby zagłuszyć myśli w swojej głowie.

Myślała o tym, że gdyby dzisiaj naprawdę próbowała się zabić, nikt by jej nie uratował.

A może nie tylko dzisiaj.

6

Po weekendzie wybuchła awantura i Ela postanowiła iść w zaparte. Uznała, że w jej sytuacji to najlepsza z możliwych opcji. Pierwszy plan nie wypalił i do tej pory lekko ją trzęsło ze złości na samą myśl o tym, co się wydarzyło. Wyciągnęła Klementynę z pokoju nauczycielskiego na papierosa. W ubikacji opowiedziała o piątkowym zajściu z Gniewkiem i poprosiła o pomoc.

– Ale co miałabym zrobić? – zapytała przestraszona kobieta i Ela, kiedy teraz o tym myślała, uznała, że już wtedy powinna zakończyć tamtą rozmowę. Zażartować lub po prostu zamknąć temat. Ale ona parła dalej.

– Nic wielkiego. Po prostu powiesz, że byłaś wtedy ze mną w klasie i potwierdzisz, że wcale nie uderzyłam Gniewka.

– Przecież ma ślad.

– Ojej... Po prostu się potknął i uderzył głową o ścianę czy ławkę.

Klementyna przeprosiła ją tylko. Zgasiła szybko papierosa i wyszła, a właściwie uciekła z ubikacji.

Ela poczuła się wtedy zdradzona. Wiedziała, że nie powinna. W końcu prosiła koleżankę o to, by dla niej kłamała, by się naraziła, wyciągając ją z kłopotów, w które Ela sama się wpakowała. Wiedziała też, że za kilka dni jej przejdzie, jednak teraz jeszcze pielęgnowała w sobie urazę. Potrzebowała gniewu, ogrzewającego wewnątrz żaru, jeśli miała przetrwać ten dzień.

Matkę Gniewka spotkała już kilka razy, ale zdążyła wyrzucić jej wizerunek z pamięci. Podejrzewała, że to odruch obronny organizmu. Usunęła z głowy wszystkie wspomnienia o tej złej, głupiej i irytującej kobiecie, bo gdyby tego nie zrobiła, non stop chodziłaby wkurzona i padłaby na serce jeszcze przed czterdziestką. I to wcale nie z powodu wypalonych papierosów.

Ela patrzyła więc teraz na kobietę tak, jakby spotkała ją po raz pierwszy w życiu. Farbowana blondynka pod pięćdziesiątkę w bluzce zdecydowanie zbyt głęboko odkrywającej pomarszczony dekolt i spodniach zbyt obcisłych nawet dla nastolatki. Do tego obwieszona biżuterią, jakby właśnie obrabowała sklep jubilerski.

Ela uważała się za feministkę i powtarzała, że każda kobieta powinna ubierać się tak, jak ma ochotę. Jeśli chce chodzić w dresach, niech chodzi w dresach. Jeśli chce nosić eleganckie garsonki, niech je nosi. A jeśli uważa, że pasują jej krótkie spódniczki, to też w porządku. Sama zresztą korzystała z tego przywileju. Tyle teorii. Bo w praktyce, kiedy patrzyła na matkę Gniewomira, pomyślała sobie, że pewnym kobietom nie wypada się ubierać w pewien sposób.

Kobieta siedziała na krześle pod ścianą. Obok niej Gniewko. Dyrektorka na swoim zwykłym miejscu, za tym pompatycznym, ogromnym biurkiem, a Ela stanęła przed nimi. Czuła się jak oskarżona podczas procesu sądowego. I w sumie słusznie.

– Pani Elu, co ma pani do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie? – zapytała dyrektorka, składając dłonie w piramidkę. Wcześniej przez blisko dziesięć minut wysłuchiwała jazgotliwego głosu matki Gniewka, która opowiadała o tym, co Ela zrobiła synowi i jak bardzo jest to oburzające.

– Nic – odpowiedziała Ela. – Bo nic takiego się nie wydarzyło.

Obie kobiety wyprostowały się gwałtownie. Matka Gniewka wychyliła się dodatkowo do przodu, pomalowane na czerwono paznokcie zatańczyły na jej kolanach i wydawało się, że jest gotowa rzucić się jak zwierzę na Elę i wydłubać jej oczy.

– Co takiego?! W takim razie mój syn kłamie?! – syknęła.

– Pani Joanno, proszę się nie unosić. Nie ma takiej potrzeby – próbowała uspokoić ją dyrektorka.

– Ale ona nazwała mojego syna kłamcą!

– Pani Elu...

Ela powstrzymała uśmiech. Widok tych dwóch kobiet, obu zdenerwowanych, stanowił swego rodzaju nagrodę. Niewielką, ale podejrzewała, że dzisiaj nie wydarzy się już nic lepszego. Po tej biedarozprawie czekało ją jeszcze kilka lekcji, a później dyżur pedagogiczny do późnego wieczora. Miała zostać w szkole na wypadek, gdyby jakiś rodzic chciał porozmawiać z nią o postępach w nauce swoich pociech. Taki dyżur wypadał średnio raz w miesiącu. Zazwyczaj nikt nie przychodził. Poświęcała więc ten czas na uzupełnienie dokumentacji.

– Pani Elu... – zaczęła raz jeszcze dyrektorka. – Czy może mi pani powiedzieć, co wydarzyło się wczoraj w klasie? Pomiędzy panią a Gniewkiem?

– Pomiędzy mną a Gniewkiem nic się nie wydarzyło – odparła, siląc się na spokój. – Porozmawialiśmy chwilę na temat jego pracy domowej, do której tutaj zapewne jeszcze wrócimy, a potem wypuściłam go na przerwę. Wychodząc, Gniewko nieszczęśliwie się potknął i uderzył w ścianę. To wtedy rozciął sobie wargę.

– Pieprzone bzdury! Chyba pani dyrektor w to nie wierzy!

– Chwileczkę, pani Joanno. Pani Elu, dlaczego pani nie zgłosiła tego zdarzenia szkolnej pielęgniarki?

– To była tylko rozcięta warga. Nic poważnego.

– Ale jednak...

– Zapytałam Gniewka, czy potrzebuje pomocy. Odparł, że nie, że sam sobie poradzi. Jest już duży, więc uznałam, że to faktycznie prawda, i nie ma potrzeby robić z tego nie wiadomo jakiej afery. Jak widać, myliłam się. – Ostatnie słowa powiedziała, zwracając się do matki Gniewka.

Pomyślała, że cała ta sytuacja nie jest wcale taka zła, jak się spodziewała. Rozdzielanie drobnych uszczypliwości zaczynało ją nawet bawić.

– To stek bzdur! – wrzasnęła kobieta, podrywając się z krzesła. – Ja tu mam wyniki obdukcji! Mój syn nie uderzył się w żadną cholerną ścianę! To pani go walnęła!

– Bardzo przepraszam – odparła przymilnie – ale zupełnie inaczej pamiętam tamtą sytuację.

Dyrektorka wyglądała na lekko spłoszoną. I nic dziwnego. Spotkanie zaczynało wymykać się jej spod kontroli. Kolejna mała nagroda tego dnia.

– Gniewko – zwróciła się dyrektorka do chłopca – może ty nam powiesz, co się wczoraj wydarzyło.

Chłopiec skulił się w sobie, kiedy wszystkie trzy wbiły w niego wzrok. Eli zrobiło się go nawet trochę żal. Najwyraźniej nie czuł się dobrze jako gwiazda tego całego zamieszania i pomyślała, że to nie z jego winy się tutaj znalazła. Początkowo sądziła, że Gniewko naskarżył na nią, kiedy tylko wrócił do domu. Ale teraz przypuszczała, że sytuacja musiała się rozwinąć inaczej. Bo chłopak, gdyby tylko mógł, zachowałby cały incydent w tajemnicy.

– Gniewko...

Chłopiec sapnął coś niewyraźnie, rozpaczliwie. Przypominał teraz małe futrzane zwierzątko w pułapce. Otoczonego hienami Simbę z *Króla Lwa*. Chociaż oczywiście nie miał z Simbą nic wspólnego. Był raczej jak Skaza podniesiony do kwadratu.

– Pani mnie uderzyła – wydusił z siebie, kiedy dotarło do niego, że nie może pozostać niewidzialny i musi coś powiedzieć.

Matka Gniewka sapnęła tryumfalnie.

– Sama pani widzi! Sama pani słyszała! Ona go uderzyła! Uderzyła mojego małego synka!

Kobieta doskoczyła do dyrektorki, chwyciła ją za poły zakietu i zaczęła nią potrząsać. Dyrektorka, zupełnie zaskoczona, spłoszona jak małe dziecko, energicznie wymachiwała rękami, żeby się uwolnić. Ela przyglądała się im i nagle, chociaż zupełnie tego nie planowała, parsknęła głośnym śmiechem. Obie kobiety zamarły, jakby ktoś właśnie oblał je kubłem lodowatej wody.

– Panią to śmieszy? – zapytała ostrym tonem dyrektorka. – Bicie dzieci to dla pani powód do śmiechu?

Nauczycielka zasłoniła dłonią usta w mało udanej próbie ukrycia uśmiechu. Dyrektorka świdrowała ją wzrokiem, domagając się odpowiedzi. Ela przełknęła ślinę, zmusiła się do powagi i po raz pierwszy poczuła, że się boi. To jej się nie spodobało. Była dorosłą kobietą. Nie powinna się bać.

– Nie. Bicie dzieci to nie jest powód do śmiechu. Jestem bardzo wyczulona na ten temat. Na przemoc rodziców wobec dzieci, a także przemoc w grupie rówieśniczej.

– Pani sugeruje teraz, że mój syn kogoś uderzył?! – zaatakowała ją matka Gniewka.

– Nie. Nic takiego nie powiedziałam.

– Mówiła pani o przemocy w grupie rówieśniczej! Czy mój Gniewko kogoś uderzył?!

– Nie!

– To po cholere! Pani o tym w ogóle wspomina! Co to ma do rzeczy?!

– Nic, proszę pani – rzuciła dyrektorka. – Absolutnie nic.

– Ona to powiedziała specjalnie. Ona chce oczernić mojego Gniewka. A to jest dobre dziecko. To grzeczne dziecko!

Kiedy to usłyszała, zrobiło się jej czerwono przed oczami. Nie potrafiła powiedzieć, co dokładnie sprawiło, że straciła nad sobą kontrolę. Dźwięczący oburzeniem i hipokryzją głos matki Gniewka, zimna drwina, która przebijała się przez wystudiowaną obojętność na twarzy dyrektorki, a może po prostu to, że Ela była już tak cholernie tym wszystkim zmęczona.

– Pani grzeczne dziecko maluje pornograficzne rysunki ze mną w roli głównej! – wrzasnęła na całe gardło. – Na tych rysunkach mnie gwałci, bije, pierdoli w każdy możliwy, zboczony sposób! Ciekawe, gdzie on się tego nauczył, bo na pewno nie na moich lekcjach!

Na krótką chwilę, ledwo kilka sekund, w gabinecie zapadła zupełna cisza. Gniewko pobladł. Skulił się, wciskając dłonie pod pachy, jakby spodziewał się, że ktoś zaraz zacznie go bić. Jego matka poczerwieniała.

– Pani się ubiera jak dziwka, to co się pani dziwi! – zawołała. – Gdyby się pani porządniej ubierała, to...

Nie dokończyła mówić, bo dyrektorka przerwała jej, wchodząc między nią a Elę. Jak sędzia bokserki przerywający walkę. Tylko że ten sędzia faworyzował jednego z zawodników.

– Proszę w ogóle nie odpowiadać na tę zaczepkę – powiedziała do matki Gniewka, a potem zwróciła się do nauczycielki: – Pani Elu, teraz nie jest czas ani miejsce na poruszanie kwestii rysunków Gniewka czy jego zachowania. Rozmawiamy o tym, że uczeń wysunął przeciwko pani bardzo poważne oskarżenie. Oskarżenie, które sprawia, że jego rodzice mogą żywić uzasadnione obawy dotyczące bezpieczeństwa syna w naszej szkole. Zrozumiałaby to pani, gdyby sama miała dzieci.

W pierwszej chwili Ela myślała, że się przesłyszała. Ale nie. A przecież dyrektorka wiedziała. Doskonale o wszystkim wiedziała. O tym, że Ela była w ciąży. Że spodziewała się córki. Że wybrała jej imię, chociaż wszyscy mówili, że to jeszcze za wcześnie. Maria. Marysia. Dyrektorka wiedziała o wypadku. Wiedziała, że Ela nie może mieć dzieci, chociaż bardzo chce. Chce najbardziej na świecie. Że każdy dzień jest dla niej torturą, źródłem niewyobrażalnego bólu, bo Ela wie, że nie może. Dyrektorka o tym wszystkim wiedziała, a jednak powiedziała to, co powiedziała.

– Jak pani śmie! – zawołała. Chciała, żeby jej głos zabrzmiał ostro, zabrzmiał strasznie, ale w połowie się załamał, zmienił w skrzek, w niewyraźne łkanie.

Poderwała się. Tak gwałtownie i niespodziewanie dla samej siebie, że torebka spadła z jej kolan i zawartość rozsypała się po podłodze. Ela zaczęła gorączkowo zbierać portfel, klucze, szminkę, podpaski, szczotkę do włosów, paczkę cienkich papierosów, zapalniczkę, dokumenty. Dyrektorka coś do niej mówiła, ale ona nie słyszała co. Starła się powstrzymać napływające do oczu łzy, jednak nie potrafiła.

Maria, Marysia. Nigdy nie zobaczyła swojej córki. Nigdy nie poznała. Nigdy nie poczuła, jak wyrywa się do tego, żeby wyjść z jej ciała. Nigdy nie trzymała maleństwa w ramionach. Nie wachała główki zaraz po urodzeniu. Nie zmieniała pieluch, nie karmiła piersią, nie kąpała. A jednak doskonale wiedziała, jak wyglądałaby Marysia. Nie tylko zaraz po urodzeniu, ale wtedy, kiedy miałaby lat trzy, sześć, dziesięć, osiemnaście. Wystarczyło przymknąć powieki. Pragnęła tego obrazu, choć ją prześladował. Rozlewał ciepło po całym ciele i rozrywał serce.

Zrozumiałaby to pani, gdyby sama miała dzieci – dźwięczał jej w głowie głos dyrektorki.

Płakała i nie mogła w żaden sposób nad tym zapanować. Łzy leciały ciurkiem po policzkach. Zaciskała zęby, żeby tylko nie wydać z siebie żalosnego jęku.

Poderwała się w górę, przycisnęła torebkę do piersi, ukryła twarz za kurtyną włosów i wybiegła z gabinetu.

Karolina siedziała na krześle w sekretariacie, z plecakiem na kolanach i wzrokiem wbitym w komórkę. Przesuwała palcem po kolejnych zdjęciach na Instagramie, oszczędnie gospodarując serduszkami. Jednak znacznie większą frajdę sprawiało jej obserwowanie sekretarki. Kobieta udawała, że pracuje. To znaczy naprawdę starała się to robić. Wklepywała coś do komputera, przerzucała dokumenty, jakby szukała tam odpowiedzi, co ma zrobić, ale nie potrafiła się na tym skupić. Nerwowo spoglądała to na Karolinę, to na drzwi do gabinetu dyrektorki.

Amatorka, pomyślała dziewczyna. Fakt, to porządna kłótnia, jednak nie takie już słyszała. Najpoważniejsze były te najcichsze, ze słowami wypluwanymi jak jad. Potem jeszcze długo zatruwały cały dom. Po głośnych, takich jak ta tutaj, mocnych i gwałtownych niczym burza, czasami przerażających, nadchodziły cisza i spokój. Jeszcze parę lat temu ojciec po takich awanturach wracał do domu z kwiatami. Dawał je matce na przeprosiny, całowali się, obejmowali, a potem wspólnie oglądali film na kanapie, przytulając się i popijając wino. Jakiś czas temu przestał. Karolina nie wiedziała, kiedy to się stało i dlaczego.

– Raz jeszcze, kurwa! – ryknął ojciec. – Nie możesz tego zrobić! Nie teraz!

– To jest moja szkoła i mogę w niej zrobić to, co chcę!

– Chryste Panie, kretynko jedna, ty nawet nie masz dla niej zastępstwa! Kurwa, najpierw straciliśmy matematyczkę, teraz mamy wypierdolić polonistkę?!

– Uderzyła ucznia!

– I chuj! Nikogo, kurwa, nie zwolnisz, dopóki nie znajdziesz następcy! I jakiegoś, kurwa, sposobu, żeby wytłumaczyć to wszystkim rodzicom. Bo rodzice są już wkurwieni tą karuzelą, jaką tutaj odpierdalasz! A to rodzice, przypominam ci, płacą chesne tych dzieci!

– I rodzice na pewno będą bardzo zadowoleni, kiedy dowiedzą się, że ich dzieci uczy furiatka, która leje uczniów!

– Uderzyła lub nie tylko jedno dziecko. I, kurwa, pewnie mu się należało!

Przerzucali się w ten sposób już od kilkunastu minut. Te same argumenty wracały wykrzykiwane z różnym natężeniem wściekłości. Karolina poprawiła torbę na kolanach i zerknęła na sekretarkę. Ta z kolei co chwila marszczyła brwi i śmiesznie poruszała nogami. I nagle dziewczyna zrozumiała – chciało jej się siku, a w sekretariacie była sama. Karolina nie wiedziała, co się stało z drugą kobietą. Minęła już trzynasta, może pracowała na kawałek etatu. W każdym razie sekretarka nie mogła zostawić sekretariatu bez opieki, a na pewno sobie wyjść ot tak bez zgody dyrektorki. Tylko że teraz wejście do gabinetu graniczyłoby z próbą samobójczą, a pęcherz coraz bardziej dawał się we znaki.

– To jest dobra nauczycielka, ma dobre wyniki, popełniła jeden błąd! Nie musisz od razu wszystkich, kurwa, zwalniać!

– Uderzyła ucznia! Ty rozumiesz w ogóle, co ja do ciebie mówię?! Rozumiesz, co ona zrobiła?!

– A ty rozumiesz, co ja mówię?!

Sekretarka poderwała się. Najwyraźniej podjęła decyzję. Szybkim krokiem dopadła do drzwi i chwyciła za klamkę. Odwróciła się do Karoliny, strzelając po raz ostatni oczami w stronę gabinetu.

– Zaraz wróć! – rzuciła i wybiegła z sekretariatu.

Karolina została sama. Westchnęła. Oparła głowę o ścianę i przymknęła powieki. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Kolejny wrzask wydobywający się z gardła matki – tym razem nie zrozumiała słów, słyszała tylko wściekłość – sprawił, że o mało się nie rozplakała. Zagryzła wewnętrzną stronę policzka. Tak mocno, aż poczuła pod zębami słodki smak krwi. Ale to nie wystarczyło. Z całych sił wbiła sobie palce w udo, żałując, że ma na sobie grube jeansy. Chciała, by ją bolało, bo tylko to dałoby jej siłę, żeby nie rozpaść się na kawałki przed powrotem sekretarki.

Drzwi od gabinetu otworzyły się gwałtownie i w progu stanęła mama. Miała zaczerwienione oczy. Nie od płaczu, ale od gniewu. Dyszała wyraźnie wzburzona, dłonie zacisnęła w pięści. Obrzuciła spojrzeniem sekretariat i nagle jej wzrok zatrzymał się na Karolinie.

– Co ty tu robisz?! – rzuciła z pretensją.

– Kazałaś mi przyjść – wybąkała dziewczyna.

– Po co?!

Za mamą pojawił się ojciec.

– Daj dziewczynie spokój. Nie krzycz na nią.

– Nie krzyczę! Po prostu pytam, po co tutaj przyszła.

– Bo jej kazałaś przyjść!

Mama odwróciła się do niego i Karolina wiedziała już, że zaraz wróca do przerwanej kłótni. Tylko że tym razem o nią. I tym razem nie będą jej chronić drzwi od gabinetu. Na szczęście w tym momencie wróciła sekretarka. Kiedy zauważyła mamę, skurczyła się gwałtownie jak szczeniak bojący się uderzenia gazetą i podjęła nieudolną próbę przemknięcia za biurko. Próbę od początku skazaną na niepowodzenie.

– Gdzie pani była?! – zaatakowała ją dyrektorka.

– W toalecie, pani dyrektor – odpowiedziała kobieta, spuszczać wzrok.

– W toalecie?! – powtórzyła dyrektorka. Niedowierzenie w jej głosie ocierało się o niezamierzony komizm. – Zostawiła pani niepilnowane stanowisko pracy! A gdyby ktoś zadzwonił?! A gdyby jakiś rodzic przyszedł?

– Ja tylko na chwilę... Naprawdę już musiałam...

– No i od kiedy zostawiamy uczniów samych w sekretariacie!

Karolina w pierwszej chwili nie zrozumiała, że mowa o niej. Podobnie zresztą jak sekretarka. Obu zajęło to kilka pełnych napięcia sekund.

– Ale to pani córka – wyjąkała kobieta.

– I uczennica mojej szkoły! Nie zostawiamy uczniów samych w sekretariacie! Takie są zasady! Tutaj są poufne dokumenty! Jak pani sobie to wyobraża?!

– Przecież to tylko Karolina! – włączył się nieoczekiwanie ojciec. Matka odwróciła się do niego ze wzniesionym w górę groźnie palcem.

– Nie wtrącaj się – warknęła. – Nie podważaj mojego autorytetu przy personelu.

– Jakby było... – zaczął ojciec, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Popatrzył na swoje buty. – Możesz załatwić to, co miałaś do załatwienia z Karoliną, i wypuścić już naszą córkę? Dokończymy tę rozmowę bez niej, dobrze?

Dyrektorka potrzebowała chwili, żeby zastanowić się nad tym, jak

odpowiednio zareagować. Wreszcie po prostu kiwnęła głową. Spojrzała na córkę. Pozwoliła sobie nawet na lekki uśmiech, jakby przed chwilą nic się nie wydarzyło, jakby Karolina nie słyszała całej tej dzikiej awantury.

– Po co tu jesteś? – zapytała i dziewczyna przestraszyła się, że znów będzie musiała odpowiedzieć na to pytanie i zaraz wpadną w kolejną cholerną pętlę. Na szczęście mama nagle wszystko sobie przypomniała. – Właśnie, nie mamy w domu obiadu. Poczekaj chwilę.

Weszła do gabinetu. Wróciła po kilkunastu sekundach i podała jej banknot dwudziestozłotowy.

– Nie dam rady zrobić obiadu. Mam dużo pracy – mówiła w chłodny, automatyczny sposób, jakby myślami zawędrowała już w inne rejony. – Kup coś sobie.

– Co ty jej dajesz? – zaprotestował ojciec.

– Pieniądze na obiad.

– Dwadzieścia złotych?! I co ona sobie za to kupi? Nawet nie wiem, czy to starczy na zestaw w McDonalddie, a to syf jest nad syfami.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął portfel, a z niego banknot pięćdziesięciozłotowy.

– Masz – powiedział do córki. – Kup sobie coś porządnego do jedzenia. Jakiś obiad w prawdziwej restauracji, a nie kebaba. Dwudaniowy, z zupą. Zdrowy.

Karolina stała tak przed rodzicami. W jednej ręce trzymała dwadzieścia złotych od mamy, w drugiej pięćdziesiątkę od ojca. I zdała sobie sprawę, że znalazła się po raz kolejny na polu minowym. Nie mogła wziąć obu banknotów. To by oznaczało, że zgadza się na wersję ojca i wtedy mama śmiertelnie by się obraziła. Gdyby jednak Karolina oddała mu jego pięćdziesiątkę, wtedy on miałby do niej żal. Utknęła w pułapce i nie wiedziała, jak się z niej wydostać. Miała już tylko nadzieję, że ktoś rzuci jej linę ratunkową. Ojciec zrozumie swój błąd i sam od niej weźmie swoje pieniądze albo sekretarka powie coś głupiego i uwaga wszystkich znowu skupi się na niej.

Nic takiego się nie wydarzyło. Za to z gabinetu rozległ się dźwięk telefonu komórkowego. Mama zmarszczyła brwi. Spojrzała najpierw na sekretarkę, potem na ojca.

– Twój? – zapytała.

– Nie, poza tym mam inny sygnał.

– Tak. Ten wkurzający.

Telefon wciąż dzwonił.

– To w takim razie twój – odparł ojciec.

– Nie.

Westchnął i zniknął w gabinecie. Wyłonił się stamtąd w momencie, kiedy telefon wreszcie przestał dzwonić. Trzymał w dłoni samsunga, dość starego, podczas gdy oni wszyscy używali iPhone'ów.

– Leżał na podłodze. Czyje to? Pani? – zwrócił się do sekretarki.

Kobieta pokręciła przecząco głową.

– Daj – powiedziała mama. Wyrwała ojcu telefon. Przesunęła kilka razy palcem po ekranie. Spojrzała na zdjęcie na tapecie.

– To Elżbiety.

– Której Elżbiety? – zapytał ojciec.

– Tej, o której przed chwilą rozmawialiśmy!

– Skąd tu się wziął jej telefon?

– A skąd mam wiedzieć?! Przecież go nie zabrałam. – Mama westchnęła ciężko. – Pewnie jej wypadł albo coś. – Podała go Karolinie. – Weź. Oddaj pani Elżbiecie i idź wreszcie na ten obiad.

Dziewczyna gorączkowo kiwnęła głową. Ciepłe uczucie ulgi rozlało się po całym jej ciele. Wreszcie mogła uciec z tego okropnego miejsca i od kłócących się rodziców. Zarzuciła plecak na ramię, pożegnała się szybko i wybiegła na szkolny korytarz.

8

Klementyna siedziała na krześle na wpół zgięta z powodu potwornego bólu brzucha. Dobrze go znała. Ciągły, tępy i nieustępliwy, wielokrotnie już jej towarzyszył. Nie działały na niego żadne pigułki. Musiała przeczekać.

Myślała o tym, że przez prawie całe swoje życie cierpliwie i mozolnie budowała wokół siebie pancierz, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Ochronić się przed całym tym złem spływającym czarnym, gęstym strumieniem do serca. A ona brała tę wstrętą, śmierdzącą breję nieszczęść i ciosów, których Klementynie nigdy nie szczędzono, i przekuwała ją w kolejną mocną, grubą jak pięść płytę. Jej własna linia Maginota. Schowała się za nią tak głęboko, że czasami ledwo widziała świat rozciągający się poza nią.

Wychyliła się zza niej tylko dwa razy. Za pierwszy raz zapłaciła bardzo wysoką cenę. Drugi przydarzył się właśnie teraz i nie wiedziała jeszcze, ile będzie ją kosztować.

Nie chodziło wcale o tę kartkę znalezioną po lekcjach na biurku. Ktoś ją tam położył, nie wiedziała kto i kiedy. Miętoła ją w dłoniach, bo zabrakło jej odwagi, by podrzeć i wyrzucić do kosza. Na domowej drukarce wydrukowano skan artykułu z jednej z gazet jeszcze z czasów PRL-u. Niewyraźny font, prosty tytuł: „Kobieta katowała własne dziecko”. Pod spodem garść informacji o sprawie, których nie miała siły czytać. I zwykłe zdjęcie. Mała dziewczynka. Szare i lekko rozmyte, ale potrafiła w tym kilkuletnim dziecku odnaleźć własne rysy.

Tak, zdziwiła ją ta kartka. Przestraszyła. Rozglądała się dookoła, szukała w twarzach wychodzących uczniów odpowiedzi, kto mógł to podzucić. I nie mogła się pozbyć tego dziwnego poczucia, że coś takiego musiało się przydarzyć. Zbyt dużo było w ostatnich miesiącach szczęśliwych zbiegów okoliczności, by los jej za to nie ukarał.

I jeszcze Ela. Jakimś cudem przeniknęła przez pancierz Klementyny. A może to Klementyna zbyt bardzo się zza niego wychyliła. W każdym razie chciała porozmawiać z koleżanką, a raczej musiała to zrobić. Szarpał nią wewnętrzny

przymus, pragnienie bycia z drugim człowiekiem. Ta żalosna i tak oczywista potrzeba, żeby jeszcze inny głos odbił się od ścian tego ponurego mieszkania, głos życzliwy i wspierający.

Tak długo żyła w samotności. Tak bardzo się do tego przyzwyczaiła. Taką dumą napawało ją to, że nikogo nie potrzebuje, a wystarczyła tylko chwila. Kilkanaście wypalonych ukradkiem papierosów, jeden wieczór przy winie i ta iluzja legła w gruzach.

Klementyna zadzwoniła do Eli zaraz po powrocie do domu. Nie chciała poruszać tematu znalezionej na swoim biurku artykułu. Potrzebowała po prostu z nią porozmawiać. O czymkolwiek. Zaproponować spotkanie przy winie albo wspólne wyjście na kawę (tak dawno nie była w kawiarni). Nawet krótka wymiana zdań dałaby jej siłę, żeby przetrwać do następnego dnia.

Ela jednak nie odbierała.

Klementyna próbowała kilkakrotnie, za każdym razem coraz bardziej zdenerwowana. Aż wreszcie dotarło do niej, dlaczego Ela nie chce rozmawiać. Prosiła o pomoc, o drobne kłamstwo w jej obronie, a Klementyna odmówiła. Z powodu własnego tchórzostwa straciła najlepszą i jedyną przyjaciółkę, jaką miała od lat.

To właśnie wtedy zaczął boleć ją brzuch.

Próbowała zadzwonić jeszcze dwa razy, choć bez wielkich nadziei na to, że Ela odbierze. I nie odebrała.

Klementyna pomyślała, że zrobi sobie gorzkiej herbaty. Wstała z krzesła. Opierając się o kuchenne meble, dotarła do kuchenki. Nastawiła wodę w czajniku, otworzyła szafkę i wyjęła najpierw saszetkę Sagi, a potem sięgnęła po szklankę, która zaraz wyslizgnęła się jej z palców. Klementyna w ostatniej chwili cofnęła głowę, żeby nie dostać szkłem w sam środek czoła. Szklanka odbiła się od ramienia i z hukiem roztrzaskała na podłodze na kilkadziesiąt drobnych kawałków.

Klementyna poczuła, że opada z sił. Nie potrafiła się zmusić do tego, by sięgnąć po zmiotkę i posprzątać ten bałagan. Wróciła na swój stół. Jestem stara – pomyślała. Jestem zmęczona.

Chciała to wszystko naprawić. Cofnąć czas i zgodzić na cokolwiek, co Ela zaproponuje. Nawet gdyby miało ją to kosztować tę cudem znaną pracę.

Która teraz wydała jej się śmieszna i nieważna.

Sięgnęła po komórkę. Wybrała numer koleżanki, jednak zastygła z palcem nad zieloną słuchawką. Nie zadzwoniła. Zamiast tego zaczęła pisać esemesa. Uznała, że Ela na pewno nie odbierze od niej telefonu, ale być może przeczyta wiadomość. Początek był prosty. Jedno słowo: „Przepraszam”. Zaraz potem zmieniła je na: „Wybacz mi”, i wykasowała, bo uznała za przesadnie melodramatyczne, poza tym bardziej pasowało do końca wiadomości, a nie do początku. Dlatego spróbowała jeszcze raz, jednak po kilkunastu sekundach zmagania się z tekstem wypuściła telefon z ręki i pozwoliła, by spadł prosto na szare kuchenne linoleum.

Nie potrafiła sformułować odpowiedniej wiadomości. Poza tym takie rzeczy trzeba załatwić osobiście. Tego uczyli ją rodzice, a właściwie matka, bo ojciec angażował się w wychowanie tylko wtedy, kiedy należało sięgnąć po pas. Ale mama miała ambicje. Chciała zrobić z Klementyny dobrze wychowaną panienkę z dobrego domu. Taką ą i ę.

– I jak ci to wyszło, mamó? – zapytała i wzdrygnęła się, kiedy usłyszała swój głos. Jeszcze tylko brakowało, by zaczęła mówić do siebie. Będzie starą panną i do tego wariatką. Wkrótce zaczną jej podrzucać bezdomne koty.

Wstała i ból lekko zelżał. Podjęła decyzję. Przeprosi Elę. Zaoferuje, że skłamię dla niej, jeśli to będzie jeszcze potrzebne. Być może koleżanka jej wybaczy. Jednak kiedy Klementyna zdała sobie sprawę z tego, że zobaczą się dopiero następnego dnia, ból powrócił. Nawet jeszcze mocniejszy niż poprzednio. Ela się obraziła, więc raczej nie pójdą wspólnie na papierosa, a takiej rozmowy nie odbywa się przecież w zatłoczonym pokoju nauczycielskim. W którym na dodatek dyrektorka być może zainstalowała podsłuch.

Jak miała to załatwić? Nie wiedziała, gdzie Ela mieszka, więc do niej nie pojedzie. A może podczas konsultacji w szkole – pomyślała. Rzadko ktoś na nie przychodził. Nauczyciele czekali na rodziców w swoich salach, a Ela, przypomniała sobie, konsultacje miała właśnie dzisiaj.

Ostrożnie stąpając pomiędzy kawałkami rozbitego szkła, wyszła z kuchni. W pokoju położyła na stole laptopa i podłączyła go do prądu. Uruchomiła komputer i czekała niemiłosiernie długo, aż ruszy przeglądarka internetowa. Na stronie placówki sprawdziła daty konsultacji i upewniła się, że Ela jest teraz

w szkole. Klementyna miała jeszcze godzinę. Dość, żeby tam dotrzeć, ale powinna się pospieszyć.

Nie myślała długo. Szybko włożyła płaszcz, chwyciła torebkę i wybiegła z domu. Szybkim krokiem, manewrując pomiędzy kopczykami mokrego śniegu, udała się do najbliższej stacji metra.

Do szkoły dotarła po kilkunastu minutach. O tej porze gmach placówki sprawiał nieprzyjemne wrażenie. Przysadzisty, ciemny i ponury tonął w cieniach gzymsów, rynien i parapetów, tylko w kilku miejscach rozjaśnionych blaskiem latarni.

Światło paliło się jedynie w dwóch oknach, przynajmniej od strony ulicy. Jedno należało do gabinetu dyrektorki, drugie do sali Eli. Wciąż więc była w szkole.

Klementyna weszła do środka i minęła pustą portiernię. Ochroniarz kończył pracę o szesnastej i poszedł już do domu. Na korytarzu paliły się nieliczne lampy, zapewne dla oszczędności. Półmrok i niesamowita cisza sprawiły, że nagle zrobiło się tu nieprzyjemnie.

– Halo! – zawołała, sama nie wiedząc po co.

Nikt jej nie odpowiedział. Poprawiła torebkę na ramieniu i ruszyła przed siebie. Nagle usłyszała jakiś ruch za sobą, na schodach. Przystanęła i obróciła się. Wstrzymała oddech, jednak hałas się nie powtórzył. Pewnie to jakiś rodzic albo sprzątaczką czy sama dyrektorka. Nic, czym Klementyna powinna się przejmować.

Poczuła ochotę na papierosa. Żałowała, że nie zapaliła w drodze do szkoły. Wzięła głębszy wdech i weszła do klasy.

I właśnie tam znalazła Elę. Leżała na ziemi obok przewróconego krzesła. Wokół niej rozlała się kałuża gęstej czerwonej krwi. Upiorna aureola, w której tonęły luźno związane włosy kobiety. Lekko przekrzywiona głowa odsłaniała szyję. Ktoś zrobił z niej miazgę. Ktoś ją rozerwał. Brutalnie poszarpał, odsłaniając zmasakrowane sploty delikatnych mięśni i blade wnętrza tchawicy. Obok leżały zakrwawione nożyczki.

Klementynie zrobiło się słabo. Oparła się o framugę. Przymknęła powieki. Tysiące myśli przemknęło jej przez głowę, ale dwie były najważniejsze. Pierwsza: nie powinna tu być. I druga: jeśli ją tu znajdą, wszystko wyjdzie na

jaw.

Na miękkich nogach, bojąc się, że upadnie, wycofała się z klasy. Zamknęła za sobą drzwi. Zamarła. Wyjęła z kieszeni chusteczkę. Chciała wytrzeć swoje odciski palców z klamki, ale nagle opuściła ją cała odwaga.

Uciekła najszybciej, jak pozwalało jej przerażone ciało i skręcone w supeł wnętrzności.

PRZERWA

Są w tych snach chwile, sekundy, długie minuty, kiedy przepełnia ją szczęście. A właściwie jedną jej część, tę dziecięcą. Jest wiosna, lato, jesień, zima. Świat jest nowy, piękny i ogromny. Tak wspaniały, że aż zapiera dech w piersiach. Letnie słońce parzy jej skórę, kiedy wspina się na drzewa. Woda wyskakuje wesoło z jesiennych kałuż, kiedy wskakuje w nie z radosnym impetem. Śnieg trzeszczy miło pod ciałem, przedostaje się pod ubranie, kiedy robi aniołki. Wita pierwszą, soczyście zieloną wiosenną trawę. Pory roku się przenikają, jedne nachodzą na drugie, jak w kalejdoskopie. Widzi tylko siebie. W kurtce, w nowej sukience, w kombinezonie, kaloszach, z rozwianymi włosami, z czapką naciągniętą aż na same uszy i zwisającym luźno szalikiem.

Nie wie, gdzie jest. Nie potrafi zidentyfikować tego miejsca, ale wie, że kiedyś tu była. To park, las, łąka, czasami jedno, czasami drugie. Trawa jest piękna, łaskocze gołe łydki, dywan kolorowych kwiatów ma tak intensywną barwę, że musi mrużyć oczy. A może to przez słońce. Wydaje się większe, niż jest naprawdę. Ale to wie jej dorosła część. Niebo też jest bardziej błękitne. Pozbawione jednej chmurki. A śnieg, puszysty i miły w dotyku, nie jest taki zimny. Jesienne liście spadają różnokolorowym wirującym deszczem i wcale ich nie ubywa. Biegnie tak szybko, jak tylko może. Tak szybko, że płaczą jej się nogi. Skacze. Macha ramionami. Bawi się. Jest tak pięknie, że siniaki niemal nie boją. Zapomina o wszystkim, co złe. Bawi się i tylko to jest ważne. Ta radość, dziecięca, niewinna, zniewalająca, przesłania wszystko.

Błąd. Straszny, przerażający błąd.

Jej druga część, ta dorosła, boi się. Bo wie, co się wkrótce stanie. Widzi to wszystko, czego nie dostrzega mała dziewczynka. Rozdartą o gałąź drzewa koszulkę, zabłocone buty i brudne ubranie, przemoczoną do cna kurtkę, poplamione trawą spodnie, zgubioną rękawiczkę, otarcie na łokciu, spóźnienie do domu, potwora, który woła ją z okna, a ona go nie słyszy. Za to wszystko czeka kara.

Pod pewnymi względami właśnie te sny są najbardziej wyczerpujące. Klementyna rzuca się wtedy w łóżku. Płacze w pościeli, kopie i wymachuje ramionami. Chce się obudzić i chce dalej śnić. Jest dorosła i jest dzieckiem. Wie wszystko i nie wie nic.

Jest szczęśliwa i przerażona równocześnie.

Promienie słońca gładzą jej skórę. Ale gdzieś tam, wśród opadających liści, wśród czarnych pni drzewa, czai się potwór.

LEKCJA CZWARTA

1

Kiedy Klementyna wróciła do domu, uderzyły w nią kłęby dymu i przerażający smród spalenizny. Stała jak oniemiała na progu, niezdolna się poruszyć ani nawet krzyknąć, i patrzyła na płonące mieszkanie. Nie wiedziała, ile czasu minęło. Kilka sekund? Pół godziny? Z tego stanu wyrwał ją młody mężczyzna z krótkimi czarnymi włosami i brodą sięgającą do piersi. Widziała go kilka razy, mieszkał na górze. Obok niego skakał niewielki siwy kundel. Sąsiad krzyknął coś do niej. Nie zrozumiała co. Wcisnął jej do ręki smycz i wbiegł do środka. Po chwili usłyszała hałas z kuchni, a dym jakby zaczął się rozwiewać. Mężczyzna pojawił się w drzwiach. Otarł pot z czoła.

– Spaliła pani czajnik – powiedział. – Nie wiem, ile był na gazie, ale już raczej nie nadaje się do użytku. Powinna pani uważać.

– Tak – wyszeptała.

– Mieszkanie musi się wywietrzyć. Czajnik wrzuciłem do zlewu. Pozbędzie się go pani, jak wystygnie.

– Dobrze.

Stała wciąż na klatce schodowej, wpatrując się w niego.

– Mogę dostać mojego psa? – zapytał.

– Tak.

Wręczyła mu smycz. Wziął ją, ale ciągle się nie ruszał. Patrzył tylko na nią wyczekująco.

– Aha, oczywiście – mruknęła. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej portfel, a z niego banknot dziesięciozłotowy. Podsunęła go sąsiadowi. Ten zmarszczył brwi. Skrzywił się. Klementyna zadrżała. – Przepraszam, nie mam więcej – wyjąkała.

– Chciałem tylko przejść – powiedział powoli. – Stoi mi pani na drodze.

Zawstydzona, przesunęła się o dwa kroki w lewo. Mężczyzna przemknął obok niej, ciągnąc za sobą psa. Zatrzymał się po kilku stopniach. Odwrócił się, żeby spojrzeć na nią jeszcze raz.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Miała ochotę na niego krzyknąć. Naprawdę chciała, żeby już sobie poszedł i dał jej spokój. To dziwne, ale kiedy powiedział, że nie mieszkanie płonie, tylko czajnik się spalił, poczuła rozczarowanie. Jakby pożar w jakiś sposób jej się należał.

– Tak, w porządku – odparła.

Chwilę potem usłyszała, jak otwiera drzwi piętro wyżej, a potem zamyka je z głośnym trzaśnięciem.

Ona też weszła do mieszkania. Najpierw sprawdziła kuchnię. Przeraził ją w niej śmierdzący pomimo szeroko otwartego okna. Czajnik leżał w zlewozmywaku. Był zupełnie czarny i nadawał się tylko do wyrzucenia. Pod stopami zachrząściły resztki rozbitej szklanki.

Usiadła z papierosem w ręku na wersalce w dużym pokoju. Nie widziała sensu, żeby wychodzić na balkon. Śwąd spalonego czajnika rozniósł się po wszystkich pomieszczeniach. Wiedziała, że nie pozbędzie się go przez wiele tygodni. Może nawet nigdy. Do tego też będzie musiała się przyzwycząć. Uznała, że odrobina papierosowego dymu nie pogorszy już sytuacji.

W nocy spała zaledwie dwie godziny. I to tylko dlatego, że się zmusiała, połykając stare tabletki uspokajające, znalezione w szafce z lekami. Ale i tak budziła się co dziesięć, piętnaście minut. Podchodziła do okna i wyglądała na ulicę. Wypatrywała nadjeżdżających radiowozów. Wydawało jej się to logiczne, że zjawią się tutaj, gdy tylko odnajdą ciało Elżbiety. A to już powinno się wydarzyć. Jednak widziała same zwykłe samochody, a jedyny radiowóz należał do straży miejskiej. Zaczęła więc analizować to, co się wydarzyło. Chyba nikt jej nie zauważył, kiedy wchodziła do szkoły. W środku też nikogo nie spotkała. W sali, w której znalazła ciało Elżbiety, przebywała tylko przez kilkanaście sekund. Nie dłużej. Nie zostawiła tam żadnego śladu, niczego nie dotykała, wyszła. Jeśli będą szukać, znajdą jej odciski palców na klamce. Jej i wielu innych nauczycieli oraz uczniów, to przecież szkoła. Mogła wytłumaczyć ich pojawienie się na tysiące różnych sposobów. Była więc bezpieczna.

Ta myśl przyniosła ulgę i zarazem sprawiła, że Klementyna poczuła się jak najgorszy człowiek na świecie.

Rano bolało ją całe ciało, od stóp do głów, jakby noc spędziła skrepowana

ciężkimi łańcuchami. Wypiła szklanę wody, bo tylko to mogła przełknąć. Na samą myśl o jedzeniu, kawie czy papierosie zbierało jej się na wymioty.

Zastanawiała się nad tym, czy zadzwonić do szkoły i wziąć chorobowe. Uznała jednak, że to byłby zły pomysł. Do tej pory na pewno ktoś odnalazł ciało Elżbiety, a policjanci już zbierali ślady. Gdyby akurat dzisiaj nie przyszła, natychmiast zwróciłyby na siebie ich uwagę. A tego nie chciała. Dlatego ubrała się, chociaż zajęło jej to dwa razy dłużej niż zazwyczaj, i pojechała do pracy.

Na zewnątrz wszystko wyglądało niepokojąco zwyczajnie. Żadnych radiowozów, patroli, policji. Tylko dzieciaki idące jak co dzień do szkoły i odwożący ich rodzice. Ten widok zamiast uspokoić Klementynę, wzmógł jej niepokój. Działo się coś dziwnego, coś, czego nie rozumiała.

– Tarasuje pani drogę! – usłyszała za sobą młody głos.

Odwróciła się i stanęła w oko w oko ze swoją uczennicą. Nie pamiętała imienia, jedynie to, że nastolatka chodzi do ósmej klasy. Dziewczyna spłoszyła się, kiedy rozpoznała nauczycielkę.

– Przepraszam – wybąkała.

– Nie, to ja przepraszam. Zamyśliłam się – odpowiedziała Klementyna i ruszyła do szkoły.

W środku trwała jeszcze przerwa. Poszła do pokoju nauczycielskiego, w którym panował zwykły rozgardiasz. Żadnej policji, żadnego poruszenia, przestraszonych spojrzeń, plotek. Zwyczajnie. Klementyna zdjęła płaszcz, zdawkowo odpowiedziała na kilka przywitań. Zastanawiała się, co się tutaj dzieje. Widziała przecież poprzedniego wieczoru martwą Elę. A może nie? Może ona żyła, tylko dostała udaru czy czegoś takiego, straciła przytomność, ktoś ją odnalazł i teraz znajduje się w domu lub szpitalu? Ale była też krew. Bardzo dużo krwi. Przywidziało się jej to?

Zadzwonił dzwonek i nauczyciele zaczęli wychodzić z pokoju nauczycielskiego. Klementyna specjalnie przeszła koło klasy polonistycznej. Przez uchylone drzwi zerknęła do środka. Nie zobaczyła Elżbiety. Ani żywej, ani martwej. Tylko dzieciaki z szóstej klasy czekające na polonistkę. Podłoga wyglądała na czystą, bez śladów krwi, ale w miejscu, gdzie wczoraj leżała martwa nauczycielka, ktoś położył dywanik. Klementyna nie miała odwagi, żeby go podnieść i zobaczyć, co jest pod nim. Poszła na swoją lekcję.

Miała zajęcia po kolei z dwiema klasami piątymi, a potem z siódmą. Na żadnych nie potrafiła się skupić. Kazała dzieciom rozwiązywać ćwiczenia. Siódmoklasiści spodziewali się zapowiedzianej kartkówki, ale udała, że zapomniała. Dzieciaki się ucieszyły.

Podczas długiej przerwy do pokoju nauczycielskiego weszła dyrektorka. Natychmiast ucichły, prowadzone zresztą półgłosem, rozmowy. Kobieta wyglądała na spiętą i zdenerwowaną, co nie wróżyło niczego dobrego. Kilka razy uderzyła linijką trzymaną w dłoni o jeden ze stołów, żeby zwrócić na siebie uwagę. Niepotrzebnie. I tak już wszyscy na nią patrzyli.

– Szanowni państwo – zaczęła, a jej głos brzmiał bardziej oschle niż zazwyczaj. – Krótka informacja ze strony dyrekcji, czyli mojej, na temat sytuacji w naszej szkole. Niestety, pani Elżbiety już nie będzie z nami...

Zawiesiła głos, a Klementynie zaczęło mocniej bić serce. Oparła się o ścianę, bo poczuła, że miękną jej nogi. Teraz wszystko się wyjaśni – pomyślała.

– Pani Elżbieta wysłała mi dzisiaj rano pismo, że rezygnuje z pracy w naszej placówce – kontynuowała dyrektorka – ze skutkiem natychmiastowym.

Przerwała, jakby nagle zabrakło jej słów. Wpatrywała się tylko upiornym wzrokiem w twarze zebranych przed nią nauczycieli. Potem poprawiła włosy nerwowym ruchem. Odetchnęła.

– Powiem państwu szczerze, że w pewnym sensie mnie to ucieszyło – powiedziała już trochę łagodniejszym i spokojniejszym tonem. Nawet lekko się uśmiechnęła. – Pani Elżbieta nie pasowała do naszej placówki. Miałam naprawdę wiele uwag do jej pracy oraz stosunku do naszych uczniów, rodziców, przełożonych i wartości, jakie tutaj wyznajemy. I być może nie powinnam tego mówić, ale wierzę, że szczerść jest bardzo ważna w miejscu pracy...

Klementyna zauważyła, że na te słowa zareagował wuefista. Szepnął coś do stojącej obok geografki i uśmiechnął się kpiąco. Ta cichutko parsknęła. Nie umknęło to również uwadze dyrektorki, która natychmiast przerwała i zacisnęła dłoń na linijce. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby zamierzała nią rzucić w tę dwójkę.

– Panie Janku, czy ma pan coś do dodania? – zapytała.

Wuefista podrapał się po nosie i pokręcił przecząco głową. Wciąż jednak

uśmiechał się półgębkiem. Klementyna zdążyła się już nauczyć, że wuefiści i nauczyciele języków cieszyli się najmocniejszą pozycją w gronie pedagogicznym. Janek pracował również jako trener pływania, a także dorabiał sobie w jednej z siłowni. Etat w szkole nie był więc dla niego aż tak ważny. Podobnie jak dla wielu anglistów uczących po godzinach w prywatnych szkołach językowych i dających korepetycje.

– Jest pan pewien, panie Janku? – dopytywała się dyrektorka.

– Tak, pani dyrektor – powiedział nauczyciel. – Przepraszam, że przerwałem.

– Ale widziałam, że powiedział pan coś pani Emilii – nie odpuszczała. – Pani Emilio, proszę mi powiedzieć, co powiedział pani pan Janek.

Spłoszona geografka skuliła się trochę, jakby miała nadzieję, że w ten sposób się schowa. Dyrektorka wbijała jednak w nią wzrok. Cicho stuknęła linijką o blat stołu.

– Powiedziałem, że też cenię szczerść w miejscu pracy – odezwał się wuefista.

Dyrektorka wyduła usta. Przez jej twarz przemknął grymas pogardy, choć nieudolnie zamaskowała go kolejnym, wymuszonym uśmiechem.

– Cieszy mnie, że się zgadzamy w tej kwestii.

Geografka posłała Jankowi pełne wdzięczności spojrzenie.

– Tak jak wspominałam – ciągnęła dyrektorka – być może nie powinnam państwu o tym mówić, jednak nie chodzi tylko o liczne pomniejsze zastrzeżenia co do pracy pani Elżbiety. Otóż niedawno doszło do przykrego incydentu. Pani Elżbieta uderzyła w twarz jednego z naszych uczniów. Nie mówimy tu o żadnym poważniejszym uszkodzeniu ciała, ale sam fakt, że coś takiego wydarzyło się w mojej szkole, jest absolutnie niedopuszczalny. Absolutnie! – Westchnęła, zmarszczyła brwi, jakby przypominała sobie, co powinna powiedzieć dalej, i kontynuowała: – Podjęłam się mediacji pomiędzy rodzicami ucznia a panią Elżbietą, ale niestety pani Elżbieta nie poczuwała się do winy. Nie chcę tutaj wchodzić w szczegóły, także dlatego, by nie zdradzać informacji na temat tego ucznia i całej sytuacji, ale proszę mi wierzyć, że mnie osobiście to wszystko bardzo głęboko dotknęło. Bardzo głęboko. Dlatego decyzję pani Elżbiety o rezygnacji z dalszej współpracy przyjąłam z pewną radością. Niemniej sposób jej komunikacji. Sposób, w jaki to zrobiła, tylko udowadnia,

że pani Elżbieta jest niestety niepoważną, nieodpowiedzialną osobą. Nie można ot tak sobie z dnia na dzień porzucać swoich obowiązków zawodowych, że nie wspomnę o uczniach. Powiem szczerze, w innych okolicznościach zastanawiałabym się nad podjęciem kroków prawnych w stosunku do pani Elżbiety, ale w tej sytuacji chcę to już jak najszybciej zakończyć.

Zamilkła i wykonała gest ręką, sygnalizując, że teraz jest czas na pytania lub komentarze ze strony nauczycieli. Nikt jednak nie chciał się odezwać. Klementyna gorączkowo rozmyślała nad tym, co właśnie usłyszała. Historia przedstawiona przez dyrektorkę miała sens. Zgadzała się z tym, co sama już знаła. I prawdopodobnie by w nią uwierzyła, gdyby nie to, co widziała poprzedniego wieczoru, choć po raz pierwszy ogarnęły ją poważne wątpliwości. Przecież przebywała w szkole tylko przez chwilę, była wzburzona, zdenerwowana, poza tym dręczyły ją koszmary, a niedawno zmarła jej matka. Tyle mogło wystarczyć, żeby umysł starej kobiety zaczął płątać figle.

– Rozmawiam z państwem także dlatego, że chciałabym do państwa zaapelować. Znajdujemy się w środku roku szkolnego i właśnie straciliśmy polonistkę. Może nie najlepszą, ale zawsze. Już rozmawiałam z dwiema pozostałymi paniami i zgodziły się przejąć godziny pani Elżbiety, jednak wszyscy zdajemy sobie sprawę, że taka sytuacja nie może trwać wiecznie. Dlatego bardzo proszę, popytajcie wśród znajomych nauczycieli, poszukajcie. Być może wasz znajomy lub znajoma podjęłaby u nas pracę jako polonistka, na pół etatu. Wierzę, że szybko kogoś znajdziecie. Państwo przecież najlepiej znacie zalety pracy w naszej szkole.

Ostatnie zdanie zabrzmiało niczym niezamierzone szyderstwo, a Klementyna poznała swoich kolegów i koleżanki na tyle dobrze, by wiedzieć, że tak to zostanie odebrane.

– Czy są jakieś pytania?

Ze zdumieniem zorientowała się, że podniosła rękę. To był czysty impuls. Stało się to bez udziału jej głowy. Dyrektorka spojrzała na nią pytająco.

– Tak?

– Zofio, Zosiu... – zaczęła. Co prawda dyrektorka nalegała, by zwracała się do niej po imieniu, ale Klementyna przestraszyła się, że przesadziła z tym zdrobnieniem. Nie miała jednak wyjścia, musiała to ciągnąć. – Czy Elżbieta, to znaczy pani Elżbieta przyjdzie jeszcze do szkoły? Podpisać jakieś dokumenty?

Zabrać swoje rzeczy?

Dyrektorka przewróciła oczami.

– O to powinna pani pytać jednak panią Elżbietę, a nie mnie.

Klementyna kiwnęła głową.

– I jeszcze jedno. Proszę zwracać się do mnie per pani dyrektor, a nie Zosiu. Nie jestem małą dziewczynką, a to nasze miejsce pracy, nie przyjęcie. Trzymajmy się pewnych konwenansów!

2

Michał wbiegł po schodach na drugie piętro bloku na Woli. Zapukał do drzwi mieszkania po lewej. Po chwili usłyszał zbliżające się kroki i otworzyła mu wysoka blondynka w krótkiej białej sukience i butach na obcasie. Nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat. Przyjrzała mu się i uśmiechnęła szeroko, odsłaniając rząd śnieżnobiałych zębów. Czerwień szminki przywodziła na myśl krew, którą wycierał poprzedniego wieczoru z podłogi szkolnej sali.

– Pan do mnie? Pan Michał? – powiedziała z wyraźnym wschodnim zaśpiewem.

– Uhm.

– Proszę wejść.

Wpuściła go do środka. Pomogła zdjąć płaszcz i zawiesiła na wieszaku.

– Czegoś się pan napije? Wódka, piwko, whisky, a może wino?

– Nie, dziękuję.

Zatrzepotała rzęsami. Położyła jedną dłoń na jego piersi.

– A mogę zrobić dla pana coś innego?

Minął ją bez słowa, idąc w głąb mieszkania.

– Może później – usłyszał jeszcze za sobą jej słowa.

W jednym z dwóch pokoi dostrzegł wielkie luksusowe łóżko z białą pościelą. Na suficie zamontowano wielkie lustro. W drugim był barek, telewizor zawieszony na ścianie i kilka skórzanych mebli. Na kanapie ze szklanką z whisky siedział Mirosław. Palił papierosa i oglądał mecz. Wyglądał jak wielki, zadowolony z siebie basior, król świata. Jakby wczoraj nigdy się nie wydarzyło. Bijąca od niego arogancja sprawiła, że Michałowi na moment zakręciło się w głowie.

Mirek zauważył swojego gościa. Skinął mu głową i gestem zaprosił, żeby usiadł obok.

– Widziałeś? – zapytał.

– Mecz?

– No, mecz, mecz! To powtórka. Liverpool. Kurwa, jak oni teraz grają. Jakby za Dudka mieli taki skład, toby się chłopak cieszył z mistrzostwa Anglii. – Mirek zaciągnął się po raz ostatni i zgasił papierosa w leżącej nieopodal popielniczce. – Wziąłeś sobie coś do picia?

– Nie.

– To sobie weź. Ołena!

Blondynka wychyliła się przez drzwi, jakby przez cały czas tylko czekała na to, aż ktoś ją zawoła.

– Tak?

– Przynieś panu whisky. Ale wiesz, taką dobrą.

– Robi się.

Dziewczyna zniknęła.

– Nie chcę pić.

– Ale się napijesz, Michał – powiedział ostro Mirek. – Widzę, jaki spięty jesteś. Odprężysz się trochę.

Blondynka wróciła, stukając obcasami, i podała Michałowi szklankę z whisky. Przyjął ją dla świętego spokoju, ale nie zamierzał pić. Patrzył wyczekująco na Mirka. Ten sięgnął po leżącą obok marynarkę. Wyjął z niej portfel, a z niego banknot dwustuzłotowy. Wręczył go dziewczynie.

– Idź, Ołena, na jakieś zakupy, co?

– A co mam kupić?

– A co tam potrzebujesz – odparł, machając ręką.

Kobieta dygnęła w podziękowaniu jak mała dziewczynka. Kiedy włożyła kurtkę i wyszła, Michał upił jednak z trzymanej w dłoni szklanki. Whisky faktycznie była całkiem przyzwoita.

– Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego spotykamy się w pierdolonym burdelu? – zapytał.

– To nie burdel, tylko prywatne mieszkanie.

– Ale mieszka w nim dziwka.

– Ołena to bardzo porządna dziewczyna. Z Ukrainy, ale porządna.

Michał zacisnął palce na szklance i wlał w siebie resztę jej zawartości. Mirek się mylił. Alkohol go nie odprężył. Sprawił tylko, że stał się jeszcze bardziej

zdenerwowany.

– Spotykamy się tutaj, bo mówiłeś o dyskretnym miejscu. Gdzie nikt nas nie podsłucha.

– Myślałem raczej o jakimś... nie wiem... pokoju hotelowym?

Mirek prychnął.

– Żeby wynająć pokój w hotelu, trzeba za niego zapłacić i podać swoje dane. Który z nas miałby to zrobić? Ty czy ja? Poza tym wszędzie są kamery. A popatrz tutaj. Ołenie płaci się gotówką i dziewczyna o nic nie pyta. No i jeśli chcesz mieć kamerę, to musisz sporo dopłacić.

– A jak kiedyś wyjdzie, że tu byliśmy?

– To powiemy, że chcieliśmy zaruchać na dwa baty. Wielka mi rzecz. – Mirek wzruszył ramionami. – Mów lepiej, co w szkole.

Michał przeszedł się po pokoju. Pomasował się dłonią po czole.

– Chyba dobrze – powiedział wreszcie.

– Co to znaczy?

– Wszyscy kupili to, że ją wypierdoliliśmy.

– No i dobrze. Policja się nie zjawiała?

– Nie.

– Mąż nie dzwonił? Nie dopytywał, co się dzieje z szanowną małżonką?

– Nie.

Mirosław pokiwał głową z zadowoleniem. Potarł jedną dłoń o drugą, jakby właśnie ubił dobry interes.

– A u niej w domu? – zapytał na koniec.

Michał przymknął powieki. Opadł na kanapę. Nie chciał wracać myślami do tej najgorszej części poranka.

– Poczekalem, aż jej mąż wyjdzie do pracy – odparł. – Poszedłem do niej do domu. Znalazłem jakąś torbę. Wrzuciłem do niej ciuchy, kosmetyki. Wyszedłem.

– Nikt cię nie widział?

– Chyba nie.

– Myślisz, że jej mąż naprawdę uwierzy, że go opuściła?

– Może. Raczej się nie dogadywali.

Mirosław zmarszczył czoło, myśląc intensywnie nad tym, co usłyszał, a potem uśmiechnął się szeroko i klepnął go w ramię. Z całych sił, aż zabolowało.

– No to pięknie! Kurwa! Michał, rozchmurz się wreszcie! – Chwycił go i potrząsnął nim dwa razy. – Dobrze będzie. Wszystko się cudnie układa.

Michał wyrwał się z objęć mężczyzny. Nie podzielał jego optymizmu. Wydarzenia z ostatnich godzin, takie dziwne, obce, niemal ocierały się o absurd. Trup na podłodze w szkolnej sali. Pospiesznie wykonywane telefony. Krzyk. Płacz. Plan tworzony na kolanie. Ciężar ciała Eli, kiedy wrzucali je do bagażnika samochodu Mirosława. I ten chłód, ta nieprzyjemna bezwładność martwego człowieka. A jeszcze niedawno jej skóra była ciepła, usta wilgotne, a w uszach słyszał jej słodkie pojękiwanie.

– Trzeba zabrać twojego syna z mojej szkoły – powiedział głucho.

– Co takiego?

– Gniewomir musi odejść z mojej szkoły – powtórzył.

Z twarzy Mirosława zniknął dobrotliwy uśmiech. Jego oczy załśniły niebezpiecznie, gdy wydał mięsiste usta i chrząknął, jakby zbierał flegmę do wyplucia.

– Jeszcze nie – stwierdził.

– On zabił Elę! – zawołał Michał.

Mirosław wzniosł w górę palec w geście ostrzeżenia. Michał nie dowierzał, ale zaraz spuścił głowę. Co takiego miał w sobie ten mężczyzna, starszy od niego i grubszy, o twarzy człowieka znajdującego się w wiecznym stanie przedzawałowym, że Michał po prostu się go bał? Spokój – ta myśl sama pojawiła się w jego głowie. Spokój dzisiaj. Spokój wczoraj, kiedy przyjechał do nich do szkoły i zaczął im tłumaczyć, jak teraz postępować, co mówić. Jakby już to wszystko kiedyś robił. Jakby znalazł się już w takiej sytuacji.

– Ciszej – powiedział ojciec Gniewomira. – W tym mieszkaniu nie ma kamer, ale ściany nie są aż tak grube. Sąsiedzi przyzwyczaili się do jęków, jednak nie do krzyków o tym, że ktoś kogoś zabił.

– Tak, racja. Chodzi mi o to, że...

– To nie jest teraz istotne – przerwał mu. – Mój syn zostanie u ciebie w szkole do końca roku. Potem go gdzieś zabierzemy.

– Ale on zabił...

– Wiem, kurwa, co ten gówniarz zrobił! – warknął mężczyzna. – Ale teraz musimy trzymać głowy nisko. Nie zwracać na siebie uwagi. Dlatego Gniewomir skończy rok szkolny w waszej szkole. I koniec dyskusji na ten temat.

– Nie. – Michał potrząsnął głową. Przyjechał tutaj z jedną myślą: chciał się pozbyć tego upiornego dzieciaka. I obiecał sobie, że nie odpuści, dopóki nie osiągnie celu. – Nie! Nie! Nie!

– Uspokój się. Będzie dobrze. Będziemy go mieć nieustannie na oku. Albo ja, albo moja żona. Do szkoły będzie przychodził tylko na lekcje.

– Nie! Nie zgadzam się! Nie!

Mirosław poderwał się z miejsca i Michał instynktownie się skulił, przekonany, że chce go uderzyć. Jednak on tylko go minął w drodze do kuchni. Michał poczuł, jak jego wnętrze pali okrutny, przejmujący wstyd. Pomyślał, że zachowuje się jak dzieciak, a nie mężczyzna. Ogarnęło go zmęczenie. Całe ciało paliło, mięśnie ramion wydawały się zrobione z ołowiu. Nie miał siły walczyć.

Mirosław pojawił się tuż przy nim ze szklanką whisky. Wcisnął mu ją w dłoń.

– Pij – powiedział.

Michał wykonał polecenie. Duszką opróżnił szklankę. Zakręciło mu się w głowie. Paliło w przełyku i żołądku. Ale to było nawet przyjemne.

– On chodzi do klasy z Karoliną. Z moją córką – wybełkotał.

– Wiem, dlatego zabiorę go z twojej szkoły, gdy tylko skończy się rok szkolny. I nigdy więcej nie zobaczysz go na oczy. Ale teraz musi u ciebie zostać. Musimy być ostrożni, okej? Wiem, że to rozumiesz. Przecież to tobie powinno bardziej zależeć na tym, żeby to się nie wydało.

W głosie Mirosława zabrzmiała groźba, tak mocna i wyraźna, jakby wypowiedział ją samymi wielkimi literami. A teraz patrzył na niego, upewniając się, czy dotarła do adresata. Tylko to nie miało sensu. Michał z Zofią zgodzili się ukryć ciało Eli, żeby chronić szkołę. Po samobójczej śmierci Marysi kolejny cios, kolejny skandal sprawiłby, że nigdy by się nie podnieśli. A szkoła to biznes. Ważny, bo wpakowali w niego mnóstwo pieniędzy, mnóstwo wysiłku. Na drugiej szali znajdował się Gniewomir – syn Mirosława. Michał nie znał za dobrze chłopaka. Wiedział tylko, że jest dziwny. I że nie

przeżyje więzienia. Dlaczego więc to właśnie Michałowi miało „przede wszystkim” zależeć?

– Nie rozumiem.

Mirosław uśmiechnął się lekko. A może tylko wykrzywił usta w obleśnym, wrogim grymasie. Michał nie umiał tego ocenić.

– Ruchałeś ją? – zapytał Mirek, powoli wymawiając każde słowo.

Michał zmarszczył brwi. Jak przez mgłę przypomniał sobie popijawę z okazji sfinalizowania przejęcia kolejnej kamienicy i ten moment, kiedy postanowił zaimponować Mirosławowi i opowiedział, że rucha na boku własną pracownicę. I to niemal pod samym nosem własnej żony.

– Nie zaprzeczaj. To oczywiste. Poza tym nawet nie musiałeś sprawdzać, gdzie ona mieszka ani jak wygląda jej mąż. Musieliście być blisko... – Mirek przerwał na moment tylko po to, żeby podejść do niego. – Jak ci się podoba taka historia: mąż dyrektorki i nauczycielka mają romans. Dla niego to zwykłe ruchanie, dla niej wielka miłość. Ona chciała dla niego odejść od męża, on ją oszukał. Ona zagroziła, że powie wszystko jego żonie, więc on ją zabił. – Nachylił się nad nim. – Miałeś wszystko. Motyw. Sposobność. Czas, żeby to zaplanować. Jesteś idealnym podejrzanym. Ty! Nie mój syn.

Klepnął go delikatnie w policzek, a potem wyprostował się, odsunął i uśmiechnął przyjacielsko.

– Ale spoko, Michał. Będzie dobrze. Tylko wyluzuj trochę. I nie rób nic głupiego.

W tym momencie usłyszeli zgrzyt otwieranych zamków. Ktoś wszedł do środka. Stukot butów na obcasach nie zostawiał żadnych wątpliwości.

– Już wróciłam! – zawołała Ołena. Przez chwilę czekała w milczeniu, a dopiero potem weszła w głąb mieszkania.

– Zabaw się. Przeleć ją. To miła dziewczyna. Zadbana.

Michał prychnął pod nosem.

– Mam ruchać kogoś po tobie?

– Po mnie? – Mirosław się skrzywił. – Nawet palcem jej nie ruszyłem. Dzisiaj oczywiście. Nie dałbym ci dziewczyny, którą przed chwilą sam przeruchałem. To byłoby nieuprzejme!

Ołena weszła do pokoju. Michał nie był pewien, czy słyszała ich rozmowę. Nawet jeśli, to nie dała tego po sobie poznać. Mirosław wstał. Włożył marynarkę, podszedł do dziewczyny i pocałował ją w dłoń.

– Niestety, kochana, muszę już uciekać.

– Tak szybko? – zapytała zmartwionym głosem Ukrainka. Udawała oczywiście, ale robiła to bardzo dobrze.

– Tak szybko. Interesy. Natomiast zostawiam cię z moim drogim przyjacielem. Zrób dla niego... cokolwiek, o co poprosi. Facet miał naprawdę ciężką noc.

– Oczywiście.

Ołena cmoknęła Mirosława na pożegnanie.

Po chwili mężczyzna wyszedł z mieszkania, a oni zostali sami. Kobieta stanęła przed Michałem na lekko rozstawionych nogach. Mógł teraz dobrze jej się przyjrzeć. Miała nienaganną sylwetkę, a nie aż tak znowu duży dekolt sukienki eksponował piękne piersi.

– To od czego zaczniemy? – zapytała.

Michał westchnął. Zamknął oczy. Pomyślał, że nie chce tutaj być. Otworzył powieki i nagle beknął. Wypita whisky podeszła mu do gardła. Musiał ją jeszcze raz przełknąć, żeby nie zwymiotować. Ołena nadal stała tuż przed nim. Ciągle uśmiechała się zalotnie. Jakby niczego nie zauważyła.

– Od lodzika – powiedział. – Zaczniemy od lodzika.

3

Karolina siedziała na ławce przed szkołą. Podciągnęła nogi, głowę schowała pod puchatym kapturem kurtki, tak że z daleka przypominała niebiesko-zieloną kulkę. Owiewał ją zimny wiatr, a z góry uderzały w nią ciężkie krople wody. W ogóle na dworze było paskudnie. Przyszła odwilż. Śnieg ostatecznie stopniał, pozostawiając po sobie tylko głębokie kałuże i zwały blocka. Jednak Karolina nie wytrzymałaby ani chwili dłużej w zamkniętym pomieszczeniu. Potrzebowała świeżego powietrza. Spokoju. Samotności. Zatopienia się we własnych myślach i własnym nieszczęściu. Dlatego uciekła z lekcji biologii, a właściwie nie wróciła do szkoły, kiedy dzwonek oznajmił koniec przerwy. Ale czy naprawdę można uznać to za wagary? Przecież nauczycielka widziała ją z okien ich klasy. Wystarczyłoby tylko, żeby je otworzyła, wychyliła się i zawołała ją na lekcję. Dziewczyna zapewne by posłuchała. Skoro jednak nauczycielka tego nie zrobiła, Karolina potraktowała to jako przyzwolenie na opuszczenie zajęć.

Wiedziała, że jest źle. Wczorajsza kłótnia rodziców w gabinecie okazała się tylko początkiem. Ciąg dalszy nastąpił w domu. Rodzice wrócili późno w nocy i zdenerwowani zamknęli się w sypialni. Słyszała ich szepty przepełnione wściekłością i wzajemnymi pretensjami, ale nie rozróżniała poszczególnych słów. A jeśli nie wiedziała, o co dokładnie się kłócili, to jak mogła im pomóc? Nawet nie miała siły, żeby zastanawiać się, dlaczego robią z tego taką tajemnicę. Do tej pory nic nie przeszkadzało im kłócić się w jej obecności. A jakby tego było mało, ona też zaważyła. Zrobiła coś niewiarygodnie głupiego i kiedy to wyjdzie na jaw, sytuacja się jeszcze pogorszy. Mama będzie zawiedziona, ojciec wpadnie w szal, małżeństwo rodziców definitywnie się rozpadnie, a to doprowadzi do kolejnych nieszczęść, bo mama sama sobie przecież nie poradzi, a ojciec i tak już za dużo pił.

Miała wrażenie, że jej całe życie właśnie rozpada się na kawałki.

– Wszystko w porządku?

Podniosła niechętnie głowę. Przed nią stał starszy od niej chłopak.

Przystojny, pomyślała, zanim zdążyła się zdenerwować, że jej przeszkadza.

– Znam cię. Chodzisz z moim bratem do klasy. Z Gniewomirem. Ja jestem Sławek.

Karolina uśmiechnęła się, bo mama nauczyła ją, że dziewczyny powinny się uśmiechać do miłych chłopców.

– Cześć – powiedziała.

– Przyszedłem po Gniewka.

– Aha – szepnęła i wbiła sobie paznokiec w dłoń. Musiała się skupić, potrzebowała teraz rozsądnie myśleć. Nie chciała, by ten chłopak pomyślał sobie, że jest dziwna albo nieuprzejma. – Mamy jeszcze biologię.

– A ty nie jesteś na lekcjach? – zapytał.

Zaczerwieniła się.

– Jakoś tak wyszło.

– Spoko. – Uśmiechnął się. – Sam wagarowałem. Tylko wiesz, tutaj każdy może cię zauważyć.

Wzruszyła ramionami.

– Nie widziałam dzisiaj Gniewka – przypomniała sobie. – Chyba nie pojawił się w szkole.

Sławek podrapał się po brodzie.

– Jesteś pewna? – zapytał.

– Tak – odparła, chociaż gdyby się nad tym głębiej zastanowiła, to wcale nie spieszyłaby się z tą odpowiedzią. Gniewomir był dziwny i niepokojący, ale w sumie zdążyła się już do niego przyzwyczaić. Do tego chłopak trzymał się z boku, więc w sumie trochę zlewał się z tłumem. Jeśli do niej nie mówił i nie robił czegoś wyjątkowo głupiego, to często nawet go nie zauważała.

– Cholera, pewnie został w domu, a matka nic mi nie powiedziała. – Westchnął i spojrzał na Karolinę. – A co z tobą? Chłopak czy starzy?

– Słucham?

– Znam to. Tak zdolować potrafią tylko dwie rzeczy. Albo druga połówka, albo rodzice. Co jest u ciebie?

– Rodzice – przyznała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Pokiwał głową i spojrzał na zegarek.

– Chcesz iść na kawę?

Zaskoczył ją. W pierwszej chwili nie zrozumiała, potem pomyślała, że żartuje. Nie potrafiła się zdecydować, mrugała tylko. Sławek się roześmiał. Miał ładny śmiech, przyjemny, ale jej zrobiło się głupio i poczuła, że jest na niego zła.

– Raczej nie.

– Nie obrażaj się – powiedział, siadając obok i lekko trącając ją ramieniem. – Chcę ci pomóc.

– Może nie potrzebuję pomocy?

Wskazał na nią palcem. Zamarł w takiej pozie na kilka sekund, intensywnie nad czymś myśląc.

– Karolina – rzucił wreszcie. – Prawda?

A więc znał jej imię. Połechtalo ją to. Potwierdziła ruchem głowy.

– Jesteś córką dyrektorki – sprecyzował. – Słuchaj, mogę cię tutaj zostawić, ale jest zimno i mokro. Zaziębisz się i tyle z tego będzie. Możesz też iść ze mną na kawę. Mam knajpę niedaleko. Siądziemy, pogadamy. To ci pomoże, bo ja naprawdę wiem, co przechodzisz.

Wstał i wyciągnął w jej stronę rękę.

– To co?

Zgodziła się.

Poprowadził ją do stacji metra. Tłumaczył, że to naprawdę blisko i nie ma sensu jechać samochodem. Faktycznie, przejechali tylko trzy przystanki. Wyszli na Centrum, potem poszli w stronę placu Konstytucji, żeby po kilkuset metrach skręcić w jedną z bocznych uliczek, gdzie znajdowała się restauracja Sławka. Przez ten cały czas niemal nie rozmawiali. Wpuścił ją do środka, otwierając przed nią drzwi jak prawdziwy dżentelmen, usadził przy stoliku i przeprosił na chwilę. Poszedł porozmawiać z kelnerem, zniknął na zapleczu i wrócił po kilku minutach z dwiema kartami.

– Przepraszam, ale interesu trzeba przypilnować – powiedział, wręczając jej menu. – Zamów coś sobie. Na koszt firmy, oczywiście.

Przejrzała szybko kartę. Właściwie to nie czuła głodu. Zdenerwowanie sprawiło, że żołądek skurczył jej się chyba do wielkości guzika. I tak nic by

w siebie nie wcisnęła.

– Napiłabym się piwa.

Zerknął na nią z ukosa i uśmiechnął się lekko.

– Nie u mnie. Ile ty masz lat? Piętnaście, szesnaście?

– Piłam już piwo! – powiedziała.

– Nie wątpię. Tylko wiesz, to jest mój lokal. Złapie cię tutaj ktoś z piwem i będę miał przewalone.

Była zawiedziona, ale postanowiła to ukryć. Jeszcze by sobie pomyślał, że jest jedną z tych dziewczyn, które tylko czekają na okazję, by się nawalić, a potem lizać się z pierwszym lepszym facetem.

– To kawę. Latte.

– Robi się.

Podszedł do baru. Szepnął coś pracującemu tam mężczyźnie, a po chwili wrócił z dwoma napojami – zwykłą czarną w filiżance dla siebie i latte w wysokiej szklance dla niej. Usiadł naprzeciwko Karoliny i upił trochę kawy.

– To co się dzieje z twoimi rodzicami? Rozwodzą się? – zapytał.

Po raz pierwszy usłyszała, jak ktoś mówi coś takiego o mamie i tacie. Poczula się dziwnie. Z jednej strony jakby jej myśli, najczarniejsze przypuszczenia nabrały nagle bardziej realnego kształtu, ale z drugiej nie wydały się aż tak straszne. Przecież tylu ludzi się rozwodzi i nikt nie robi z tego wielkiej tragedii. Nawet w jej klasie jest piątka dzieciaków z rozbitych domów. Nie wyglądają, jakby działa im się wielka krzywda.

– Jeszcze nie – powiedziała cicho. – Strasznie się kłóca.

Przez chwilę bała się, że ją wyśmieje. Dorośli ludzie się kłóca. Czy to jest powód, żeby wpadać w czarną rozpacz? Ale Sławek zamiast tego pokiwał ze zrozumieniem głową.

– To jest straszne gównno – stwierdził. – Moi rodzice, moi i Gniewka, też się kłócili. Zresztą wciąż się kłóca, tylko teraz rzadko ze sobą przebywają, więc jest bardziej spoko.

Przerwał na chwilę. Jego palce uderzały miarowo o filiżankę z kawą.

– Najgorsze w tym jest to, że chociaż ty w ogóle nie zawiniłaś, to i tak czujesz się jak szmata.

Karolina miała ochotę rzucić się przez stół i go uściskać. Dokładnie tak się czuła, ale sama nigdy nie potrafiła tego ubrać w słowa. Było tak, jakby w jakiś magiczny sposób Sławek wiedział o niej więcej niż ona sama.

– Mówiłem ci, że wagarowałem w gimnazjum, potem w liceum, nie?

Przytaknęła.

– Robiłem też głupsze rzeczy. Dużo piłem, wdawałem się w bójkę, imprezowałem. Kradłem ojcu pieniądze, żeby mieć na te wszystkie rzeczy. Widzisz, teraz wydaje mi się, że robiłem to wszystko po to, by rodzice złościli się bardziej na mnie niż na siebie nawzajem. Czy to, co mówię, ma sens?

– Ma.

– Twoi rodzice się biją? – zapytał.

– Nie.

– Moi się bili. Ojciec jest większy, cięższy, więc w końcu to on wygrywał, ale matka nie pozostawała mu dłużna. Zresztą często to ona zaczynała. Gryzła go, szarpała. Talerze latały po całym domu. Brałem wtedy Gniewka i zamykaliśmy się w pokoju. Puszczałem głośno muzykę i próbowaliśmy to wszystko przeczekać. Pewnego dnia pokłócili się o pieniądze. Zazwyczaj kłócili się o pieniądze. Ojciec oskarżył matkę, że wydaje za dużo. Ona mówiła, że jej za mało daje. Zaczęli się łać. Coś mi strzeliło do głowy, żeby ich rozdzielać... – Urwał gwałtownie. Zastanawiał się nad czymś, a potem westchnął. – Okej, to działa się tyle lat temu, że w sumie mogę ci powiedzieć. Pokłócili się przeze mnie, bo wcześniej ukradłem mamie kasę z torebki. No i miałem wyrzuty sumienia. Pomyślałem, że jakoś ich rozdzielę, uspokoję.

– I?

– I dostałem talerzem w głowę. Popatrz, została mi blizna.

Nachylił się w jej stronę, odgarniając włosy tuż nad czołem. Dostrzegła jaśniejszy, dość długi ślad, który ciągnął się od połowy czoła w górę. Nie wiedziała, jak daleko.

– Duża – zauważyła.

– Ale ładnie się zagoiła. Oczywiście zaraz wtedy przerwali. Zawieźli mnie na pogotowie. Tam powiedzieli, że talerze na mnie spadły, gdy je wyciągałem z szafki, czy jakieś takie bzdury. W każdym razie wtedy sobie pomyślałem, że wypierdalam z tego domu przy pierwszej okazji, bo inaczej oni mnie zabiją albo

ja zabiję się przez nich. I tak właśnie zrobiłem.

– Chyba słusznie – powiedziała niepewnie, bo nie potrafiła sobie wyobrazić swojej wyprowadzki. Miała wrażenie, że jeśli opuści rodziców, stanie się coś strasznego. Czowała, że tylko ona jakoś powstrzyma to, co się w nich kotłuje najgorszego. Tylko ona potrafi uspokoić mamę, tylko ona potrafi odwrócić uwagę ojca. Tylko dzięki niej ta rodzina jeszcze się nie rozpadła.

– Czasami żałuję – stwierdził.

– Dlaczego?

– Przez Gniewka – rzucił. Wypił łyk kawy i skrzywił się, jakby była za gorąca. – On teraz został sam z mamą. Wiem, że jest dziwny, ma problemy, ale nie jest taki głupi, jak wszyscy myślą. Pewnie gdyby chodził regularnie na terapię, byłoby z nim dużo lepiej. Albo przynajmniej wiedzielibyśmy, co jest z nim nie tak. Jednak ani matka, ani ojciec nie mają na to czasu, a ja... Czasami wydaje mi się, że go porzuciłem. Że powinienem z nim zostać. Bardziej o niego dbać.

Przyglądała mu się z szeroko otwartymi oczami. To lepiej, że nie dostała piwa. Podpita mogłaby nie docenić jego słów, jego szczerości, a one ją oszałamiały do tego stopnia, że nie wiedziała, co powiedzieć. Tak naprawdę chciała tylko chwycić jego dłoń. Mocno ścisnąć. Jeszcze nikt nigdy nie wydał jej się tak bliski.

– Ale ty też pewnie nie masz łatwo – rzucił. – Kłopoty w domu, do tego ta dziewczyna, która rzuciła się pod pociąg.

– Marysia.

– Właśnie, Marysia. Wiadomo już, co tam się stało?

– Podobno zabiła się dlatego, że była w ciąży. Tak mówiła mama.

– Naprawdę?

– Ale nie wiadomo z kim.

– Wy też nie wiecie? – zapytał z lekkim niedowierzaniem. – Wiesz, chodziłyście razem do szkoły, do jednej klasy. Dziewczyny przecież ze sobą rozmawiają.

Pokręciła przecząco głową.

– Marysia trzymała się z boku. Nawet nie wiedziałam, że ma chłopaka. Inne

dziewczyny chyba też nie.

Sławek odwrócił się, kiedy ktoś zawołał jego imię. Barman przywoływał go ruchem ręki. Sławek dał mu znak, że zaraz podejdzie. Sięgnął do kieszeni spodni po komórkę. Wyjął ją i odblokował.

– Jaki jest do ciebie telefon? – zapytał.

Zaskoczył ją swoją bezpośredniością, ale podała mu numer. Wpisał go szybko, a potem nacisnął coś i aparat w jej plecaku zaczął wibrować.

– To teraz masz mój – stwierdził. – Ja muszę iść, bo sama widzisz. – Wskazał na barmana, który zaczynał się niecierpliwić. – Ale jakbyś chciała z kimś pogadać albo coś, to masz do mnie zamiar. Po prostu dzwoń. Wiem, że bywa ciężko i czasem trzeba komuś się wyzalić, a dzisiaj to chyba głównie ja mówiłem. Sorry za to.

– Nie, nie! – zaprzeczyła gorączkowo. – To naprawdę... Ja dziękuję. Naprawdę. Za kawę i za rozmowę. Dziękuję.

Sławek uśmiechnął się. Wypił do końca kawę i wyciągnął dłoń do Karoliny. Uścisnęła ją, chociaż wołałaby się do niego na chwilkę przytulić. Tylko że wtedy mogłoby się zrobić niezręcznie.

– Sławek! – zawołał po raz kolejny barman.

– Lecę – powiedział chłopak. – Jakbyś zmieniła zdanie i chciała coś zjeść, to po prostu zamów. Powiem, komu trzeba, że to na mój koszt.

– Jasne.

Podszedł do barmana. Chwilę porozmawiali przy barze, a potem razem zniknęli na zapleczu. Karolina posiedziała jeszcze przy stoliku. Dopijała swoją latte, zapisała numer Sławka w kontaktach, potem sprawdziła Facebooka i Instagrama. Zajęło jej to znacznie dłużej niż zazwyczaj, ale po prostu liczyła, że chłopak jeszcze pojawi się w sali. Że może się do niej przysiądzie i trochę porozmawiają.

Wyszła z restauracji dopiero wtedy, kiedy zupełnie straciła już na to nadzieję, a na dworze zrobiło się zupełnie ciemno.

4

Po skończonych lekcjach Klementyna czatowała pod gabinetem dyrektorki, ukryta za załomem korytarza. Wyjęła komórkę i udawała, że odpisuje na esemesa albo sprawdza coś w internecie. Nikt przecież nie wiedział, że jedyne wiadomości, jakie dostaje, to te od operatora telefonii komórkowej i że nie ma pojęcia, jak włączyć internet.

Czekała tak blisko pół godziny, aż w końcu drzwi się otworzyły. Wyszła z nich dyrektorka i szybkim krokiem udała się w stronę toalety. Klementyna poczekała, aż kobieta zniknie w środku, i przemknęła do sekretariatu.

Sekretarka ledwo rzuciła na nią okiem znad ekranu komputera.

– Pani dyrektor wyszła – odezwała się tylko.

– Aha. To szkoda, ale ja właściwie do pani – powiedziała Klementyna.

Kobieta przerwała pracę i spojrzała na nią pytająco.

– Bo ja... Chciałam się dowiedzieć, czy jest taka możliwość, bo może pani ma, w każdym razie chodzi mi o adres domowy pani Elżbiety. Bo widzi pani, ja wiem, że Elżbieta się zwolniła, ale bardzo chciałabym jej oddać książkę, a teraz nie mam jak. I pomyślałam, że mogłabym ją odesłać – mówiła gorączkowo, plątały jej się słowa, a kiedy skończyła, miała ochotę uciec. Drżały jej nogi i pomyślała, że zaraz upadnie, oparła się więc o blat biurka.

Sekretarka przerzuciła kilka rzeczy na biurku, a potem podsunęła Klementynie białą kopertę wielkości A4.

– Nie rozumiem – wymamrotała nauczycielka.

Zniecierpliwiona kobieta przewróciła oczami i postukała palcem w kopertę.

– Tutaj jest adres – wytłumaczyła. – Niby nie powinnam pani pomagać, bo RODO, ale i tak miałam dzisiaj wysłać dokumenty dotyczące rozwiązania umowy o pracę, to się umówmy, że pani podejrzwała. Dobrze?

– Dobrze.

Klementyna wbiła wzrok w kopertę, próbując zapamiętać zapisany na niej adres.

– Może pani przepisać albo zdjęcie zrobić.

– Tak, tak. Oczywiście.

Gorączkowo sięgnęła do torebki po telefon. Znalazła odpowiednią aplikację i użyła jej po raz pierwszy. Potem podziękowała i szybko się pożegnała.

A teraz stała pod mieszkaniem Elżbiety i zastanawiała się, co właściwie tutaj robi. Bała się. Ale przed oczami ciągle widziała ciało Eli na podłodze w szkolnej sali, czerwoną krew wokół głowy. Zszokował ją spokój dyrektorki, kiedy powiedziała, że Ela po prostu się zwolniła. Klementyna nic z tego nie rozumiała. Nie dawało jej to spokoju. Musiała dowiedzieć się, jaka jest prawda. Sprawdzić, co z tego wszystkiego wydarzyło się naprawdę, a co było wytworem zmęczonego, starego umysłu.

Nacisnęła przycisk dzwonka. Nieprzyjemny, ostry dźwięk sprawił, że serce podeszło jej do gardła. Zabrała palec i dźwięk urwał się, jakby ktoś go uciął nożem. Cofnęła się o krok. Potem drugi, a wreszcie trzeci, czwarty i dalej, aż znalazła się przy windzie. Przywołała ją, przeklinając się w duchu. Przecież Ela sama się zwolniła. Klementyna nigdy jej więcej nie zobaczy, i dobrze. Niepotrzebnie tu przychodziła. Niepotrzebnie wpychała nos w nie swoje sprawy.

Nim przyjechała winda, usłyszała chrzęst otwieranych zamków. Chciała zbiec na dół schodami, ale te znajdowały się tuż przy wejściu do mieszkania Eli. Rozejrzała się spanikowana dookoła, jednak nie zauważyła żadnej drogi ucieczki.

– To pani do mnie dzwoniła?

W otwartych drzwiach stał ponadtrzydziestoletni mężczyzna z lekką nadwagą. Miał gęste czarne włosy i równie gęstą brodę tego samego koloru. Nosił sprane jeansy i czerwoną koszulkę z nieczytelnym już napisem. Jego stopy były gołe, a paznokcie pożółkłe i grube. Tak jak u matki pod koniec życia, pomyślała mimowolnie.

– Tak. Chyba tak.

– Chyba tak? – powtórzył ostro. Tak ostro, że aż się przestraszyła. – Czego pani chce? – zapytał, idąc w jej stronę.

– Jestem przyjaciółką Elżbiety i...

– Przyjaciółką Eli – powtórzył. – Pierwszy raz panią widzę.

– Ze szkoły. Pracujemy razem.

Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że niewiele go to obchodzi. Obrócił się na pięcie i wrócił do mieszkania, zostawiając szeroko otwarte drzwi. Klementyna stała w miejscu, nie wiedząc, jak się zachować. Po chwili mężczyzna wychylił się z przedpokoju.

– Wchodzi pani czy nie?

– Tak, oczywiście – powiedziała, chociaż wcale nie chciała tego robić, ale on patrzył na nią wyczekująco i nie potrafiła zachować się inaczej.

– Pani zamknie za sobą drzwi.

Znalazła się w środku i spełniła jego prośbę. Dwupokojowe mieszkanie Elżbiety, tylko niewiele większe niż jej, umeblowano sprzętami z Ikei, a na ścianach pomalowanych w brązy i biele wisiały oprawione w ramki kolorowe fotografie. Była na nich Ela z mężczyzną, który wpuścił Klementynę. Obejmowali się, całowali. Pili wino na tle jakiegoś średniowiecznego zamku we Włoszech lub Francji.

– Tak właśnie myślałem, że kogoś przyśle. Spodziewałem się, że to będzie raczej Ola, może Ania – powiedział mężczyzna. – Jednak wolała wysłać kogoś, kogo nie znam. W sumie to może i dobrze, mniej będzie gadania. Ale żeby pani sobie nie pomyślała, że jestem ostatni cham: Bartek, mąż Eli.

– Klementyna – odpowiedziała odruchowo i równie odruchowo wyciągnęła rękę w jego kierunku, ale on tylko skinął głową i przeszedł do sypialni. Otworzył szafę i zaczął wyrzucać na łóżko kobiece ubrania.

– Czego chce? Ubrania? Swoje kosmetyki? Może biżuterię?

Siłował się z jednym wieszakiem i nagle szarpnął go tak mocno, że ten pękł, a mężczyzna rzucił nim o ścianę.

– Czego ona chce?! – wrzasnął.

Klementyna oddychała płytko. Twarz Bartka zrobiła się cała czerwona. Nauczycielka bała się, że zaraz się na nią rzuci.

– Nie wiem – szepnęła.

– Jak to, kurwa, nie wiesz?

– Przyszłam, żeby jej oddać książkę.

Zamrugął kilka razy, a potem wybuchnął śmiechem. I śmiał się długo

i głośno, tak jakby nagrano go na taśmie, a potem puszczono w zapętleniu. Oparł się o ścianę i wtedy coś się zepsuło. Śmiech się załamał. Zmienił w coś, co przypominało rżenie. Bartek odepchnął się od ściany, zatoczył, machnął pięścią w powietrzu, niemal się przy tym wywracając. Na policzkach widniały ślady łez.

– Odeszła ode mnie – powiedział nieoczekiwanie.

Patrzył w bok, tak że Klementyna nie wiedziała, czy mówi do niej albo czy w ogóle jest świadom jej obecności.

– Nie wróciła na noc do domu – kontynuował. – Nie odbiera moich telefonów. Kiedy przyjechałem do domu po pracy, zobaczyłem, że zabrała swoje rzeczy. Te najpotrzebniejsze. Myślałem, że panią przysłała.

– Nie – odważyła się odpowiedzieć.

– Mogłem się tego spodziewać – mruzczał dalej. – Nie układało się nam. Wie pani? Mówiła o tym? Wy się w ogóle przyjaźniłyście?

– Trochę tak – odparła, a potem, żeby jakoś uwiarygodnić to twierdzenie, dodała: – Powiedziała mi, że nie może zająć w ciążę, od kiedy straciliście dziecko...

Mężczyzna prychnął pod nosem i nagle ruszył ociężale w stronę Klementyny. Zbliżył się do niej, tak że poczuła na skórze jego lepki, ciepły oddech.

– Straciliśmy... – wyszeptał. – Powiedziała, jak straciliśmy?

– Miała wypadek. Ktoś w nią wjechał.

– Powiedziała, że była wtedy pijana? – zapytał, a widząc zaskoczenie na jej twarzy, uśmiechnął się szeroko, złośliwie i mściwie. Wyrzucił ramiona w górę w tryumfalnym, dzikim geście, a potem wbił sobie palce we włosy, jakby chciał je wyrwać.

– Powiedziała?! – powtórzył pytanie.

– Nie.

– Poszła na urodziny koleżanki. Niby wypić tylko jeden kieliszek, dla towarzystwa, ale spodziewała się, kurwa, dziecka. Nie powinna w ogóle tykać alkoholu, nawet kropli. No i to była Ela. U niej nigdy nie kończy się na jednym kieliszku. Nie potrafi przestać.

Klementyna przypomniała sobie ich wspólny wieczór i kolejne szklanki

wina. Skinęła głową i w tej samej chwili poczuła się tak, jakby zdradziła koleżankę.

– Nigdy nie przyznała mi się, ile naprawdę wypija – powiedział Bartek już ciszej, spokojniej. Ramiona zwiślały mu bezwładnie wzdłuż ciała, a on wydawał się wyczerpany. – Ale ten kierowca... nie miał szans zareagować. Wjechała prosto na niego. Nie mógł nic zrobić. – Pociągnął nosem i wbił wzrok w Klementynę, zmuszając ją, by skupiła na nim całą swoją uwagę. – I tak właśnie – wycedził – Ela zabiła nasze dziecko.

Poczuła, że robi jej się słabo.

– To na pewno był wypadek – wyszeptwała. – Ona nie chciała.

Mężczyzna opadł na łóżko.

– Nie chciała, nie chciała, a zabiła. I co pani na to? – ciągnął, a wypowiedzianie tych słów sprawiało mu wyraźną satysfakcję. – I co pani o tym myśli? Co powinniśmy zrobić matce, która zabija własne dziecko?

Chciała zatkać sobie uszy, żeby nie słyszeć tych wszystkich okrutnych, strasznych słów.

– Nie wiem.

Bartek poderwał się, podbiegł do niej i chwycił ją za ramiona. Przycisnął do ściany, aż jęknęła z bólu.

– Wie pani! Wie pani! To najgorsze, co może zrobić matka! Najgorsze! Zabiła własne dziecko!

Zamknęła oczy.

– Proszę mnie puścić – szepnęła przerażona.

– Zabiła je! Słyszysz pani?! Ela je zabiła!

Z gardła Klementyny wyrwał się jęk. Nagle oblała ją fala gorąca. Brakowało jej tchu. Desperacko próbowała złapać powietrze, a pod powiekami tańczyły jej różnokolorowe mroczki. Bartek odskoczył, dopiero kiedy osunęła się na kolana. Wyglądał na zaskoczonego i przestraszonego zarazem.

– Co pani jest? – zapytał.

Chwycił ją pod ramię, próbował podnieść. Zamachała dłonią, prosząc gestem, by dał jej spokój. Chwilę na nią patrzył, zastanawiając się w milczeniu, jak postąpić, a potem wrócił na kanapę i zatopił twarz w dłoniach. Klementynie

uspokoił się oddech. Mroczki powoli znikwały.

– To nie wszystko – usłyszała znowu jego głos, tym razem pozbawiony niedawnej wściekłości, ale smutny i zrezygnowany. – Zdradzała mnie. Kobiety myślą, że są takie sprytne. Że my nie widzimy tych wszystkich kłamstewek, wykrętów, pospiesznie zmienianej bielizny. Że wierzymy w te niezapowiedziane wywiadówki, spotkania grup roboczych, rady pedagogiczne. Że nie czujemy tony perfum, które na siebie wylewają, żeby tylko przykryć jego zapach. Ale ja to wszystko widziałem.

Przetarł twarz ruchem tak mocnym, jakby próbował zerwać sobie skórę.

– Jej kochanek był nawet taki bezczelny, że tutaj przyjechał. Postawił tego swojego srebrnego mercedesa pod naszym blokiem, niemal pod samym oknem. A ona do niego zeszła... – Westchnął ciężko. – Taka jest właśnie Ela. Taka jest naprawdę.

Klementyna powoli, ostrożnie się podniosła. Coś strzeliło jej cicho w biodrze. Zaboląło, ale nie aż tak bardzo.

– Lepiej już pójdę.

– Lepiej tak – zgodził się.

Wycofała się do przedpokoju. On poszedł za nią, pilnował jednak, żeby znajdować się co najmniej metr od niej. Głowę miał opuszczoną. Chwiał się przy każdym kroku, jakby się upił.

– A książka? – zapytał nagle.

– Słucham?

– Książka – powtórzył. – Chciała pani oddać Eli książkę. Po to pani tutaj przyszła.

Klementyna pobladła. Nie przyniosła ze sobą żadnej książki. Zakładała, że otworzy jej albo Ela, albo nikogo nie będzie.

– Ja... Ja... nie mam jej przy sobie. Zapomniałam wziąć z domu – wyjąkała.

Mężczyzna wyprostował się. Wyciągnął w jej stronę głowę jak wąż i przypatrywał się podejrzliwie.

– Z domu? – powiedział powoli. – A gdzie pani mieszka?

– Ja?

– Pani. Przyjadę po tę książkę. Gdzie pani mieszka?

- Na Armii Ludowej.
- Ale gdzie dokładnie?

Wciąż się go bała. Wciąż czuła jego palce wbijające się w jej ramiona. Podała dokładny adres. Zrobiłaby wszystko, żeby tylko wreszcie ją wypuścił. Bartek zmarszczył brwi, jakby próbował zapamiętać numer domu i mieszkania, a potem nagle stracił nią zainteresowanie. Odwrócił się po prostu na pięcie i poczłapał do sypialni, gdzie na podłodze wały się rozrzucone przez niego ubrania Eli. Klementyna zobaczyła jeszcze, jak siada wśród nich, podnosi, przykładła sobie do twarzy, a potem przerzuca przez ramię. Tak jakby próbował się w nich cały zakopać, schować, zniknąć.

Uciekła.

Karolina ostrożnie badała to przyjemne ciepło, które rozlewało się w jej ciele, i równocześnie starała się ustalić, jaki właściwie ma do niego stosunek. Niczym naukowiec obserwujący nowe, nieznanie nikomu zjawisko, niepewny, czy obserwuje cud natury czy coś śmiertelnie niebezpiecznego. Nie była głupia. Potrafiła nazwać to uczucie. Wiedziała, że zakochała się w Sławku. Dziwiło ją co prawda, że potrzebowała do tego tak niewiele. Jedno spotkanie, rozmowa w restauracji i w sumie nie najlepsza latte. Co innego budziło jej niepokój. To, że nie wiedziała, czy jest z tego wszystkiego zadowolona. Przyzwyczała się już do szarej i ciężkiej codzienności, wypełnionej nieustającym oczekiwaniem na katastrofę. Walczyła o to, żeby ją opóźnić, naprawiała błędy rodziców, łąłała pocieszającymi słowami dziury w ich małżeństwie. Jeśli musiała, kłamała i brała na siebie ciosy przeznaczone dla innych. Na tym polegało jej życie. Zakochanie obudziło w niej marzenie, żeby było inaczej.

Wróciła do domu później niż zwykle, ale zupełnie się tym nie przejmowała. Mama pewnie ciągle siedziała w pracy, tata nie wiadomo gdzie. Może znów załatwiał swoje interesy. W sumie, zapytała siebie, czemu zawsze tak bardzo się pilnuje, żeby wracać przed osiemnąstą? Nikt tego nigdy nie doceniał, nikt nawet nie zwracał na to uwagi. I właściwie czemu dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę?

Zdjęła buty, powiesiła kurtkę w szafie. Ciągle rozmyślając o tym wszystkim, zrobiła krok w stronę dużego pokoju i zamarła. Mama siedziała w fotelu. Skulona, otulona kocem, szlochała. Na moment przerwała, sięgnęła po stojącą obok szklankę z pomarańczowym płynem (Karolina wiedziała, że to sok wymieszany z wódką) i znów zaczęła płakać.

Zazwyczaj nie zastanawiałyby się długo. Rzuciłyby się do matki, objęłyby ją, próbowałyby pocieszyć. Przytulałyby, paplała, co ślina na język przyniesie, a w ostateczności wymyśliłyby jakieś niestworzone historie o sobie, koleżankach czy nauczycielkach. Zwłaszcza o tych ostatnich, bo gdyby przesadziła z kłamstwami na temat innych uczniów, to mama wezwałaby ich

rodziców do szkoły, nastąpiłaby konfrontacja i prawda wyszłaby na jaw. W przypadku nauczycieli nigdy by sobie na to nie pozwoliła. Dlatego Karolina mogła wymyślać opowieści o tym, że podsłuchiwała, jak pedagogożki narzekają na pracę w szkole, krytykują dyrekcję, używając przy tym obraźliwych sformułowań. Jasne, mama wtedy się wściekała, ale i zapominała o smutku.

Dzisiaj jednak było inaczej. Zamiast podbiec do niej i spróbować ją pocieszyć, Karolina stała w miejscu i wstrzymywała oddech. Poczowała ukłucie strachu, kiedy uświadomiła sobie, że jeśli mama, sięgając po raz kolejny po szklanekę, chociaż odrobinę się odwróci, natychmiast ją zobaczy. Dziewczyna po cichu wycofała się do przedpokoju, a potem na schody. Ostrożnie, powoli, wspięła się na piętro. Serce podeszło jej do gardła, kiedy przedostatni schodek zaskrzypiał pod jej stopami. Zamarła i wstrzymała oddech. Cisza. Tykanie zegara. Szum wody w rurach. Samochody przejeżdżające ulicą. A potem ruch na dole. Kroki. Głos mamy. Lekko zachrypnięty, smutny i przepity.

– Halo?! Jest tu ktoś?

Na palcach pokonała ostatni schodek. Wbiegła do pokoju, cichutko zamknęła drzwi i odetchnęła. A potem wsadziła sobie kciuk do ust i zagryzła. Postąpiła głupio, strasznie głupio. Jeszcze wybrnęłaby jakoś, gdyby mama znalazła ją na schodach. Powiedziałałaby, że w ogóle nie wchodziła do salonu, poszła prosto do siebie. Ale teraz mama ją zawołała, a ona uciekła do pokoju. Mama będzie zła. Mama będzie zawiedziona. Karolina gorączkowo szukała wyjścia z sytuacji. Doskonale wiedziała, że im dłużej nic nie robi, tym będzie gorzej, kiedy jej obecność zostanie odkryta.

– Karolina?! Karolina?! Jesteś już w domu?!

Nagle pomyślała o słuchawkach. Przecież może udawać, że słuchała głośno muzyki i dlatego nie odpowiedziała. Przeszukała plecak, sprawdziła wszystkie kieszenie, ale nigdzie nie znalazła słuchawek. Potem to samo zrobiła ze spodniami i bluzą. Dopiero wtedy sobie przypomniała, że zostawiła je na dole. Przy kurtce.

– Karolina?!

Usłyszała, że mama wspina się po schodach na górę. Przycisnęła plecak do piersi i schowała się za drzwiami. Wstrzymała oddech. Klamka drgnęła. Cicho skrzypnęły zawiasy.

– Karolina?

Dziewczyna dostrzegła sylwetkę matki w szparze pomiędzy drzwiami a framugą. Kobieta ciągle była otulona kocem. Zrobiła krok do przodu. Przerażona Karolina zamknęła oczy i zacisnęła zęby.

Cisza. Ile czasu minęło? Minuta? Dwie? Pół godziny, a może parę sekund? Ciągnęło się to w nieskończoność.

Kiedy w końcu otworzyła oczy, mama stała tuż przed nią. Błada, z opuchniętą twarzą. Karolina wiedziała, że mama żyje. Widziała, jak nabiera powietrze, nozdrza delikatnie drżą, a klatka piersiowa unosi się w rytm oddechu. Ale z jakiegoś powodu pomyślała, że mama jest martwa.

– Karolina... – wyszeptała kobieta. – Ty też?

A potem wyszła z pokoju. Dziewczyna wypuściła plecak z rąk. Upadł na ziemię i książki wysypały się na podłogę. Wybiegła za matką.

– Mamo! To nie tak! Mamo!

Dogoniła ją już na dole. Chwyciła za koc, ściągnęła go z ramion kobiety. Niechcący, bo miała ją tylko zatrzymać, przytulić, wytłumaczyć, że się pomyliła, że popełniła błąd. Mama jednak szarpnęła się całym ciałem, machnęła ramionami i Karolina poczuła jej otwartą dłoń na swoim policzku. Uderzenie nie było mocne, ale i tak zaskoczona chwyciła się za twarz. Skóra w miejscu uderzenia piekła, jakby ktoś wbił tam tysiące małych igiełek.

Mama schyliła się po koc, zarzuciła go z powrotem na plecy i dopiero wtedy spojrzała na córkę. Jej oczy rozszerzyły się, kiedy zdała sobie sprawę, co się przed chwilą stało. Usta przez moment formowały się w słowo „przepraszam”, ale ostatecznie wydobyło się z nich tylko coś na kształt syknięcia. Wyciągnęła palec w stronę córki i pogroziła nim tak, jakby planowała wbić go jej w oko.

– Przepraszam, mamo – wyszeptała Karolina.

– Nie zbliżaj się do mnie – odpowiedziała lodowatym głosem kobieta i poszła do kuchni. Pokręciła się tam trochę, a potem wróciła z kolejną szklanką soku pomarańczowego z wódką. Kiedy zorientowała się, że córka przez cały ten czas nie ruszyła się nawet o krok, przystanęła na sekundę, po czym prychnęła lekceważąco i usiadła w fotelu. Piła drinka i wbijała spojrzenie w zasłonięte firaną okno.

I trwały tak, coraz bardziej pijana mama w fotelu i stojąca kilka metrów dalej

Karolina, aż wrócił ojciec. A wtedy, jakby wcześniej się umówiły, zaczęły udawać, że nic się nie wydarzyło.

6

Matka Gniewomira nie pamiętała dokładnie, co jej się śniło, choć pamiętała, że coś przyjemnego. O miłości i szczęśliwym życiu. Ale sen nagle się skończył. Poczowała się tak, jakby ktoś ją chwycił za włosy i siłą wyciągnął spod ciepłej kołdry.

Z trudem otworzyła powieki. Obraz przed nią był zamazany. Potrzebowała chwili, żeby nabrał ostrości, a rozmyta plama stała się podobna do twarzy Mirka. Przestraszyła się. A potem przypomniała sobie, że są po rozwodzie i on nie może jej więcej bić.

I właśnie wtedy ją uderzył.

Nie z całych sił. Raczej się hamował. Otwartą dłonią, a nie pięścią, więc nie bolało nawet aż tak bardzo.

Jęknęła, odwróciła się na brzuch i ukryła twarz w poduszce. Leżała tak kilka sekund, dysząc i dochodząc do siebie.

– Dlaczego, kurwa, ty skurwysynu jebany?

Mirek pociągnął nosem. Wierzchem dłoni otarł usta, na których pojawiły się drobne kropelki śliny.

– A co miałem zrobić? – zapytał. – Stoję tu nad tobą od pięciu minut. Krzyczę na ciebie, wrzeszczę, próbuję obudzić i nic. Co mi zostało? Miałem ci naszczać na twarz?

– To właśnie im robisz? – wycharczała. – Tym twoim dziwkom? Szczasz im na twarz? To cię kręci?

– Ja pierdolę...

Odwrócił się do niej plecami. Najwyraźniej się zaokrąglił, od kiedy się rozstali. Przytył i jakby zmałał. Kiedyś miał szersze plecy, był wyższy, bardziej umięśniony. Wyparowało z niego nie tylko wszystko to, co w nim kochała, ale także to, czego się w nim bała. To znaczy dalej się go bała, chociaż w zupełnie inny sposób. Przedtem nie wiedziała, czego się po nim spodziewać. Sądziła, że pewnego dnia ją zabije. Z premedytacją albo przez przypadek. Teraz trzymali

się pewnych granic. Płynnych, nieustannie się zmieniających, ale jednak granic. Nieprzekraczalnych. Wiedziała, że jej nienawidzi. Bo alimenty, bo go rozczarowywała, bo stała się kulą u nogi, a i tak czuła się bardziej kochana niż wtedy, kiedy byli małżeństwem.

– Co tu właściwie robisz? Czego chcesz? – zapytała.

– Chcę pogadać z Gniewkiem. Gdzie on jest?

Podniosła się na łokciach i spojrzała w stronę ściennego zegara. Dochodziła osiemnasta. Próbowwała sobie przypomnieć, co powinna robić o tej porze. Wstała rano, zjadła śniadanie i bardzo chciała iść na siłownię, tym bardziej że wykupiła sobie karnet, ale w telewizji leciał ciekawy program, a w lodówce stała butelka wina do skończenia. Potem otworzyła drugą, bo ta pierwsza skończyła się zbyt szybko. A jeszcze później poszła spać, bo co jej zostało?

– W swoim pokoju? – zaryzykowała odpowiedź.

– Nie ma go, kurwa, w jego pokoju.

– To skąd mam wiedzieć, gdzie jest?

Mirek przyciągnął krzesło pod kanapę i usiadł naprzeciwko niej. Oparł brodę o zaciśnięte pięści. Dostrzegła to drżenie ramion, które tak często zwiastowało jego wybuch, jak wstrząsy sejsmiczne przed erupcją wulkanu. Mimowolnie się skuliła. Przyjęła tę na wpół otwartą, na wpół obronną pozę. Taką, żeby go nie sprowokować, ale żeby móc łatwo i szybko uchronić głowę przed uderzeniami pięścią, a brzuch przed kopniakami.

– Słuchaj – powiedział nadspodziewanie łagodnym głosem – nasz syn, Gniewek, wczoraj zabił swoją nauczycielkę. Czy rozumiesz to? Dociera to do ciebie?

Docierało, dlatego strzępki koszmaru poprzedniego dnia musiała zagłuszyć alkoholem. Jej ukochany syn, ciało na podłodze, krew, wszędzie krew. Było jej tak dużo. Tak dużo, że nie wierzyła, że cała mogła wypłynąć z ciała jednej, niedużej przecież kobiety.

– To debil. Jest, jaki jest, ale nie pozwolę, by poszedł do więzienia. Bo wiem, co tam się stanie. Wiesz, co tam się stanie? Wiesz, co z nim zrobią?

– Nie.

– Przecwelą go. Będą ruchać w dupę jak tanią dziwkę. I albo wyjdzie stamtąd totalnie spedalony, albo się tam zabije. Nie pozwolę ani na jedną, ani na drugą

rzecz. Po prostu. To mój syn. Moja krew.

– Tak.

– I załatwię to wszystko, przypilnuję, tylko musisz mi pomóc. Musisz go pilnować. Dlatego pytam, gdzie on, kurwa, jest?!

Ostatnie słowa, wyrzucone przez zaciśnięte zęby, przecięły ze świstem powietrze jak rzucone z procy kamienie. Aż ją zabolalo.

– Sławek... – przypomniała sobie. – Sławek miał go odebrać.

– Sławek miał go odebrać? Dlaczego? Dlaczego Sławek?!

– Bo on go zwykle odbiera. Przecież mówiłeś... mówiłeś wczoraj... – W głowie jej się kręciło. Nagle nie potrafiła złączyć w jedno strzępów wspomnień ze wczoraj. Najwyraźniej pamiętała tylko końcówkę. To, że wrzuciła Gniewomira do pokoju. Chwyciła chłopaka za włosy, przeciągnęła przez całe mieszkanie. Już był od niej większy i cięższy, ale w ogóle się nie opierał. Nie wydał z siebie nawet jednego jęku. Całkowicie się poddał, co z jakiegoś powodu wzmogło jeszcze jej wściekłość. Zamknęła go na klucz. Musiała. Myśl, że po tym, co zrobił, mógłby swobodnie chodzić po mieszkaniu, przyprawiała ją o dreszcze. Otworzyła butelkę wódki, a potem jeszcze wina. Rano, kiedy zwlekła się z łóżka, poszła wypuścić Gniewomira. Otworzyła drzwi, a on, jak nigdy, siedział grzecznie na łóżku. Ubrany, spakowany i uczesany.

– Siku mi się chciało – powiedział i pokazał stojącą na biurku szklanę, wypełnioną żółtym płynem.

– Obrzydliwy jesteś.

Zamówiła taksówkę. Wpakowała go do niej, kazała zawieźć do szkoły, zapłaciła kierowcy i z ulgą pozbyła się Gniewomira z domu.

– Co mówiłem wczoraj?! – Głos Mirka wyrwał ją z zamyślenia.

Przypomniała sobie. Powtarzał to przecież wielokrotnie. Tak często, że przez moment zastanawiała się, czy przypadkiem nie oszalał.

– Że ma być tak jak zawsze.

Nic nie powiedział. Poszedł do kuchni, otworzył szafkę z alkoholem i wyjął na wpół opróżnioną butelkę z wódką. Nalał sobie do szklanki.

– Przyniesiesz mi też? – odważyła się zapytać.

Obrzucił ją ciężkim spojrzeniem.

– Nie wystarczy ci już?

Pokręciła przecząco głową. Wymamrotał coś pod nosem, ale przyniósł jej szklankę. Oboje upili trochę i kiedy alkohol rozlewał się w nich ciepłą plamą, chyba poczuli się odrobinę lepiej.

– Dobrze – powiedział Mirek. – Miał go odebrać Sławek. Gdzie w takim razie jest Sławek z Gniewkiem?

– Nie wiem – przyznała.

Sięgnął do kieszeni po telefon komórkowy. Wybrał jakiś numer, włączył głośnik i położył aparat na stoliku. Na ekranie wyświetliło się imię „Sławek”. Chłopak odebrał po kilku dzwonekach.

– Co jest? – Usłyszeli jego głos, a w tle restauracyjny gwar.

– Jest z tobą Gniewko? – zapytał Mirek.

Cisza. Długa na cztery uderzenia serca.

– Myślałem, że mama go odebrała.

– Czyli go z tobą nie ma?

– Nie.

Joanna wbiła sobie paznokcie w dłoń i mocno zacisnęła. To nie jej wina, powtarzała sobie w myślach. Nie jej. To Sławek miał go odebrać, ale tego nie zrobił. To przez niego. Ale Sławomira tutaj nie było. Była tylko ona i Mirek. I to na niej skupi się jego gniew.

– Dlaczego go nie odebrałeś? Mama mówi, że ty to miałeś zrobić.

– Dzisiaj jest twoja kolej! – krzyknęła do słuchawki w desperackiej próbie obrony. Wiedziała, że na niewiele się to zda, jednak musiała spróbować.

– Słuchajcie, przepraszam, ale jestem zajęty. Mamy tutaj urwanie głowy, do tego jeden z barmanów...

– Gównu mnie obchodzą twoje kłopoty! – zawołał Mirek. – Chcę wiedzieć, gdzie jest Gniewek!

– No mówię, że nie ze mną! I nie wiem, gdzie on jest!

– Miałeś go odebrać, Sławek! Ty! – po raz kolejny krzyknęła do słuchawki.

Mirek machnął jej dłonią tuż przed twarzą, a potem przyłożył sobie palec do ust, każąc Joannie zamilknąć.

– Słuchajcie – odezwał się Sławek. – Pojechałem po niego do szkoły. Spotkałem jego koleżankę z klasy. Powiedziała, że go nie ma. Pomyślałem, że mama go odebrała, i pojechałem do pracy.

– Sprawdziłeś to?

– Co?

– Czy sprawdziłeś, że go nie ma w szkole?

– Jego koleżanka powiedziała...

– Jego koleżanka nie miała odebrać go ze szkoły! Sprawdziłeś, czy na pewno go nie ma?

– Tak!

Kłamał. Słyszała to w jego głosie i widziała, że Mirek też mu nie wierzy, ale zamiast ciągnąć ten temat, po prostu się rozłączył. Dopił swoją wódkę i ostrożnie odstawił szklanekę na stół, jakby się bał, że zaraz ją stłucze.

– Był dzisiaj w szkole? – zapytał.

Kiwnęła głową.

– Na pewno?

– Tak, sama go... – Głos nagle uwiązł jej w gardle. Nie wiedziała przecież, czy dotarł do szkoły. Wsadziła go tylko do taksówki. – Sama go odprowadziłam – dokończyła niezdarnie, pewna, że zdradzi ją ton. Jednak zdenerwowany Mirek nie zwrócił na to uwagi.

– Do samej szkoły?

Teraz musiała być ostrożna. Jeśli miał uwierzyć w jej kłamstwa, nie mogła przesadzić.

– No do bramy – powiedziała. – Dziwnie by wyglądało, gdybym odprowadziła go do samej szkoły. Nie jest przecież małym dzieckiem. Poza tym nigdy tego nie robiliśmy i...

Przerwała na moment, żeby nabrać powietrza. Mirek stał naprzeciwko, z dłońmi wbitymi w kieszenie spodni. Oceniał każde jej słowo.

– Patrzyłam, czy wchodzi do szkoły – dodała. – Wszedł do środka. Przysięgam ci, że wszedł do środka.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, potem wrócił do Joanny. Podniósł swój telefon i schował do kieszeni. Każdy jego krok odbijał się echem od ścian

mieszkania. Jakby chciał wbić swoje stopy w podłogę.

– Zostań w domu – powiedział. – Nie ruszaj się stąd, nie zasypiaj. Bądź nieustannie pod telefonem i przede wszystkim... przede wszystkim... nie upijaj się.

– Tak. A ty?

– Ja? – Zaśmiał się krótko. – Ja pojedę go szukać. Naszego syna mordercę, którego ty pilnowałaś. Dostałaś jedno zadanie, jedno proste zadanie...

Nie odpowiedziała. Wiedziała, że to nie ma sensu. W ten sposób mogła tylko pogorszyć sytuację. I chociaż czuła, że on nie ma racji, że jest niesprawiedliwy, że po prostu sobie pojechał, zostawiając ją samą z Gniewkiem, to spuściła pokornie głowę. Czasami przyjęcie razów to najlepsza obrona, bez względu na to, czy chodzi o wyrzuty czy pięści.

Poszła za nim do przedpokoju. Włożył kurtkę, upewnił się, że wszystko zabrał, i zamówił taksówkę. Cierpliwie czekała, aż skończy. I dopiero wtedy odważyła się zadać to pytanie. Ciężko jej od poprzedniego wieczoru, od momentu, kiedy dowiedziała się, że syn, mały Gniewko, zabił nożyczkami swoją nauczycielkę.

– Czy myślisz, że to moja wina?

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc w pierwszej chwili, o co jej chodzi.

– To, co się stało – wyjaśniła, chociaż słowa z trudem przechodziły przez usta. – Ta nauczycielka, ona uderzyła Gniewka. Poszłam z nim wczoraj do szkoły. Zrobiłam o to awanturę. On wszystko słyszał. Mógł sobie coś pomyśleć.

Przez tyle wspólnie spędzonych lat krzywdził ją wiele razy i na wiele sposobów, ale jednak to od niego oczekiwała teraz pocieszenia. Tego, by powiedział, że nie powinna się obwiniać. Że za to odpowiada ktoś inny. Było w tym coś niesłychanie upokarzającego. Ale i tak łudziła się, że nawet jeśli będzie to wymagało od niego kłamstwa, Mirek udzieli jej tej drobnej łaski. Nie miała po prostu nikogo innego.

– Tak – powiedział. – To twoja wina.

Klementyna nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Krążyła po całym mieszkaniu, przechodząc z kuchni do pokoju, z pokoju do łazienki, z łazienki na balkon. Wypaliła cztery papierosy, jeden po drugim na pusty żołądek. Teraz bolało ją gardło i zebrało jej się na wymioty. Zrobiłaby jednak wszystko, żeby choć trochę uspokoić tę gonitwę myśli, które niemal rozrywały jej ciało.

Włączyła telewizor. Próbowała przez chwilę oglądać serial o lekarzach, ale nie wiedziała, jaki miał tytuł, nie rozpoznawała aktorów ani nie rozumiała wypowiedzianych przez nich kwestii. Wszystko jej się mieszało. Wyłączyła odbiornik i wtedy usłyszała pukanie do drzwi.

Nie spodziewała się żadnych gości. Zresztą kto mógłby ją odwiedzić? Pomyślała, że to pewnie ktoś z administracji. Albo przyszli z informacją o kolejnej podwyżce czynszu, albo znowu sprawdzić liczniki. A może chcieli porozmawiać o wczorajszym wypadku z czajnikiem? Otworzyła drzwi i zamarła.

Po drugiej stronie stał Gniewomir.

Zielona kurtka o wojskowym kroju sięgała mu niemal do kolan. Z za długich rękawów wyłaniały się jedynie czubki palców. Buty miał zupełnie przemoczone. Głowę też, bo czapka wystawała z kieszeni. Minął Klementynę bez słowa i wszedł do mieszkania. Zanim się zorientowała, co się właściwie stało, było już za późno. Mogła tylko pójść po jego błotnistych śladach do pokoju. Stał tam na środku, ciągle w tej samej pozie. I oddychał głęboko, szybko, jakby właśnie przebiegł sto metrów, chociaż jego twarz, spojrzenie pozostawały spokojne. Wręcz upiornie spokojne. Niemal nieobecne. Martwe.

– Co ty tu robisz? – zapytała, mając nadzieję, że jej głos zabrzmiał groźnie.

Naprawdę się bała. Znała go ze szkoły. Nasłuchiwała się o nim od Eli. Co prawda na lekcjach u Klementyny zachowywał się spokojnie, ale i tak budził w niej niepokój. W jego demonstracyjnej wręcz nieobecności czaiła się jakaś groźba. Człowiek instynktownie nie chciał, by Gniewko zwrócił na niego swoją uwagę, by pojawił się w czyimś życiu. Bo przynieść ze sobą mógł tylko

kłopoty. A teraz stał na środku mieszkania Klementyny. Wielki nastolatek. Pomyślała, że gdyby chciał jej zrobić krzywdę, nie miałyby najmniejszych szans, by się obronić. Mogłaby tylko uciekać. Pożałowała nagle, że tutaj za nim przyszła. Powinna od razu pobiec do sąsiada, zadzwonić po policję, pozbyć się chłopaka.

– Nie zabiłem jej – powiedział nieoczekiwanie.

– Co takiego? – zapytała, przekonana, że się przesłyszała.

– Nie zabiłem jej – powtórzył. – Wszyscy mówią, że to zabiłem, ale ja tego nie zabiłem. Nie zabiłem jej.

– Nie rozumiem – wyszeptała.

Dostrzegła zagubienie malujące się na jego twarzy. Poruszył bezgłośnie ustami, jakby sprawdzał, które słowo się w nich mieści.

– Rozumie pani – odparł. – Pani też ją widziała.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Tym razem nie dał się zbić z tropu, po prostu kontynuował swoją wypowiedź, tyle że w dziwny, urywany sposób. Kiedy mówił, każde zdanie wydawało się osobne. Wysuwał kolejne fakty i kładł je obok siebie. Jak korale nienanizane na nitkę.

– Przyszła pani wczoraj do szkoły. Weszła pani do klasy pani Eli. Zobaczyła pani tam jej ciało. Ona już nie żyła. Pani też jej nie zabiła. Potem pani wyszła. Widziałem panią. Czekałem na mamę. Albo na Sławka.

Dopiero po chwili zorientowała się, że skończył już mówić.

– Powinieneś sobie iść – powiedziała.

Nie poruszył się. Nie wiedziała, czy ją w ogóle usłyszał. Wskazała dłonią w stronę przedpokoju.

– Idź sobie!

Odwrócił jedynie głowę tak, żeby nie patrzeć na nią, tylko na ścianę i wiszący tam obraz, grafikę Weissa. Przez lata jedyny ładny przedmiot, który mieli w mieszkaniu. Ojciec przyniósł go pewnego dnia z pracy, strasznie zadowolony z siebie. Na pytanie matki, skąd go wziął, powiedział, że ktoś nie będzie go już potrzebował tam, dokąd się wybiera. Dopiero po latach Klementyna skojarzyła, że wydarzyło się to w marcu 1968 roku.

Doskoczyła do chłopaka, chwyciła za kurtkę i szarpnęła rozpaczliwie z całej siły. Zachwiał się, ale nie zrobił nawet najmniejszego kroku. Kiedy tylko go puściła, wrócił do pozycji sprzed chwili. Klementyna odetchnęła.

– Idź sobie – powtórzyła, czując, że zbiera jej się na płacz. – Bo zawiadomię policję.

Skrzywił się, więc ją usłyszał. Znowu potrzebował kilku sekund, żeby sformułować odpowiedź.

– Nie.

Odetchnęła kilka razy, by się uspokoić. Postanowiła spróbować inaczej. Pomyślała, że może uda jej się wyprosić go w łagodny sposób.

– Gniewek – powiedziała cicho – to jest moje prywatne mieszkanie. Nie możesz tutaj przebywać. Proszę, idź stąd. – Po zastanowieniu postanowiła dodać jeszcze jedno: – Jeśli będziesz dalej tego chciał, porozmawiamy w szkole.

Tym razem odpowiedź przyszła szybciej.

– Nie.

Nie rozumiała. Nie będzie chciał z nią rozmawiać czy nie wyjdzie z jej mieszkania? Czowała się bezsilna. Mogła go straszyć policją, ale nigdy na nią nie zadzwoni. Będzie miała duże kłopoty, jeśli Gniewek opowie funkcjonariuszom swoją historię o martwej Eli. Chyba naprawdę powinna iść po sąsiada. Najlepiej po tego młodego chłopaka z góry. Tylko wtedy zrobi się zamieszanie i Gniewko może coś chlapanąć. Nie wiadomo, jak to się wszystko skończy. Najlepiej by było, gdyby sam wyszedł. Ale on nie chciał. A Klementyna nie wiedziała, jak go do tego przekonać.

– Zapłacę ci, jeśli sobie pójdziesz – rzuciła w odruchu desperacji.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Nie. Nie zabiłem jej. Mówią, że to zrobiłem, ale nie zabiłem jej. Pani mi pomoże. Ja i pani. Dowiemy się, kto to zrobił.

– Nie, Gniewko. Nikt nie zginął. Pani Ela się zwolniła. Tylko tyle. Żyje, jednak już nie będzie cię uczyć.

Brzydziła się samej sobie, że powtarza kłamstwa dyrektorki, ale nie widziała innego wyjścia.

– Widziałem ciało. Pani widziała ciało. Ona nie żyje. Ja jej nie zabiłem. Pani mi pomoże. Dowiemy się, kto to zrobił.

– Nie mogę tego zrobić.

– Pani mi pomoże – powtórzył i nagle jego głos zabrzmiał mocniej. Straszniej. Jakby właśnie na coś się zdecydował. – Pani mi pomoże, inaczej wszystkim powiem, że zamordowała pani własne dziecko.

PRZERWA

Koszmary trwały od tak dawna, że czasami miała wrażenie, że stały się jej immanentną częścią. Nowym organem ciała, chociaż bolesnym i niepotrzebnym. Nowotworem snów.

Kiedyś próbowała je spisywać. W złudnej nadziei, że jeśli przerzuci te sny na papier, pozbędzie się ich z głowy. Osiągnęła tylko to, że przeżywała je po raz kolejny na jawie. I to było jeszcze gorsze. We śnie istniała jakaś bariera nierealności, a nad kartką wszystko stawało się zbyt prawdziwe. Płakała wtedy. Bolało, jakby naprawdę ktoś ją bił. Raz pociekła jej krew z nosa. Zorientowała się, kiedy zobaczyła czerwone plamy, rozlewające się na drobnym piśmie.

Najczęściej w tych snach leży w łóżku. Wokół jest ciemność. Czeka na to, co nieuniknione. Sekundy się wydłużają, strach narasta, wyobraźnia podsuwa kolejne obrazy czekających ją cierpień.

Drzwi się otwierają. Do pokoju wsuwa się ciemny kształt. Jest ogromny. Przerażający. Potwór i matka. Kocha ją i się boi. Jest za mała, żeby jej nienawidzić. Nie zna jeszcze tego uczucia. Może nawet nie wie, że tak można. Szuka więc winy w sobie. Nieustannie. W każdej sekundzie. W każdym uderzeniu serca. To wszystko jej wina. Tak mówi mama, więc to musi być prawda.

Najczęściej budzi się, zanim rozpoczyna się bicie. Czasami nie. Czasami obserwuje, jak ramię wznosi się w górę, jak pas spada ze świstem na drobne ciało. Jak zostawia ciemne smugi. Jak sprzączka wbija się w cienką skórę. Jak powstają siniaki. Widzi krew spływającą na pościel dziecięcego łóżeczka.

Niby nie boli, bo to jedynie sen, nic więcej. Ale kiedy w końcu się budzi, chce tylko umrzeć. Otula się kołdrą, przyjmuje pozycję embrionalną i bezgłośnie błaga o to, żeby jej życie wreszcie się skończyło. Bo nie może tak dalej. Bo nie zniesie kolejnego snu. To zbyt wiele. Nikt by tego nie zniósł. Tej ciągłej tortury, tych strasznych obrazów, płaczu, krzyku, łez i bezdusznego okrucieństwa.

Najgorsze są jednak inne sny. Te, w których zagubiony promień światła przecina ciemność i nagle oświetla potwora. I Klementyna widzi go wyraźnie w całej okazałości. I patrzy jak zahipnotyzowana, oszołomiona i otumaniona w wykrzywioną w gniewie własną twarz.

W każdym z tych snów ma sześć lat. Ma na imię Dorotka i jest swoją córką. Córka, którą Klementyna zabiła ponad trzydzieści lat temu.

LEKCJA PIĄTA

1

Kiedy Klementyna obudziła się rano, Gniewko wciąż był u niej w mieszkaniu. Miała nikłą nadzieję, że przez noc sam zniknie. Jak zły duch albo nocne przewidzenie. Pójdzie sobie, wróci do domu albo postanowi prześladować kogoś innego. Nic takiego się nie wydarzyło. Siedział w dużym pokoju przy stole, czuł się jak u siebie.

Przygotowała mu śniadanie. Po raz ostatni przyrządzała posiłki dla dwóch osób, kiedy mama jeszcze żyła. Pod koniec nie dawała rady pogryźć skórki od chleba, więc Klementyna musiała ją odkrajać, a kanapki kroić na małe kosteczki i karmić mamę, bo ta zapominała o tym, że powinna jeść.

Przez chwilę bała się, że z chłopakiem będzie tak samo. Kiedy postawiła przed nim talerz i herbatę, tylko wpatrywał się tępo w przestrzeń przed sobą. Ale nie. Nagle się wzdrygnął, jakby przez jego ciało przeszło wyładowanie elektryczne.

– Mogę użyć twojej szczoteczki do zębów? – zapytał.

– Co takiego?

– Chcę umyć zęby. Nie mam swojej. Trzeba myć zęby.

– Trzeba. Ale nie moją szczoteczką!

– Nie mam swojej.

Pomasowała się po czole.

– Po śniadaniu zejdę na dół do sklepu i kupię ci nową, dobrze?

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem kiwnął głową.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? – zapytała.

Pamiętała, że głowiła się nad tym przed zaśnięciem. Teraz to pytanie do niej wróciło i nie dawało spokoju.

– Brat miał mnie odebrać ze szkoły. Nie przyszedł. Pani wychodziła. Pomyślałem, że pójdę za panią.

– Śledziłeś mnie?

– Tak. Pojechała pani najpierw na Ursynów. Ale tam była pani bardzo krótko.

Potem wróciła pani tutaj.

Zrobiło jej się nieprzyjemnie, kiedy uświadomiła sobie, że Gniewko jeździł za nią przez pół miasta, a ona nawet się nie zorientowała. Tymczasem chłopak sięgnął po pierwszą kanapkę z serem i pożarł ją w kilku kęsach. Napychał policzki jak małe dziecko. Okruszki osiadały mu na wargach, jadł z otwartymi ustami. Klementyna miała odruch, żeby go powstrzymać, ale nie zrobiła tego. Sięgnął po herbatę, wypił dwa łyki i skrzywił się.

– Gorąca. – Spojrzał na nią z wyrzutem.

– Poczekaj, aż wystygnie.

– Chce mi się pić.

Zabrała jego herbatę. W kuchni wylała część do zlewu, dołała zimnej wody i wróciła. Oddała mu kubek, po czym usiadła obok.

– Powinniśmy zadzwonić do twoich rodziców.

– Nie.

– Nie? Ale na pewno się martwią!

– Nie.

– Nie martwią się? Mam nie dzwonić?

Przytaknął.

– Mówią, że to zrobiłem. Że ją zabiłem.

– Wiem. Powiedziałeś mi to już wczoraj.

– Myślę, że chcą mi coś zrobić.

– Słucham?

– Myślę, że chcą mi coś zrobić. Żeby mnie ukarać za to, że ją zabiłem. Ale ja jej nie zabiłem.

– Dlaczego tak uważasz? Skąd w ogóle taki pomysł?

– Mama zamknęła mnie w pokoju. Na całą noc. Najpierw było dobrze. Ale potem się przestraszyłem. Waliłem w drzwi. Krzyczałem. Prosiłem, żeby mnie wypuściła. Nie wypuściła. Nawet na siku. Musiałem zrobić do kubka. Trochę mi się rozlało.

Gniewko przymknął powieki i położył obie dłonie na stole. Rozłożył szeroko palce. Oddychał, równocześnie licząc cicho pod nosem. Kiedy skończył, otworzył oczy.

– Oni chcą mi coś zrobić – powtórzył. – Nie mogę wrócić do domu. Mówią, że zabiłem panią Elę, ale ja tego nie zrobiłem. Muszę dowiedzieć się, kto to zrobił. Inaczej ukarzą mnie za to.

Chłopak mówił z przejęciem, przy ostatnich słowach lekko zadrżał i pobladł, a oczy mu się zaszklily, jakby zaraz miał zacząć płakać. Klementyna pomyślała, że powinna go pocieszyć, jakoś uspokoić. Chciała poklepać go po dłoni, ale widząc przestרח na jego twarzy, zatrzymała się w połowie gestu. I zdała sobie sprawę, że ani ona nie chce go dotykać, ani on nie chce żadnego kontaktu. Oboje potrzebowali przestrzeni.

– To nie dla nas, Gniewko. Nie jesteśmy policjantami ani detektywami. Nie potrafimy robić takich rzeczy. Nie mogę ci w tym pomóc.

– Powiem wszystkim, co pani zrobiła. O pani córce.

Miała czas, żeby oswoić się z tą groźbą, przygotować jakąś odpowiedź, by zbić go z tropu. A i tak poczuła tylko, jakby ktoś uderzył ją prosto w brzuch. Odebrało jej mowę i nie mogła wydusić z siebie słowa. To wszystko do niej wróci, pogarda innych ludzi, nienawiść. Straci pracę. Nie, nie mogła ryzykować. Nie teraz, kiedy jakoś utrzymywała się na powierzchni.

– Skąd w ogóle o tym wiesz? – zapytała cicho.

– Czytałem o pani. W gazecie. Starej. W bibliotece.

Ela opowiadała jej, że Gniewko interesował się sprawami kryminalnymi, seryjnymi zabójcami, mordami. Przyprawiało ją to o ciarki. Podobno tylko na tym potrafił się skupić dłużej niż przez trzydzieści sekund. „Najwięcej miał do powiedzenia, kiedy omawialiśmy *Balladyne*” – wspomniała przy papierosie i roześmiała się. A sprawa Klementyny faktycznie trafiła do prasy. Wydrukowali nawet duży reportaż. Dziwne, że komuniści nie próbowali tego użyć, by uderzyć w jej męża. Może nie skojarzyli. Może po prostu był za mało znany.

– Ale skąd wiesz, że to ja? Tam nie było zdjęć!

– Było pani nazwisko. Wtedy chyba można było podawać.

– Było po mężu. Zmieniłam je.

– Ale Klementyna to rzadkie imię. I wtedy też uczyła pani matematyki. Wiek się zgadzał.

– To ty podłożyłeś ten artykuł z gazety! – domyśliła się nagle.

– Chciałem sprawdzić, czy pani to pani. To pani. – Nagle wyszczerzył zęby w czymś, co miało być uśmiechem. – Widzi pani, jednego mordercę w naszej szkole już znalazłem. Teraz trzeba znaleźć drugiego!

Uważał, że powiedział żart, i czekał, aż ona się roześmieje. Kiedy to nie nastąpiło, zmieszał się. Zmarszczył brwi, jakby analizował, co właśnie poszło nie tak.

– Jak chcesz to zrobić? – zapytała. Miała nadzieję, że jeśli chwilę o tym porozmawiają, chłopak sam się przekona, że ten pomysł jest absurdalny.

– Policja zaczyna od szukania motywu – stwierdził.

– A jaki tutaj mógłby być motyw?

Zaczął się nad tym zastanawiać. Wykorzystała ten czas, żeby wyjąć z torebki paczkę papierosów i zapalić. Otworzyła drzwi balkonowe i stanęła przy nich. Był to wygodny kompromis pomiędzy paleniem w mieszkaniu, co ciągle wywoływało u niej poczucie dyskomfortu, a robieniem tego samego na balkonie.

– Marysia – odezwał się Gniewko.

Wypuściła dym z ust i strzepnęła popiół do trzymanej w dłoni małej popielniczki.

– Marysia?

– Też zginęła – wytłumaczył.

– Wpadła pod pociąg – przypomniała mu.

– Tak. Ale to dziwne. Dwie śmierci tak blisko siebie. Może coś je łączy?

Zdziwiła ją zmiana, którą u niego zaobserwowała. Przez prawie cały czas, kiedy tu przebywał, wydawał się apatyczny, nieobecny. Mówienie przychodziło mu z trudem. Walczył sam z sobą, żeby wypowiedzieć każde słowo. A teraz wyraźnie się ożywił. Oczy mu błyszczały. Zdania same płynęły z jego ust. I miały sens.

– Ela nie wierzyła, że Marysia popełniła samobójstwo. Zamierzała się dowiedzieć, kto zrobił jej dziecko – powiedziała nauczycielka. I zaraz pożałowała. W ten sposób tylko nakręcała chłopaka. Zaciągnęła się chciwie papierosem. Powinna się opanować, jeśli chciała, żeby Gniewko opuścił jej mieszkanie.

– Lubilem Marysię – oznajmił nieoczekiwanie.

– Przyjaźniliście się?

– Chyba.

– Chyba?

– Nie wiem. Ale rozmawialiśmy. Ona i ja. Oboje byliśmy inni. Ona jedyna tyle ze mną rozmawiała.

– O czym rozmawialiście?

Wzruszył ramionami.

– Pytała o mnie. O to, jak się czuję. O rodzinę.

– A ona? Coś ci powiedziała? Może coś o jej chłopaku?

– Nie wiem, czy miała chłopaka. Nie pytałem o to.

– A o co pytałeś?

Lekko się zaczerwienił.

– O to, czy kogoś zabili na Pradze – wyznał, kręcąc się na krześle. – Myślałem, że tam częściej się zabijają. Pytałem, czy kiedyś widziała martwego człowieka. Bo ja chciałem zobaczyć martwego człowieka. Nie widziała. Ja też nie widziałem. To znaczy, dopóki nie zobaczyłem pani Eli.

– Dlaczego chciałeś zobaczyć martwego człowieka? – Klementyna spojrzała na niego uważniej.

– Bo myślałem, że wtedy coś poczuję.

– I poczułeś coś?

Pokręcił przecząco głową.

– To nie było tak, jak być powinno. To nie było prawdziwe. – Ostatnie zdanie wyszeptał. Prawie go nie słyszała.

– Było. To było prawdziwe. Ela nie żyje, Gniewko.

Zdziwiła się, że te słowa zabrzmiały w jej ustach tak mocno. Przecież jeszcze wczoraj niemal uwierzyła dyrektorce, kiedy ta ogłosiła, że polonistka tylko zwolniła się ze szkoły.

– Lubilem panią Elę – powiedział chłopak. – Nawet kiedy na mnie krzyczała. Nawet wtedy, kiedy mnie uderzyła. Lubilem panią Elę.

– Ja też.

Nie wiedziała, kiedy nastąpiła przemiana ani co konkretnie ją wywołało. Po prostu nagle się stało. Lubiała Elę, a ona lubiła ją. Paliły razem papierosy, piły wino, plotkowały. Ela poprosiła o pomoc, a Klementyna ją zawiodła. I nie zdążyła przeprosić. Ale wreszcie przynajmniej wiedziała, co powinna zrobić.

– Dobrze, Gniewko – oznajmiła, gasząc papierosa. – Spróbujemy odnaleźć zabójcę Eli.

2

Sławek wszedł do restauracji tylnym wejściem. Przeszedł przez zaplecze, gdzie znajdowały się nierozpakowane jeszcze kosze z dzisiejszą dostawą. Sprawdził je pobieżnie, upewniając się, że mają wszystko, czego będą potrzebować. W kuchni przywitał się z dwoma kucharzami. Lokal otworzył się ledwo kwadrans wcześniej. Ruch był nieduży, więc mężczyźni spokojnie przygotowywali produkty niezbędne do przyrządzania śniadań. Większego obłożenia spodziewali się za około pół godziny.

– Widziałeś ostatni mecz? – zapytał Marek, starszy z nich.

Kulturalny facet z brzuszkiem, trójką dzieci i zamiłowaniem do dziwnej muzyki z dziwnymi tekstami. Długie piosenki, wolne tempo, rzępolące w tle instrumenty, zachrypnięte głosy. Grzesiek, drugi kucharz, wolał radiowy pop. Sporo się o to kłócili na początku, aż w końcu Sławek zabrał im wieżę. O dziwo, wtedy się uspokoili. Połączyła ich za to miłość do piłki nożnej w angielskim wykonaniu.

– Aha... Co ten Klopp zrobił z Liverpooliem!

– To samo co wcześniej z Borussią. A ty, Sławek, widziałeś?

– Tak. Ładnie grali.

Porozmawiali chwilę luźno, przeskakując na temat ostatniego meczu Legii, a potem Grzesiek postanowił wykorzystać ostatnie minuty spokoju i wymknął się na papierosa. Sławek poszedł zobaczyć, jak wygląda sytuacja na sali. Kiedy tylko się tam pojawił, podszedł do niego barman i wskazał na siedzącą w kącie dziewczynę. Sławek od razu ją poznał – Karolina.

– Stała przed lokalem już przed otwarciem – powiedział barman. – Pytała o ciebie.

– Dzięki.

– Młoda.

– To koleżanka z klasy mojego brata.

– Ja nie oceniam. Tak tylko mówię. Wiesz, dla mnie to może mieć nawet

piętnaście lat, byleby dobrze wyglądała.

– Nie masz przypadkiem jakiejś kawy do zrobienia?

Barman wyszczerzył zęby i wrócił za bar, gdzie zajął się czyszczeniem ekspresu. Sławek podszedł do Karoliny. Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko, kiedy go zauważyła, a potem zaraz zarumieniła się mocno. Jakby ciesząc się na jego widok, odsłoniła się za bardzo.

– Mogę się przysiąc? – zapytał.

– Jasne. To twoja knajpa, nie? – Tak bardzo chciała zabrzmieć swobodnie, że nawet go to bawiło, ale nie dał po sobie poznać.

– Nie jesteś w szkole?

Wzruszyła ramionami.

– Nie chciało mi się iść.

– Coś się stało w domu?

– To aż tak widać? – spytała. Wydawała się zawiedziona tym, że tak łatwo ją rozszyfrował.

– Nie wyglądasz na dziewczynę, która wagaruje – wytłumaczył. – Jesteś zdenerwowana. Nic nie zamówiłaś.

– Powinnam? Pewnie zajmuję stolik...

– Spokojnie – powiedział, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Jak widzisz, mamy jeszcze wolne miejsca. Możesz siedzieć. Chyba że coś chcesz?

Zaprzeciżyła, kręcąc głową.

– Mama nie będzie cię szukać? Jest w końcu dyrektorką.

– Pokłóciliśmy się. Tak jakby. A poza tym pewnie nie zauważy, że mnie nie ma. Siedzi tylko w tym swoim gabinecie. Nawet ja tam nie mogę wchodzić. Jeśli czegoś od niej chcę, mam siedzieć w sekretariacie i czekać, aż mnie zawoła. – Przerwała i nabrała powietrza. – Przepraszam.

– Za co?

– Pewnie myślisz, że jestem żalosna. Ty jesteś zajęty, masz pracę, a ja przychodzę i zawracam ci głowę. Przepraszam, już się zbieram.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, porwała swoją kurtkę, plecak i uciekła z restauracji. Sławek złowił rozbawione spojrzenie barmana.

– Co?! – rzucił.

– Nic, szefie.

– No właśnie.

Pomyślał, że biegnący za nastolatką ponaddwudziestoletni facet zawsze źle wygląda, jednak zostawianie jej w takim stanie też nie wydawało mu się najmądrzejszym pomysłem.

– Będę za dziesięć minut.

– Jasne, szefie.

Coś w głosie barmana, jakaś frywolność, obleśny ton, sprawiło, że Sławek miał ochotę zawrócić, podejść do niego i uderzyć pięścią w nos. Ale uważał go za dobrego pracownika, a o takich było trudno, więc postanowił go zignorować.

Ruszył za dziewczyną. Na szczęście nie uciekła daleko, ledwie kilkadziesiąt metrów. Potem przystanęła, siłując się z zamkiem kurtki. Plecak rzuciła na ziemię. Sławek podszedł do niej i chrząknął, by dać znać o swojej obecności. Obejrzała się, spłoszona. Płakała. Zaczęła ukradkiem ocierać oczy. Postanowił wyświadczyć jej tę drobną uprzejmość i udać, że tego nie zauważa.

– Przepraszam – powiedziała po raz kolejny.

– Daj już spokój – rzucił stanowczo.

Staął naprzeciwko niej, w taki sposób, jakby blokował jej drogę ucieczki. Począł, aż dojdzie do siebie i skupi na nim swoją uwagę.

– Chciałabym już pójść.

– Poczekaj.

– Nie chcę. Źle się czuję. Chcę iść.

– Karolina...

– Będę krzyczeć.

– Może powinnaś – stwierdził i aż się roześmiał na widok zaskoczenia na jej twarzy.

Dziewczyna najpierw się zawstydziała, a potem zrobiła urażoną minę. Pomyślał, że to dość urocze.

– Może powinnaś krzyczeć. Albo zrobić coś szalonego. Może głupiego. Upuścić trochę tej pary.

– Poszłam na wagary.

– A teraz dokąd idziesz?

Opuściła głowę. Stuknęła kilka razy czubkami butów o nierówne płyty chodnikowe.

– Do szkoły – mruknęła. – Gdzie mam iść? Nie chcesz mnie w lokalu...

– Tego nie powiedziałem. Po prostu to chyba nie jest miejsce dla ciebie.

– Pewnie nie – przyznała mu rację. Zrobiła to na odczepnego, żeby wreszcie ją puścić wolno.

– Idź może do kina albo gdzieś do centrum handlowego?

– Aha...

Westchnął. Kurtkę zostawił w knajpie, stał w samej bluzie i zaczęło mu się robić zimno.

– Karolina – powiedział spokojnie – ja naprawdę wiem, jak jest. Przeżywałem to samo co ty. To ryje mózg. I wiem, że czujesz się teraz cholernie samotna. Też tak się czułem. Jakby na całym świecie nie było nikogo, kto by mnie rozumiał. Ale to nieprawda. Ja jestem. I jeśli będziesz chciała, zawsze możesz do mnie zadzwonić, zawsze możesz ze mną porozmawiać. Po prostu nie możesz dać się zniszczyć tej sytuacji. To nie jest tego warte. Wierz mi.

Milczała długo. Mijali ich ludzie, ulicą przejeżdżały samochody. Sławek poczuł, że drży. Zaczął przestępować z nogi na nogę, żeby choć trochę się rozgrzać. W końcu podniosła głowę. Uśmiechała się.

– Dziękuję – powiedziała po prostu.

Również się uśmiechnął. Wskazał na swój lokal.

– Chcesz iść jeszcze pogadać? Postawię ci herbatę albo kawę. Mamy też niezłe śniadania.

– Nie. Chyba naprawdę pójdę do tego kina.

Nie powiedzieli już nic więcej. Przytuliła się do niego na pożegnanie. Na początku było niezręcznie. Trzymała dystans, jakby bała się tej bliskości, ale potem przywarła do niego całym ciałem. Położył jedną dłoń na jej karku. Poczul zapach włosów. Pachniały szamponem owocowym.

Wrócił do siebie w stanie lekkiego oszołomienia. Serce szybciej mu biło. Ale najgorsze, że dostał erekcji. Sławek obciągnął bluzę, bo nie chciał, by zauważył to barman i znowu zaczął mu docinać. Chciał schować się w biurze i trochę

ochłonać.

Nie zdążył. Na jego widok jakiś mężczyzna wstał od stolika i podszedł do niego szybkim krokiem. Chłopak od razu go rozpoznał. Nie wiedział, jak facet się nazywa ani co konkretnie robi. Kręcił się wokół warszawskich nieruchomości, ratusza i komisji weryfikacyjnej. Znał wielu ludzi. Tym razem wyglądał na mocno zdenerwowanego. Nawet nie zdjął płaszcza i szalika, nic nie zamówił, a poza tym przyszedł o innej porze niż zazwyczaj. Bywał tu raczej wieczorami. Siadał przy stoliku z kumplami albo kobietą, zawsze inną, zjadali kolację, a do wręczenia łapówki dochodziło tuż przed jego wyjściem. Nigdy się nie spieszył. Zawsze zostawiał napiwek, choć nie płacił rachunku. Kelnerzy go lubili, Sławek niespecjalnie. Było w tym facecie coś obślizgłego. Kojarzył mu się z wijącym się w błocie padalcem, choć w sumie takie skojarzenia miał z większością znajomych ojca. Z facetami, którzy majątku dorobili się w podejrzanych okolicznościach, w podejrzany sposób, obchodząc lub ignorując prawo, a największy ich biznesowy atut stanowiły zwykła bezczelność i pogarda dla innych. Próbowali to potem ukryć pod szytymi na miarę garniturami i zapachem drogich wód kolońskich. Przybierali kamuflaż: golili wąsy, gubili brzuchy, pocąc się na siłowni, pili whisky zamiast wódki, sponsorowali studentki zamiast chodzić na dziwki. Ale ich prawdziwa natura zawsze w końcu wychodziła na wierzch.

– Nie mamy dużo czasu – syknął mężczyzna i ruszył do ubikacji.

Sławek przypomniał sobie o kopercie od ojca. Trzymał ją w szufladzie biurka. Chciał po nią pójść, jednak tamten wyłonił się z toalety i gestem go pospieszył. Sławek poszedł za nim.

W środku mężczyzna najpierw sprawdził, czy nikogo nie ma w kabinach. Potem szybko umył ręce i spryskał sobie twarz wodą.

– Koperta jest w biurze. Jak pan poczeka chwilę... – zaczął Sławek.

– Nie chcę żadnej koperty – rzucił facet, odkręcając kurki z wodą nad każdą z umywalk. Zbliżył się do chłopaka tak, że ich nosy niemal się stykały. – Powiedz ojcu, że się sypnęło. Kapujesz? Sypnęło się.

– Ale co?

– On będzie wiedział. Po prostu mu to powiedz. Sypnęło się. A tej koperty to się najlepiej szybko pozbądź.

Odsunął się, wytarł ręce w papierowy ręcznik i wyszedł bez słowa z toalety, chociaż bardziej wyglądało to na ucieczkę. Sławek został sam. Podeszedł do lustra i spojrzał na swoje odbicie. Na malujący się na swojej twarzy delikatny uśmiech.

– Sypnęło się – powtórzył cicho.

Facet był spanikowany. Nawet nie chciał słyszeć o pieniądzach. Jakiś interes ojca, jeden z tych brudnych, poszedł w diabły, a on sam w końcu będzie musiał za coś zapłacić.

Sławek pomyślał, że powinien się przejąć. W końcu chodziło o jego własnego rodzica. Ale czuł tylko satysfakcję. Już nie mógł się doczekać, kiedy ten cały bajzel zwali się ojcu na głowę.

3

Najpierw usłyszała podniesiony głos sekretarki.

– Proszę nie wchodzić! Pani dyrektor jest teraz zajęta!

Każdą inną osobę by to powstrzymało, ale nie jego. Ojciec Gniewka wparował do środka, nie zważając na protesty sekretarki, i zamknął za sobą drzwi, trzaskając, jakby był u siebie. Dyrektorka powoli podniosła się z miejsca, kiedy podszedł do jej biurka i oparł się o nie całym ciężarem ciała, jego brudne, lepkie palce plamiły szkolne dokumenty.

– W czym mogę pomóc? – zapytała.

– Gniewko przyszedł do szkoły?

Akurat to wiedziała. Wczoraj o mało nie zemdląła, kiedy zobaczyła go na szkolnym korytarzu. Oparła się o ścianę, żeby nie upaść. Potem, kiedy nabrała trochę sił, szybko wróciła do swojego gabinetu i przesiadła tam prawie całą resztę dnia. Pomyślała, że jeśli dzisiaj również go zobaczy, to straci nad sobą panowanie. Na szczęście nie przyszedł na lekcje.

– Nie, nie ma go.

Ojciec Gniewka spurpurowiał na twarzy. Wzniósł pięść w górę.

– Kurwa! – zaklął, a potem kopnął biurko z całych sił.

Solidny mebel tylko zadrżał. Mężczyzna prędzej sam by sobie zrobił krzywdę, niż go uszkodził. Dyrektorkę zbulwersowała jednak gwałtowność tego gestu. Pomyślała, że stojący przed nią człowiek jest zupełnym prymitywem. Nic dziwnego, że jego syn zrobił to, co zrobił. Tacy jak on nie powinni mieć dzieci. Gardziła nim mocno, bo tylko w ten sposób mogła ukryć przed sobą, że się go po prostu boi.

– Nigdzie go nie ma... – powiedział, kiedy się uspokoił.

– Słucham?

– Słucham, słucham... – przedrzeźniał ją. – Mówię wyraźnie: nigdzie go nie ma.

– Gniewka?

– A niby, kurwa, kogo?! – wrzasnął.

– Proszę się uspokoić. – Wskazała znacząco na drzwi do sekretariatu. Zrozumiał, o co jej chodzi. Kiwnął głową.

– Nigdzie nie ma Gniewka – powiedział już ciszej, chociaż jego głos wibrował od emocji.

– Dzwonił pan do niego?

– Wyłączył telefon albo go zgubił. Albo mu go zajebali. Nieważne, nie odbiera. Był wczoraj w szkole?

– Był.

– Na pewno?

– Sama go widziałam.

– Jakaś twoja uczennica powiedziała, że go nie było.

– Nie odpowiadam za to, co mówią moje uczennice – stwierdziła chłodno.

Ojciec Gniewka poruszył kilka razy szczęką, jakby kruszył zębami kawałki szkła. Wydzielał z siebie kwaśny zapach potu, pomieszany z ostrą wonią tysięcy wypalonych papierosów. Jakby nikotyna wydobywała się z porów jego ciała wraz z łojem.

– Myślisz, że jesteś bezpieczna? W tym swoim gabinecie, za tym swoim biurkiem? – zapytał, idąc powoli w jej kierunku.

Nie pozwoliła mu się do siebie zbliżyć. Sama do niego podeszła. Zatrzymał się, zaskoczony.

– W każdej chwili mogę wyjść zza swojego biurka i z tego pokoju – powiedziała spokojnie.

– Właśnie widzę. A powiesz mi, co chcesz zrobić tym zszycaczem?

Spojrzała na własną dłoń, zaciśniętą na ciężkim, masywnym przyrządzie. Nie wiedziała, kiedy go chwyciła, nawet tego nie poczuła. Ojciec Gniewka uśmiechał się kpiąco. Ale odsunął się od niej.

– Podobasz mi się – przyznał. – Bardziej niż twój mąż. Może to z tobą powinienem robić interesy?

Nie odpowiedziała.

– Dobra – ciągnął. – Powiem to tylko raz. Mój syn gdzieś tam jest – wskazał na okno – i jest debilem. Komuś w końcu powie, co zrobiliśmy.

– Co on zrobił – sprostowała.

Mężczyzna prychnął. Rozbawiony i zarazem zirytowany.

– Co on zrobił, to zrobił, ale to my zajęliśmy się resztą. Ja, twój mąż, w końcu ty. Wszyscy w tym siedzimy. I mój syn debil hasający nie wiadomo gdzie jest naszym wspólnym problemem.

– Mieliście go pilnować – wypaliła.

– Mieliśmy – przyznał. – Tak to już jest, kiedy za bardzo ufa się byłej żonie. Nie popełnię więcej tego błędu. A teraz zadzwoń, proszę, do swojego męża i powiedz, że trzeba zająć się tą sytuacją. Bo to nasz wspólny problem. Pamiętasz chyba dlaczego?

Kiwnęła głową. Tyle mu wystarczyło, bo wyszedł, zostawiając ją samą. Odetchnęła z ulgą.

Nie powiedziała tego głośno, ale w myślach przyznawała mu rację. To był ich wspólny problem. Gniewko zabił Elę, jednak to oni ukryli ciało. I tak, pamiętała dokładnie tamten wieczór. Opuściła gabinet, kiedy w końcu uporała się ze sprawami księgowymi. Wydawało jej się, że w szkole już nikogo nie ma. Na wszelki wypadek poszła jednak na szybki obchód, żeby sprawdzić, czy we wszystkich salach pogaszone są światła. Nawet niespecjalnie zaskoczyło ją to, że w klasie Eli wciąż się paliło. Pomyślała, że nauczycielka zrobiła to specjalnie w ramach zemsty za ten cały dzień i spotkanie w gabinecie. Mała złośliwość, by narazić szkołę i dyrektorkę na dodatkowe koszty. Zirytowało ją to.

Weszła do środka i stanęła jak wryta. Polonistka leżała na podłodze w plamie krwi. Przed nią stał Gniewko. Obok niego leżały nożyczki. Trzy szczegóły, które wbiły jej się w pamięć. Trzy rzeczy, których nigdy nie zapomni: zamordowana Ela, Gniewko napawający się swoim dziełem i narzędzie zbrodni. Najgorsze było w tym wszystkim, że on tam po prostu stał. Tylko tyle. Jakby to wszystko w żaden sposób go nie dotyczyło. Jakby oglądał jakieś makabryczne przedstawienie.

Serce podeszło jej wtedy do gardła. Nie wiedziała, co nią kierowało. Na pewno nie odwaga, bo bała się jak nigdy w życiu. Delikatnie chwyciła Gniewka za ramię. Odwrócił się w jej stronę i zobaczyła jego twarz – przypominała białą maskę, gipsowy odlew. Chyba nie zdawał sobie sprawy, gdzie jest ani co zrobił. Pomyślała, że jest w szoku.

Zaprowadziła go do gabinetu i posadziła na krześle naprzeciwko biurka. Nie chciała z nim przebywać sam na sam, więc trzymała się z daleka. Stała przy samych drzwiach, gotowa rzucić się do ucieczki, gdyby zrobił choć jeden podejrzany ruch. Potem zadzwoniła do męża. Nie na policję. W ogóle nie przyszło jej to do głowy. Powiedziała, co się wydarzyło, a on najpierw ją wyśmiał i odparł, że zwariowała. Dopiero gdy zaczęła krzyczeć i kazała mu przyjechać, zrobił to, chociaż ciągle nie wierzył. Wysłała go do klasy. Wrócił stamtąd, blady, wstrząśnięty, ze łzami w oczach.

– Trzeba zawiadomić policję – powiedział.

– Nie możemy – stwierdziła i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak bardzo jest to oczywista rzecz. Jakby najpierw musiała to usłyszeć, a język wyprzedził jej myśli. – Najpierw Marysia, potem Ela. Rodzice zabiorą stąd dzieci. Stracimy szkołę. Nie możemy zadzwonić po policję.

– To co niby chcesz zrobić?! – wrzeszczał, machając rękami. Zupełnie tracił nad sobą panowanie. Nigdy nie wydawał jej się bardziej żaloszny.

– Daj mi swój telefon – rozkazała.

Zrobił to. Wybrała numer do ojca Gniewka. Wy tłumaczyła mu, co się stało. Znał swoje dziecko. Uwierzył od razu. Zaklął tylko do telefonu i powiedział, żeby nic nie robili sami i poczekali na niego. Pojawił się po pół godzinie razem ze swoją byłą żoną. Wsadził Gniewka do samochodu z matką i kazał jechać do domu. Potem poszedł obejrzeć zwłoki. Wrócił po kilku minutach.

– Ja z Michałem zajmiemy się ciałem – oznajmił. – Ty posprzątaj salę.

Nie dyskutowała z nim, po prostu zrobiła, co kazał. Wzięła wiadro wody, wszystkie szmaty, jakie znalazła, i płyn do podłóg. Nie myślała, z ulgą przyjęła fakt, że ktoś przejął kontrolę nad sytuacją i wziął na siebie odpowiedzialność.

Sprzątała na kolanach, drąc rajstopy i niszcząc sukienkę. Wycierała krew, wyciskała szmaty do kubła. Wylewała to wszystko do ubikacji, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. Aż jej dłonie całe się pomarszczyły, a skóra piekła od płynu. I tak nie dała rady wytrzeć tego do końca. Znalazła stary dywanik i przykryła nim bladoczerwoną plamę.

Michał z ojcem Gniewka wrócili przed północą. O nic nie pytała, nie chciała wiedzieć. Rozmawiali jeszcze godzinę, by ustalić, co mają robić dalej. Myślała, że nie zaśnie już tamtej nocy, ale stało się coś zupełnie przeciwnego. Kiedy

tylko przyłożyła głowę do poduszki, poczuła, jak zapada się w ciemną, gęstą toń. A potem było nic. Wielka pustka. Bez snów, bez myśli, bez niczego.

Nie spała tak dobrze od lat.

4

Klementyna nie mogła zrezygnować z pracy, więc niechętnie zostawiła Gniewomira samego w domu i poszła do szkoły. Wcześniej kupiła mu szczoteczkę do zębów, grzebień, trochę jedzenia i wyjęła czysty ręcznik. Pokazała, gdzie wszystko jest, ale i tak na wszelki wypadek przygotowała parę notatek z tymi samymi informacjami. Miała nadzieję, że to wystarczy.

Na lekcjach odliczała czas do końca pracy. Chciała jak najszybciej wrócić do domu, żeby wymyślić z Gniewomirem, jak odnaleźć zabójcę Eli. Wątpliwości nie odpuszczały, a pomysł chłopaka wydawał się po prostu idiotyczny, jednak czuła, że jest to winna koleżance. Chociaż nie miała pojęcia, jak w ogóle się do tego zabrać.

Na długiej przerwie w pokoju nauczycielskim przysiadła się do niej nauczycielka geografii. Kobieta wyjęła jeden z podręczników, postawiła tak, żeby ją zasłaniał, i nachyliła się ku Klementynie.

– Myśli pani, że to prawda? – zapytała szeptem, wcześniej rozglądając się dookoła.

– Co takiego?

– Że sama się zwolniła?

Klementyna przełknęła nerwowo ślinę. Widziała martwą Elę, wiedziała, co się wydarzyło, ale nie mogła się z tym zdradzić. Na szczęście nauczycielka nie czekała na odpowiedź.

– Myślę, że to nieprawda – stwierdziła, ciągle szepcząc. – Myślę, że ją sami wywalili. I zobaczy pani, będzie z tego awantura.

– Dlaczego? – odważyła się zapytać.

– Bo dzieci bardzo ją lubiły. Rodzice też. Już tylu nauczycieli wyleciało stąd w ciągu roku szkolnego, że to przeleje czarę goryczy. Zobaczy pani. Ela powinna pójść z tym do sądu pracy. Pół szkoły się za nią wstawi, bo wszyscy już mają dość tego, co się tutaj dzieje. Pół szkoły, zobaczy pani. Powie jej pani o tym?

– Ja? Dlaczego?

Geografka zerknęła na nią z ukosa. Przez jej twarz przemknął cień obawy.

– Przyjaźniłyście się chyba – powiedziała niepewnie, jakby dopiero teraz pomyślała, że być może rozmawia z nieodpowiednią osobą. – Nie utrzymujecie kontaktu?

– Nie rozmawiałam z nią jeszcze od tamtego czasu – odpowiedziała Klementyna i pomyślała gorzko, że nawet nie skłamała. – Przepraszam, muszę coś sprawdzić.

Wyszła pospiesznie z pokoju nauczycielskiego. Może i wyglądało to podejrzanie, ale bała się, że jeśli będzie kontynuować tę rozmowę, w końcu coś jej się wymysknie. Powinna być ostrożna.

Na korytarzu panował niewiarygodny harmider. Dzieciaki biegały z jednego końca korytarza na drugi. Klementyna postanowiła zapalić, by uspokoić trochę nerwy. Na długiej przerwie ryzyko wpadki było największe, jednak bez odrobiny nikotyny nie dałaby rady poprowadzić kolejnej lekcji.

W drodze do nauczycielskiej toalety zauważyła kobietę ubraną na czarno. Musiała mieć koło czterdziestki i na pewno tu nie pracowała. Rozglądała się bezradnie dookoła, niepewna, dokąd się udać i co zrobić. Klementyna poczuła z nią pewne pokrewieństwo. I może właśnie dlatego, zamiast pójść zapalić, podeszła do niej.

– Dzień dobry – powiedziała. – Mogę w czymś pomóc?

Kobieta drgnęła, kiedy usłyszała głos Klementyny, jakby się przestraszyła.

– Ja... Przepraszam... Nie słyszałam, jak pani do mnie podchodzi.

– Straszny tu hałas – przyznała Klementyna.

– Szukam pani Eli.

Klementyna skłęła samą siebie w myślach. Uciekła z jednej rozmowy na temat Elżbiety, by wpakować się w kolejną. Dlaczego akurat teraz miała potrzebę, żeby wsadzać nos w nie swoje sprawy?

– Nie ma jej.

– Zachorowała? A może ma później lekcje?

– Zwolniła się. – Kłamstwo z trudem przeszło Klementynie przez gardło. Poczula w ustach gorzki smak żółci.

Na twarzy kobiety odmalowało się rozczarowanie. Zgarbiła się, jakby ktoś położył jej na plecach stukilogramowy ciężar.

– Aha... A wie pani, gdzie teraz jest?

– Nie.

– Aha... Bo ja jestem mamą Marysi. Pani uczyła moją Marysię?

– Niestety nie. Jestem tutaj nowa – odpowiedziała Klementyna.

Patrzyła teraz na nią inaczej. Zrozumiała, skąd ta żałobna czerń, i wyrzucała sobie, że nie domyśliła się szybciej. A potem przypomniała jej się rozmowa z Gniewomirem o motywie zabójcy. I o tym, że Ela szukała ojca dziecka, które Marysia nosiła w brzuchu.

– Dlaczego pyta pani o Elę? – zapytała.

Musiała się do tego zmusić. Instynkt mówił, że powinna od razu zakończyć to spotkanie. Od lat przecież żyła tak, by jak najmniej rzucać się w oczy, przemykać bokiem, rozmawiać z obcymi tylko wtedy, kiedy nie dało się już inaczej. Ale przecież, tłumaczyła sobie, tak właśnie prowadzi się śledztwo – zadając pytania.

– Ela niedawno mnie odwiedziła – odpowiedziała kobieta. – Pytała o Marysię. Pomyślałam, że przyjdę i powiem jej, co się wydarzyło, bo policja już wie. Tak na pewno.

– A co się wydarzyło?

Grupka dzieciaków przebiegła obok nich. Jeden z nich, kędzierzawy chłopaczek, potrącił lekko nauczycielkę. Odwrócił się, rzucił szybkie „przepraszam” i popędził dalej.

– Wbiegła pod pociąg. Policjanci mieli jeszcze wątpliwości. Zastanawiali się, czy ktoś jej nie wepchnął, a może gonił. Ale nikt nic nie widział. Ciemno było.

Mówienie o tym przychodziło kobiecie z widocznym trudem. Klementyna nagle zapragnęła się do niej przytulić. Powiedzieć, że zadawanie tych wszystkich pytań też nie jest łatwe, że to nie jest prawdziwa ona.

– Wierzy w to pani?

– Wierzę? A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – Matka Marysi pociągnęła nosem, a potem powtórzyła: – Jakiegokolwiek?

Na szczęście rozdzwonił się dzwonek oznajmiający koniec przerwy

i Klementyna nie musiała odpowiadać na to pytanie. Dzieci pobiegły do swoich klas i wkrótce korytarz opustoszał. Pozostały tylko one. Pomyślała, że powinna iść na swoją lekcję, ale nie potrafiła się ruszyć. Jakby matka Marysi rzuciła na nią jakiś czar i Klementyna nie mogła odejść, dopóki tamta sama jej nie zwolni.

– Chce pani wiedzieć, w co wierzę? – zapytała kobieta nieoczekiwanie, kiedy zrobiło się już zupełnie cicho.

– Tak.

– Wierzę, że to ta szkoła ją zabiła – oznajmiła. – Zanim tutaj trafiła... Ona się z tego cieszyła. Chciała się uczyć. Bardzo. Tak strasznie jej zależało, tak mocno. Tyle że ona tutaj nie pasowała. Wcale. I bez względu na to, co zrobi, nigdy tu nie będzie pasować. To nie jest świat dla nas. Żałuję teraz, że pozwoliłam jej chodzić do tej szkoły. Trzeba ją było wysłać do podstawówki koło nas. Jest gorsza. Chodzą tam inne dzieciaki, gorzej się uczą, są biedniejsze, rozrabiają. Może nie byłaby tam szczęśliwa, ale przynajmniej by żyła. I właśnie w to wierzę, proszę pani. – Wbiła wzrok w sufit, powstrzymując łzy. Odetchnęła kilka razy głęboko, a Klementynę coś ścisnęło mocno za serce. – Powinniście tego uczyć na lekcjach – wyrzuciła z siebie desperacko. – Powtarzać to wszystkim dzieciom.

– Co takiego?

– Że spełnianie marzeń potrafi zabić.

Jakiś spóźniony uczeń pobiegł schodami na górę. W korytarzu odbijało się echo jego kroków. Matka Marysi sięgnęła do torebki, wyjęła z niej chusteczki i zaczęła wycierać łzy.

– Przepraszam...

– Nie ma za co.

– Ma pani dzieci?

– Nie.

Klementyna wiedziała, że tamta ją teraz ocenia. Starsza kobieta, taka, która mogłaby być już babcią, nie ma dzieci, znaczy się stara panna. A może pomyślała sobie coś innego, ale Klementyna o to nie dbała. Nic nie mogło być gorsze od prawdy.

– To pani nie zrozumie.

Kiedy usłyszała wyszeptane przez nią słowa, chciała jej przyznać rację.

Faktycznie nie rozumiała. Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, pomimo tego, co zrobiła. Oczywiście żałowała. Wielokrotnie głośno o tym mówiła. Na sali sądowej, podczas spotkania z psychologiem, w więzieniu, na zajęciach z pedagogiem, rozmawiając, jeśli tak to można nazwać, z chorą na alzheimera matką. Ale tylko w rzadkich chwilach szczerości potrafiła przyznać, że żałuje głównie z powodu tego, co się stało później z nią samą, a nie dlatego, że zabiła własne dziecko. Była wybrakowana. Nie wiedziała dlaczego. Nie rozumiała, kto ją zepsuł i w jaki sposób, jednak właśnie to się wydarzyło. Jakby ktoś zakradł się w nocy do ich domu – może wtedy, kiedy spodziewała się dziecka albo kiedy esbecy po raz pierwszy aresztowali męża – i wykradł jej serce, a na to miejsce podłożył zimny, twardy kamień. Ta dziecięca i naiwna wizja niosła przynajmniej jakieś pocieszenie, pozwalała obarczyć winą kogoś innego, tajemniczą istotę, złodzieja serc. Jednego tylko Klementyna wciąż nie rozumiała. W swoich koszmarach czuła wyraźnie tę miłość, którą darzyła ją córka. Ciepłą, przyjemną i niczym nieograniczoną. Dlaczego w tych snach jako córka potrafiła kochać samą siebie, a na jawie nie potrafiła kochać córki?

Kolejna zagadka. Kolejne źródło cierpień.

I nagle wróciła do niej twarz Celiny. Myślała, że zdążyła już o niej zapomnieć. O tej współwięźniarce, łagodnej i spokojnej kobiecie, siedzącej za kratkami. Lekko opóźnionej w rozwoju, o czym świadczyły nieco mongolskie rysy twarzy, skośne oczy, wysokie czoło. I właśnie dlatego, że była taka łagodna, umieszczono je w jednej celi – bo kto jak to, ale Celina nie zrobiłaby Klementynie krzywdy. A jednak nawet ona, ta spokojna i miła Celina, pewnej nocy usiadła jej na piersi, chwyciła za włosy i orając twarz paznokciami, krzyczała, wrzeszczała tak, że słyszał ją cały blok:

– Jak można nie kochać?! Jak można nie kochać?!

Może właśnie dlatego te wszystkie kobiety, złodziejki, morderczynie, oszustki, nienawidziły Klementyny. Zabić dziecko – to jeszcze mogły pojąć. Nie wybaczyc, bo więzienie miało swój kodeks, swoje zasady, hierarchię. Kara musiała być. Inna, niż zasądził zwykły sąd, straszniejsza, bardziej brutalna. Jednak rozumiały, przecież im też zdarzało się uderzyć dziecko. Własne i cudze. Uderzyć nawet mocniej, niż trzeba, byleby tylko dać upust temu, co się w nich od lat gotowało. Ale żeby nie kochać? To już nie mieściło im się w głowach.

Nieoczekiwanie matka Marysi ścisnęła ją za rękę.

– Odprowadzi mnie pani? – zapytała.

Klementyna kiwnęła głową. Szły pod rękę, niezgrabnie się do siebie przytulając. Nieśmiało i ostrożnie, żeby nie przekroczyć żadnej granicy. Dwie zagubione dusze. Ochroniarz przyglądał im się zaskoczony, jednak nic nie powiedział.

Pożegnały się już na dworze. Klementyna została jeszcze trochę. Minęła jej ochota na papierosa. Nagle odkryła, że jest spokojna, opanowana i zadowolona z samej siebie. Jakby tamta kobieta podzieliła się z nią własną siłą. Bo ona była silna nawet pomimo przeżytej tragedii. Klementyna pomyślała, że dobrze się spisала. Prowadziła śledztwo, przesłuchała świadka, zdobyła strzęp informacji.

Matka Marysi doszła do bramy szkoły. Odwróciła się po raz ostatni, pomachała jej na pożegnanie i zniknęła, mijając męża dyrektorki. Klementyna pomyślała, że powinna schować się w szkole i pójść na swoją lekcję. Woląла teraz unikać niewygodnych pytań. Ale wtedy zauważyła, z jakiego samochodu wysiadł mężczyzna. Przypomniała sobie słowa Bartka o kochanku Eli – że pewnego wieczora przyjechał pod ich dom. Srebrnym mercedesem.

Nagle wszystko zaczęło się układać.

5

– Wiem, kto zabił Elę!

Wykrzyknęła to zaraz po powrocie do domu. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz była tak podekscytowana.

Gniewomir siedział przy stole w pokoju, obłożony zeszytami, i zapamiętało coś w nich kreślił. Obok niego stał talerz z kanapką z masłem i kubek wody. Gdzieś wśród tego bałaganu mignęła obudowa jej laptopa. Chłopak podniósł głowę i spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.

– Kto? – zapytał.

– Mąż dyrektorki.

Opowiedziała mu o wszystkim, czego się dowiedziała. O rozmowie z Bartkiem, romansie Eli i o srebrnym mercedesie. Gniewomir słuchał cierpliwie. Nie sądziła, że jest zdolny do aż takiego skupienia uwagi.

– Miał motyw – zakończyła. – Nie chciał, by żona dowiedziała się o ich romansie. Zabił Elę tam, gdzie mógł wchodzić i wychodzić, kiedy chciał. I wiedział, że ona tam wtedy będzie. Wszystko się zgadza!

– To możliwe – przyznał po namyśle. – Ale to nie on.

– Dlaczego?

Tym razem to on zaczął opowiadać. Miał więcej do powiedzenia, a poza tym dużo wolniej mówił. Kilka razy gubił wątek. Musiała go naprowadzać na właściwy tor. Pod koniec czuła lekkie zawroty głowy, ale sporo rzeczy się rozjaśniło. Pomyślała, że szkoda, że tak późno wymienili się informacjami.

– Czyli na miejscu zjawili się twój ojciec, dyrektorka, mąż dyrektorki i twoja matka?

Przytaknęła.

– Mama zabrała cię do domu, a tamci zostali?

– Tak.

– Dobrze. Dlaczego uważasz, że mąż dyrektorki nie zabił Eli?

– Płakał, kiedy zobaczył jej ciało. To znaczy, że był smutny. Nie mógłby być

smutny, gdyby to on zrobił, prawda?

Nie wiedziała, czy powinna wyprowadzić go z błędu. W więzieniu mnóstwo kobiet płakało z powodu tego, co zrobiły. Potrafiły nawet tęsknić za mężczyznami, którzy lali je tak długo, aż wreszcie wbiły im nóż prosto w serce.

– A dyrektorka? – zaryzykowała kolejną hipotezę. – Może to ona? Dowiedziała się o romansie, wpadła w szał i zabiła Elę.

Gniewomir zastanawiał się chwilę, a potem pokręcił przecząco głową.

– Kiedy po mnie przyszła, nie miała na sobie śladów krwi. Ani na rękach, ani na ubraniu. A tam było dużo krwi.

– Mieszka tuż obok – podsunęła Klementyna. – Może poszła do domu, umyła się i przebrała. Jak się zachowywała, kiedy cię znalazła?

– Była miła.

– Sam widzisz!

Zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

– Gdybym ja cię znalazła i myślała, że zabiłeś Elę, to byłabym przerażona. Pewnie bym uciekła. Ale skoro ona była dla ciebie miła, to wiedziała, że tego nie zrobiłeś! Skąd wiedziała? Bo to ona zamordowała Elę!

Gniewomir nie wyglądał na przekonanego. Klementyna zresztą też nie. Kiedy o tym mówiła, brzmiało logicznie, ale gdy padło już ostatnie słowo, nie mogła uciec od myśli, że coś tutaj nie pasuje. Nie wiedziała tylko co. Nie potrafiła wskazać konkretnego elementu, po prostu cała ta historia wydawała się nieprawdziwa.

– Kto jeszcze oprócz ciebie przebywał w szkole, kiedy zginęła Ela?

Gniewomir sięgnął do jednego ze swoich zeszytów. Przerzucił kilka stron.

– Ja. Pani. Moja mama, tato, dyrektorka i jej mąż. No i pani Ela.

– A wcześniej? Widziałeś kogoś jeszcze?

– Kiedy wcześniej?

– Kiedy lekcje się skończyły, chyba koło szesnastej – powiedziała Klementyna, przypominając sobie plan zajęć tamtego dnia.

– Sprzątaczkę, która sprzątała sale. Panią ze świetlicy i rodziców odbierających dzieci. Świetlicę zamknęli o osiemnastej i od tego czasu byłem

sam. Pół godziny później przyszła pani. Zastanawiałem się, dlaczego tak szybko uciekła pani ze szkoły, więc wszedłem do klasy pani Eli. Wtedy ją zobaczyłem.

- Często zostajesz tak długo sam w szkole?
- Zdarza się.
- Rodzice na to pozwalają?
- Zapominają mnie odebrać. Najczęściej robi to brat.
- Brat się o ciebie troszczy?
- Brat mnie kocha.

Klementynę uderzyło to wyznanie. Dopiero po chwili zrozumiała dlaczego. Domyślił się, że mąż dyrektorki jest smutny, bo mężczyzna przy nim płakał. Tylko z takiego zachowania Gniewko mógł wyciągnąć odpowiedni wniosek, bo nie umiał odróżniać emocji. Mało o nich mówił, prawie wcale. Tylko o uczuciu brata opowiedział w taki sposób, jakby naprawdę je rozumiał i sam potrafił odczuć. Może na tym polegał jego największy problem – na emocjonalnym upośledzeniu. I dlatego też nie rozumiał, jak inni ludzie na niego reagują.

– Czyli kto miał motyw, żeby zabić Elę? Dyrektorka. Mąż dyrektorki – podsumowała.

- Mąż Eli – dodał chłopak.
- On?
- Dowiedział się, że żona go zdradza. Miał motyw. Najczęściej zabijają osoby bliskie ofierze.

Klementyna przypomniała sobie wizytę u Bartka, to, jak ją chwycił i przytrzymał. Jego wściekłość.

– Dobrze – zgodziła się. – Mąż. A po tym wszystkim twój tato, dyrektorka i jej mąż zostali w szkole z ciałem.

- Tak.
- Czy wiesz, co z nim zrobili?
- Nie.
- Pewnie gdzieś ukryli. Dlaczego?
- Nie wiem.

Ona też nie wiedziała. Od snucia kolejnych hipotez rozboleła ją głowa. Po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy nie robią czegoś głupiego.

– Może twój tato uwierzył dyrektorce, że to ty zabiłaś Elę, i postanowił cię chronić? Dlatego ukrył ciało?

– Nie wiem. Może.

Westchnęła. Potrzebowała się skupić. Akurat ukrywanie przestępstwa popełnionego przez dzieci wydawało jej się logiczne i całkiem prawdopodobne. Kobiety w więzieniu często opowiadały, że dla swoich synów i córek (głównie córek) są gotowe zrobić wszystko. Nawet zabić. Może więc właśnie to się zdarzyło? Tak mało rozumiała. Miała ścisły umysł, pojmowała cyfry i skomplikowane równania, bo tam jedno wynikało z drugiego. Tutaj panował jeden wielki chaos, nieścisłości powodowały kolejne nieścisłości, wszystko się gmatwało w sposób, którego nie potrafiła zrozumieć. Nagle ogarnął ją przerażający smutek i łzy same napłynęły do oczu. Dlaczego to wszystko jej umykało? Co z nią było nie tak?

– Przepraszam, muszę iść się napić – powiedziała, wstając od stołu, a Gniewomir bez namysłu podsunął Klementynie swój kubek, by się z niego napiła. Podziękowała i poszła do kuchni. Musiała się trochę uspokoić. Wypiła szklankę wody. Potem usiadła na krześle i trwała tak bez ruchu przez prawie pięć minut. Kiedy wróciła do pokoju, Gniewomir siedział przy laptopie.

– Co robisz? To nie twoje! – zawołała.

Nie rozumiała do końca, dlaczego się uniosła. Nie miała na tym komputerze nic, czego powinna się wstydić. Raptem kilka plików tekstowych i CV w różnych wersjach. A jednak poczuła się tak, jakby grzebał w szufladzie z jej bielizną. Tam, swoją drogą, również nie było nic ciekawego.

– Leżał – powiedział chłopak. – Myślałem, że mogę.

– Nie możesz! To znaczy nie możesz bez pozwolenia ruszać moich rzeczy! Ani z nich korzystać!

– Powiedziała pani, żebym się rozgościł. Kiedy pani wychodziła do pracy – przypomniał, a jej opadły ręce. Nie wiedziała, co powiedzieć. – Szukałem tylko informacji o pani Eli. I znalazłem coś ciekawego. Proszę. – Odwrócił ekran laptopa w taki sposób, żeby mogła go zobaczyć.

– Poczekaj chwilkę.

Wyjęła z torebki okulary i je założyła. Dopiero wtedy przyjrzała się stronie internetowej. Nazywała się Facebook. Znała tę nazwę. Dużo czytała o tym

serwisie społecznościowym, choć z niego nie korzystała.

– Założyłem fejkowy profil.

– Fejkowy?

– Nieprawdziwy.

– Dlaczego nie powiesz w takim razie po prostu, że jest nieprawdziwy?

– Bo... – Zamarł, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Mniejsza z tym – przerwała mu. – Co takiego znalazłeś?

– Chciałem sprawdzić profil pani Eli. Zobaczyć, co ona na nim pisze.

– Aha. I co?

– Nic ciekawego. Żadnych tropów. Mało wrzucała tu swoich rzeczy. Z ograniczoną dostępnością.

– Nie rozumiem.

– Pewne materiały, które wrzuca się na Facebooka, są dostępne dla wszystkich, a niektóre tylko dla znajomych. Pomyślałem, że spróbuję włamać się na jej konto.

– Udało ci się?

– Nie. Ma skomplikowane hasło. Albo na nie nie wpadłem. Ale sprawdziłem listę znajomych pani Eli i spróbowałem dostać się na ich konta.

– Czy to nie jest karalne?

Wzruszył ramionami, najwyraźniej urażony, że przerwała mu wywód.

– Dostałem się na konto naszej fizyczki. Wystarczyło wpisać jej imię i dodać ciąg liczb 12345. To nie było zbyt trudne. – W tym samym czasie, kiedy o tym mówił, powtarzał ten manewr na komputerze.

Klementynie to się nie podobało. Nie znała się za dobrze na internetowych sprawach, ale jak podejrzewała, można było ustalić, z czyjego urządzenia włamano się na konto na Facebooku. Mogły być z tego powodu kłopoty.

– Widzi pani po prawej stronie listę znajomych, prawda?

– Tak.

– Obok nich jest zielone kółeczko.

– Tak.

– To oznacza, że dana osoba korzysta teraz ze swojego Facebooka. Jest

dostępna. Widzi pani na tej liście nazwisko Eli?

Zobaczyła. Mniej więcej na środku listy. Z zielonym kółeczkiem tuż obok.

– Nie rozumiem.

– Ktoś włamał się na jej konto i właśnie teraz z niego korzysta – wytłumaczył Gniewomir.

– Kto taki? Możesz to sprawdzić?

– Nie wiem. I nie mogę. Nie wiem jak.

– Co powinniśmy w takim razie zrobić?

Przeniosła wzrok z ekranu laptopa na twarz chłopaka. On zaś wpatrywał się jak zahipnotyzowany w zieloną kropczkę przy nazwisku Eli.

– Myślę, że powinniśmy do tego kogoś napisać – powiedział spokojnym, niemalże obojętnym tonem.

6

Dźwięk przychodzącej wiadomości sprawił, że telefon prawie wypadł Karolinie z ręki. Złapała go w ostatniej chwili, a potem mocno chwyciła w obie dłonie. Rozejrzała się gorączkowo dookoła, ale nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Zresztą dlaczego ktoś miałby się przyglądać kolejnej nastolatce, która siedziała w McDonaldzie w Żółtych Tarasach, jadła cheeseburgera i piła colę. Wcześniej faktycznie poszła do kina, jednak seans trwał tylko dwie godziny i zostało jej jeszcze trochę czasu do zabicia. Poza tym zgłodniała.

Wiadomość pochodziła od niejakiego Stanisława Solskiego i wpadła do folderu Inne. Co oznaczało, że pani Ela nie miała go wśród znajomych. Pewnie to jakiś spam, pomyłka, pomyślała Karolina. Nie powinna w ogóle tej wiadomości otwierać. Tyle że nie powinna też mieć tego telefonu.

To się wydarzyło trochę przez przypadek. Mama wychyliła się z gabinetu, dała jej telefon pani Eli i kazała odnieść. Dziewczyna naprawdę chciała zrobić, o co ją poproszono, ale przecież miała w rękach komórkę swojej nauczycielki. A mieć w dłoni komórkę to jak mieć w dłoni czyjeś życie. Schowała się więc w ubikacji i uruchomiła telefon. Żeby sprawdzić zawartość, należało wprowadzić wzór na kropkach. Stała przy oknie, położyła aparat poziomo i zaczęła szukać na ekranie tłustych smug, które zdradziłyby wzór. Kilka z nich wydało się prawdopodobnych i postanowiła spróbować. Obiecała sobie, że zrobi to tylko raz, a potem już naprawdę odda komórkę nauczycielce.

Trafiła za drugim razem.

Zacząła przeglądać zawartość telefonu. Najpierw zdjęcia. Nie znalazła tam nic ciekawego. Kilka ujęć pani Eli z wakacji, kilka z mężem, kilka fotek jedzenia. A potem weszła w katalog ze zdjęciami z Messengera i nagle zobaczyła fotografie swojego ojca. I te półnagie, na których prężył tors, i te z wielkim, czerwonym, lśniącym penisem na wierzchu. Otoczonym grzywą obrzydliwych, wijących się włosów, wyglądających jak małe robaki. Wskazywał go palcem i uśmiechał się lubieżnie. Krzyknęła wtedy i pobiegła wymiotować do sedesu.

Potem odnalazła wiadomości, jakie między sobą wymieniali. Umawiali się na spotkania. W hotelach. Pustych mieszkaniach znajomych. Na parkingach. Raz chyba nawet zrobili to w szkole. A oprócz tego pisali sobie, co by ze sobą zrobili. On chciał ją przetrząść, ona chciała być przetrząnięta. On marzył, żeby wejść w jej ciasną cipkę, ona chciała go poczuć w swojej ciasnej cipce. On chciał trysnąć w jej ustach, ona chciała poczuć smak jego spermy. Ojciec wysyłał zdjęcia swojego penisa, ona odpowiedziała fotografią swoich piersi, już zdaniem Karoliny lekko obwisłych i niesymetrycznych, i prośbą, żeby się na nie spuścił.

Skrecało ją, kiedy to czytała, kiedy na to patrzyła. Jej ciałem szarpały bolesne dreszcze. Czuła się przez to zbrukana, jakby zalewały ją gigantyczne fale ścieków. Tsunami brudu i obrzydliwości.

Przez moment chciała wrzucić ten telefon do toalety i spuścić wodę. Nie zrobiła tego jednak. Nie potrafiła.

Pół godziny później pobiegła do domu. Schowała się w swoim pokoju, wskoczyła do łóżka, zwinęła w kłębek i ukryła pod kocem. Potem jeszcze raz przejrzała całą korespondencję. Nie chciała tego robić, ale nie potrafiła się powstrzymać. Telefon jakby ją przyciągał. Zmuszał do tego, żeby po niego sięgnęła. Nie pozwalał o sobie zapomnieć nawet na sekundę.

Tym razem zachowała spokój. Skupiała się na słowach, a zdjęcia przewijała w taki sposób, by na nie nie patrzeć. Wciąż każda wiadomość była jak żyletka, która cięła jej skórę, przynajmniej jednak torsje minęły. Karolina przeczytała jeszcze raz. A potem kolejny, by na pewno wszystko zapamiętać i zrozumieć. Z jakiegoś powodu uznała, że to ważne.

A potem uświadomiła sobie, że ten telefon to być może jej wielka szansa. Bo co by się stało, gdyby wpadł w ręce matki? Gdyby to ona odczytała te wszystkie wiadomości? Byłoby już po wszystkim. Karolina wiedziała, że nawet ona nie umiałaby już tego naprawić. Być może gdyby się zabiła, coś by to dało – wspólne nieszczęście na powrót zbliżyłoby rodziców, ale nawet w to wątpiła. Mama jednak oddała telefon w jej ręce. Jakby przeczuwała, co się na nim znajduje. Jakby prosiła córkę o pomoc.

I Karolina postanowiła mamie pomóc.

Poczuła też swego rodzaju ulgę. Bo w końcu wiedziała, co jest nie tak z małżeństwem rodziców, dlaczego wszystko się psuje. To nie mama zawiniła.

Może i za dużo pracowała, czasami zapominała o różnych rzeczach, często narzekała, ale przecież robiła to wszystko dla nich. Żeby byli szczęśliwi. Tata też nie zawinił. Tak, dał się skusić tej kobiecie, przecież jest słaby i to w końcu facet, a faceci są po prostu głupi i zawsze trzeba ich pilnować. Nie, to przez panią Elę. Tę durną, jurną nauczycielkę polskiego, którą ciągle swędziała cipa. Kobietę tak nieszczęśliwą w swoim małżeństwie, że postanowiła zniszczyć życie wszystkich dookoła. Poczynając od rodziców Karoliny.

Wiedziała, że nauczycielka ma teraz dyżur i że nikt na takie dyżury nie przychodzi. Mogła załatwić tę sprawę raz na zawsze.

Pobiegła do szkoły. Pani Ela siedziała przy swoim biurku. Sprawdziała klasówki. Kiedy zobaczyła Karolinę, na jej twarzy odmalował się wyraz zaskoczenia. Dziewczyna upewniła się najpierw, czy w klasie nie ma nikogo oprócz nich, a potem zamknęła drzwi.

– W czym mogę ci pomóc, Karolinko? – zapytała pani Ela.

Dziewczynę ogarnęło dziwne poczucie mocy, zamknęła za sobą drzwi. Ona już wiedziała, co się wydarzy. Pani Ela nie. Ona panowała całkowicie nad sytuacją. I nad swoją ofiarą. Nigdy nie czuła się tak silna. Była wojowniczką. Obrończynią rodziny. Przepelniał ją gniew, słuszny i czysty.

– Przystanie się pani pieprzyć z moim tatą – powiedziała twardo, zaciskając nieświadomie pięści.

Pani Ela poderwała się z krzesła i z powrotem się na nie osunęła. Pobladła. Ukryła jedną dłoń za plecami, żeby ukryć jej drżenie.

– Nie wiem, kochanie, o czym mówisz. Nie mam po prostu pojęcia.

– Pieprzy się pani z moim tatą i ma pani przestać – powtórzyła Karolina.

– To nieprawda. Coś ci się pomyliło.

– Mam pani telefon! Widziałam, co na nim jest! Te wszystkie zdjęcia, te wszystkie świństwa, to całe... zło!

Nieoczekiwanie cała ta moc ją opuściła. Było tak, jakby Karolina nagle wpadła pod wodę. Nie mogła złapać tchu. Zgięła się w pół, a jej głos się załamał.

– Masz mój telefon? – zapytała pani Ela i podniosła się zza biurka. – Skąd go masz? Kto ci pozwolił w nim grzebać?

Ruszyła w kierunku uczennicy, a ta mimowolnie cofnęła się o krok. Jakaś część jej chciała uciec, ale inna na to nie pozwalała. Chwyliła Karolinę mocno

za ramiona i krzyczała: Zostań tutaj! Stój! Załatw sprawę do końca! Zrób to dla swojej mamy!

– Wiem, co pani robi! – zawołała dziewczyna. – Widziałam to! Ma pani przestać! Teraz! Ma pani zniknąć z naszego życia!

Ela przystanęła i podniosła dłonie do ust. Na jednym z palców błysnęła obrączka ślubna.

– Nie wiem, co widziałaś – odezwała się. – I przykro mi, że dowiedziałaś się tego w taki sposób. I bardzo cię za to przepraszam. Ale, Karolina, to nie jest twoja sprawa. To sprawa pomiędzy mną, twoim tatą i twoją mamą.

– I chyba pani mężem, co? Zapomniała pani o nim? – rzuciła zgryźliwie, wciąż zgięta w pół.

– I moim mężem – przyznała Ela. – Ale nie twoja. A teraz oddaj mi, proszę, mój telefon.

Karolina zostawiła go w domu, jednak to nie miało znaczenia. Nigdy by go nie oddała tej kobiecie. Temu potworowi. Tej dziwce. To przez nią wydarzyło się całe zło. Ona była smokiem, a Karolina rycerzem, który przybył tu po to, żeby pokonać bestię.

Wzrok dziewczyny zatrzymał się na leżących na stoliku nożyczkach.

Tak jak teraz na telefonie pani Eli. Nie powinna mieć tej komórki. Nie powinna odbierać tej wiadomości od Solskiego.

Zrobiła i jedno, i drugie.

„Wiem, że miałaś romans z mężem dyrektorki”.

Przeżuty przed chwilą cheeseburger podszedł jej do gardła. Aż się nim zakrztusiła. Rzuciła telefon na tacę i chwyciła za kubek z colą. Wypiła kilka wielkich łyków. Potem oddychała głęboko, co pewien czas uderzając się pięścią w okolicę mostka.

– Wszystko w porządku? – zapytał przechodzący obok chłopak. Całkiem przystojny. Chyba trochę od niej starszy. Gestem pokazała mu, że jest okej.

Podniosła aparat. Odpisała: „Nie wiem, o czym mówisz”.

Kilkanaście sekund później przyszła wiadomość od Solskiego: „Jeśli nie wiesz, to może opowiemy o wszystkim pani dyrektor?”.

Jej palce same wystukwały odpowiedź, zanim zdążyła o niej pomyśleć.

„Proszę, nie. I kim jesteś?”

PRZERWA

– Dlaczego zabiła pani swoją córkę?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Interesuje mnie to.

– Dlaczego? Dlaczego interesują cię takie rzeczy? Zbrodnie, morderstwa, śmierć?!

– Nie wiem.

– Nie wiesz? Poświęcasz temu tyle czasu i nie wiesz. Czemu czytałeś o mnie? Co czułeś, kiedy o mnie czytałeś?

– Strach.

– Strach? Boisz się mnie?

– Nie. Ale bałem się tego, co o pani pisali.

– Dlatego czytasz takie rzeczy? Żeby się bać?

– Nie.

– To po co?

– Bo to proste, jasne. Jest zabójca. Jest ofiara. Trzeba kogoś ukarać. Są zasady. Wszystko tutaj rozumiem.

– Aha...

– To dlaczego zabiła pani swoją córkę?

– Ja... Nie chciałam. To był wypadek.

– Biła ją pani pasem kilka godzin bez przerwy. Nie pozwoliła napić się wody. Nie opatrzyła ran. Kiedy w nocy skarżyła się na ból brzucha, znowu ją pani pobiła i kazała iść spać. Na pogotowie zawiozła ją pani dopiero rano. Wtedy już było za późno.

– Jestem zmęczona. Nie chcę o tym rozmawiać.

– Dlaczego zabiła pani swoją córkę?

– Bo myślałam... myślałam, że tak trzeba.

– Zabić dziecko?

– Bić je.

– A trzeba?

– Nie wiem. Mnie rodzice bili. Ojciec miał pas. Grubszy niż mój. Wojskowy. Gruby jak mój kciuk. W pokoju powiesili mi regulamin. Miałam go przestrzegać nawet wtedy, kiedy jeszcze nie umiałam czytać. Tak mnie wychowano. Myślałam, że każdego tak wychowano. Że tak właśnie wychowuje się dzieci. Że inaczej nie można.

– Ale pani tata pani nie zabił.

– Może był lepszym człowiekiem ode mnie. I nie zapomnij, że to mężczyzna. Poza tym była przy nim mama.

– Co to ma do rzeczy?

– Nie pamiętasz, prawda? Zresztą... Skąd miałbyś pamiętać. Jeszcze się wtedy nie urodziłeś.

– Czego nie pamiętam?

– Tej szarości. Nawet latem było tak, jakby była zima.

– Było zimno? Padał śnieg?

– Tak. Można tak powiedzieć. Było zimno i padał śnieg.

– I jak jesteś mężczyzną to... Chyba nie rozumiem.

– Ja też nie do końca. Chodzi mi o to, że wtedy było inaczej. Wtedy było ciężko, a ja byłam sama.

– Wielu ludzi jest samych.

– To też wiem.

– To dlaczego to pani zrobiła? Dlaczego zabiła pani własną córkę?

– Być może po prostu pewni ludzie nie powinni mieć dzieci.

– To prawda.

– A ja jestem jedną z takich osób. Tylko nikt mi o tym nie powiedział.

LEKCJA SZÓSTA

1

Bartek leżał bez ruchu w pustym mieszkaniu, zagrzebany niczym w kokonie w stosie sukienek Eli. Pachniały proszkiem do prania i płynem do płukania, ale wmawiał sobie, że to jej perfumy. Po raz kolejny pomyślał, że dom bez Eli jest przerażająco cichy. Zwykle wstawała wcześniej od niego. Budził go zapach kawy i bulgotanie wody w ekspresie. Dzisiaj towarzyszył mu tylko cichy szum lodówki i odgłosy kroków stawianych przez sąsiadów piętro wyżej.

Wygrzebał się z łóżka, zrzucając połowę sukienek na podłogę. Poszedł do łazienki i spojrzał na swoją twarz w lustrze. Na kolację wypił dwie puszkę piwa i zjadł paczkę chipsów. Ich okruchy znalazł w kącikach ust. Policzki i brodę pokrywał ostry zarost. Wyglądał obrzydliwie i zdawał sobie z tego sprawę. Zdjął koszulkę i rzucił ją na kosz z brudną bielizną. Przyglądał się swojemu ciału. Brzuch przypominał wielkością piłkę do koszykówki. Rosnące po bokach pasy czarnych włosów kojarzyły się z rozstępami, a od góry kładły się na nim dwa placki męskich cycków. Podbródek zwisał mu ze szczęki jak wielka tłusta fałda. Z trudem można było uwierzyć, że to wielkie cielsko utrzymywało się na chudych, zarośniętych i bladych nogach. Nigdy nie przypominał atlety, ale musiał przyznać, że nigdy też nie wyglądał tak źle.

Zaniedbał się, od kiedy Ela poroniła. W ogóle zaniedbał wiele rzeczy. Pamiętał, że spędzał każdą chwilę przy jej szpitalnym łóżku. Pocieszał ją, jak tylko mógł, trzymał za dłoń i snuł fantazje o tym, że zamorduje tego, kto ją potrafił. Typowe męskie bzdury, obrazki wyjęte prosto z komiksów o Punisherze, które czytał w dzieciństwie. Nie nadawał się na samotnego mściciela, jednak samo fantazjowanie o tym dawało mu siłę, by tkwić przy Eli. Sprawiało, że czuł się lepiej. Że potrafił po raz dziesiąty, setny, tysięczny powtórzyć tę samą kwestię: Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz, jeszcze będziemy mieli dziecko. Piękne, zdrowe dziecko.

Nie mieli. Ela nie potrafiła zająć w ciążę. A kiedy po latach, po kolejnym rozczarowaniu, po kolejnej wizycie u ginekologa, który zapewniał, że wszystko z nią okej, po kolejnym badaniu spermy Bartka, które pokazało, że jego

plemniki są zdrowe, żywotne i w wystarczającej liczbie, upiła się na smutno, zaczęła wyplakiwać mu się w koszulę i powtarzać, że to wszystko jej wina. Najpierw ją uspokajał. Potem tłumaczył, że nawet jeśli według policji wypadek nie zdarzył się z winy kierowcy, to wcale nie zrzuca to odpowiedzialności na nią. Było ciemno, mokro, facet pewnie i tak zagapił się w komórkę. A potem wyznała mu wszystko.

To dziwnie brzmi, melodramatycznie, babsko wręcz, ale tamtej nocy coś w nim umarło. Może z powodu kłamstwa. Może dlatego, że tak długo ukrywała przed nim prawdę. Bo myślał sobie, że gdyby od razu mu powiedziała, toby jej wybaczył. Bez problemu. Bo przecież każdy popełnia błędy w życiu. (Ale nie aż takie! Spodziewała się ich dziecka, jego dziecka! Nie powinna pić! Nie powinna tykać w ogóle alkoholu!) A może nie. Czekał na córeczkę. Naprawdę się cieszył, że zostanie ojcem. Że zacznie się w jego życiu coś nowego. Odebrała mu to.

Przemył twarz. Nałożył pastę na szczoteczkę i zaczął szorować zęby. Kiedy skończył, powąchał pachy. Śmierdział. Nawet on to czuł. I to, że żaden dezodorant tu nie pomoże. Pracował w jednym z centrów handlowych, gdzie zajmował się zaopatrzeniem. Niby robota nie wymagała od niego, żeby wyglądał przesadnie reprezentacyjnie, ale wszystko miało swoje granice.

Wszedł pod prysznic, odkręcił wodę i pozwolił, by ciepłe strugi spływały po ciele.

Odejście Eli dziwnie na niego podziałało. W pierwszej chwili kamień spadł mu z serca. To musiało się tak skończyć. Przeczynał to od dłuższego czasu. Bardziej żyli obok siebie niż razem. On ciągle miał jej za złe tamten wypadek, a ona chyba miała mu za złe, że ciągle ma do niej pretensje. Nawet romans, tak w końcu oczywisty, choć próbowała go ukrywać, nie wywołał w nim gniewu. Był zbyt zmęczony i zbyt obojętny, żeby się z nią skonfrontować. Zabolalo go to i równocześnie wcale nie obchodziło. Nie wiedział, że tak można.

Wytarł się i włożył czyste ciuchy. Po spojrzeniu na zegarek uznał, że nie ma czasu na śniadanie. Zresztą i tak nie chciało mu się jeść.

Wyszedł z bloku, wszedł do samochodu i wyruszył do pracy, jednak tam nie dotarł – mniej więcej w połowie drogi skręcił w inną stronę.

Spodziewał się, że Ela odejdzie. Uważał nawet, że to najlepsze dla nich obojga wyjście. Ale ona po prostu zniknęła z jego życia. Zabrała swoje ciuchy

i odeszła. Bez jednej rozmowy, nawet telefonicznej, bez listu, wiadomości, mejla albo chociaż esemesa.

Poprzedniego dnia zadzwonił do jej rodziców. Nie wiedzieli, gdzie jest córka. Zdziwili się, że o to pyta. Nie chciał ich niepokoić, byli dobrymi ludźmi. Jakoś wytłumaczył, że pojechała na wycieczkę klasową i wspominała, że po drodze zajędzie do nich na godzinę czy dwie. Nie wiedział, czy mu uwierzyli. Zadzwonił do szkoły. Przekazano mu, że złożyła wypowiedzenie.

Pewnie uznała, że potrzebuje czasu dla siebie. Przemyśli sprawę, uspokoi się, a potem przez wynajętego adwokata złoży papiery rozwodowe. Albo zrobi coś podobnego.

Pomyślał, że nie zasługuje na to. Po tylu wspólnych latach, po tym wszystkim, co się wydarzyło, po jej kłamstwach i po zdradzie zasługiwał przynajmniej na ostatnią szczerą rozmowę. Zasługiwał na to, by powiedziała mu: przepraszam.

A potem jeszcze pojawiła się ta nauczycielka. Żeby oddać książkę, której ze sobą nie przywiozła. Już wtedy wydała mu się dziwna, ale po namyśle stwierdził, że przysłała ją Ela. Pewnie chciała, by zabrała dla niej coś z mieszkania. W każdym razie to Ela nasłała tę kobietę na Bartka. I teraz Bartek postanowił ją odwiedzić, żeby dowiedzieć się, o co chodziło.

Mieszkała w ponurym peerelowskim bloku przy Armii Ludowej lub Lecha Kaczyńskiego. Te nazwy ciągle się zmieniały, już się pogubił. Dostał się do środka wraz z zaspanym kurierem i odnalazł jej mieszkanie. Zadzwonił dzwoniem kilka razy.

Kiedy mu otworzyła, zaskoczenie malujące się na twarzy kobiety było najśłodsza nagrodą. Nagle przyszło mu do głowy, że być może Ela właśnie u niej się zatrzymała i teraz siedzi w środku, pije kawę i czyta gazetę.

– Przyszedłem po książkę – powiedział.

– Aha... No tak, rzeczywiście.

– Mówiłem, że po nią przyjadę.

– Faktycznie. Pan da mi chwilkę.

Chciała mu zamknąć drzwi przed nosem, ale nie pozwolił na to.

– Poczekam w przedpokoju. Na klatce strasznie śmierdzi papierosami.

Wahała się przez moment, jednak wpuściła go do środka i zniknęła w jednym

z pokoi. Zajrzał najpierw do sypialni, potem do salonu. Przy stole siedział kilkunastoletni chłopak o niezdrowej cerze i niepokojącym spojrzeniu. Nauczycielka właśnie zdejmowała z regału książkę.

– Proszę.

Spojrzał na tytuł i autora. Stare wydanie. Pożółkłe. Musiało mieć co najmniej trzydzieści lat. James Baldwin, *Inny kraj*.

– Nigdy tego nie mieliśmy.

– Nie? – zapytała zmieszana. – Może to z biblioteki?

Wziął od niej książkę, a potem rzucił nią z całej siły, zanim kobieta zdążyła się zorientować, i niechcący trafił chłopaka. Dzieciak dostał kantem prosto w czoło i spadł z krzesła na ziemię.

– Gniewek! – zawołała nauczycielka, podbiegając do chłopaka, a gdy ten powoli się podniósł, ujęła jego twarz i zaczęła badać mu głowę.

– Nic mi nie jest – wymamrotał nastolatek.

– Właśnie. Nic mu nie jest! – rzucił wojowniczo Bartek.

Zaczął odzyskiwać rezon, bo w pierwszej chwili serce podeszło mu do gardła. Nie chciał w niego trafić. To po prostu się stało. Nagle zawładnęła nim wściekłość i musiał dać jej upust.

– Gdzie jest moja żona?! – ryknął. – Gdzie jest Ela?!

Nie czekał na odpowiedź. Do sprawdzenia miał jeszcze kuchnię i łazienkę. Zajrzał do obu pomieszczeń, ale w żadnym z nich nie znalazł żony. Wrócił do pokoju.

– Gdzie jest Ela?

Przerażona nauczycielka obejmowała chłopaka, który z kolei wydawał się obojętny. Jakby wcale go tutaj nie było.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Miałam tylko oddać jej książkę.

– Nie kłam! Chcę wiedzieć, gdzie jest Ela! Chcę wiedzieć, co się stało z moją żoną!

– Nie żyje.

Głos nastolatka zabrzmiał dokładnie tak, jak Bartek powinien się spodziewać. Zimno i nieprzyjemnie. Kojarzył się z nadchodzącym nieszczęściem.

– Co takiego?!

– Pańska żona, pani Ela, nie żyje. Została zamordowana.

Nie rozumiał. Naprawdę nie rozumiał. Wiedział, co znaczy każde z wypowiedzianych słów, jednak znaczenie tego ciągu wyrazów pozostawało tajemnicą. Nawet kiedy się na nim skupiał, wymykało mu się niczym śliski, wijący się węgorz.

– O czym on, do cholery, mówi?! – wrzasnął do kobiety, a ona dopiero wtedy się podniosła, odsunęła jedno krzesło od stołu i przesunęła w jego stronę. Spojrzała na niego w taki sposób, że aż zmroziło mu krew w żyłach.

– Wydaje mi się, że powinien pan usiąść – powiedziała.

2

Kiedy Sławek wszedł do mieszkania matki, uderzyły go dwie rzeczy: smród papierosów oraz przetrawionej wódki i obecność ojca. Mężczyzna trzymał mocno matkę i potrząsał nią jak szmacianą lalką. Głowa kobiety latała to w jedną, to w drugą stronę. Wydawało się, że zaraz odpadnie i potoczy się po podłodze prosto pod nogi Sławka.

– Zostaw ją! – zawołał.

Ojciec spojrział na niego. Sławek miał problem z odczytaniem wyrazu jego twarzy. Był zaskoczony pojawieniem się syna i zdenerwowany, ale równocześnie jakby właśnie tego się spodziewał. Jak człowiek, który pod koniec bardzo złego dnia dowiaduje się, że ktoś potrafił jego ukochanego psa.

– Krzywdy jej przecież nie robię – powiedział. – Chcę ją trochę otrzeźwić.

Sławek podbiegł do nich i objął mamę. Ojciec nie protestował. Oddał ją, wykonując przy tym gest, jakby właśnie wyrzucał nadgniłe jedzenie.

Chłopak zarzucił sobie ramię kobiety na szyję i pomógł przejść do kanapy. Rozejrzał się dookoła. Nawet jak na standardy matki w mieszkaniu panował ogromny bałagan. Pusta butelka leżała na podłodze, wokół niej dostrzegł mokrą plamę. Wszędzie wały się poduszki, puste opakowania po krewetkach w zalewie, matka zjadła ich chyba cztery porcje, i niedopałki papierosów. Najwyraźniej od pewnego momentu zaczęła je gasić gdzie popadnie.

– Co ty tu w ogóle robisz? – zapytał ojciec.

– Nie twój interes. Mogę matkę odwiedzać, nie?

– Nie pyskuj tak, młody, bo ci jeszcze bokiem wyjdzie.

Sławek posadził mamę na kanapie. Kobieta patrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem. Miała skórę mokrą od potu i mamrotała coś pod nosem. Jej prawy policzek był czerwony. Sławek zmarszczył brwi, kiedy to zauważył.

– To nie ja – powiedział ojciec, jakby czytał w jego myślach. – Wypierdoliła się, zanim tu przyszedłem.

Sławek w pierwszej chwili mu nie uwierzył, bo niby jak matka miałyby

upaść, by uderzyć się w taki sposób. Pewnie musiałyby wpaść na ścianę. Tyle że kiedyś już po pijaku sama złamała sobie rękę, kiedy schodziła po schodach do nocnego, i podbiła oko, gdy potknęła się w domu o własne nogi i walnęła o kant stołu.

– To co tu robisz? – dopytywał się ojciec.

Sławek wyprostował się.

– Mama do mnie zadzwoniła. Podobno coś się stało z Gniewkiem.

– Nic się nie stało. Idź do pracy.

– Gniewka nie ma! – krzyknęła niespodziewanie matka z kanapy. – Nie ma go!

– Jak to nie ma?

Zanim ojciec zdążył otworzyć usta, znowu się wydarła:

– Zgubił się! A on – machnęła kilka razy ręką w stronę ojca – nie chce go szukać!

– Szukam go! Nic, kurwa, innego nie robię, tylko go szukam! – odwrzasnęła.

– Nic nie robisz! Nie ma go! W dupie masz swojego syna! W dupie!

Ojciec cały poczerwieniał. Sławek pomyślał, że gdyby nie on, ojciec rzuciłby się na matkę i zaczął ją okładać jak za starych dobrych czasów.

– O co tutaj chodzi? Gdzie jest Gniewek?

Ojciec przymknął powieki, a w głowie Sławka pojawiło się nagle podejrzenie, że może i on jest pijany. W sumie nie byłoby w tym nic dziwnego. Pił przynajmniej tyle co matka, często więcej, ale zawsze jakoś lepiej to maskował. Ona dawała się porwać alkoholowi, on magazynował go w sobie cierpliwie i wypuszczał po troszku, kiedy przyszła mu na to ochota.

– Przedwczoraj któreś z was, nie wnikam już które, zapomniało go odebrać ze szkoły – odparł ojciec. – I Gniewka nie ma. Zgubił się, jak to ładnie ujęła twoja matka.

– Żartujesz?

Pokręcił przecząco głową.

– Chryste! Trzeba go szukać!

– A myślisz, że co robiłem przez ten cały czas?!

– Dlaczego nic mi nie powiedzieliście?! – zawołał Sławek. – Powiadomiliście

policję?

– Nie! – Matka poderwała się z kanapy. – Nie powiadomiliśmy! On zabronił! Zabronił mi dzwonić na policję!

Sławek niczego nie rozumiał. Spojrzał pytająco na ojca, a ten tylko wzruszył ramionami.

– Jest pijana. Nie słuchaj jej.

Jak on to robi, zastanawiał się chłopak, bo ten mężczyzna, mniejszy już od syna i grubszy, wyglądał tak, że w przypadku bójki prędzej by padł na zawał, niż zadał pierwszy cios, a jednak ciągle wzbudzał w nim strach. Sławek podszedł do matki. Pogłaskał ją po głowie, a ona przytuliła się do jego dłoni.

– Musimy znaleźć Gniewka. Musimy znaleźć Gniewka. Mojego synka. Mojego małego, biednego synka musimy znaleźć – mamrotała, przy okazji obśliniając mu palce. – Musimy... Musimy... Musimy...

Ojciec poszedł do sypialni, chwilę tam pogrzebał, a potem wrócił do nich ze szklanką soku i dwiema białymi pigułkami. Obie te rzeczy podsunął matce.

– Bierz – powiedział.

Kobieta z trudem podniosła głowę. Spojrzała na niego podejrzliwie, jednak wzięła tabletki i popiła sokiem pomarańczowym.

– Co to jest? – zapytał Sławek.

Matka ciągle tuliła się do dłoni syna, ale po kilkunastu sekundach jej ciało zwiotczało. Puściła go i osunęła się na kanapę.

– Proszki na uspokojenie – mruknął ojciec.

– Oszalałeś?! Jest nawalona jak stodoła.

– Jak zwykle.

– Może umrzeć! Nie wolno mieszać tabletek uspokajających z alkoholem!

– Dlatego teraz przy niej zostaniesz i przypilnujesz, żeby nie udusiła się własnymi rzygami – powiedział ojciec tonem takim, jakby chodziło o najzwyczajniejszą rzecz pod słońcem, wyrzucenie śmieci czy zawieszenie samochodu do myjni.

– Pojechało cię zupełnie – odparł Sławek.

Ojciec wygiął się w tył i wydał z siebie przeciągłe, pełne irytacji syknięcie. Kiedy wyprostował się z powrotem, śmiał się. Tylko w taki sposób, w jaki robi

to kot polujący na wróbla.

– Daruję ci, bo jesteś zdenerwowany – powiedział. – Ale to ostatni raz. Uważaj na słowa. A matka już raz dzisiaj rano wpadła w histerię. Nie potrzebujemy powtórki. Niech odpocznie, zanim zrobi coś głupiego.

– Przede wszystkim trzeba to zgłosić na policję.

– Policja nie jest tutaj potrzebna.

– On jest niepełnoletni i nie ma go już prawie dwa dni, tak? Szlag, sam to zrobię.

Sięgnął do kieszeni po komórkę. Odblokował ekran i już miał wybrać numer alarmowy, kiedy znalazł się przy nim ojciec i wytrącił mu telefon z dłoni. Sławek próbował go złapać, jednak w ostatniej chwili wymusknął mu się spomiędzy palców. Aparat zatańczył w powietrzu i upadł na podłogę.

– Słuchaj, co mówię – warknął ojciec. – Policja nie jest tutaj potrzebna. Znajdę Gniewka. A jeśli po kogoś zadzwonisz, jeśli komuś o tym powiesz, to tylko zaszkodzisz bratu. Rozumiesz?

– O czym ty mówisz? Co się właściwie stało?

– Im mniej wiesz, Sławek, tym lepiej dla ciebie. Jasne?

Chłopak po chwili namysłu kiwnął głową. Ojciec był śmiertelnie poważny. Tak bardzo, jak chyba nigdy w życiu. Sławek schylił się i podniósł aparat.

– Szybka pękła – mruknął.

– Wstawisz sobie nową. A teraz pomóż mi z matką, przeniesiemy ją do sypialni.

Chwycili ją pod pachy, syn z jednej, ojciec z drugiej strony, i na pół niosąc, na pół ciągnąc, przetransportowali bezwładną kobietę do sypialni. Rzucili ją tam na łóżko. Potem Sławek podłożył jej poduszkę pod głowę i ułożył w pozycji bocznej. Ojciec tymczasem wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł spocone czoło.

– Przyszedł wczoraj ten człowiek – odezwał się chłopak.

– Jaki człowiek?

– Ten, któremu miałem dać kopertę.

– Dobrze, dobrze – sapnął ojciec.

– Nie wziął jej.

Ojciec zamarł z chusteczką pod brodą.

- Jak to jej nie wziął?
- Nie chciał.
- Dlaczego nie chciał?
- Kazał przekazać, że interes się wam sypie.

Sławek specjalnie powiedział to obojętnym, spokojnym tonem. Na świeżo wytartym czole ojca pojawiły się nowe krople potu. Zmiał chusteczkę w dłoni i zaczął ją ścisnąć niczym gumową piłeczkę.

- Powiedział coś więcej?
- Nie. Tylko tyle.
- Kiedy do ciebie przyszedł?
- Wczoraj.
- Wczoraj! I dopiero teraz mi o tym mówisz?!
- Myślałem, że nie chcesz rozmawiać o takich rzeczach przez telefon.
- Co ci mówiłem o pyskowaniu?

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. – Zrobił niewinną minę, jakby naprawdę nie rozumiał, dlaczego ojciec z sekundy na sekundę coraz bardziej się denerwuje. Sławek całkiem dobrze się przy tym bawił. Musiał tylko uważać, by nie przesadzić. Ojciec jednak nie miał chęci ciągnąć tego dalej.

– Zawsze myślałem, że to ty jesteś tym mądrzejszym z moich synów – powiedział, machając ręką. – Chyba jednak jesteś równie głupi jak twój brat.

- Nie mów tak o nim.

Ojciec zaśmiał się krótko.

– W jakim ty rycerskim nastroju dzisiaj jesteś, synek. Słuchaj, kocham Gniewka tak samo jak ty, ale to debil jest. I tyle.

- Skoro go kochasz, to może zaczniesz go wreszcie szukać?

Ojciec nie odpowiedział. Pokazał palcem na matkę i wyszedł z mieszkania.

Sławek został sam. Usiadł na łóżku obok śpiącej kobiety, odetchnął kilka razy i pomasował się po karku. Ojciec ciągle potrafił dać mu w kość. Sprawić, że czuł się jak mały, złębiony chłopiec, który chowa się w szafie, kiedy rodzice się kłócą. I nawet gdy Sławek pyskował, to nie rozmawiał z nim jak równy z równym, tylko zmieniał się w wagarującego, kradnącego rodzicom pieniądze nastolatka. Głupiego i nieogarniętego. Miał wrażenie, że przy ojcu nigdy nie

będzie dorosły. Że on zawsze sprowadzi go do poziomu dziecka.

Potem przypomniał sobie, że Gniewko zniknął. Nie było go prawie od dwóch dni. Sławek pomyślał, że być może, w jakiś sposób, to jest jego wina.

I właśnie wtedy zadzwonił telefon.

3

Klementyna pomyślała, że ludzka mimika jest zaskakująco uboga. Repertuar min i grymasów jest ograniczony i powtarzalny. Ten sam wyraz twarzy przyjmujemy w sytuacji nieprzyjemnej, ale trywialnej, w gruncie rzeczy nieistotnej, oraz w chwili absolutnie granicznej. Takiej jak ta. Bartek stał przed nimi, lekko się trzęsąc. Miał szeroko otwarte oczy, usta rozchylone, na czole szklily się kropelki potu. Brzuch falował w rytm przyspieszonego oddechu.

Właśnie dowiedział się, że jego żona została zamordowana, a Klementyna nie mogła przestać myśleć o tym, że tak wyglądają uczniowie przepytывani pod tablicą z równań z dwiema niewiadomymi. Nie wszyscy, tylko ci zagrożeni oceną niedostateczną na koniec semestru czy roku. Nawet jeśli wcześniej ich uprzedzała, że będzie pytać, stawali przed nią przerażeni i spoceni. Oczy szeroko otwarte, szkliste, usta rozchylone. Niemo błagali o pomoc.

Zachowywali się zupełnie jak jej córka, kiedy Klementyna pytała ją z pasem mocno trzymanym w dłoni, co tym razem źle zrobiła.

Nigdy nie potrafiła dobrze odpowiedzieć.

To wspomnienie było tak mocne, tak nieoczekiwane, że załkała. Gniewomir spojrzał na nią zaniepokojony. Dała mu gestem znać, że wszystko jest w porządku. Nabrała powietrza i zamarzyła nagle o papierosie.

– Jak to nie żyje?! – wykrzyknął Bartek. – I wy oboje widzieliście jej ciało?

Czerwony na twarzy celował w nich wyciągniętym palcem, skakał nim od niej do Gniewomira i z powrotem.

W Klementynę uderzyło kolejne niechciane wspomnienie. Przypomniała sobie Anetę. Siedziała za zamordowanie własnej matki. Zbrodnia równie w kobiecym więzieniu nieakceptowalna jak zabicie córki, więc umieszczono je w jednej celi dla ich własnego bezpieczeństwa. Aneta nie zgadzała się z zasądzonym wyrokiem, dlatego wybrała Klementynę jako ostateczną instancję. Dzień w dzień opowiadała o tym, jak traktowała ją matka. Jak wyzywała ją od najgorszych za najdrobniejsze nawet przewinienie. Jak lała ją, dorosłą przecież kobietę, przy każdej okazji. Jak zawsze przełączała program

w telewizorze, kiedy akurat leciał film, który Aneta chciała zobaczyć, i jak potem tłumaczyła, że skoro mieszkają u niej, będą oglądać to, co ona chce. Ona, a nie Aneta. Jak skąpiła jej pieniędzy nawet na podpaski. Jak zabierała wszystko, co udawało się Anecie zarobić. Jak wyzywała ją od dziwek, kiedy tylko Aneta porozmawiała z sąsiadem. Jak nazywała ją pijaczką, a sama piła niemal codziennie. I Aneta po prostu nie miała wyjścia, musiała wziąć ten tłuczek do mięsa i rozbić wrednej staruszce ten siwy łeb. Klementyna przypomniała sobie jednak Anetę nie ze względu na to, co tamta mówiła, tylko na to, jak się wtedy zachowywała. Stała nieruchomo, wypluwała kompulsywnie kolejne słowa, czerwona na twarzy przeżywała wszystko po raz kolejny w swojej głowie i Klementyna naprawdę bała się, że Aneta pewnego dnia pomyli ją z matką i rzuci się na nią z pierwszą rzeczą, która wpadnie jej w ręce.

Bartek miał teraz taki sam wyraz twarzy jak Aneta. Jakby właśnie walczył o to, żeby zapanować nad buzującym w nim szaleństwem.

– Tak. Widziałem panią Elę – potwierdził chłopak. – Pani Klementyna też.

Powiedział to głosem obojętnym, spokojnym, rzeczowym. Po prostu relacjonował fakty. Tyle wystarczyło, by Bartek stracił nad sobą panowanie. Ruszył z pięściami na chłopaka. Klementyna skoczyła pomiędzy nich.

– On już taki jest! – zawołała. – On już taki jest!

Mężczyzna przystanął. Zerknął nad ramieniem Klementyny na zdezorientowanego Gniewka. Chłopak nie wiedział, co przed chwilą się wydarzyło. Bartek cofnął się o krok i odwrócił do nich plecami. Machnął zaciśniętą pięścią, jakby wymierzał komuś cios.

– Widzieliście ją? – powtórzył swoje pytanie zachrypniętym głosem.

– Tak. Widzieliśmy ją – odpowiedziała powoli Klementyna.

Gniewomir chciał coś dodać, ale dała mu znać, żeby siedział cicho. Na szczęście posłuchał. Nie jest głupi, pomyślała wtedy, po prostu pewnych rzeczy nie rozumie.

– Dlaczego nie zawiadomiliście policji?

Bartek przeszedł dookoła stołu i teraz Klementyna znowu stała z nim twarzą w twarz.

– Rodzice mi zabronili – odparł nastolatek.

– Spanikowałam – rzuciła nauczycielka.

– Spanikowała pani? – zdziwił się Bartek. Przyłożył sobie pięści do skroni i przycisnął tak mocno, jakby na serio chciał zmiażdżyć czaszkę. – Wtedy, kiedy ją znaleźliście, to rozumiem, ale godzinę później? Dzień później? Wtedy, kiedy przyszła pani do mnie, opowiadając bzdury o pożyczonej książce?! Wtedy też była pani spanikowana?!

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Żadne kłamstwo nie przychodziło jej do głowy. W ogóle nigdy nie potrafiła kłamać. Pewnie dlatego, że ilekroć ojciec złapał ją na powiedzeniu nieprawdy, zawsze sięgał po pas i zaganiał do pokoju. Nawet kiedy miała już kilkanaście lat. Rzucił na łóżko, ściągał jej majtki i lał po gołych pośladkach, aż stawały się całkiem czerwone. Potem odchodził, sapiąc, zadowolony z dobrze wykonanej rodzicielskiej powinności. Wkrótce ciało Klementyny samo protestowało, kiedy tylko choćby pomyślała, by skłamać. Ale co miała teraz odpowiedzieć? Po prostu bała się, że gdy zawiadomią policję, zaczną grzebać w jej przeszłości i wszyscy dowiedzą się, co zrobiła. Straci tę pracę. Dobrą pracę, dzięki której utrzymywała się na powierzchni.

– Nie znaleźliśmy jej razem – odezwał się Gniewomir. – Najpierw zobaczyła ją pani Klementyna. Dopiero potem ja.

Bartek się skrzywił. Tym razem przypominał ucznia słuchającego po raz pierwszy o twierdzeniu Talesa. Najpierw czyste niezrozumienie, potem błysk w oku, kiedy coś wreszcie zaczyna mu świtać, a na końcu rozczarowanie, gdy dociera do niego, że podążał jednak złą ścieżką.

– Jesteście... Jesteście... – powtarzał, szukając w głowie odpowiedniego słowa. – Jesteście nienormalni!

Klementyna poczuła coś na kształt ulgi i jednocześnie rozczarowania. Ulgi, bo natychmiast po wykrzyczeniu tych słów mężczyzna oklapł. Uleciała z niego cała energia, choć jeszcze minutę wcześniej niemal go rozsadzała, co groziło katastrofą. Rozczarowania – bo szykowała się na coś innego. Na festiwal obelg, serię przepełnionych agresją przekleństw. Słowa „jesteście nienormalni” zabrzmiały jak suche stwierdzenie faktu. Prosta diagnoza. I kiedy to do niej dotarło, naprawdę zabolęło.

Mężczyzna odsunął krzesło od stołu i usiadł. Oparł się łokciami o blat. Dyszał ciężko.

– Jak to wszystko jest możliwe? – zapytał. – Kto był u mnie w domu? Kto

zabrał jej rzeczy? Jeśli Ela naprawdę nie żyje, to gdzie jest ciało?!

– Nie wiemy – odpowiedziała po chwili Klementyna.

– Nie wierzę wam! Nie wierzę wam, że ją widzieliście!

Nie musieli odpowiadać, on sam czuł, że coś jest nie tak, że wydarzyło się coś strasznego. Bronił się jeszcze przed zaakceptowaniem tego, ale z każdą minutą, z każdą sekundą opór Bartka słabł.

– To szaleństwo – wyszeptał.

Tak, w tym punkcie Klementyna mogła się z nim zgodzić.

– Czy jesteście pewni? Czy jesteście pewni, że naprawdę nie żyje? – zapytał, a ona w jego głosie usłyszała niewypowiedzianą prośbę, by zaprzeczyli. By wreszcie wyznali, że to wszystko jest tylko kiepskim żartem. Że jedynie zakpili z niego w okrutny sposób, a Ela jest tak naprawdę cała i zdrowa. Właściwie mogą do niej zadzwonić w każdej chwili i usłyszą jej śmiech.

– Nie żyje – odezwał się Gniewomir. – Nikt, kto straciłby tyle krwi, nie mógłby przeżyć.

Bartek nieoczekiwanie się zaśmiał. Krótko, bo zaraz zamilkł, a potem znów zaczął chichotać. Podniósł ciężką głowę. Klementyna pomyślała, że mężczyzna z całych sił próbuje płakać, ale z jakiegoś powodu nie jest w stanie się do tego zmusić.

– Skąd go pani wzięła? – zapytał, wskazując na chłopaka.

– Sam przyszedł – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Bartek wyjął chusteczkę z kieszeni i otarł twarz, mamrocząc coś przy tym.

– Nie wiem, co tu się właściwie dzieje – wyznał wreszcie. – Nie wiem, czy powinienem wam wierzyć, czy wręcz przeciwnie. Nic nie wiem. Mojej żony nie ma. W szkole mówią, że się zwolniła. Wy mówicie, że nie żyje. O co właściwie chodzi? Co się stało?

– My też nie wiemy – przyznała Klementyna.

– Ale chcemy się dowiedzieć – dodał Gniewomir.

– Wy? Niby jak?

– Najpierw trzeba sprawdzić wszystkich podejrzanych.

– Jakich podejrzanych?

– Jej kochanka – wyjaśnił chłopak. – Sam pan powiedział pani Klementynie,

że pani Ela miała romans...

Chciała skoczyć do Gniewka i zatkać mu usta, jednak nieoczekiwanie Bartek chwycił ją za przedramię.

– Niech da mu pani dokończyć – rozkazał. Jego palce zaciskały się tak mocno, że aż syknęła cicho z bólu.

– Wydaje mi się, że to może być mąż dyrektorki – ciągnął niezrażony Gniewomir. Jak zawsze, kiedy mówił o zbrodniach, zaczynał się ekscytować. W jego głosie pojawiał się niestosowny entuzjazm. – On jeździ mercedesem. Tak jak mężczyzna, którego zobaczył pan z okna. A najwięcej romansów zawiązuje się w pracy. Mieli liczne okazje, żeby się spotykać. To byłoby logiczne. Kolejna podejrzana to sama dyrektorka. Dowiedziała się o romansie. Postanowiła się zemścić. Wreszcie pan.

– Ja?

– Z tego samego powodu co dyrektorka – odparł chłopak. – Zazdrość. Zdradziła pana żona. Wpadł pan we wściekłość. Tylko nie wiem, czemu miałyby pan ją zabijać w szkole. To nie pasuje. Prędzej by pan to zrobił w domu i...

– A ty? – przerwał mu mężczyzna.

– Ja?

– Ty, ty! Wiem, kim jesteś. Widziałem twoje rysunki. To zboczone świństwa. I co?! Może to ty jednak ją zabiłeś, co?!

Gniewomir zaprzeczył, kręcąc głową. Jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki, a on sam nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Fakt, że Bartek dołączył go do grona podejrzanych, nie mieścił mu się w głowie.

– To nie był ani pan, ani Gniewomir – powiedziała Klementyna, chociaż nie była pewna prawdziwości żadnego z tych stwierdzeń. – Dajcie już spokój.

– To kto?

– Może ten, kto dalej korzysta z jej Facebooka?

Bartek zamrugał kilka razy.

– Co takiego? – zapytał powoli.

Chłopak opowiedział raz jeszcze o koncie Eli, o tym, jak odkrył, że ktoś się na nie loguje, i o tym, jak napisali do tej osoby.

– Co odpisała? – zapytał Bartek.

– Że nie wie, o co chodzi. A potem zagroziliśmy, że opowiemy dyrektorce o romansie pani Eli z mężem dyrektorki. I wtedy ten ktoś się przestraszył. Poprosił, żebyśmy tego nie robili.

– I co dalej?

Gniewomir z Klementyną spojrzeli po sobie.

– Dalej to właściwie nic – wyznała nauczycielka. – Nie wiedzieliśmy, co jeszcze napisać.

Bartek zmarszczył brwi. Myślał intensywnie, po raz kolejny wciskając pięści w skronie.

– Napiszcie, że chcemy się spotkać – odezwał się nagle.

– Słucham?

– Napiszcie, że chcemy się spotkać – powtórzył. – Nie wiem, czy moja żona faktycznie nie żyje ani co tu się dzieje. Ale ten, kto korzysta z jej konta, może mi to wyjaśnić. A skoro tak, chcę się z nim spotkać.

Klementyna odwróciła się do Gniewomira. Chłopak powoli wstał od stołu.

– Pójdę tylko po komputer – powiedział.

Kiedy została sam na sam z Bartkiem, nawet na nią nie spojrział. Siedział sztywno na krześle jak manekin, woskowa figura. Coś się w nim skończyło. Coś w nim umarło.

Klementyna wróciła myślami do Anety. Więźniarka też tak wyglądała pewnego dnia. Wstała rano, zasłała łóżko. Spokojna, zrównowazona, ani słowem nie wspomniała o swojej matce, przeżytych upokorzeniach ani o tłuczku do mięsa. A potem przy pierwszej okazji rzuciła się na koleżankę z innej celi. Klementyna nigdy nie dowiedziała się, co między nimi zaszło, o co się pokłóciły. Widziała tylko, jak Aneta chwyciła tamtą za włosy i z całych sił uderzyła jej głową o ścianę. I powtarzała to tak długo, aż wreszcie odciągnęli ją strażnicy.

Nigdy więcej nie zobaczyła Anety.

Zerknęła na Bartka. Podjął już decyzję. Jakakolwiek by ona była, cokolwiek miałyby się wydarzyć.

Klementyna pomyślała, że to nie może się skończyć dobrze.

4

Kiedy Karolina weszła do środka, Sławek pomyślał, że najbardziej wstydzi się nie porzrzuconych wszędzie butelek, niedopałków papierosów i ogólnego bałaganu, tylko smrodu. Tej mieszaniny woni wypalonego tytoniu, przetrawionego alkoholu, wiecznego brudu, a także – chłopak był tego pewien – wymiocin, które musiały się skrywać gdzieś w kącie albo w doniczce dawno niepodlewanej kwiata. Pożałował nagle, że jego mama pije, zamiast na przykład ćpać. To byłoby bardziej higieniczne.

– To mieszkanie mojej mamy – powiedział. – Nie moje.

Dziewczyna kiwnęła głową, ale chyba nie zrozumiała, co chciał jej przekazać. Sprawiała wrażenie skrępowanej, zawstydzonej. Niepewnie stawiała każdy krok, jakby ciągle zastanawiała się, czy dobrze robi i czy nie lepiej po prostu uciec.

Sławek poprowadził ją do salonu. Znalazł w miarę czyste miejsce na kanapie. Zebrał leżące nieopodal śmieci.

– Poczekaj na mnie chwilę – poprosił.

Wyrzucił odpadki, a potem poszedł do sypialni. Sprawdził, czy z mamą jest wszystko okej. Kobieta chrapała głośno, niemal jak facet. Ciągle leżała w pozycji bocznej bezpiecznej, jedynie ręka lekko jej się obsunęła. Sławek ułożył ją z powrotem na łóżku i pogłaskał po czole. Wydało mu się lekko cieplejsze, niż powinno być.

Kiedy się odwrócił, Karolina stała w drzwiach. Wzdrygnęła się, gdy na nią spojrział, i zaraz się zarumieniła.

– Przepraszam – wyjąkała. – Szukałam łazienki.

– Zaprowadzę cię.

Pokazał jej, gdzie jest toaleta, a sam wrócił do salonu. Karolina przyszła do niego po chwili i usiadła z powrotem na kanapie. Milczeli wspólnie przez kilka minut, aż wreszcie jako pierwsza przerwała ciszę.

– To twoja mama? – zapytała.

- Tak.
- Jest chora?
- Można tak powiedzieć.
- Przykro mi.
- Mnie też.

Dziewczyna spuściła wzrok. Siedziała teraz niczym uczennica jakiejś angielskiej prywatnej szkoły. Kolana razem, prosta postawa, cała spięta i przestraszona. Zrobiło mu się jej żal.

- Powiedziałaś, że masz kłopoty – odezwał się.
- Drgnęła. Przez chwilę wyglądała na zaskoczoną.
- Przez telefon – sprecyzował – powiedziałaś, że masz kłopoty.
- Tak.
- O co chodzi?

Kolejne sekundy spędzone w ciszy. Myślała intensywnie. Wreszcie potrząsnęła przecząco głową i poderwała się z kanapy.

- Przepraszam, jesteś zajęty. Pójdę już...

Stanął tuż przed nią, blokując Karolinie możliwość ruchu, ale zrobił to miękko, łagodnie, tak by miała świadomość, że jeśli wykona choćby najmniejszy ruch, on się cofnie. Pozwoli odejść. To nie był gest agresji, tylko propozycja pomocy. I Karolina ją przyjęła. Sławek położył delikatnie dłoń na jej ramieniu i posadził z powrotem.

- Zaraz wrócę.

Poszedł do kuchni i znalazł butelkę wódki. Wystarczyło otworzyć pierwszą z brzegu szafkę. Nalał trochę alkoholu do szklanki, tak na grubość palca. Więcej czasu zajęło mu znalezienie soku. Wreszcie odnalazł koło zlewu na wpół opróżniony karton. Dolał soku jabłkowego i wrócił do dziewczyny. Podał jej szklankę.

- Wypij.
- Co to jest? – zapytała.
- Na uspokojenie.

Po raz kolejny mu zaufała. Upiła łyk i wzdrygnęła się. Pomyślał, że pewnie rzadko do tej pory piła alkohol, bo zrobił jej dość słabego drinka. Jego matka

pewnie nawet by się nie zorientowała, że jest w nim wódka.

– Co się stało? – powtórzył pytanie.

Karolina upiła jeszcze jeden łyk ze szklanki. Spuściła wzrok.

– Masz swoje kłopoty – powiedziała.

– Tak – przyznał – ale przyzwyczailem się już do nich. Chętnie zapoznam się z jakimiś nowymi.

Roześmiała się, a potem szybko otarła oczy. Zauważył dwie rzeczy. Po pierwsze, zaczęła płakać. Próbowła nad tym panować, co nie do końca się udało, bo łzy właśnie wydostawały się spod powiek. Po drugie, umalowała się. Ostrożnie, oszczędnie, ale zrobiła to. Najwyraźniej specjalnie dla niego. Rozczuliło go to.

– Mój tato zdradza mamę – wyznała wreszcie.

– Jesteś pewna? – zapytał.

Przytaknęła.

– To przykre – przyznał. – Chyba...

– Chyba?

Podrapał się po karku.

– Dla mnie to coś nowego.

– Twój tato nigdy czegoś takiego nie zrobił?

Prychnął.

– Wręcz przeciwnie – powiedział. – Pierdolił wszystko, co mu wpadło pod fiuta. Rzecz w tym, że matka nie zwracała na to nigdy uwagi. Albo przynajmniej udawała, że nie zwraca. W każdym razie kłócili się o mnóstwo rzeczy, ale nigdy o to.

– Naprawdę?

Zastanowił się chwilę.

– Nie do końca. Temat wypływał, jednak raczej nie jako przyczyna kłótni.

– Aha.

– Nie mówię, że nie masz się tym przejmować. Wiem, że to poważna sprawa. Mówię tylko, jak to wyglądało u mnie.

– Rozumiem.

Dopiła do końca drinka i chwilę bawiła się szklanką.

– Mogę jeszcze? – zapytała.

Pokręcił przecząco głową.

– Jeden ci wystarczy.

– Potrafię wypić więcej – rzuciła buńczucznie.

– Wierzę – odparł. – Wódka i sok, a przynajmniej jego resztki, są w kuchni. Jeśli chcesz, to sobie zrób. Ale ode mnie już nie dostaniesz.

Zerknęła w stronę kuchni. Propozycja ją kusiła. Zastanawiał się, jak dziewczyna postąpi – będzie zgrywać dorosłą, żeby mu zaimponować, czy raczej spróbuje zrobić na nim dobre wrażenie?

Karolina powoli odstawiła szklankę na stół.

– Ojciec zdradza mamę z nauczycielką ze szkoły – powiedziała cicho.

– Wiesz którą?

– Panią Elą.

Zmarszczył brwi.

– To ta od polskiego? Uczy was?

– Tak.

– Rozumiem.

– Przestała u nas pracować.

– Jak to?

Wzruszyła ramionami.

– Mama powiedziała, że się zwolniła.

Potrzebował chwili, by sobie przemyśleć wszystko, co usłyszał.

– Dowiedziała się o niej i twoim tacie i ją zwolniła?

Dziewczyna pobladła i Sławek zrozumiał, że ta myśl po raz pierwszy pojawiła się w jej głowie. Delikatnie ścisnął ją za dłoń, żeby dodać otuchy. Dziewczyna zeszywniała. Na jej przedramieniu dostrzegł gęsią skórę.

– Nie wiem. Może.

– Słuchaj... A może nie? Może nic nie wie? Może ta pani Ela naprawdę sama się zwolniła?

Dziewczyna sięgnęła do swojego plecaka i zaczęła w nim czegoś szukać,

z chwili na chwilę coraz bardziej zirytowana, a potem przestraszona. Jej ruchy stały się gwałtowne i przez moment wydawało się, że w końcu wyrzuci zawartość plecaka na podłogę. Nagle odetchnęła z widoczną ulgą. Położyła przed Sławkiem komórkę.

– To pani Eli – powiedziała.

– To jest telefon twojej nauczycielki? – zapytał, żeby się upewnić.

– Tak.

– Skąd go masz?

– Zostawiła w gabinecie mojej mamy.

– Okej. Dlaczego nie oddałaś?

– Bo zaczęłam w nim grzebać – wyznała. – Myślałam, że tam są... myślałam... Nie wiem, co myślałam.

Wycofała się. Skrzyżowała ręce na piersiach. Włosy zasłaniały teraz Karolinie pół twarzy. Telefon leżał między nimi. Sławek mógł swobodnie po niego sięgnąć.

– To było głupie – wymamrotała.

– Chyba tak – przyznał jej rację. – Ale to jeszcze nie tragedia. Po prostu zadzwoń do niej do domu, napisz mejla albo... Nie wiem, weź adres ze szkoły. Możesz odesłać komórkę kurierem i po sprawie.

– To nie o to chodzi.

– A o co?

Nie odpowiedziała. Siedziała dalej w tej samej pozycji, coraz bardziej zamykając się w sobie. Sławek wziął szklankę ze stołu i poszedł przyrządzić kolejnego drinka. Tym razem mocniejszego. Uznał, że dziewczyna ma do tego prawo. Poza tym miała już piętnaście lat. On sam w tym wieku pił wódkę, tanie wina, piwa, palił papierosy, marihuanę i wciągał amfę. Trochę wódki Karolinie nie zaszkodzi.

Przyjęła szklankę z wdzięcznością i od razu wypła prawie połowę.

– To powiesz mi, co się właściwie stało?

Wypiła kolejny łyk i kiwnęła głową.

– Na tym telefonie są wiadomości, jakie wysyłała do taty. I on do niej. Także zdjęcia.

– Świńskie?

Potwierdziła.

– Znalazłaś je? – domyślił się.

– Tak.

– I co dalej?

– Poszłam porozmawiać z panią Elą – wyszeptała.

– Co takiego?!

– Poszłam z nią porozmawiać – powtórzyła trochę głośniej. – Ona miała wtedy dyżur w szkole. Była sama w klasie. Poszłam do niej i powiedziałam, żeby przestała. Że nie może spotykać się z moim tatusiem. Że nie może robić z nim tych wszystkich rzeczy. Że ma dać nam spokój! A ona... ona... się zwolniła następnego dnia.

Sławek słuchał tego z rosnącym niedowierzaniem. Patrzył to na dziewczynę, to na telefon.

– Okej – powiedział powoli. – To chyba wszystko dobrze się skończyło, prawda?

Potrząsnęła głową. Rzuciła się do przodu, chwyciła za telefon i odblokowała szybkim ruchem. Weszła w jakąś aplikację, a potem podsunęła pod nos Sławkowi.

– Nie wiem, kim jest ten facet! – wykrzyknęła. – Ale on wie o pani Eli i moim tacie. I grozi, że opowie o wszystkim mamie, jeśli się z nim nie spotkam! A moja mama... ona się załamie... Rozumiesz?! Moja mama tego nie przeżyje. Ona tego nie przeżyje! Umrze od tego!

Nie zdołała już nad sobą zapanować. Zaczęła płakać. Łzy ciekły jej po policzkach, znacząc swój ślad ciemnym tuszem do rzęs. Sławek pomyślał wtedy, że piętnastolatki mogą próbować z całych sił udawać dorosłe. Mogą się malować, wyzywająco ubierać, jednak kiedy płaczą, widać, że są tylko dziećmi.

– Spotkajmy się z nim – powiedział. – Ty i ja. Spotkajmy się z nim i wszystko mu wytłumaczmy.

Otarła szybko łzy z twarzy i spojrzała na niego najpierw z niedowierzaniem, a potem z wdzięcznością, kiedy przekonała się, że jest śmiertelnie poważny. Kiwnęła głową na znak zgody.

5

Klementyna przysłała do szkoły już zmęczona i do tego straszliwie bolały ją ramiona. Jej ciało zawsze tak reagowało na stres, choć najgorzej czuła się w więzieniu. Kiedy trafiła do zakładu, przesypiała każdą wolną chwilę. Skończyło się to, gdy pewnego dnia podeszła do niej inna więźniarka, młoda kobieta, ledwo po dwudziestce, ale o twarzy zniszczonej przez narkotyki i alkohol, nosie jak kartofel i cienkich, brzydkich włosach.

– Nie śpij – powiedziała. – Bo cię zabiją.

Wtedy Klementyna domyśliła się, że inne kobiety wiedzą, za co siedzi. Do tej pory udawało jej się to ukrywać. Uchodziła za dziwaczkę, milczka, jednak zostawiały ją w spokoju. Teraz to się miało zmienić. Nigdy nie odkryła, dlaczego dziewczyna postanowiła ją ostrzec, ale od tamtego momentu była czujna. Nie spała w dzień. Nawet w nocy starała się nie zmrużyć oka. Każdy szelest, każdy gwałtowny ruch sprawiał, że momentalnie sztywniała jak sarna złapana w światła przejeżdżającego samochodu, gotowa rzucić się do ucieczki.

Na niewiele się to zdało. Przez pierwsze cztery miesiące pobito ją poważnie trzy razy. Ukradkowych szturchańców, ciosów w brzuch, różnego rodzaju szykan nawet nie liczyła. Za trzecim razem skończyła ze złamaną ręką i szczęką. I tak jej się upiekło. Jedna z więźniarek próbowała ją wtedy zgwałcić kijem od szczotki. Nie zdążyła.

Po latach Klementyna dowiedziała się, że wydał ją jeden ze strażników. Uznał, że więzienna sprawiedliwość jest w tym przypadku lepsza od państwowej. Trafiła do ambulatorium, potem do izolatki, a wreszcie przeniesiono ją do innego zakładu. Tam dostała od dyrektora propozycję nie do odrzucenia: albo będzie donosić na współwięźniarki, albo historia się powtórzy. Oczywiście się zgodziła, choć ból i wieczne zmęczenie towarzyszyły jej do końca wyroku. A teraz wróciły.

Przysłała jednak do szkoły nie tylko ze względu na pracę. Miała misję do wykonania. Kiedy Bartek się uspokoił, wspólnie napisali wiadomość do osoby, która włamała się na konto Eli, a potem czekali na odpowiedź. Mężczyzna

ciągle się wiercił. Rozpierała go energia. Mruczał coś pod nosem, stukał palcami w blat stołu.

– W szkole są kamery – odezwał się nagle Gniewomir. – Na każdym korytarzu.

Bartek spojrzał na Klementynę.

– To prawda? – zapytał.

Nie przypominała sobie, żeby widziała jakiegokolwiek kamery w szkole, ale chłopak sprawiał wrażenie pewnego. Nie chciała podważać jego słów przy Bartku. Atmosfera i tak była już wystarczająco nerwowa.

– W klasie, gdzie niby widzieliście moją żonę, tam też jest kamera?

Gniewomir zmarszczył brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie wiem – przyznał zmieszany. – W klasach chyba nie wolno.

– A na korytarzu prowadzącym do klasy Eli?

Gniewko potwierdził.

– Czyli możemy sprawdzić, kto tamtego wieczora wchodził do sali? – upewnił się Bartek.

– Tak.

– Musimy w takim razie zobaczyć te nagrania.

Jeszcze zanim odwrócili się w jej stronę, Klementyna wiedziała, że będzie musiała to zrobić. Jako jedyna mogła przyjść do szkoły, nie zwracając na siebie uwagi, i pod byle pretekstem poprosić o dostęp do nagrań. Nie chciała zostawiać Gniewomira samego z Bartkiem, ale czy miała jakiegokolwiek wyjście?

– Dasz sobie radę? – zapytała chłopaka i spojrzała znacząco w stronę Bartka.

– Tak – odpowiedział, a dla niej od razu stało się jasne, że nie zrozumiał, o co naprawdę pytała. Obiecała więc sobie tylko, że wróci do domu najszybciej, jak to możliwe.

Musiała poczekać na koniec długiej pauzy, bo podczas przerw ochroniarz przebywał na korytarzu i pilnował drzwi wejściowych. Kiedy rozległ się dzwonek, mężczyzna w mundurze firmy ochroniarskiej pokręcił się jeszcze trochę, zanim wszystkie dzieciaki poszły do swoich sal. Klementyna niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, ponaglając go szeptem, żeby wreszcie wrócił do swojej kanciapy. Miała prowadzić zajęcia z piątą a. Nie

chciała się przesadnie spóźnić.

Wreszcie ochroniarz zniknął z korytarza, a Klementyna udała się za nim. Ten starszy mężczyzna, ponad sześćdziesięcioletni i szpakowaty, podobno kiedyś był policjantem i teraz tylko dorabiał do emerytury.

Kiedy weszła do niewielkiego, choć schludnie urządzonego i posprzątanego pokoiku, siedział na krześle, jadł kanapkę i popijał wodą mineralną. Na stole stało kilka telewizorów, które pokazywały podgląd ze szkolnych kamer. Bez trudu je odnalazła. Spodziewała się dużych, ciężkich urządzeń, dokładnie takich jak w więzieniu, jednak pod sufitem zamontowano tylko niewielkie, estetyczne białe kopułki z ciemniejszym paskiem szkła. Do tej pory myślała, że to detektory dymu, ale teraz dostrzegła kryjące się we wnętrzu obiektywy.

– Dzień dobry panu – przywitała się, wcześniej stukając w drzwi.

Ochroniarz wyprostował się na krześle tak gwałtownie, że niemal z niego spadł. Strzepnął z czarnego munduru okruszki po kanapce.

– Dzień dobry, dzień dobry, pani Klementyno – przywitał się z uśmiechem, a ją zaskoczyło, że zna jej imię. Ona jego nie pamiętała. No i sposób, w jaki na nią spojrział. Jakby naprawdę się ucieszył. Uświadomiła sobie nagle, że są w podobnym wieku, a z tą myślą pojawiła się kolejna – nieprzyjemne podejrzenie, że ona mu się podoba. Kogo innego mogłoby to ucieszyć, dodać otuchy, ale Klementyna straciła przez to resztki pewności siebie. – W czym mogę pani pomóc?

– Ee... Mam taką sprawę...

– W czym jest problemik? Ja tutaj chętnie każdą pani sprawą się zajmę.

– Właściwie to chyba nic – zaczęła, próbując się wycofać. – Nie chcę panu zajmować czasu...

– E tam! – zachnął się ochroniarz. – Pani Klementyno, ja mam dużo czasu! Luz, blues i orzeszki. Na dzielnicy jak pracowałem, tam to było ciężko. Czasami to człowiek nie wiedział, w co ręce włożyć. Złodziei gonić czy chuliganów spacyfikować. A tutaj! Same dobre dzieciaki. Nic się nie dzieje, co najwyżej po korytarzach się poganiają.

– Ale ja naprawdę...

– Pani mi przyjemność sprawi, pani Klementyno! Przynajmniej będę miał co robić. Bo teraz to tylko się nudzę!

Ta natrętna życzliwość wydawała jej się wyjątkowo agresywna. Wolałaby, gdyby na nią krzyczał lub ją splawił. Wtedy pewnie też próbowałaby uciec, jednak przynajmniej z czystym sumieniem. I nagle dotarło do niej, że właśnie o to chodziło – o możliwość rezygnacji, wycofania się z tej całej awantury, ale w taki sposób, by uniknąć potem wyrzutów sumienia. By mogła wrócić do domu, rozłożyć przed Gniewomirem i Bartkiem szeroko ramiona i powiedzieć, że nic nie dało się zrobić. Uczynny ochroniarz odciął jej nieświadomie drogę ucieczki. Tak długo sobie wmawiała, że chce wiedzieć, co się stało z Elą, a tchórz i tak zawsze z niej wychodził. Podstępnie przejmował nad nią kontrolę.

Nie dzisiaj, pomyślała. Dzisiaj zrobię to, co trzeba.

– Chciałam się dowiedzieć, czy istnieje możliwość zobaczenia nagrań z kamery.

Ochroniarz cmoknął, skrzywił się, a wreszcie uśmiechnął.

– Wie pani, pani Klementyno. Normalnie to RODO, srodo i inne pierdoły. Nic nie mogę pani pokazać. Jeśli jednak pani obieca, że nikomu nie powie, to możemy coś wspólnie zobaczyć. Co panią konkretnie interesuje? Kto narozrabiał?

– Nikt – powiedziała szybko. – Po prostu zostawiłam torebkę w szkole. No, zapodziała mi się gdzieś. I pomyślałam, że jeśli sprawdzę sobie na kamerach, gdzie byłam, to może dowiem się, gdzie ją zostawiłam.

– Czyli będziemy oglądać panią? Pani Klementyno, ja panią to zawsze z przyjemnością będę oglądać. Pani powie, kiedy to było, i poszukamy.

Ochroniarz przysunął się do stołu, uruchomił komputer i chwycił za myszkę.

– W poniedziałek – odparła. – Tylko przed południem to ją jeszcze miałam, więc chyba po południu musiałam gdzieś zostawić, wieczorem właściwie.

Mężczyzna zamarł z myszką w dłoni.

– Wieczorem? A co tu pani robiła wieczorem?

Klementyna poczuła, że robi jej się gorąco. Tchórz odezwał się po raz kolejny. Kusił, żeby coś wybąkała i po prostu sobie poszła. Zacisnęła zęby. Odetchnęła.

– Miałam sprawę do załatwienia – wymruczała.

Nie do końca skłamała, choć ciało i tak zaprotestowało bolesnym ściśnięciem w podbrzuszu.

– Wieczorem... Jeśli to było wieczorem, to ja, pani Klementyno, pani nie pomogę – ochroniarz powiedział z wyraźnym smutkiem.

– Przecież kamery...

– Wyłączamy je popołudniami. Wychodzę z roboty o szesnastej i mam wygasić cały system.

– Jak to?

– Dla oszczędności. Pani dyrektor mówi, że wtedy w szkole prawie nikogo nie ma, więc kamery nam niepotrzebne. Nie będą prądu żarły.

– Ale tego dnia odbywały się spotkania z rodzicami, a czasami w szkole zostają dłużej uczniowie i...

– Pani Klementyno, mnie pani tego nie musi tłumaczyć. Ja mówiłem pani dyrektor, że skoro ja o szesnastej wychodzę i nie ma nikogo, kto by pilnował, to chociaż te kamery można zostawić. Bo tak to każdy może po prostu wejść z ulicy i szkody narobić. Ale pani dyrektor powiedziała, że nie, ona sobie nie życzy, bo oszczędności. I że jakby coś, to ktoś w szkole jest, a jak nikogo nie ma, to się ją zamyka.

– Aha... – wydusiła Klementyna.

Czyli wszystko na nic. Była rozczarowana. Przyszła tu z myślą, że rozwiązanie zagadki jest na wyciągnięcie ręki, a wróci do domu bez choćby jednego strzępka informacji.

– Ale, ale! – zawołał ochroniarz. – Pani się nie martwi, pani Klementyno! Pani torba gdzieś tu u nas jest! Trzeba tylko poszukać.

– Torba? – zapytała, bo w pierwszej chwili nie zrozumiała, o czym mówi.

– Pani torebka – sprecyzował, podrywając się z miejsca. – Chodźmy sprawdzić w sekretariacie. Tam zwykle trafiają zgubione rzeczy.

– Aha... W sekretariacie... To ja już pójde sprawdzic sama.

Zanim zdążyła wypowiedzieć to zdanie, ochroniarz ją minął i ruszył szybkim krokiem. Klementyna wybiegła za nim.

– Ja sobie sama sprawdzę! – zawołała.

Odwrócił się tylko i uśmiechnął.

– Ależ to żaden problem – rzucił. – Mówiłem pani, ja się tutaj nudzę!

Nie wiedziała, jak go powstrzymać. Zanim cokolwiek wymyśliła, już weszli

do sekretariatu, a mężczyzna wychylił się w stronę sekretarki.

– Ktoś tu jakiejś torebki nie przyniósł? – zapytał.

– Jakiej torebki?

– Bo pani Klementyna – wskazał na nauczycielkę – torebkę gdzieś w szkole zostawiła. Nikt jej nie znalazł przypadkiem, nie przyniósł tutaj?

Sekretarka rozejrzała się dookoła. W tym momencie drzwi się otworzyły i do środka weszła dyrektorka. Czytała jakiś dokument, więc prawie wpadła na splotzoną Klementynę. Na widok nauczycielki kobieta zmarszczyła gniewnie brwi. Potem dostrzegła ochroniarza i skrzywiła się jeszcze bardziej. Klementyna poczuła, że się czerwieni.

– A co państwo tutaj wszyscy robią?!

– Pani Klementyna posiała gdzieś swoją torebkę. Myśleliśmy, że może ktoś ją przyniósł do sekretariatu – wyjaśnił ochroniarz.

– Torebkę? Nie ma tutaj żadnej torebki – powiedziała dyrektorka. – Kiedy ją pani zgubiła?

Znowu nie zdążyła odpowiedzieć, bo wyprzedził ją ochroniarz.

– W poniedziałek – rzucił. – Z kiedy pani chciała te nagrania oglądać? Z wieczora?

Dyrektorka jakby stężała. Całe jej ciało się napięło. Spojrzała badawczo na matematyczkę.

– Chciała pani oglądać nagrania z poniedziałkowego wieczoru?

– Pani Klementyna... – zaczął ochroniarz.

– Z panem teraz nie rozmawiam! – uciszyła go ostro dyrektorka i wróciła do nauczycielki.

– Myślałam, że może gdzieś ją zobaczę na nagraniach – wyjąkała Klementyna.

Dyrektorka przyglądała jej się podejrzliwie jeszcze przez kilkanaście sekund. Potem zerknęła na zegarek.

– Pani nie ma teraz lekcji? – zapytała. – Jest już prawie kwadrans po dzwonku.

– Tak, oczywiście, lekcje – wybąkała Klementyna. – Przepraszam, zagapiłam się. Ta torebka...

Wyrzucała z siebie jeszcze jakieś słowa usprawiedliwienia, cofając się pospiesznie, aż wreszcie dotarła do drzwi. Była pewna, że trwało to całe wieki, chociaż dystans, jaki musiała pokonać, wynosił może ze dwa metry.

Nie czekając na ochroniarza ani na to, co się wydarzy dalej, po prostu pobiegła do swojej klasy jak do schronienia. Pomyślała, że gdyby tylko mogła, nie wychodziłaby z niej aż do końca dnia, tygodnia, życia.

Na szczęście dali jej już spokój. Nikt nie pytał o torebkę, a dyrektorka nie wezwała Klementyny na dywanik, by wytłumaczyła swoje zachowanie.

Kiedy wychodziła ze szkoły, w drzwiach stał ochroniarz. Otworzył usta, żeby do niej zagaić, może o coś zapytać albo po prostu się pożegnać, ale ona tylko przyspieszyła kroku.

6

Pomimo chłodu, paskudnej pogody i kłębiących się na niebie ciemnych chmur, nieustannie grożących deszczem, dzieciaki ganiały po parku Dreszera, jakby była połowa lata. Kilka matek próbowało zapanować nad swoimi pociechami. Inne dały sobie już z tym spokój. Siedziały na ławkach ze wzrokiem uwiecznionym w ekranach smartfonów. Robiło się ciemno, blask telefonów oświetlał ich twarze, zmieniając je w upiorne maski. Wszystko to wyglądało niczym artystyczna instalacja – krążące wokół dorosłych cienie dzieci i zastygłe w bezruchu kobiety.

Michał zastanawiał się, co je tak wszystkie wciągnęło: Facebook, Instagram czy Tinder. Spodobała mu się ta ostatnia myśl i wizja placu zabaw pełnego matek, które w przerwie od wycierania nosów, poprawiania czapek i podawania wody szukają w internecie okazji, żeby zdradzić swoich nudnych mężów.

– Naprawdę? – odezwał się ojciec Gniewomira, kiedy siadał obok Michała. – To tutaj chciałeś się spotkać?

– A co? Mieliśmy iść znowu do tej twojej ukraińskiej kurwy?

– Czemu tak ostro? Słyszałem, że całkiem ci się tam spodobało, gdy już sobie poszedłem.

Michał zdrętwiał. Przez głowę przebiegło mu stado niepokojących myśli. Co sugerował Mirek? Może zainstalował w tym mieszkaniu kamery, nagrał, jak Michał uprawia seks z prostytutką, a teraz będzie go szantażować filmem? Michał z chęcią przywaliłby samemu sobie za naiwność. Przecież go znał, wiedział, że powinien na niego uważać, a pomimo tego dał się podejść jak dziecko. A raczej napalony nastolatek, który jeszcze nigdy nie widział cipki na żywo.

Ojciec Gniewomira trącił go ramieniem.

– No wyluzuj. Ona cię po prostu bardzo polubiła. Zastanawiała się, czy jeszcze do niej przyjdiesz.

– Nie przyjdę.

– Dlaczego? Słabo ciągnęła? Moim zdaniem robi to zajebście.

– Możemy o tym nie rozmawiać?

– A jaki jest sens chodzenia wspólnie na dziwki, jeśli potem nie można porównać doświadczeń?

Michał postanowił nie odpowiadać na to pytanie. Zresztą i tak musieli na chwilę przerwać rozmowę, bo jakiś dzieciak rzucił piłkę tak nieporadnie, że ta zamiast do kolegi, poleciała w ich stronę i zatrzymała się tuż pod ich stopami. Mirek schylił się po nią.

Po chwili podbiegł do nich około sześciolatek chłopczyk. Miał na sobie grubą puchową kurtkę i wełniane rękawiczki. Nie nosił jednak czapki, a jego kędzierzawa głowa spływała potem.

– Czy mogę prosić piłkę? – powiedział piskliwym głosem.

– A to twoja piłka? – zdziwił się teatralnie ojciec Gniewomira.

– Tak.

– A skąd mam to wiedzieć?

– Jest na niej moje imię.

Mężczyzna obracał w dłoniach gumową piłkę, aż odnalazł wykonany długopisem napis. Przeczytał go, co było niełatwe ze względu na zapadający zmrok.

– Ty jesteś Maciuś? – zapytał.

– Tak, proszę pana. Mogę już piłkę?

Chłopiec zaczynał się niecierpliwić. Przeształ z nogi na nogę, jakby chciało mu się siku.

– Co dostanę za to, że znalazłem twoją piłkę?

Dzieciak zrobił wielkie oczy i otworzył usta.

– Słucham?

– Przyjęte jest, że jeśli ktoś znalazł coś, co należy do ciebie, to temu komuś powinno zapłacić się znaleźne – wyjaśnił ojciec Gniewomira. – Chcę moje znaleźne.

– Ale to moja piłka! – zaprotestował chłopiec.

– Ale ja ją znalazłem.

– Po prostu oddaj mu już tę piłkę – rzucił półgębkiem Michał.

– Nie przeszkadzaj mi, kiedy robię interesy – odburknął Mirek, a potem znowu zwrócił się do dziecka: – To co z moim znaleźnym?

Michał przyjrzał się zdumionemu chłopcu. Miał porządne buty, nowe, a nie używane czy odziedziczone po bracie lub synku koleżanki z pracy. Markowe. Tak samo ze spodniami i kurtką. Pochodził zapewne z zamożnej rodziny. Jego rodzice albo zarabiali wystarczająco dużo, żeby wziąć kredyt na mieszkanie na Mokotowie, albo dostali je w spadku po dziadkach żyjących tu jeszcze przed wojną. Michał podejrzewał, że to jedynek. Wyczekiwany przez całą rodzinę, ukochany i lekko rozpieszczany. I właśnie po raz pierwszy spotkał się z kimś, kto nie chce mu oddać zabawki, kto świadomie i celowo robi mu na złość, i w dodatku jest dorosłym. Michał niemal mógł usłyszeć, jak właśnie wali się cały porządek świata chłopca. Do tej pory żył w miejscu bezpiecznym, spokojnym, takim, w którym źle zachowują się tylko inne dzieci lub złodzieje, a złodzieje niby są duzi, ale należą do jakiegoś innego gatunku. Są czymś na kształt mitycznych stworzeń – wszyscy o nich mówią, ale nikt ich nie widział. Za to dorośli są dobrzy, dorosłym można ufać, bo dorośli przestrzegają zasad. A przynajmniej przestrzegali do teraz. I chłopak nie potrafił sobie poradzić z tą sytuacją. Zrobił więc jedyne, co przyszło mu do głowy.

– Mamo! – wrzasnął. – Pan nie chce mi oddać piłki!

Trochę to trwało, zanim jedna z matek oderwała się od telefonu i wygasiała ekran, a jej przyszłą interwencję zapowiedziało zniknięcie bladej poświaty wokół głowy. Potem wstała, odszukała wzrokiem swojego syna i pospieszyła w jego stronę szybkim krokiem, wtedy zorientowała się, że stoi obok dwóch nieznanym mężczyznom.

– Co się tutaj dzieje?! – zawołała.

– Pan nie chce mi oddać piłki!

– Proszę mu oddać piłkę!

Ojciec Gniewomira uśmiechnął się pod nosem. Wyraźnie bawiła go ta cała sytuacja. I kusilo go, żeby jeszcze trochę ją pociągnąć.

– Zrób to – poprosił szeptem Michał. – Musimy pogadać.

Mężczyzna przestał się uśmiechać. Niemal niedostrzegalnie kiwnął głową i wysunął piłkę w stronę dzieciaka, a kiedy chłopiec wyciągnął po nią rękę, cofnął ją gwałtownie i roześmiał się, gdy mały złapał tylko powietrze.

– Co pan robi?!

Mirek raz jeszcze podał piłkę dzieciakowi, tym razem jednak pozwolił mu ją zabrać. Chłopiec chwycił ją mocno jak największy skarb i pobiegł w stronę placu zabaw. Kobieta odprowadziła go wzrokiem, a potem odwróciła się do siedzących na ławce mężczyzn.

– Panu się wydaje, że to było śmieszne?!

– Dosyć – przyznał ojciec Gniewomira.

– Jeszcze jeden taki numer i zadzwonię po policję!

– I co im pani powie?

Kobieta parsknęła gniewnie. Pokazała im środkowy palec i wróciła na swoją ławkę. Michał podejrzewał, że znów będzie się bawić telefonem, ale nie – obserwowała syna i co pewien czas zerkała na nich. Westchnął.

– No i to tyle, jeśli chodzi o niezwracanie na siebie uwagi – mruknął.

– Tia... Wybrałeś na miejsce spotkania pieprzony plac zabaw. Jak niby mamy nie zwracać tu na siebie uwagi? Przecież od razu wyglądamy jak dwóch pedofilów polujących na bachory i typujących, kogo przeruchać – odpowiedział Mirek.

– Ciszej, bo zaraz naprawdę zadzwonią po policję.

Tamten wzruszył ramionami.

– Głupia cipa – rzucił pod nosem, a potem uderzył się otwartą dłonią w kolano. – Dobra, dość pierdół. Chciałeś pogadać i to się nawet nieźle składa, bo ja też mam do ciebie sprawę. I najpierw załatwimy moją, bo jest ważniejsza. Krótko mówiąc, sypie nam się interes.

– Jak to? Co się stało?

– Zaczynają za mną chodzić – powiedział. – Co oznacza, że wkrótce zaczną pewnie chodzić też za tobą.

– Kurwa, kto?! Policja?

– Ci z Wrocławia, którzy zajmują się reprzywatyzacją. Prokuratura.

Michał oparł się o ławkę i schował twarz w dłoniach na kilka sekund. Nie chciał, żeby ojciec Gniewomira zobaczył odmalowującą się na niej panikę.

– Chryste... Co mają? – zapytał, kiedy trochę nad sobą zapanował.

– A skąd mam wiedzieć? Myślisz, że oni dzwonią, by mi się spowiadać, co

na mnie zbierają?

– No jasne, że nie – odwarknął Michał. Arogancja współnika zaczynała działać mu na nerwy. – Coś jednak wiesz.

– Właśnie tyle, ile ci powiedziałem. Jestem na celowniku. Nie wiem, do czego się dokopią, ale zaczną pewnie od najprostszej rzeczy.

– Czyli?

– Łapówek.

– Szlag! Mówiłeś, że to bezpieczne!

– Bo było bezpieczne! – syknął przez zęby ojciec Gniewomira. – Tylko się zmieniło. Poza tym jak byśmy nie posmarowali, to nic byśmy w tym mieście nie załatwili. Ludzie po dwadzieścia lat czekają na decyzje reprivatyzacyjne. I to ludzie z prawdziwymi roszczeniami do nieruchomości, a nie kombinujący tak jak my z jakimiś kuratorami z Kajmanów czy lipnymi dokumentami. Chciałeś zarabiać, to zarobiłeś. Nawet ci tę jebaną szkołę odzyskaliśmy, chociaż, kurwa, też nie macie do niej żadnych praw. A że ze sprawą wiązało się ryzyko, to, kurwa, wiedziałeś.

Michał chciał zaprotestować. Powiedzieć, że kiedy umawiali się na wspólne interesy lata temu, Mirek przedstawiał sprawę całkiem inaczej. Opowiadał o kolegach, których ma wszędzie i którzy wszystko załatwią, jeśli tylko trochę im się pomoże podjąć odpowiednią decyzję. I że nie ma co się obawiać policji czy służb, bo sprawy są tak skomplikowane, że nikt się nie orientuje, co jest legalne, a co nie. Wolą więc trzymać się od tego z daleka. Poza tym wszyscy są umoczeni. Od prawa do lewa. Jak ktoś zdecyduje się tym zająć, otworzy taką puszkę Pandory, że z tego kraju nie zostanie kamień na kamieniu.

– To co teraz? – zapytał Michał.

Postanowił nie wracać do przeszłości i nie tłumaczyć, że inaczej to wszystko miało wyglądać, bo i tak nie wygrałby tej kłótni. Musiał się ratować. Szczególnie że pozostawała jeszcze sprawa Eli.

– Po pierwsze, zachowaj spokój – powiedział Mirek. – Próbuję się dowiedzieć, co konkretnie na mnie mają. Ważne, żebyś, kurwa, nie panikował, nie próbował robić nic głupiego i nie wyskakiwał przed szereg. No i najważniejsze: zawieszamy działalność. Kończymy to, co trzeba skończyć, i jesteśmy w cieniu. Nie wychylamy się. Jasne?

– Jasne.

– Będę cię informował – zapewnił już łagodniejszym tonem, jakby próbował uspokoić Michała. – Gdyby coś się działo, od razu walimy do mecenasa. Musimy trzymać jedną linię. Powtarzać do usranej, że wszystko było legitnie. Że papiery były w porządku. Że to my byliśmy ofiarami oszustwa. Rozumiesz?

– Tak. A co z łapówkami?

Ojciec Gniewomira zasępił się.

– To jest niestety jedyny konkret. Cała reszta to pierdolenie się po paragrafach. Nie da się dojść przy tym burdelu, który panuje w kraju, co mogliśmy zrobić, a czego nie. Wybronimy się, że nie wiedzieliśmy, że mieliśmy ekspertyzy, że tamto czy sramto, ale łapówki to inna sprawa. Tutaj mamy jasność: albo udowodnią, że je dawaliśmy, albo nie. I chuj. Wóz albo przewóz.

Skończył mówić i patrzył przed siebie tępo w przestrzeń. Żyłka z boku głowy pulsowała mua niczym niezależna, żyjąca istota. Jakby robak wszedł pod skórę, a teraz próbował przebić się do mózgu.

Zrobiło się już zupełnie ciemno. Matka chłopca od piłki zawołała go. Dzieciak przybiegł za trzecim razem, kiedy w jej głosie zabrzmiała już irytacja. Kobieta założyła mu czapkę, wzięła za rękę i poszli w stronę wyjścia. Kiedy przechodzili obok mężczyzn, mały pokazał im język. Ojciec Gniewomira chyba tego nie zauważył. I dobrze, pomyślał Michał. Kto wie, jaki wtedy by numer odwalił.

– A ty czego chciałeś? – zapytał Mirek po kolejnej minucie spędzonej w ciszy.

– Ela.

– Co z nią? Coś się stało? Ktoś o nią pytał?

– Nie do końca. Jedna kobieta, nauczycielka od nas ze szkoły, chciała oglądać nagrania z kamery. Z tamtego dnia, kiedy – zawahał się, jakiego sformułowania użyć – kiedy zginęła Ela.

– Z dnia czy...

– Z wieczora.

– Dlaczego?

– Tłumaczyła, że zgubiła torebkę i chciała jej poszukać.

– Na nagraniach z kamery?!

– Wiem, że to nie ma sensu. I jest podejrzane. Dlatego ci o tym mówię.

Ojciec Gniewomira potarł nasadę nosa.

– Dobra. Znała tę Elę?

– Tak. Podobno nawet trochę się przyjaźniły.

– Co to w ogóle za jedna?

– Nowa. Uczy matematyki. Klementyna jakaś tam.

– Uczyła mojego syna?

Michał potrzebował chwili, żeby się zastanowić.

– Nie jestem pewien, ale chyba tak.

Mirek pokiwał głową.

– W takim razie pójdziemy ją odwiedzić.

– Po co chcesz do niej iść?

– Żeby dowiedzieć się, o co kurwie chodzi.

Ojciec Gniewomira wstał z ławeczki.

– Jest jeszcze jedna rzecz na jej temat! – zawołał Michał, próbując go zatrzymać, jednak tamten tylko machnął ręką.

– Nie. Za dużo już się dzisiaj nagadałem – warknął. – Po prostu tam pójdziemy. Trzeba zacząć załatwiać sprawy, a nie czekać, żeby nad nami wisiąły jak gówno nad wiatraczkiem.

Michał pomyślał, że Mirek może i ma rację. Wiele się posypało, jednak da się to jeszcze naprawić. Nie zrobią tego, jeśli tylko będą siedzieć i gadać, a sprawa ciekawskiej nauczycielki była dobra na początek. Taka rozgrzewka, zanim zajmą się poważniejszymi kwestiami. Wyjął telefon i wybrał numer do żony. Powiedział jej, żeby wysłała mu adres Klementyny.

7

Klementyna po wyjściu ze szkoły była tak zmęczona, że w zatłoczonym wagonie metra ubiegła staruszkę i wygrała w wyścigu do miejsca siedzącego. Mała, pomarszczona kobieta wyglądała na ponad osiemdziesiąt lat, nieliczne srebrne nici włosów ledwo zakrywały bladą czaszkę. Przez całą jazdę wbijała oskarżycielsko wzrok w Klementynę. Ta najpierw wstydliwie spuściła głowę, a po chwili poczuła przypływ gniewu. Chciała się poderwać i wykrzyknąć jej prosto w twarz, że ona też jest już stara. Że też ma prawo siedzieć! Że nie musi ustępować miejsca każdej staruszce, pomagać przechodzić przez ulicę, nosić za nią torby z zakupami. Że przestała być grzeczną dziewczynką i wreszcie chce odpocząć.

Kiedy wróciła do domu, wciąż jednak walczyła z wyrzutami sumienia. Przeklinała samą siebie i tresurę, jakiej ją poddano.

W mieszkaniu panowała cisza. Przez chwilę pomyślała, że tamci zniknęli, że znowu jest sama i odzyskała swój dom. Szybko okazało się jednak, że to nieprawda. Bartek siedział w kuchni, oparty o ścianę, i co pewien czas coś mamrotał, a Gniewomir nie wychodził z pokoju. Nie przywitani się z nią.

Zdjęła płaszcz, buty i stała w przedpokoju, zastanawiając się, do którego z nich najpierw podejść. Nie miała ochoty rozmawiać z żadnym. Brakowało jej samotności i prywatności. Teraz pobyć sama mogła tylko wtedy, gdyby zamknęła się w łazience.

Zdecydowała się pójść do kuchni. Była głodna i chciała coś zjeść. Z szafki wyjęła chleb, margarynę, a z lodówki tanią wędlinę. Przygotowała sobie dwie kanapki.

– Dowiedziałaś się czegoś w szkole? – odezwał się Bartek, kiedy nakładała jedzenie na talerz.

– Nie.

– Jak to? A kamery?

– Wyłączają je po szesnastej, żeby oszczędzać prąd czy jakoś tak.

Prychnął pod nosem.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – zapytał napastliwie.

– Przecież mówię.

– Dopiero teraz! Czekam tutaj cały dzień jak idiota, aż wrócisz. Od kiedy wiesz, że nie ma tych nagrań?! Kiedy się tego dowiedziałaś?!

Chciała zaprotestować. Powiedzieć mu, że nie może na nią krzyczyć w jej własnym domu, ale stchórzyła. Porwała talerz z kanapkami i uciekła do pokoju. Pomyślała, że zachowuje się niczym małe dziecko, które chowa się przed rodzicami, by nie słyszeć, jak na nie wrzeszczą. Sama tak robiła. Kryła się albo w szafie, albo pod łóżkiem, więc ojciec zawsze ją znajdował i wyciągał za drobne ramię. Już nie krzyczał. Przekładał w milczeniu przez kolano i wymierzał karę paskiem.

I wtedy nagle, niespodziewanie, przypomniała sobie swoją córkę. I to, że ona nigdy przed nią nie uciekała. Nawet kiedy Klementyna wpadała w najgorszy szał, Dorotka po prostu stała. Może była tak posłuszna? A może po prostu w jej sercu nie został nawet cień nadziei, że się uchroni? I wiedziała, ta wątła, delikatna dziewczynka, że może tylko trwać i czekać, aż to się skończy.

Ta myśl dosłownie ją uderzyła. Zakręciło jej się w głowie. Talerz wyslizgnął się z dłoni i rozbił z hukiem na kawałki. Poczowała, że leci na podłogę, zaraz na nią padnie jak długa, gdy ktoś chwycił ją pod ramię i przytrzymał. Usłyszała stęknienie Gniewomira.

Zawroty głowy minęły. Odetchnęła jeszcze dwa razy. Powoli odzyskiwała kontrolę nad własnym ciałem.

– Dziękuję – powiedziała, stając o własnych siłach, i wyswobodziła się z uchwytu Gniewka. Odwróciła się do chłopaka i dopiero wtedy zobaczyła, że ma rozbitą wargę i podbite oko.

– Myślę, że kłamiesz! Myślę, że widziałaś te taśmy! Co na nich było?! – usłyszała za plecami.

Bartek poszedł za nią. Teraz stał w progu, czerwony na twarzy, z zaciśniętymi pięściami. Przy każdym słowie z jego ust wylatywały kropelki śliny.

– Co ty mu zrobiłeś... – wydusiła z siebie cicho Klementyna.

Dziwne, ale jej szept zadziałał lepiej niż krzyk. Mężczyzna przystanął

zmieszany, a potem się skrzywił, co najwyraźniej miało oznaczać lekceważący grymas twarzy.

– Porozmawialiśmy sobie – rzucił.

Coś się w niej zagotowało. Nie wiedziała, czy to przez jego arogancką postawę, czy minę kogoś, kto nie musi się z niczego tłumaczyć. A może przez przestraszonego Gniewomira, który niemo prosił ją spojrzeniem o ochronę.

– Od rozmowy nie ma się rozbitej wargi. Ani podbitego oka.

– Jakby odpowiadał na moje pytania, toby nie dostał. Sam jest sobie winien.

– To tylko dziecko!

Bartek się roześmiał – gardłowo, nieprzyjemnie i agresywnie.

– Dziecko?! Dziecko, kurwa?! Ten dzieciak jest od ciebie o głowę wyższy, kobieto! I pewnie dwadzieścia kilo cięższy!

– To nie ma znaczenia!

– To dziecko rysowało zboczone rysunki z moją żoną w roli głównej! Pewnie marzył o tym, żeby ją zgwałcić! Co, mały zboku! – krzyknął do Gniewomira nad ramieniem Klementyny. – Chciałeś zgwałcić moją żonę?! Odpowiadaj, kurwa, bo znowu ci wpierdole!

– Nie – powiedział chłopak, ale tak cicho, że tylko Klementyna go usłyszała.

– On coś wie! – ciągnął dalej Bartek. – On wie, co się stało z Elą! Może nawet to on ją zabił! Zabił i zgwałcił, pierdolony zbok!

Nie mogła już tego słuchać. Zatkała sobie uszy rękami, zamknęła oczy.

– Wyjdź! Wyjdź! Wyjdź! – wrzeszczała raz za razem. Robiła to tak długo, aż ochrypła.

Kiedy otworzyła oczy, Bartek wciąż stał w progu, a Gniewomir za nią. Z mężczyzny wyparowała cała wściekłość, wyglądał po prostu na zmęczonego.

– Masz rację – powiedział. – Powinienem wyjść. Straciłem z wami już za dużo czasu. Ale jeśli tylko się dowiem, że ten gnojek coś zrobił mojej żonie, wrócę tutaj i go zabiję. Słyszałeś to, gnojku?

Gniewomir nie odpowiedział. Klementyna poczuła tylko, że staje bliżej niej, jakby próbował się za nią schować.

– Słyszał – odpowiedziała więc za niego.

Bartek zmrużył oczy, zastanawiając się, czy nie powinien jeszcze czegoś

dodać, jednak tylko pokręcił głową. Przeszedł do kuchni. Słyszała, jak mężczyzna grzebie po szufladach. Potem pozbierał swoje rzeczy z przedpokoju i wyszedł z mieszkania, trzaskając drzwiami. Bez zastanowienia podbiegła do wyjścia i zamknęła za nim wszystkie zamki. Dla pewności założyła również łańcuch.

Wróciła do pokoju i opadła na kanapę. Serce waliło jej jak młotem. Chciała się położyć, zasnąć, ale czuła, że jest jeszcze jedno pytanie, które powinna zadać. Wyprostowała się.

– Czy miał rację? – odezwała się. – Czy to ty zabiłeś Elę?

Gniewomir zamrugał dwa razy.

– Nie.

– To dobrze.

Chłopak podszedł do niej. Wyglądało to tak, jakby chciał usiąść obok, jednak w ostatniej chwili się przestraszył. Cofnął się do stołu.

– Odezwała się ta osoba od komórki pani Eli – powiedział.

Klementyna przez moment zastanawiała się, czy to w ogóle ją interesuje. I ku swojemu zaskoczeniu uznała, że jednak tak.

– Zgodziła się spotkać – dodał.

– Gdzie?

– Chciała w Złoty Tarasach.

– O której?

– O siedemnastej.

Zerknęła szybko na zegarek. Mieli jeszcze trochę czasu.

– Ale pan Bartek zmienił czas i miejsce spotkania – ciągnął Gniewomir.

– Na jakie? – zapytała.

– Nie wiem. Zabrał mi komputer. Nie pozwolił zobaczyć. Wszystko zrobił sam.

– Nie możemy tego sprawdzić na tym Facebooku?

Gniewomir spuścił żałośnie głowę.

– Wykasował wiadomości.

– Nie można ich odzyskać?

– Nie wiem jak. Może. Ja nie potrafię. Poza tym zmienił hasło do profilu. Nie mogę się już do niego dostać.

Kiedy skończył mówić, wyglądał na bezradnego, przestraszonego. Jakby się bał, że ją zawiódł, a ona w zemście wyrzuci go z domu.

– Chyba chce zrobić coś złego – dodał po chwili.

Coś w jego głosie ją tknęło. Podniosła się z kanapy, ruszyła do kuchni i otworzyła szufladę ze sztućcami. Brakowało jednego noża. Tego największego i najostrzejszego.

– Pani Klementyno? – odezwał się Gniewko.

Poszedł za nią. Po raz pierwszy chyba wykazał się taką inicjatywą. Do tej pory trzymał się pokoju, a konkretnie okolic stołu, jakby był do niego przywiązany łańcuchem.

– Myślę, że masz rację – powiedziała Klementyna. – Myślę, że pan Bartek chce zrobić coś złego.

Joanna otworzyła oczy, wokół panowała ciemność. Przez chwilę myślała, że może umarła. Zaraz jednak stwierdziła, że pewnie jednak nie. Roześmiała się, bo to była dobra wiadomość, a potem przestraszyła, kiedy usłyszała swój rechot. Brzmiał dziwnie. Obco. Jakby wydobywał się z ust starej baby. A ona była przecież młoda i piękna. Chyba...

Podniosła się z łóżka. Nogi miała równocześnie sztywne i miękkie jak z waty. Stawiała powoli każdy krok, chwiejąc się przy tym niczym dziecko, które dopiero uczy się chodzić. Pomagała sobie rękami, żeby złapać równowagę, chwytając się ścian, żeby nie upaść. A świat dookoła się kołysał, jakby chciał ją złośliwie zatrzymać.

Stała przed lustrem i wymacała dłonią kontakt. Zacisnęła powieki, kiedy oślepiło ją jasne światło. Poczekała, aż sprzed oczu znikną różnobarwne plamki, dopiero wtedy spojrzała na swoje odbicie. I przeżyła bolesne rozczarowanie, bo jednak była stara. A na pewno starsza niż wczoraj, rok temu, dziesięć lat temu. Starsza niż wtedy, kiedy nie urodziła jeszcze dwójki dzieci. Starsza niż wtedy, kiedy obchodziła hucznie osiemnastkę, a potem w toalecie zgwałcił ją kolega z klasy, bo nie miała siły mu się opierać. Mówiła sobie, że to jej wina. Za dużo wypila, zbyt frywolnie się ubrała, nie krzyczała. A on dobrze się uczył, taki porządny chłopak. W sumie ciągle w to wierzyła – że wszystko jest jej winą. Dlatego piła. Kiedy piła, jakoś potrafiła sobie z tym poradzić.

Ściągnęła i rzuciła na podłogę bluzkę, a za nią powędrował biustonosz. Dotknęła dłonią piersi i delikatnie je uniosła. Kiedyś nie musiała tego robić. Kiedyś same się unosiły, jędrne i piękne. Zachowywały się tak, jakby grawitacja nie istniała. Mężczyźni je kochali. Całowali, ściskali, wgrzyzali się w nie jak w świeże owoce. Stanowiły centrum wszechświata, a oni krążyli wokół nich. Teraz tkwiła sama w pustym mieszkaniu, ciemnym i strasznym jak grobowiec. A przecież jeszcze nie umarła. Jeszcze miała w sobie życie.

Porwała płaszcz, zarzuciła na ramiona i wybiegła na zewnątrz. Na schodach o mało nie połamano nóg, kiedy rzuciła się pędem prosto w dół, napędzana

strachem i rozpaczą. Paliła się w niej potrzeba, by ktoś otoczył ją ramionami, ścisnął i potwierdził, że to jeszcze nie koniec, że coś jeszcze przed nią jest. Że jeszcze coś na nią w życiu czeka.

Płakała i śmiała się na przemian. Chciała śpiewać i równocześnie rzucić się na kolana i walić z rozpaczony pięściami w ziemię.

Wypadła na ulicę i zdziwiła się, że jest tak zimno. Rozejrzała się dookoła. Przy pobliskim sklepie dostrzegła sylwetkę samotnego mężczyzny w długim skórzanym płaszczu. Podbiegła do niego, chwyciła za ubranie i przyciągnęła do siebie.

– Co jest?! – wrzasnął zaskoczony.

Szykował się już do bijatyki, ale kiedy zorientował się, że dopadła go kobieta, uspokoił się trochę. Dwudziestokilkulatek miał bladą twarz, intensywnie ciemne oczy i długie czarne włosy związane w kucyk. Z szyi zwisały mu rzemienie z wisiorami w kształcie pogańskich symboli: młota Thora, znaku Peruna i wyrzeźbionej w kości twarzy bożka, którego imienia nie znała.

– Chodź ze mną – wybełkotała z trudem, bo miała wrażenie, że język zamienił się w niezależną istotę, w obslizglą jaszczurkę, zamieszkującą jej usta.

– Co takiego?

– Chodź ze mną. Chodź, będzie fajnie.

Szarpała go za poły skózanego płaszczu, ale chłopak nawet się nie poruszył. Potem usłyszała dzwonek. Uruchamiał się zawsze, kiedy ktoś otwierał drzwi sklepu.

– Co jest?! Co to za baba?

To jego dziewczyna, pomyślała Joanna. To musiała być jego dziewczyna, bo kto inny. Ubrana w taki sam czarny płaszcz, obwieszona takimi samymi wisiorami. Młodziutka blondynka o długich jedwabistych włosach i z mocnym makijażem. W dłoni trzymała torbę z piwami.

Matka Gniewomira poczuła ochotę, by do niej podejść, przytulić i powiedzieć, że jeszcze nie musi się aż tak malować. Wciąż jest młoda, piękna. Niech się tym cieszy, bo potem to zniknie, przeminie, rozwieje się. Ale Joanna miała ją gdzieś. To chłopaka potrzebowała. To jego chciała.

– Nie mam pojęcia – odezwał się. – Sama mnie zaczepiła.

– Czy ona jest goła? – zapytała dziewczyna.

Matka Gniewomira zerknęła w dół. Dopiero teraz zorientowała się, że nie włożyła ani stanika, ani koszulki. Spod rozpiętego płaszcza wylaniały się nagie piersi. Uznała to za szalenie zabawne. Nawet się roześmiała.

– Chyba coś jej się stało – odezwał się chłopak. – Jest w szoku.

Nachylił się w stronę kobiety, tak że poczuła od niego zapach taniego dezodorantu.

– Potrzebuje pani pomocy? – zapytał powoli. – Zadzwoń po kogoś? Po pogotowie?

Był blisko. Wykorzystała okazję i wbiła się prosto w jego usta. Odepchnął ją. Przewróciła się. Uderzyła pośladkami o twarde chodnik.

– To wariatka – powiedziała dziewczyna. – I pijaczka. Chodźmy stąd.

Chłopak kiwnął głową na znak, że się zgadza. Nie spuszczał jednak wzroku z matki Gniewomira. Obszedł ją szerokim łukiem i wziął swoją dziewczynę za rękę. Kiedy szli, odwracał się co kilka metrów, jakby sprawdzał, czy matka Gniewomira za nimi nie idzie.

Joanna z trudem podniosła się z ziemi. Wylądowała w niewielkiej kałuży, więc miała teraz mokry i pokryty błotem płaszcz. Otrzepała go, jednak niewiele to dało.

Znowu zabrzmiał dzwonek. Ze sklepu wyszedł mężczyzna, w podobnym wieku co tamten, ale w sportowych butach, jeansach i bluzie od dresu. Miał wygoloną głowę i twarz pokrytą czerwonymi krostami. On też trzymał siatkę pełną piw, a do kieszeni chował paczkę papierosów. Stał zaskoczony, kiedy zauważył matkę Gniewomira. Wbił wzrok w jej piersi.

– Chodź ze mną – powiedziała. Normalnie nie zaszczyliłaby go nawet spojrzeniem. Ciągle celowała wyżej. W przystojnych, wysportowanych i pięknych chłopców, których mogła rozpieszczać, kupować im drogie kosmetyki, konsole, gry komputerowe, rowery i sprzęt sportowy. Ale dzisiaj nie był normalny dzień. Dzisiaj czuła, że jeśli położy się sama spać, to umrze.

– Że co? – zapytał, marszcząc brwi.

– Chodź ze mną. Do mnie do domu – ciągnęła niezrażona. – Mam alkohol. Mam papierosy. Będziemy się pieprzyć.

Mężczyzna poruszył kilka razy szczęką w lewo i w prawo. Trochę ją

zabolało, że w ogóle zastanawia się nad odpowiedzią. Kiedyś wystarczyło, by wykonała tylko jeden gest, jeden ruch, rzuciła jedno powłóczyście spojrzenie, a faceci szli za nią, jakby trzymała ich na postronku. Już miała się odwrócić i pójść do domu, bo w jej głowie rozbłysła kusząca wizja samotnego wieczoru w towarzystwie butelki wódki, kiedy usłyszała jego głos.

– No dobra – stwierdził mężczyzna. – Chodźmy do ciebie. Będziemy się pieprzyć.

9

Klementyna przygotowała Gniewkowi na kolację dwa jajka na twardo i kanapkę z serem. Przyniosła mu posiłek i usiadła obok. Chłopak najpierw długo przyglądał się talerzowi, dotknął jednego z jajek, obrócił je kilka razy, a potem to samo zrobił z drugim. Nie miała pojęcia, czego na nich szuka. Nie podobał mu się kolor? Kształt? Pomyślała, że po tym chłopaku mogłaby się spodziewać wszystkiego.

– Jak długo zamierzasz jeszcze tutaj zostać? – zapytała.

Oderwał wzrok od jajek.

– U pani?

– Tak.

– Nie wiem.

Wziął do ręki kanapkę i zaczął jeść. Klementyna zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Próbowała z nim rozmawiać jak ze zwykłym dzieckiem. Nie zrozumiał jej. Powinna być bardziej bezpośrednia.

– Nie możesz u mnie zostać.

Zamarł z kromką w połowie drogi do ust.

– Nie mogę?

– Nie możesz – potwierdziła.

Odłożył kanapkę na talerz i wstał od stołu. Klementyna chwyciła go za rękę i usadziła z powrotem na krześle.

– Nie chodzi mi o to, żebyś wychodził już teraz, w tej chwili – wytłumaczyła pospiesznie. – Nie w nocy. Ale nie możesz ciągle u mnie mieszkać. Twój rodzice cię szukają.

Pobladł gwałtownie i skrzywił się, jakby właśnie dostał w brzuch.

– Nie chcę do nich wracać – powiedział.

– Dlaczego?

– Bo oni myślą, że ją zabiłem.

– Wytłumaczymy im, że nie.

– Nie uwierzą.

– Gniewko, to są twoi rodzice... – Przerwała w tym momencie, chociaż czuła, że powinna coś jeszcze dodać. Jednak w każdej myśli, która przychodziła jej do głowy, wyczuwała fałsz. Te wszystkie: oni cię kochają, dbają o ciebie, martwią się o ciebie. Czy ten chłopak siedziałby teraz u niej w mieszkaniu, gdyby choć jedno z tych stwierdzeń było prawdziwe?

– Myślę, że ojciec mnie zabije – odezwał się Gniewomir.

– Co takiego?

– Albo zrobią mi coś strasznego.

– Co ty opowiadasz?! Skąd u ciebie taki pomysł?!

– Słyszałem, co o mnie mówili. Że lepiej, gdyby mnie nie było. Że najlepiej, gdybym zniknął.

– Czasami rodzice tak mówią – powiedziała, ostrożnie dobierając słowa – ale nie mają tego na myśli. Rodzice nie krzywdzą własnych dzieci.

– Pani zabiła swoją córkę.

Zdziwiło ją, z jaką obojętnością to powiedział. Zupełnie bez emocji. Po prostu stwierdził. A jeszcze bardziej zaskoczyło ją, że to wcale nie zabolowało. Bo to przecież prawda, zabiła własne dziecko. Fakt. Nic więcej. A teraz stało przed nią inne dziecko. Starsze. Takie, któremu chciała pomóc.

– Ale ja byłam zła – odparła, mając nadzieję, że to go przekona.

– Mój tato też jest zły.

Ten sam obojętny ton. To samo suche stwierdzenie faktu.

Rozmowę przerwał im dzwonek u drzwi. Postanowiła nie otwierać. Nie spodziewała się żadnych odwiedzin. Pomyślała, że może to znów Bartek, jednak z nim też nie chciała rozmawiać. Dzwonek rozległ się po raz drugi i trzeci, a potem ktoś zaczął walić w drzwi. Tak mocno, jakby chciał je roztrzaskać.

– Otwieraj! – usłyszała przytłumiony głos z klatki schodowej. – Wiemy, że jesteś w domu!

Gniewomir zrobił wielkie oczy.

– To ojciec – wyszeptał.

Klementyna nie myślała długo. Chłopak autentycznie się bał. Po tym, co usłyszała, nie mogłaby oddać go rodzicom. Nie dzisiaj. Niech zostanie u niej jeszcze jedną noc. Potem się coś wymyśli. Szukała więc wzrokiem kryjówek, ale żadna się nie nadawała. Poza szafą, jednak jeśli ojciec zacznie szukać chłopaka, to natychmiast go tam znajdzie. Tak samo w łazience czy w kuchni. Walenie do drzwi się nasiliło i Klementyna naprawdę się przestraszyła, że zaraz wypadną z zawiasów. W odruchu desperacji chwyciła Gniewka i wyrzuciła go na balkon.

– Czekał tutaj – szepnęła.

– Mój plecak – powiedział.

Leżał tuż przy tapczanie. Porwała go, wrzuciła do niego wszystkie jego rzeczy i podała chłopakowi, a potem zamknęła drzwi balkonowe i pobiegła do przedpokoju. Przystanęła. Wzięła dwa oddechy, żeby się uspokoić, i otworzyła. Chciała zacząć od razu ostro. Nakrzyczeć na ojca Gniewomira, że robi hałas, zapytać go, dlaczego w ogóle ją nachodzi. Ale nie zdążyła nawet otworzyć ust. Oni byli pierwsi.

– Czego, kurwa, tyle ci to zajęło?! – ryknął mężczyzna i wszedł bez zaproszenia do mieszkania. Za nim wślizgnął się mąż dyrektorki. Jego obecność ją zaskoczyła. Szczególnie że wydawał się lekko zażenowany zachowaniem tamtego.

Obaj przeszli do pokoju. Ojciec Gniewomira zaczął się rozglądać. Co chwila się krzywił, jakby coś go głęboko zniesmaczało, gdy jego wzrok wędrował po ścianach i meblach. Na dłużej zatrzymał się tylko na obrazie na ścianie. Potem obrócił się do Klementyny.

– Kim pan jest? – odważyła się wreszcie zapytać. Miała nadzieję, że wypadła wiarygodnie.

– To ojciec jednego z pani uczniów – odezwał się mąż dyrektorki. – Przyszliśmy z panią porozmawiać o pewnej sprawie.

– O jakiej sprawie? Coś z uczniem? Czy to nie może poczekać do jutra?

– Nie może – burknął ojciec Gniewomira.

Ten drugi oparł się jedną ręką o stół, a drugą pomasaował sobie czoło.

– Słyszałem, że interesowała się pani nagraniami z kamer w szkole. Chciałbym wiedzieć dlaczego.

O to im chodzi, pomyślała. Kolejny zły pomysł w jeszcze gorszym wykonaniu. Nic nie uzyskała, a tylko zwróciła na siebie uwagę.

– Szukałam mojej torebki, bo zgubiłam ją w szkole – powtórzyła swoje kłamstwo.

Ledwo zauważyła ruch ojca Gniewomira. Zamachnął się, a ułamek sekundy później jego otwarta dłoń uderzyła ją prosto w twarz. Klementyna upadła na podłogę, w ustach poczuła smak krwi.

– Kurwa mać! Co z tobą?! – krzyknął mąż dyrektorki.

– Mam dość tego gówna – odpowiedział mu ojciec Gniewomira i kucnął naprzeciwko kobiety. – Nie chodziło ci o żadną pierdoloną torebkę.

– Szukałam...

Nie zdążyła dokończyć, bo chwycił ją za twarz i ścisnął. Poczwała w nozdrzach jego śmierdzący alkoholem oddech.

– Gdzie jest mój syn? Gdzie jest mój syn, kurwa?!

Zaczął potrząsać jej głową, jakby próbował ją oderwać od szyi.

– Dość tego! – krzyknął mąż dyrektorki i zdobył się jedynie na to, by zrobić krok w ich stronę. Ale to wystarczyło. Ojciec Gniewomira puścił Klementynę, wstał i wytarł dłonie o spodnie.

– Jeśli tu jest, znajdę go. A ty ją przypilnuj, żeby nie zrobiła nic głupiego.

Mąż dyrektorki kiwnął głową. Potem niby jej pilnował, choć tak naprawdę robił wszystko, żeby ani razu na nią nie spojrzeć. W tym czasie ojciec Gniewomira chodził po mieszkaniu, zaglądał do każdego pokoju. Słyszała, jak otwiera szafę i wyrzuca ubrania na podłogę. Potem sprawdził kuchnię i łazienkę. Otworzył tapczan i zajrzał do środka. Kiedy znalazł tam tylko pościel i koce, zatrasnął go z takim hukiem, że aż zadrżały szyby w oknach. Klementyna wstrzymała oddech, gdy mężczyzna podszedł do drzwi balkonowych. Stał tuż przy nich, a potem z ponurą miną zawrócił.

– Nie wiem, gdzie jest pański syn – powiedziała cicho.

Prychnął tylko pod nosem. Wskazał na wiszący na ścianie obraz.

– Weiss? – zapytał.

Przytaknęła.

– Ładne. Mój syn też nieźle rysuje. Nie ten debil, którego szukamy, ale

starszy. Sławek. Poznała go pani?

– Nie.

Mężczyzna wsadził ręce w kieszenie spodni. Pociągnął nosem. Kucnął tuż przy niej.

– Powiem pani tak: pani coś kombinuje. – Położył palec na jej ustach, kiedy otwierała je, żeby zaprzeczyć. – Czuję to. Mam taki dar. Dla pani dobra radzę, by pani przestała. Bo to się źle skończy. A kiedy pani zobaczy po raz kolejny Gniewka, niech pani do mnie zadzwoni.

Podniósł się. W jego kolanach coś nieprzyjemnie trzasnęło. Sięgnął do portfela i położył na blacie wizytówkę. Potem skierował się w stronę wyjścia. Mąż dyrektorki westchnął z ulgą. Przetarł palcami włosy i spojrzał na powoli podnoszącą się z podłogi Klementynę.

– Niech pani sobie weźmie trzy dni wolnego – powiedział. – Załatwię to z żoną.

– Jutro jest sobota.

– To niech pani weźmie sobie cztery dni wolnego – rzucił, lekko zirytowany.

Poszła za nimi. Nie z uprzejmości, tylko by się upewnić, że wyszli, i zamknąć za nimi drzwi. Zamarła, kiedy dostrzegła ojca Gniewomira w przedpokoju. Stał ze zmarszczonymi brwiami i wpatrywał się w zieloną kurtkę chłopaka zawieszoną na wieszaku. Nie zdążyła jej schować.

– To moja – powiedziała szybko, prawie krzyząc, choć zdawała sobie sprawę, jak idiotycznie brzmi to kłamstwo.

Ojciec Gniewomira drgnął.

– Co pani? – zapytał zaskoczony.

Nic nie rozumiała. Przecież patrzył na kurtkę Gniewomira. Musiał się domyślić, że chłopak jednak tu jest. A potem do niej dotarło, że się pomyliła. Patrzył na kurtkę, ale jej nie zauważył, a nawet jeśli, to nie poznał. Pewnie nie wiedział, w jakich ubraniach chodzi jego syn.

– To moja torebka – odparła i chwyciła torebkę wiszącą obok kurtki. – Niepotrzebnie jej szukałam. Zapomniałam, że ją tutaj odłożyłam.

Obaj mężczyźni popatrzyli na nią jak na wariatkę.

– Ten Weiss... – zmienił temat ojciec Gniewomira.

– Tak?

– Jakby chciała go pani sprzedać, to też niech się pani do mnie odezwie.

– Dobrze.

Wyszli. Zamknęła za nimi drzwi i zasunęła wszystkie zamki. Potem pobiegła na balkon. Gniewomir stał tam bez ruchu, wciąż przyklejony do ściany. Chłopak był blady i drżał z zimna.

– Poszli już – powiedziała Klementyna i wciągnęła go do mieszkania, a następnie usadziła na kanapie. Potem poszła do kuchni, żeby przygotować mu ciepłą herbatę.

Kiedy czekała, aż zagotuje się woda w czajniku, dotknęła opuchniętej wargi, z której ciągle sączyła się krew. Przypomniała sobie, jak ojciec Gniewomira ją uderzył. Jak chwycił ją za twarz. Przypomniała sobie bezwzględność w jego oczach. I pomyślała, że Gniewko ma rację. Ten mężczyzna jest gotów zabić własnego syna, jeśli tylko będzie to konieczne. A skoro tak, to ten sam los może spotkać i ją.

Na jedną z pierwszych randek Bartek wywiózł Elę poza Warszawę. Jeździł wtedy rozklekotanym, starym daewoo tico. Zabrał ją w okolice Góry Kalwarii. Znał tam jedno miejsce, niewielką polanę na skarpie nad Wisłą, gdzie dało się podjechać samochodem, a najbliższe zabudowania znajdowały się ponad sto metrów dalej. Przyjechali wieczorem. Było cicho, spokojnie. Ze skarpy mieli piękny widok na leniwie płynącą w dole Wisłę. Kiedy zrobiło się ciemno, rozłożył koc i wyjął z bagażnika teleskop. Pokazywał Eli kolejne gwiazdozbiory i opowiadał astronomiczne ciekawostki. Młody, jurny i zakochany, miał nadzieję, że tyle wystarczy, by zdjąć z niej ubrania. Pewnie by mu się udało, gdyby akurat nie zjawił się tam jakiś ojciec z kilkuletnim synem. Rozłożyli się kilka metrów od nich. Poza tym wokół latało mnóstwo komarów, więc Bartek z Elą dość szybko stamtąd uciekli. Pomimo tego miło wspominał tamten wieczór i wiedział, że ona również. Kiedyś wyznała mu, że wtedy właśnie się w nim zakochała. I może właśnie dlatego to tu umówił się z osobą, z którą rozmawiał przez Messengera.

Liczył, że przyjdzie też Ela. Z godziny na godzinę coraz mniej wierzył w opowieść Klementyny i Gniewomira. Uważał, że z tą kobietą coś jest nie tak, a chłopak zachowuje się jak opóźniony w rozwoju. Coś im się przywidziało albo wmówili sobie nawzajem, że widzieli coś, co nie miało miejsca. Poza tym jeśli Ela by zginęła, to ktoś znalazłby jej ciało. A skoro ciała nie było, nie mogło być też mowy o śmierci.

Wymyślił więc, że spotkają się właśnie tutaj i porozmawiają o tym, co się między nimi wydarzyło. A potem spróbują może zapomnieć o straconych latach, o zdradzie, bo choć go bolała, mógł ją wybaczyć, o straconym dziecku i dadzą sobie po prostu jeszcze jedną szansę. To właśnie powtarzał w myślach. To właśnie chciał jej powiedzieć.

Chociaż nie pozbył się noża. Co minutę, dwie odpinał kurtkę, dotykał rękojęści i na powrót zapinał.

Czekał.

Samochód przyjechał piętnaście minut po umówionej godzinie. Najpierw Bartek usłyszał dźwięk silnika, potem opony walczące z ziemistą nawierzchnią. Wreszcie oślepiły go światła reflektorów. Zasłonił dłonią oczy, a do jego uszu dobiegł dźwięk otwieranych i po chwili zamykanych drzwiczek. I kroki. Dwoje ludzi. A kiedy wreszcie znowu zaczął widzieć, zorientował się, że żadne z nich nie jest Elą.

Młoda dziewczyna, bardzo młoda, nastolatka jeszcze. Obok niej starszy o kilka lat chłopak. Nie znał ich. Przez chwilę myślał, że pojawili się tutaj przypadkiem. Przyjechali na randkę, tak jak on z Elą lata temu. Ale oboje wpatrywali się w niego wyczekująco i w końcu zrozumiał, że to właśnie z nimi umówił się na tym odludziu.

– To wy... – odezwał się pierwszy. – To z wami się umówiłem.

Dziewczyna spojrzała bojaźliwie na swojego towarzysza, a gdy ten skinął jej głową i zachęcającym gestem wskazał na Bartka, sięgnęła do kieszeni, wyjęła coś i podeszła bliżej, trzymając przedmiot na wyciągniętej dłoni.

– Bardzo pana przepraszam. To nie było specjalnie. Proszę nic nie mówić mojej mamie.

Dopiero po chwili dotarło do niego, co to jest. Komórka. Taka sama jak Eli. Potrzebował kolejnych paru sekund, żeby skojarzyć fakty. To telefon jego żony. A Ela zainstalowała na nim Messengera.

– Skąd go masz? – zapytał.

– Wypadł pani Eli z torebki i nie zdążyłam oddać... – dziewczyna mówiła na jednym wydechu, jej głos łamał się, niemal słyszał w nim płacz. – Błagam, proszę nic nie mówić mojej mamie. To wszystko moja wina, przepraszam.

– Gdzie jest Ela? – zapytał, bo tylko to go teraz interesowało.

Nastolatka zerknęła spłoszona na stojącego nieopodal chłopaka.

– Nie... Nie wiem. Ja tylko chciałam oddać telefon.

– Gówno mnie obchodzi telefon! Gdzie jest moja żona?!

Dziewczyna wyglądała tak, jakby zaraz miała rzucić się do ucieczki, a Bartek był nawet gotów ją gonić. Przyjechał tu po odpowiedzi i zamierzał je zdobyć. Serce waliło mu jak młotem. Myśli kotłowały się pod czaszką. Ta dziwna dwójka, skradziony telefon Eli, rozmowy przez Messengera, opowieść Klementyny i Gniewomira. Wszystko to się mieszało, tworzyło jeden wielki

chaos, którego nie potrafił opanować.

Chłopak zrobił dwa kroki do przodu. Wyciągnął przed siebie dłonie w obronnym geście.

– Pan jest mężem pani Eli, prawda? Rozpoznaję, bo widzieliśmy na zdjęciach w telefonie. Wiem, że nie powinniśmy ich oglądać, ale...

– Gdzie jest moja żona?! – powtórzył pytanie.

– Bardzo przepraszam, ale nie wiemy! Koleżanka chciała tylko oddać telefon. Nie ukradła go. Zapomniała po prostu, że go ma, a kiedy chciała oddać, pani Ela już nie pojawiła się w szkole.

Bartek nie wierzył w ani jedno słowo.

– Moja mama mówi, że pani Ela się zwolniła – dorzuciła dziewczyna.

Nagle skojarzył. To córka dyrektorki szkoły. Kolejny klocek wskoczył na swoje miejsce. Dziewczyna nie chciała, żeby opowiedział jej matce o romansie męża. Chroniła ją. I wtedy wszystko zrozumiał.

– To ty ją zabiłaś – powiedział.

– Co... co... co... Co takiego?! Zabiłam?! Panią Elę?!

– Moja żona spotykała się z twoim ojcem. Dowiedziałas się o tym. Bałaś się, że matka się dowie, i dlatego zabiłaś Elę. Zrobiłaś to w szkole! Masz tam łatwy dostęp, doskonale znasz budynek. Potem pozbyłaś się ciała, a ty – wskazał na chłopaka – pewnie jej w tym pomogłeś, co?! Razem ukryliście ciało!

Dziewczyna popatrzyła na niego z przerażeniem. Na przemian otwierała i zamykała usta, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odezwał się za to chłopak. – Nikt nikogo nie zabił. Chcieliśmy tylko oddać telefon.

Bartek rozpiął kurtkę i wyjął nóż.

– Powiecie mi, co z nią zrobiliście! – ryknął. – Powiecie mi, gdzie jest ciało Eli!

Dziewczyna pisnęła, kiedy zrobił krok w jej kierunku. Chłopak pociągnął ją w tył, szarpnął tak mocno, że poleciała prosto na samochód i wylądowała na masce. A potem stanął przed Bartkiem.

– Niech się pan uspokoi! – zawołał, jednak ten w ogóle nie zwrócił na to uwagi, tylko kopnął go w udo i zamierzył się nożem. Nie trafił. Chłopak zdążył

uskoczył i chwycił mężczyznę za rękę. Spletli się w uścisku. Zaczęli się szamotać. Bartek próbował powtórnie wymierzyć mu cios kolanem lub chociaż nadepnąć na stopę. Przede wszystkim chciał jednak uwolnić rękę z nożem. Tamten okazał się jednak silniejszy, niż się spodziewał. W ciszy rozchodziły się ich chrapliwe oddechy. W pewnym momencie chłopak odgiął się w tył, a potem wymierzył cios z główki. Bartek dostał w nasadę nosa. W głowie mu zadudniło, poczuł okropne pieczenie, a do oczu napłynęły łzy. Wrzasnął wściekle i z całych sił napał na chłopaka. Nie wiedział, co robić dalej, chciał tylko dotrwać do chwili, kiedy świat przestanie wokół niego wirować. Przepchnął chłopaka o kilka metrów, aż nagle ziemia osunęła mu się spod stóp i obaj stoczyli się w dół skarpy.

Nawet nie poczuł tego ukłucia. Momentu, kiedy kilka centymetrów zimnej stali wbijało się w jego ciało. Ale krew już wylewała się z rany w rytm oddechu. Miał jeszcze dość siły, żeby wstać. Żeby zauważyć podnoszącego się z ziemi chłopaka, wpatrującego się w niego szeroko otwartymi oczami. Poczł rękę noża w swojej dłoni. Zrobił dwa kroki, a potem upadł.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył w życiu, były gwiazdy na ciemnym niebie. Te same gwiazdy, które lata temu pokazywał tu Eli.

PRZERWA

- Dlaczego mówiła pani, że była sama?
- Kiedy?
- Wtedy, kiedy zabiła pani swoją córkę.
- Znowu do tego wracasz?
- Tak.
- Oczywiście, że tak.
- To dlaczego była pani sama?
- Bo byłam sama.
- A pani mąż?
- Mój mąż... Nie było go w domu.
- Pracował?
- Pracował. Ukrywał się. Walczył o wolną Polskę.
- Nie rozumiem.
- Ja też nie do końca. Takie mieliśmy wtedy czasy.
- To dlaczego pani za niego wyszła, skoro zostawił panią samą?
- To trudno wytłumaczyć.
- Dlaczego?
- A dlaczego ty zadajesz tyle pytań?
- Bo mnie to ciekawi.
- No jasne... Wyszłam za niego za mąż, bo byłam młoda i głupia, a on przystojny, do tego grał na gitarze i opowiadał dużo o Kuroniu, wolności i Polsce. Wtedy to było modne. Poza tym wiedziałam, że kiedy się z nim związę, to zdenerwuję ojca.
- Ludzie biorą ślub, żeby zdenerwować rodziców?
- Czasami tak.
- Dziwne.
- To prawda.
- I on potem panią zostawił?
- Polska okazała się ważniejsza. Solidarność okazała się ważniejsza. Polityka

okazała się ważniejsza. Precz z komuną okazało się ważniejsze. Zostałam ja. Nasze dziecko, którym nie potrafiłam się zajmować.

– A pani rodzice? Nie pomogli?

– Mama przychodziła czasami. Ale rzadko. Musiała się wymykać.

– Dlaczego?

– Ojciec jej zabronił do mnie przychodzić. Pomagać mi. Dawać pieniądze.

– Nie rozumiem.

– Przez mojego męża. Ojciec był komunistą, a przynajmniej oportunistą, więc mówił, że jak sobie takiego wzięłam, to sama mam się z nim męczyć. I tyle.

– Ciągle nie rozumiem.

– To może przestań pytać?

– Dobrze.

– Byłam sama. Staralam się, jak mogłam, ale robiłam wszystko źle. Czasami tak jest. Chcesz dobrze, ale robisz źle.

LEKCJA SIÓDMA

1

– On chyba nie żyje – powiedziała Karolina.

– Tak.

– O mój Boże... O mój Boże! Co my teraz zrobimy? Musimy zadzwonić po policję, po pogotowie, po mamę...

Sławek podszedł do dziewczyny, chwycił mocno w ramiona i przytulił. Trzymał ją tak, mruczając: „Cicho, cii... już dobrze”, i dając czas, żeby się uspokoiła. Potem zaprowadził do samochodu, pomógł wsiąść i pogłaskał po zapłakanej twarzy.

– Będzie dobrze – zapewnił.

– Zadzwonimy po policję? – zapytała.

– Nie możemy.

– Dlaczego?

– A jak wytłumaczymy to, skąd się tu wzięliśmy? Po co przyjechaliśmy? Co tu robimy? Poza tym mam jego krew na kurtce, widzisz? Dźgnął się, kiedy turlaliśmy się w dół, tylko kto w to uwierzy? Pomyślą, że zwabiliśmy go tutaj, żeby zabić. A potem zaczną pytać o panią Elę, bo masz jej telefon, i pójdą do twojego ojca, do twojej mamy. To się nie skończy dobrze, Karolina. Po prostu nie.

Ścisnął ją za dłoń. Spojrzał prosto w przerażone oczy.

– Proszę cię... – szepnął. – Popatrz na mnie. Ja też się boję. Ale oni nigdy nie uwierzą, że sam to sobie zrobił. Pójdę do więzienia.

– Może da się im wytłumaczyć...

– Jak?

Nie wiedziała. Rozejrzała się bezradnie dookoła. Potem podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami.

– To co zrobimy? – zapytała szeptem.

– Będziemy udawać, że nigdy nas tutaj nie było.

Dziewczyna jeszcze się wahała. Jeszcze nie wiedziała, co powinna zrobić.

– Pomyśl o rodzicach. Pomyśl o mamie.

Dopiero wtedy niepewnie skinęła głową, a Sławek odetchnął z ulgą. Nachylił się nad Karoliną, zamarł nad jej czołem na dwa oddechy i pocałował delikatnie w czoło.

– Dziękuję – powiedział.

– Jedźmy już stąd.

– Jeszcze nie. Najpierw muszę coś zrobić.

Spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc.

– To nie zajmie długo – uspokoił ją. – Tylko chwileczkę.

– Dobrze – odparła tak cicho, że ledwo usłyszał. Właściwie to tylko poruszyła ustami.

– Daj mi swoją komórkę – poprosił.

– Dlaczego?

– Żebyś nie zmieniła zdania.

– Nie zmienię.

– Proszę cię. Zrób to dla mnie, żebym był spokojniejszy.

Sięgnęła do kieszeni i podała mu swój telefon i aparat pani Eli. Wrzucił je do kieszeni kurtki, a potem pogłaskał raz jeszcze dziewczynę po policzku.

– To zajmie tylko kilka minut.

Zszedł w dół skarpy do miejsca, gdzie leżało ciało mężczyzny. Ojciec już dawno przestał być dla Sławka autorytetem w jakiegokolwiek dziedzinie, ale teraz chłopak naprawdę żałował, że nie może do niego zadzwonić i spytać, co powinien zrobić. Ojciec, nawet jeśli nigdy nie ukrywał ciała (a Sławek podejrzewał, że zrobił to przynajmniej raz), na pewno znał kogoś, kto miał sporą wiedzę na ten temat.

Najpierw zajął się nożem. Leżał niedaleko ciała. Były też na nim jego własne odciski, więc Sławek odłożył go na bok. Zdecydował, że wróci do niego później, i zaczął się rozglądać dookoła. Na dole, kilkaset metrów dalej, dostrzegł niewielki staw. Chwycił ciało i pociągnął w górę. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że jest zbyt ciężkie i po kilkunastu krokach opuścił je na ziemię. Zgiął się wpół i dyszał, z trudem łapiąc oddech. Nie mógł jednak teraz się

poddać. Zostało mu jeszcze trochę pracy. Nie próbował już podnosić ciała, tylko złapał trupa pod ramiona i ciągnął za sobą. Podmokły teren utrudniał mu zadanie. Po drodze Sławek wywrócił się dwa razy, prosto w błoto. Zapadał się w nim po kostki. Kiedy wreszcie dotarł do jeziora – mniejszego, niż się spodziewał – był już cały mokry. Przepocona koszulka lepiła mu się do ciała, twarz miał czerwona, a przed oczami mroczki. Zrobił sobie krótką przerwę. Musiał szybko wracać do Karoliny. Przecież została sama w samochodzie. Co prawda zabrał jej telefon, ale kto wie, co się stanie, jeśli spanikuje.

Przeszukał ciało. Schował do kieszeni komórkę i portfel. Zaczął macać teren dookoła w poszukiwaniu kamieni, jednak nic nie znalazł. Już miał zakląć, kiedy kilkanaście metrów dalej dostrzegł niewielki, nieregularny pagórek. Podeszedł tam i niemal krzyknął z radości. Trafiał na nielegalne wysypisko. Ktoś wywiózł nad Wisłę gruz po remoncie domu lub mieszkania. Sławek szybko zebrał największe kawałki i wrócił do martwego mężczyzny. Obciążył ciało, ładując gruz do kieszeni i pod kurtkę, a potem wciągnął je do wody. W tym celu sam musiał zanurzyć się w jeziorze niemal po pas. Ale osiągnął cel – zwłoki poszły na dno.

Zmęczony, cały mokry i zziębnięty wspinał się z powrotem po skarpie, ślizgając się i przewracając co chwila. Szczękał zębami tak mocno, że bał się, że zaraz mu się skruszą. Po drodze zabrał nóż Bartka. Kiedy dotarł wreszcie na górę, zauważył stojący nieopodal samochód, którym musiał przyjechać tamten. Sławek nie miał jednak już siły się nim zajmować. Zdjął tylko tablice rejestracyjne i wrzucił do swojego bagażnika razem z nożem. To był kilkuletni fiat punto. Nic specjalnego. Przy odrobinie szczęścia ktoś pomyśli, że właściciel pożałował na złomowanie i po prostu go tam porzucił. Coś jak ta sterta gruzu na dole. Zawsze taniej wszystko wywieźć nad Wisłę niż na wysypisko. Fiat wtopi się w otoczenie, będzie na tym zadupiu wyglądał równie naturalnie jak drzewa w lesie.

Wgramolił się do swojego samochodu i szybko włączył ogrzewanie. Nie ruszył, chociaż zdawał sobie sprawę, że powinni jak najszybciej uciekać. Bał się, że w tym stanie po przejechaniu kilku kilometrów zaśnie za kierownicą, wpakuje się do rowu albo zderzy z nadjeżdżającym z naprzeciwka pojazdem.

– Wszystko w porządku? – zapytała Karolina.

Skinął głową. Oddychał. Odpoczywał. Tym razem to ona chwyciła go za

dłoń i ścisnęła pocieszająco. Pomyślał, że jej nie doceniał. Pomyślał, że może być silniejsza, niż się spodziewał.

– Zrobiłaś to? – zapytał.

– Co takiego?

– Zabiłaś panią Elę?

Odwrócił się do niej. Dostrzegł zdumienie w jej szeroko otwartych oczach.

– Mnie możesz powiedzieć – dodał łagodnie.

– Nie zabiłam jej.

– Jesteś pewna? – Zbliżył się do niej na tyle, na ile pozwalały samochodowe siedzenia. – To, co on mówił, miało sens. Sama mówiłaś, że widziałaś się z nią wieczorem, a następnego dnia twoja mama powiedziała, że się zwolniła.

– Nie... Nie... Jak możesz tak mówić? Jak możesz?!

Zamknęła oczy i zaczęła potrząsać energicznie głową.

– Karolina! Karolina!

Chciał ją chwycić, chciał ją do siebie przyciągnąć, jednak po raz pierwszy mu się wyrwała. Odepchnęła go.

– Nie! – syknęła. – Nie!

– Karolina! – odezwał się po chwili kojącym tonem. – Karolina, słyszałaś go. Miałaś okazję, miałaś motyw. Rozmawiałaś z nią.

– Ale jej nie zabiłam!

– Jesteś pewna?! Sama mi powiedziałaś, że niewiele pamiętasz z tamtego wieczora. Że się pokłóciliście, a potem nie wiesz, co się stało. Karolina, wściekłaś się! Właśnie się dowiedziałaś, że twój ojciec zdradza mamę! Ty chciałaś ją chronić, a tamta kobieta po prostu cię złała! Kazała ci sobie pójść! Coś mogło się stać! Tylko tyle mówię! Mówię, że coś mogło się stać, prawda? Karolina?

Dziewczyna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i wyglądała jak zjawą. Jak jedna z tych upiornych karykatur, które wysyłają sobie nawzajem dzieciaki, żeby się postraszyć.

– Coś mogło się stać? – zapytał raz jeszcze.

– Nie wiem – wyszeptała. – Może. Nie wiem.

– Czyli mogło.

– Przecież nic nie pamiętam. A pamiętałabym.

Pokręcił przecząco głową.

– To tak nie działa – powiedział. – Ludzie czasami zapominają. Odcinają się. Nie chcą pamiętać. Po prostu spróbuj sobie przypomnieć. Poszłaś tam. Kłóciłyście się. Zdenerwowałaś się. Ona kazała ci wyjść. I co potem się wydarzyło?

– Nie wiem.

– Może coś tam leżało, jakiś ostry przedmiot. To przecież szkoła. Nożyczki albo coś takiego. Może ona coś ci powiedziała, a ty wtedy... Spróbuj sobie przypomnieć. Pamiętasz jakiś ostry przedmiot? Cyrkiel? Nożyczki?

– Chyba tak.

– Co takiego?

– Nożyczki. Ona miała nożyczki. Coś wycinała. Chyba jakiś test. Czy zadania?

– Co wtedy czułaś? Gniew? Wściekłość?

– Chciałam, żeby dała spokój tatusiowi.

– Wzięłaś te nożyczki?

Na to pytanie nie odpowiedziała. Opadła na fotel, zwiesiła głowę i znieruchomiała, jak lalka do przeprowadzania testów zderzeniowych. I Sławek pomyślał, że to się właśnie teraz dzieje. Że w pewnym sensie pędzą prosto na betonową ścianę i zaraz się z nią zderzą z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. On i Karolina. Dziewczyna, której kilka dni temu jeszcze nawet nie znał.

– Myślisz, że naprawdę ją zabiłam? – zapytała.

– Miałaś motyw, miałaś okazję. Ale nie wiem. A ty? Jak myślisz?

Odpowiedziała mu cisza, tak głośna, jak najgwałtowniejsza z letnich burz.

– Myślę, że tak – odezwała się wreszcie Karolina nieobecny głosem. – Myślę, że ją zabiłam.

To był impuls. Sławek nie potrafił mu się oprzeć. Po prostu wiedział, że to jest coś, co powinien teraz zrobić. Właściwa rzecz. Pocałował ją. W usta. Delikatnie, właściwie ledwo ją dotknął, jednak na tyle, by poczuć wilgoć jej warg, smak pomadki do ust, fakturę skóry. Kiedy się od niej odsunął, zobaczył,

że płacze.

– Przepraszam – powiedział.

– Nie musisz – odparła i teraz to ona go pocałowała. Mocniej. Zachłanniej. Tak jak się całuje, kiedy ma się piętnaście lat. Całą sobą.

Potem odsunęli się od siebie. Sławek uruchomił silnik.

– Zawiozę cię do domu – oznajmił, a ona kiwnęła głową.

2

Koniec końców, tchórz zawsze wygrywa – pomyślała Klementyna. Bez żalu i rozczarowania, ale ze zwykłą dla siebie rezygnacją. Była tym, kim była, i nigdy nie przyszło z tego nic dobrego.

Patrzyła teraz na wyłaniający się z ciemności dom. Niewielki w porównaniu do pysznych rezydencji, które mijali w tym podwarszawskim miasteczku. Zaledwie jednopiętrowy, pobielany, z koszem do koszykówki zawieszonym nad garażowymi drzwiami. Otaczający go wielki ogród zapewne wiosną i latem eksplodował zielenią i zapachem rosnących w gęstych klombach kwiatów. Klementyna pomyślała, że Andrzej zawsze miał dobry gust.

Taksówkarz chrząknął znacząco i postukał palcem w taksometr. Wyświetlała się na nim trzycyfrowa liczba. Starszy, siwowłosy kierowca z wyraźną nadwagą niewiele mówił, za to sporo chrząkał, jakby coś go dusiło w gardle.

– Tak dużo? – zapytała.

– Dużo – zgodził się mężczyzna. – Nocna taryfa, pod Warszawę. Tanio się nie da.

Klementyna z bólem sięgnęła do portfela, wręczyła mu dwa banknoty stużłotowe i odebrała resztę. Jej skromne oszczędności właśnie mocno się skurczyły. A przed nią była jeszcze droga powrotna.

Wyszła z samochodu. Poczekwała, aż taksówka zawróci na szutrowej drodze, a potem śledziła ją wzrokiem, kiedy zniknęła za zakrętem. Noc była zimna, nieprzyjemna, mokra. Ciężkie, gęste i lepkie powietrze śmierdziało spalenizną.

Zerknęła na zegarek. Dochodziła północ. Zostawiła Gniewomira samego. Chłopak już spał. Położył się zresztą wcześniej, przytłoczony wydarzeniami całego dnia, ona zaś wykorzystała okazję, żeby wymknąć się z domu. Gniewomir, Bartek, Ela, ojciec Gniewomira, dyrektorka, szkoła, Marysia – to wszystko plątało jej się w głowie. Nie potrafiła nad tym zapanować. Odbijała się od ścian własnego mieszkania, niepewna, co właściwie powinna zrobić, aż w końcu tchórz wrócił, przejął kontrolę i podsunął rozwiązanie – uciec. Po prostu uciec. Zostawić Gniewomira, wyjechać, pozwolić, by wszystko działało się

bez niej. Bez jej udziału. Ale żeby uciec, potrzebowała pieniędzy. I tak znalazła się tutaj, przed domem w podwarszawskiej miejscowości zamieszkaną przez bogatych ludzi, którzy pomimo bogactwa ciągle palili w piecach śmieciami.

Podeszła do furtki. W jednym z okien ciągle świeciło się światło i dostrzegła poruszającą się męską sylwetkę. To dodało jej odwagi. Andrzej jeszcze nie spał. Będzie mogła z nim porozmawiać. Chwyciła za klamkę, ale nie mogła przekręcić w żadną stronę. Dopiero po chwili zauważyła domofon. Nacisnęła przycisk drżącym palcem.

Przez kilkanaście sekund nic się nie stało. Nie zdobyłaby się, by zadzwonić jeszcze raz, więc już miała odejść, kiedy usłyszała trzask w głośniku, a potem męski głos.

– Kto to?

Przejechała językiem po suchych wargach. Słyszała jego głos po raz pierwszy od ilu lat? Nie umiała sobie przypomnieć. Spotkali się, kiedy już wyszła z więzienia. W jakiejś dawno już zlikwidowanej kawiarni. Usiedli przy stoliku, naprzeciwko siebie. Obserwowała każdy jego ruch, kiedy wsypywał cukier do herbaty, a potem mieszał łyżeczką, objając ją raz za razem o białą ceramikę udającą porcelanę. Pamiętała, że jej serce biło wtedy jak szalone.

– Mój spowiednik twierdzi, że powinienem spróbować ci wybaczyć – odezwał się nagle. – Ale nie potrafię.

Potem wstał i wyszedł bez słowa. A teraz tylko jego mogła prosić o pomoc. Nie dało się upaść niżej.

– Ja – odezwała się do domofonu.

– To znaczy?

– Klementyna.

Przez chwilę sądziła, że po prostu odłożył słuchawkę, jednak kiedy się skupiła, wciąż słyszała jego oddech. Rozległo się brzęczenie i zdołała otworzyć furtkę. Weszła do środka. Poszła wyłożonym kostką brukową chodnikiem, mijając drewnianą huśtawkę oraz domek dla dzieci.

Andrzej otworzył drzwi, zanim zdążyła do nich dojść. Widziała jego ciemną sylwetkę w prostokącie jasnego światła, kiedy odsuwał się o krok i gestem kazał jej wejść do środka. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Bała się, że będzie jątrzymał na progu, w smrodzie spalenizny i na zimnie, ale w środku poczuła się

nieswojo. Było tam tak czysto. Tak przyjemnie. Tak radośnie. Białe ściany, drewniane schody, ładne meble. Zdjęcia zawieszona na ścianach. Andrzej z drugą żoną, młodszą od niego o dwadzieścia lat. Ze swoim dzieckiem, najpierw małym, potem większym.

– Ładny chłopiec – powiedziała, bo pomyślała, że w ten sposób sprawi mu przyjemność.

– Nie mów tak o nim – odpowiedział ostro. Tak ostro, jakby zaraz miał ją uderzyć. – Nie patrz na te zdjęcia.

– Dobrze.

– I bądź cicho. Marta i Krzysiek już śpią.

– Tak.

Włożył ręce do kieszeni spodni. Westchnął ciężko.

– Czego chcesz? – zapytał. – I skąd się tu w ogóle wzięłaś?

– Przyjechałam taksówką.

– Ale skąd się tutaj wzięłaś?! W moim domu. Skąd miałaś adres?!

– Znalazłam w dokumentach mamy, kiedy sprzątałam jej rzeczy. Nie wiem, skąd ona je miała.

Andrzej przez chwilę myślał, marszcząc czoło. Potem machnął ręką.

– Kontaktowałem się z nią kilka lat temu – wyjaśnił. – Zgubiłem gdzieś zdjęcia Dorotki. Musiały wypaść z pudła podczas przeprowadzki czy coś takiego. Zadzwoiłem do niej i zapytałem, czy mogłaby mi chociaż jedno przesłać. Przesłała.

– Nic o tym nie mówiła.

– Prosiłem, żeby tego nie robiła.

– Ach tak.

– Dobrze – mruknął. – Powiesz mi w takim razie, co tutaj robisz?

Nagle zdała sobie sprawę, że to będzie trudniejsze, niż się spodziewała. Coś ścisnęło ją za gardło i pomyślała, że nie wydobędzie już z siebie ani jednego słowa. Patrzyła tylko na Andrzeja, równie starego jak ona, i próbowała sobie przypomnieć tego młodego człowieka, który tak pięknie mówił o Polsce i wolności i w którym się zakochała, a przynajmniej tak sądziła, ale nie potrafiła. Zamiast tego widziała tylko tego faceta, prawie już jej obcego, który

siedział naprzeciwko niej w kawiarni, a potem popatrzył na nią z taką pogardą i nienawiścią w oczach, że prawie umarła. A może właśnie tak się stało. Przetrwiała proces. Przetrwiała odsiadkę. Zabiło ją jego spojrzenie.

– Klementyna?

Odetchnęła głęboko. Tak właśnie było, pomyślała, zabił ją wtedy. Przypomniała sobie, co czuła, idąc na tamto spotkanie. Nie spodziewała się wybaczenia z jego strony ani łzawego zakończenia, żadnych dobrych słów. Liczyła tylko i wyłącznie na cień nadziei, że kiedyś to, co minęło, naprawdę się skończy. Że także on weźmie na siebie malutki ciężar winy, który niosła na plecach. Że minął już czas pokuty. Ale on tylko zasłonił się swoim spowiednikiem. I uciekł tak, jak uciekał już wcześniej – w Polskę, walkę o wolność i politykę. Uzmysłowała sobie, że jednak jest jej za to wszystko coś winien, a iskra gniewu, malutka i drobna, rozbłysła w sercu Klementyny.

– Potrzebuję pieniędzy – powiedziała.

– Nie.

Odpowiedział tak szybko, że w pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Nie?

– Nie – powtórzył. – Myślisz, że nie wiem, jak to się skończy? Dam ci pieniądze, a ty znów przyjdiesz. Będiesz mnie nachodzić w pracy i w domu, zostanę z kolejną gębą do wyżywienia. Nie, żadnych pieniędzy, żadnej pomocy. A teraz idź stąd i nigdy już nie wracaj. Nie chcę cię widzieć do końca życia.

Znowu ta nienawiść. Znowu ta pogarda. Dokładnie taka sama jak wtedy. Ale wtedy pomyślała, że na nią zasługuje, że nie ma prawa się bronić. A teraz... teraz czuła się zmęczona.

– To była też twoja córka – powiedziała, zanim zdążyła się powstrzymać.

Jego twarz zrobiła się nagle czerwona. Zadrżał na całym ciele, jakby przeszedł przez niego prąd elektryczny.

– Jak śmiesz... – rzucił przez zaciśnięte zęby, jednak ona prawie go nie słyszała. Coś w niej pękło. Słowa same wydobywały się z jej ust, a Klementyna nie miała zamiaru ich zatrzymywać.

– To była też twoja córka. Miałeś ją kochać, a zostawiłeś mnie z nią samą. Samą jak palec!

– Ukrywałem się! Siedziałem w więzieniu!

– To po co się ukrywałeś? Po co siedziałeś w więzieniu? Miałeś córkę, miałeś rodzinę! Miałeś się nami opiekować! A zamiast tego wolałeś się bawić w partyzanta!

– To ty ją zabiłaś!

– A ty na to pozwoliłeś!

Uderzyła go otwartą dłonią w pierś. Lekko drgnął pod wpływem uderzenia. Widziała w jego oczach, że jest zaskoczony. Może nawet przestraszony.

– Co tu się dzieje?

Odwrócili się oboje. Na szczycie schodów stała kobieta. Trochę starsza niż ta na zdjęciach, jednak ta sama. Z długimi czarnymi włosami spiętymi w koński ogon i w ciepłym szlafroku.

– To... To... To sprawa z pracy.

– O tej porze?

– Już kończymy – powiedział Andrzej.

Potem chwycił Klementynę za ramię i wyprowadził na dwór. Nie opierała się. Poszli na tył domu. Tam stanął obok ławki, schylił się i zaczął grzebać przy nogach ogrodowego mebla. Klementyna obserwowała to ze zdziwieniem, jednak nie odezwała się ani słowem.

– Kurwa... – mruknął.

– Co się stało?

– Marta nie pozwala mi palić. Schowałem tutaj fajki, ale pewnie je znalazła i wyrzuciła.

Sięgnęła do torebki i podała mu swoją paczkę oraz zapalniczkę. Przyjął je z lekkim wahaniem, jednak chęć zapalenia przeważała nad obawą. Zaciągnął się dymem.

– Naprawdę potrzebuję tych pieniędzy – odezwała się, kiedy dotarł do połowy papierosa. – Inaczej bym do ciebie nie przyszła.

Westchnął ciężko.

– Ile potrzebujesz? – zapytał.

Nie przemyślała tego.

– Tysiąc, dwa, może trzy.

– Niezły rozstrzał.

– To dwa?

Skończył palić papierosa i rzucił go niedbałym ruchem na ziemię.

– Nic się nie zmieniło – powiedział. – Nie dam ci ani grosza.

Pokonał ją. Ta mała iskierka już zgasła. Znowu była sobą. Starą, zmęczoną kobietą. Tchórzem, który potrafi tylko uciekać.

– Potrzebuję pomocy – wyszeptała.

– Pomogłem ci – odparł.

Spojrzała na niego zaskoczona. Rozbawiło go to. Roześmiał się i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– A myślisz, że w jaki sposób dostałaś pracę?

– Zamieściłam CV w internecie i do mnie zadzwonili.

– Naprawdę sądzisz, że takie szkoły szukają pracowników po internecie? Że znajdują CV kogoś, kto nie pracował od lat i zatrudniają go od tak? – Pstryknął palcami. – Naprawdę w to wierzysz?

Zrobiło jej się słabo. Ścisnęła mocniej swoją torebkę, jakby zamierzała zaraz się nią bronić.

– Robię interesy z właścicielami tej szkoły – wyjaśnił Andrzej. – Chcieli wziąć kredyt w moim banku. Słyszałem, że twoja mama zmarła, a ty zostałam sama. Poprosiłem, by coś dla mnie zrobili. I tak właśnie załatwiłem ci robotę.

Chciała krzyknąć, zarzucić mu kłamstwo, jednak wiedziała, że mówi prawdę. To wszystko, co się wydarzyło, ten niewiarygodny zbieg okoliczności, ten przebłysk szczęścia, było jego zasługą. Ale, co dziwne, nie czuła wdzięczności. Ani krztyny. Po raz kolejny roztrzaskał się cały jej świat.

– Dziękuję – wyszeptała, bo to właśnie mówią grzeczne dziewczynki, kiedy ktoś zrobi dla nich coś miłego. Nawet jeśli tak naprawdę chcą mu napluć w twarz.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie, tylko po to, by uniknąć takich sytuacji jak teraz, kiedy przyjeżdżasz do mnie i żebrzesz o pieniądze. Nie ma takiej potrzeby. Zadbalem o to. Chcesz tysiąc, dwa, trzy? To poczekaj na wypłatę. I idź już sobie. Proszę.

Nie poruszyła się jednak. Ścisnęła jeszcze mocniej swoją torebkę.

– Dlaczego nie idziesz? – zapytał.

Wiedziała, że znienawidzi siebie za to, co zaraz powie. Ale musiała to zrobić.

– Dasz mi chociaż na taksówkę? – poprosiła błagalnym tonem.

Andrzej prychnął, a potem skinął głową. Poszedł na chwilę do domu. Gdy wrócił, odprowadził ją do furtki. Na koniec wcisnął jej w rękę dwustuzłotowy banknot.

3

– Gdzie byłaś?

Jego głos zatrzymał ją w połowie drogi do schodów. Zamarła, a potem powoli się odwróciła. Ojciec siedział w fotelu w salonie i natychmiast ją zauważył, kiedy próbowała się przemknąć do swojego pokoju. Głowa kiwała mu się na boki, jak jednej z tych zabawek, które ludzie kupują do samochodu. Wzrok miał zamglony, a w dłoni trzymał szklanekę z alkoholem. Obok stała w trzech czwartych opróżniona butelka Jacka Daniel'sa. Marynarka zwisała smętnie z oparcia jak zwykła szmata. Spod rozpiętej koszuli wyłaziły poskręcane ciemne włoski na klatce piersiowej. Karolina pomyślała, że ojciec przypomina menela i gdyby ktoś taki usiadł obok niej w metrze, przeszłaby na drugi kraniec wagonu, wzdrygając się z odrazy.

– Gdzie jest mama? – zapytała.

– Na górze – wymamrotał. – Śpi. Chyba...

Zwiesił głowę i przez chwilę wydawało się, że odpływa. Nagle jednak ją poderwał. Zamrugał dwa razy i pociągnął nosem.

– Gdzie byłaś? – powtórzył pytanie.

– U koleżanki.

– Której koleżanki?

W myślach pospiesznie przypominała sobie imiona dziewczyn z klasy. Musiała podać jedno z nich – takie, by ojciec uwierzył w to kłamstwo i zarazem nie zadzwonił do rodziców koleżanki, by sprawdzić słowa córki. Nagle, w przebłysku jakiegoś dziwnego olśnienia, zrozumiała, że niepotrzebnie tak się stara.

– I tak nie znasz – powiedziała.

– Może znam.

– Tato...

– No co?

– Do której klasy chodzę?

Zmarszczył brwi, kiedy usłyszał to pytanie. Potem podniósł dłoń, jakby liczył coś na palcach.

– Do ósmej – odparł.

– Ale do której ósmej. A czy b?

Patrzył na nią spode łba. Widziała, jak się męczy. Nie tylko dlatego, że nie znał odpowiedzi, ale także dlatego, że nie rozumiał, co się właściwie dzieje.

– Chryste, tato! – Wzniosła ręce. – A czy b! To tylko dwie klasy. Masz pięćdziesiąt procent szans, że trafisz!

– B! – wyrzucił z siebie.

To była poprawna odpowiedź, choć Karolina domyśliła się, że zgadywał.

– A – skłamała. – Chodzę do ósmej a.

Podniósł do ust szklanę i wypił potężny łyk. Wzdrygnął się, przełykając, i beknął cicho.

– Co to jest? Przesłuchanie, kurwa?

Miała wrażenie, że widzi go po raz pierwszy w życiu. Pomyślała, że ten człowiek jest dla niej kimś obcym. Kimś nieznanym. Kimś, kto nic o niej nie wie. Kimś, na kim w ogóle jej nie zależy. Po prostu przypadkiem mieszkają w tym samym domu.

– Jak to jest przesłuchanie, to chyba ja powinienem przesłuchiwać ciebie! – zawołał.

– Ty?! – Roześmiała się. – Przecież nawet nie wiesz, jakie pytania zadać!

Odstawił szklanę obok butelki i podniósł się z fotela, przytrzymując się oparcia. Chwiał się na miękkich nogach.

– Robisz się pyskata! – wymamrotał niewyraźnie. – Jak twoja mamusia! Jedno, kurwa, żmijowe plemię!

Poczuła, że jeśli tutaj zostanie i będą ciągnąć tę rozmowę, to zaraz zwymiotuje. Odwróciła się na pięcie. Popędziła na górę. On dalej za nią krzyczał.

– Skończysz jak ona! Smutna, kurwa, sucha cipa, której nikt nie kocha! Tak skończysz!

Wbiegła na piętro. Chciała się schować, ukryć tam, gdzie ojciec nie wejdzie. Dlatego wybrała ten pokój – sypialnię rodziców. W środku panowała zupełna

ciemność. Ciężkie zasłony na oknach były zasłonięte. Jedyne źródło światła stanowiła cienka szpara pod drzwiami. Karolina musiała polegać na swojej pamięci. Ostrożnie stawiała kroki, macając przestrzeń przed sobą, aż wreszcie dotarła do masywnej bryły łóżka. Zdjęła buty i wsunęła się pod kołdrę. Rozkosznie ciepła pościel pachniała perfumami. Dziewczyna odszukała palcami ciało mamy, dotknęła koszuli nocnej, potem jej dłoń powędrowała w górę, aż poczuła gołą skórę na karku i przysunęła się do mamy. Objęła ją mocno i przytuliła się do jej pleców. Zamknęła oczy. Słyszała miarowy oddech mamy, bicie serca. I z każdym uderzeniem wzbierał w niej płacz. Na początku próbowała go hamować, ale wkrótce zrozumiała, że nie jest w stanie. Łzy same z niej wypływały. Z ust wydobył się przeciągły jęk. Jeszcze mocniej wtuliła się w matkę. Tak mocno, jakby próbowała się w nią wpasować. Jakby szukała kryjówki wewnątrz jej ciała.

Matka przewróciła się na bok. Dotknęła dłonią najpierw twarzy, a potem włosów córki. Macała ją, jakby ugniatała ciasto.

– Karolina? – zapytała.

– Tak, mamo.

– Aha... To ty...

– To ja. Mamo...

– Co takiego?

Jakaś jej część kazała jej milczeć. Szeptala do niej głosem Sławomira, miała jego twarz. Podsuwała wspomnienie pocałunku w samochodzie tam, nad Wisłą, a potem drugiego, kiedy odwoził ją do domu. I przypominała jego słowa – nic nikomu nie mów. Jeśli komuś coś zdradzisz, pójdę do więzienia. A Karolina nie chciała, by szedł do więzienia. Nie chciała, by zniknął z jej życia. Kochała go. Czowała, że jest najbliższym człowiekiem na całym świecie. Zależało mu na niej, chronił ją, więc i ona będzie chronić jego. Ale inna jej część nie miała twarzy ani głosu. Nic nie mówiła. Była bezkształtną, szarą masą, ciężarem tych wszystkich wydarzeń, męczarnią wspomnień, drutem kolczastym wyrzutów sumienia. Karolina czuła, że musi ją z siebie wyrzucić, inaczej ciało pęknie pod tym naporem. Zapadnie się i zgnije.

– Muszę ci coś powiedzieć, mamo – wyszeptala. – Stało się coś strasznego.

Mama podniosła się na łokciu. Ciemna sylwetka, ledwo co widoczna

w mroku sypialni i nagle tak odległa, jakby dzieliło je tysiąc lat, a nie kilkanaście centymetrów.

– Jestem taka zmęczona, Karolina – powiedziała z pretensją w głosie, opadając z powrotem na poduszkę. – Jutro mi wszystko opowiesz. A teraz chodźmy spać.

Ona jednak wiedziała, że jutro niczego nie będzie. Mama albo zapomni o całej rozmowie, albo w ogóle nie poruszy tematu. A może sama zacznie opowiadać o swoich problemach i nie dopuści nikogo innego do głosu. Co najwyżej zapyta Karolinę, czy odrobiła już lekcje, ale potem przypomni sobie, że jest sobota.

– Zrób mi trochę miejsca – dodała matka, obracając się z powrotem na bok. – Wpychasz się we mnie tak, jakbyś chciała mnie zrzucić z łóżka.

– Dobrze, mamo.

Przez chwilę tak leżały, aż mama na powrót zasnęła. Karolina wstała, odszukała w ciemności swoje buty i wyszła z sypialni. Nie wiedziała dlaczego, ale zeszła z powrotem na dół. Ojca znalazła w tym samym miejscu i w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła. Tylko szklanka z alkoholem wydawała się trochę pełniejsza, a butelka trochę bardziej pusta.

– Jak? – zapytała i poczuła, że to jedyne, co jest w stanie powiedzieć. Że już żadne inne słowo nie przejdzie jej przez gardło. Że jest zbyt wyczerpana, by rozwinąć to pytanie. „Jak” – tylko do tego była zdolna, jednak, o dziwo, ojciec w jakiś sposób ją zrozumiał. Podniósł szklanekę, uśmiechnął się pod nosem, napił się.

– Przyzwyczaisz się – powiedział. – Szybciej, niż myślisz.

Poszła do swojego pokoju. Wspinając się po raz kolejny po schodach na piętro, pomyślała, że ta krótka wymiana zdań to pomimo wszystko najstraszniejsza rzecz, jaka jej się przydarzyła tego dnia.

4

Chociaż trudno było w to uwierzyć, mieszkanie matki wyglądało gorzej niż rano. Wszystkie szafki i szuflady zostały otwarte, a ich zawartość wyrzucona. Na podłodze w kolorowy wzór układały się bluzki, staniki, majtki i spódnice. Wśród nich lśniły jak małe klejnoty kawałki rozbitego szkła.

Sławek ostrożnie wszedł do środka. Na ścianie zamiast telewizora dostrzegł tylko hak do jego mocowania. Brakowało też małej wieży grającej i komputera matki.

Usłyszał ruch z boku. Odwrócił się błyskawicznie, unosząc ręce do boksterskiej gardy, i zaraz je opuścił, kiedy zobaczył ojca. Mężczyzna skrzywił się lekko na widok syna i poszedł do kuchni. Zaczął zaglądać do szafek, aż wreszcie w jednej z nich znalazł szklanekę. Nalał sobie wody i wypił ją duszkiem.

– Kurwa – mruknął, wrzucając szklanekę do zlewu.

– Co tu się stało? – zapytał Sławek.

Ojciec oparł się o kuchenny blat.

– Równie dobrze mógłbym ciebie zapytać. To ty miałeś pilnować matki.

– Musiałem wyjść.

– No to, kurwa, sobie wyszedłeś. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

Sławek postanowił nie reagować na zaczepkę.

– Gdzie mama?

Ojciec gestem wskazał mu sypialnię. Chłopak poszedł tam i ujrzał matkę leżącą na łóżku. Całkiem pijaną. Z jej ust sączyła się strużka śliny, włosy miała w kompletnym nieładzie. Goła od pasa w dół, leżała na brzuchu, z szeroko rozłożonymi nogami, więc Sławek doskonale widział pośladki i pomarszczone wargi sromowe. Wzdrygnął się. Podeszedł do łóżka, podniósł z ziemi kołdrę i zasłonił matkę.

– Mogłeś ją chociaż przykryć – rzucił do ojca, którego znalazł w salonie.

– A ty mogłeś ją chociaż pilnować. Tak jak ci kazałem – odparował. – A poza

tym przykryłem ją, pewnie skopała kołdrę.

Sławek rozejrzał się bezradnie dookoła i przeczesał palcami włosy.

– Na mój gust to ściągnęła sobie tutaj jakiegoś gacha, dała mu się przeruchać, a potem zasnęła, więc koleś skorzystał z okazji – ciągnął ojciec. – Nie doszłoby do tego, gdybyś robił, co ci się każe.

– Musiałem wyjść.

– No to wyszedłeś – mruknął ojciec, wzruszając ramionami.

– Wzywamy policję?

Tamten pokręcił przecząco głową.

– Tylko wstydu jej narobimy. Będzie musiała opowiadać, z kim się ruchała, gdzie go znalazła. A poza tym jest tak najebana, że pewnie sama nic nie pamięta. To nie ma sensu.

– To co?

– Jak to co? Posprzątasz tutaj.

– Ja?

– A kto inny? Raz jeszcze, Sławek, bo chyba do ciebie nie dotarło. To wszystko – ojciec zakreślił ręką szeroki krąg – to jest, kurwa, twoja wina. I na twoim miejscu to bym się cieszył, że ten koleś nie postanowił jej przy okazji zajebać. Pewnie dlatego, że mu dobrze obciągnęła.

– Przestań tak o niej mówić!

Mężczyzna zaśmiał się, widząc jego gniew. Sławka jeszcze bardziej to zdenerwowało. Chciał się na niego rzucić, pięściami zmyć mu ten pełen wyższości i lekceważenia uśmiezek z twarzy, a potem chwycić za gardło i wykrzyknąć, że nie jest już dzieckiem i nie można go tak traktować, że dzisiaj wieczorem zabił człowieka, a potem ukrył jego ciało w stawie. Ale kiedy tylko zrobił krok, zrozumiał, że nie potrafi. Coś ich dzieliło. Bariera, niewidzialny mur, zbudowany z tych wszystkich chwil, kiedy drżał ze strachu przed ojcem, kiedy się przed nim ukrywał, uciekał na kolejną imprezę, w kolejne pijaństwo, w kolejne ostre ćpanie – i ten mur teraz go chronił. Nie chodziło o to, że Sławek bał się ojca. To było coś głębszego, bardziej pierwotnego. Instynktowny szacunek, wpojony przez lata bolesną tresurą. Jak u młodego wilka, który boi się rzucić wyzwanie samcowi alfa, nawet jeśli ten jest już stary i powłóczy łapami.

– Nic jej nie będzie – powiedział ojciec. – Skończy się na kacu. Trochę poszło, ale potem dojdzie do siebie, znowu się nawali i jeszcze pewnie kilka razy odwali taki numer, zanim...

– Zanim co? – przerwał mu Sławek. – Zapije się na śmierć? Wpadnie pod samochód? Powiesi się?

– Jedna z tych rzeczy – przyznał.

– Jak możesz mówić coś takiego?

– Synek, nie próbuj mnie teraz wpędzać w wyrzuty sumienia. Miałem lepszych prawników niż twoja matka. Jakbym chciał, to po rozwodzie gównem by dostała. A dostała to, co chciała. Mieszkanie, alimenty, kasę na koncie na start. Ma życie jak w jebanym Madrycie. To wszystko, co się teraz dzieje, jest tylko jej winą. Nikogo innego. Tylko jej. Sama to sobie zrobiła.

– No tak. Bo najłatwiej wyrzucić kasę z portfela i umyć ręce.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Ktoś musiał zarobić na tę twoją knajpkę – powiedział.

Sławek już miał się odgryźć, że gdyby wiedział, jak często ojciec będzie mu to wypominał, nigdy nie brałby tych pieniędzy. Ale ugryzł się w język. Czuł się wyczerpany. Chciał już tylko, by ojciec sobie poszedł. Zostawił go z matką w mieszkaniu. Pozwolił im obojgu odpocząć.

– A skoro już o tym mówimy – ojciec nie dawał za wygraną – musimy poważnie pogadać. Dlatego zresztą tutaj jestem. Miałem nadzieję, że cię tu zastanę.

– Mogłeś zadzwonić.

– To nie jest rozmowa na telefon.

Sławek usiadł na kanapie.

– Co jest? – zapytał.

– Trochę się nam sytuacja komplikuje. Chodzą za mną prokuratorzy z Wrocławia, badają moje biznesy. Co jeszcze nie jest taką wielką tragedią, bo wiadomo było, że prędzej czy później ktoś się tym zainteresuje.

– Okej.

– Rzecz w tym, synek, że wyszedł też temat hmm... prezentów, które dawałem pewnym przyjaciółom. I to mnie zaczyna już na serio martwić.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ci współczuję – rzucił sarkastycznie Sławek.

– Powinieneś. Szczególnie że temat dotyczy głównie ciebie.

Chłopak wyprostował się. Coś w głosie ojca, nie groźba, raczej pełna złości satysfakcja, sprawiło, że dreszcz przeszedł mu po plecach. Ojciec odgrywał przed nim przedstawienie, a teraz zbliżał się do wielkiego finału i nie mógł się doczekać, by zobaczyć, jakie wrażenie zrobi na swojej jednoosobowej widowni.

– O co chodzi?

– Chodzi o to, synek, że tych prezentów to ja nie wręczałem. Robiłeś to, synek, ty. Za każdym cholernym razem.

Sławek wiedział, że teraz musi się skupić. Nie mógł stracić nad sobą panowania. Odetchnął głęboko.

– Nie wiedziałem, co jest w tych paczkach.

– Och, już nie pierdol – zachnął się ojciec. – Przynajmniej nie mi. Zachowaj coś dla śledczych.

– Będą mnie przesłuchiwać?

– Pewnie będą – przyznał. – Przynajmniej takie dochodzą mnie słuchy. Rzecz w tym, synek, i teraz się skup, weźmiesz winę na siebie.

– Co?!

– To, co słyszysz. Weźmiesz winę na siebie. Powiesz, że ty wręczałeś łapówki, ty wszystko załatwiałeś. Ja o niczym nie wiedziałem. – Wykonał gest, jakby mył ręce.

– I kto w to uwierzy? Przecież te wszystkie kamienice są na ciebie!

– Na mnie? – Ojciec prychnął. – Ocipiałeś? Myślisz, że ja głupi jestem? Te kamienice są na spółki cypryjskie, karaibskie, takie i srakie. Zawsze wszystko w rękawiczkach robiłem. Przez pełnomocnika, który reprezentował słupa, który robił za coś tam. Ja jestem za poważny businessmen, żeby na siebie te roszczenia skupować.

– Ale ja miałbym dawać łapówki?

– Tak wyszło, synek.

– To bez sensu.

– Pogadamy z prawnikami i tak to uszyjemy, że będzie i sens. O to już się nie martw. Mówiłem ci, synek – postukał się palcem w pierś – ja mam dobrych prawników.

Sławek nie wiedział, co się z nim dzieje. Czuł wściekłość i rozpacz równocześnie.

– Wyślesz własnego syna do więzienia? – zapytał, z trudem wydobywając z siebie słowa, chociaż przecież znał odpowiedź.

Ojciec założył ręce na piersi.

– Wiem, jak to brzmi – powiedział po chwili namysłu. – Chujowo.

– No dość.

– Ale to jest najlepsze rozwiązanie.

– Bo ja pójdę do mamra, a nie ty?

– Nie! – rzucił ostro ojciec. – Bo jak wezmą się za mnie, to nie wiadomo, do jakiego gówna się dokopią. A tak ucinamy ostro temat. Raz, dwa i trzy, koniec sprawy.

– Dla ciebie.

– Dla nas obu, Sławek. Różnica między nami jest taka: u mnie te łapówki będą dopiero początkiem całej historii, a u ciebie jej końcem. Dlatego jeśli ja stanę przed sądem, to pójdę do pierdla. Dojebią mi tyle, ile tylko to możliwe. A ty? Nigdy niekarany, młody, z dobrą opinią. Pewnie skończy się na zawiasach, w najgorszym wypadku na jakimś małym wyroku. Minie jak z bicza strzelił.

– A jeśli się nie zgodzę?

Ojciec podszedł do niego. Stanął tak blisko, że czubki ich butów właściwie się stykały.

– Zgodzisz się, synek – powiedział, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. Potem poklepał go po twarzy. Nie w przyjacielski sposób. Nie tak, jak czasami ojcowie szorstko wyrażają miłość. Zrobił to mocno. Zawarł w tym geście niewypowiedzianą groźbę, po czym ruszył w stronę wyjścia. Zatrzymał się jeszcze w progu i obrzucił spojrzeniem cały pokój. – Pamiętaj, żeby tutaj posprzątać – powiedział i wyszedł.

5

Klementyna wróciła do domu. Zajrzała do Gniewka. Ciągłe spał, nieświadomy tego, że gdziekolwiek wychodziła. Przyglądała mu się przez chwilę, a potem wzięła kąpiel, przebrała się w pidżamę i położyła do łóżka. Ale długo nie mogła zasnąć. W sumie nie miała pewności, czy tej nocy w ogóle zmrużyła oko.

Rano powiedziała chłopakowi, że wychodzi na zakupy, i opuściła mieszkanie. Sprawunki zajęły jej więcej czasu niż zazwyczaj. Nie spieszyła się. Powoli spacerowała ulicami Śródmieścia. Wybierała sklepy z najdłuższymi kolejkami. Długo zastanawiała się nad tym, co kupić, a czego nie. Grymasiła, zmieniała zdanie, zwracała towary, za które już zapłaciła, i brała inne. Po prostu odwlekała to, co miało się wydarzyć. I tyle. Dla niej ta historia właśnie się kończyła. Po wyjściu z ostatniego sklepu wyjęła z kieszeni wizytówkę i wykonała telefon.

W domu przygotowała jajecznicę na boczku. Skroiła świeży chleb, pachnący jeszcze i ciepły. Dodała do tego żółty ser, pomidory, ogórka. Pomyślała, że tyle jest właśnie winna chłopakowi – dobre śniadanie. Podała to wszystko na stół i usiadła naprzeciwko niego. Obserwowała, jak pałaszuje. Jedzenie po prostu w nim znikало. Zdziwiła się, gdy ten widok sprawił jej radość. Ciepło rozlało się po ciele Klementyny i żałowała, że ta chwila nie może trwać dłużej. A potem uświadomiła sobie, że przez te wszystkie dni karmiła go tylko kanapkami, ani razu nie podała porządnego obiadu. Poczowała wyrzuty sumienia.

Ciszę przerwało pukanie do drzwi. Gniewko zamarł z widelcem w połowie drogi do ust. Popatrzył na Klementynę. Wiedział już, że nikt jej nie odwiedza. Potrzebował chwili, by zrozumieć, połączyć fakty, wyczytać z twarzy nauczycielki prawdę. Poderwał się, trzymając widelec tak, jakby chciał go wbić w oko kobiety.

– Dlaczego? – zapytał.

Klementyna też wstała. Nie bała się go, po prostu zrobiło jej się przykro. Stał przed nią chłopiec z dłonią zaciśniętą na widelcu, drżał. Widziała w jego oczach błaganie, by zaprzeczyła, powiedziała, że to listonosz albo sąsiadka przyszła

pożyczyć szklanę cukru.

– Bo to ty ją zabiłeś – odparła.

– Nie.

– Miałeś motyw, Gniewko. Uderzyła cię w klasie. Miałeś okazję, bo sam mi powiedziałeś, że siedziałeś wtedy w szkole – mówiła powoli, bardzo starannie dobierając każde słowo. A to dlatego, że nie mówiła do niego, tylko do siebie samej. To ona musiała to usłyszeć. To ona musiała samą siebie przekonać. – Interesujesz się strasznymi mordercami. To nie jest normalne, ta twoja fascynacja makabrą, śmiercią, zabijaniem. Dawaleś Eli te wszystkie zboczone obrazki. Miałeś na jej punkcie obsesję. Poza tym genetyka. Widziałam twojego ojca. Jest gwałtowny. Straszny. Sam mówisz, że jest gotowy cię zabić. Ty masz te same geny. Te same cechy. Cechy zabójcy. Mogłeś to zrobić i to zrobiłeś.

– A mąż dyrektorki? A romans? A Facebook? – wyrzucał z siebie gorączkowo chłopak.

Pukanie rozległo się po raz kolejny. Tym razem głośniejsze, bardziej natarczywe. Klementyna przełknęła ślinę.

– Twoi rodzice uważają, że to zrobiłeś – powiedziała. – A oni znają cię najlepiej.

Odwróciła się do niego plecami i ruszyła do przedpokoju. Z każdym krokiem walczyła ze sobą, by się nie obejrzeć. Bała się, że chłopak nie wytrzyma, że pięknie i rzuci się na nią. Ale kiedy wreszcie na niego spojrzała, on ciągle stał tam, gdzie go zostawiła. Przy stole, nad talerzem z resztkami stygnącej jajecznicy.

Otworzyła drzwi ojcu Gniewomira. Tym razem pojawił się sam. Przeszedł do pokoju i zatrzymał się kilka metrów od syna. Chłopak spuścił głowę. Widelec wypadł mu z ręki i upadł z brzdękiem na podłogę.

– Długo tu jest? – zapytał mężczyzna.

Klementyna chciała zaprzeczyć. Skłamać, że pojawił się dopiero dzisiaj rano, jednak tamten nie dał jej na to szansy.

– Zresztą nieważne – mruknął. – Gniewomir, zbieraj swoje rzeczy. Wracamy do domu.

Chłopak był na granicy płaczu. Jego pierś podnosiła się spazmatycznie i opadała.

– Nie chcę – rzucił cicho.

Ojciec pokręcił głową. Podeszedł do niego i chwycił za kark tak, jak się chwyta niegrzecznego psa. Gniewomir jęknął z bólu, ale się poddał. Mężczyzna zaprowadził go do przedpokoju i pchnął w stronę drzwi.

– Ubieraj się – rozkazał.

Chłopak sięgnął po wiszącą nieopodal kurtkę. Zaczął ją powoli wkładać, siłując się z rękawami, jakby miał tylko cztery lata.

– Szybciej! – ryknął ojciec.

Gniewomir skulił się instynktownie. Włożył buty, jednak nie zawiązał sznurówek. Spojrzał na Klementynę, a ona na niego.

– Dawałem te rysunki – powiedział cicho. – Ale nie ja je rysowałem.

Ojciec chłopaka zmarszczył brwi. Zerknął podejrzliwie na Klementynę.

– O czym on mówi?

– Nie wiem – skłamała.

Przyglądał jej się kilka sekund, a potem pokiwał głową z uznaniem.

– Dobra odpowiedź – stwierdził. Sięgnął do kieszeni, wyjął portfel, a z niego spory plik banknotów i wręczył je nauczycielce. – To za opiekę – powiedział. – I straty moralne z wczoraj. A przede wszystkim za to, żeby pani zapomniała o wszystkim, co ten debil powiedział. Jasne?

Przyjęła pieniądze. Stuzłotówki. W pliku musiało być ich co najmniej dwadzieścia, może trzydzieści. Poczowała pogardę do samej siebie, że miała ochotę od razu je przeliczyć. Kiwnęła głową.

– To dobrze – mruknął i chciał coś jeszcze dodać, gdy rozdzwonił się jego telefon. Sięgnął po niego, spojrział na wyświetlacz i odebrał połączenie.

– Co jest, synek? – zapytał. – Tak, możemy się spotkać. Kiedy?

Usłyszał odpowiedź i się skrzywił.

– Teraz? Naprawdę? Co się tak spieszy?

Kolejna odpowiedź. Nerwowość w spojrzeniu mężczyzny.

– Ale co wiesz? Co konkretnie?

Chwila ciszy.

– Dobra. Gdzie chcesz się spotkać?

Zdziwienie malujące się na jego twarzy.

– W szkole Gniewka? Dlaczego, do kurwy nędzy, właśnie tam?

Przetarł dłonią czoło.

– Dobra. Mam go ze sobą. Siedź w tej szkole, Sławek. Już do ciebie jedziemy.

Rozłączył się i schował komórkę do kieszeni. Zerknął na Klementynę. Przez chwilę próbował sobie przypomnieć, co planował jej powiedzieć, jednak zrezygnował.

– Niech pani trzyma gębę na kłódkę – powtórzył tylko.

Potem chwycił Gniewomira za ramię i obaj wyszli.

Klementyna odetchnęła. Wróciła do pokoju i usiadła przy stole. Pomyślała, że powinna się cieszyć. Pozbyła się wreszcie chłopaka z mieszkania. Nie tak, jak planowała, nie tak, jak chciała, ale w końcu była sama. Odzyskała swoje życie i wyplątała się z tej idiotycznej awantury.

Jednak zamiast ulgi wypełniało ją to uczucie, które po raz pierwszy pojawiło się w jej sercu lata temu. Wtedy, kiedy w szpitalu lekarz powiedział, że córka Klementyny zmarła.

6

Pamiętała, że dziwnie na nią popatrzył, kiedy powiedziała tylko: „Rozumiem”. Starszy, siwy mężczyzna z włosami pokrytymi brylantyną pachniał intensywnie wodą kolońską Brutal i miał tak wykrochmalony fartuch, że można było nim ciąć chleb. Potem na procesie zeznawał, że nigdy w życiu nie widział tak pobitego dziecka, a – dodał, puszając się tym faktem – walczył w powstaniu. Sędzia pokiwała ze zrozumieniem głową. Ta kobieta znienawidziła ją od pierwszego wejrzenia, a może nawet od momentu, kiedy otworzyła akta sprawy. Ale Klementyna nie miała jej tego za złe. Nie broniła się specjalnie. Pozwoliła, żeby adwokat robił swoje (ten też specjalnie się nie starał), siedziała sztywno na miejscu dla oskarżonego ze wzrokiem wbitym wprost przed siebie i odzywała się wtedy, kiedy jej kazano. Podczas ogłaszania wyroku sędzia powiedziała, że nigdy w całej swojej karierze nie spotkała kogoś, kto okazywałby aż taką obojętność w stosunku do zła, które uczynił.

Potem te słowa do niej wracały. Brali ją za psychopatkę. Kogoś pozbawionego uczuć. Wycofana, wyobcowana, nie okazuje skruchy – te słowa, sformułowania powtarzały się w opiniach kolejnych więziennych wychowawców.

Nikomu nigdy nie przyszło do głowy, że Klementynie po prostu brakuje słów, by opowiedzieć to, co czuje. Nikt jej ich nie nauczył. Potrafiła wyrazić swój gniew, irytację, zniecierpliwienie i wściekłość, choć nie potrafiła opowiedzieć o swojej miłości, żalu i smutku, o wyrzutach sumienia, które dzień w dzień ścisnęły wewnątrz stalową pętlą, ani o snach, które dręczyły ją niemal każdej nocy.

Nigdy nikomu tego nie powiedziała. Nawet sobie samej. Nie pozwoliła, by te słowa wyleciały z jej ust, rozbrzmiały w przestrzeni, ale kochała córkę. Powiedziała, że rozumie, bo rozumiała. Właśnie skończył się świat Klementyny. Umarła razem ze swoim dzieckiem. I to wszystko wydarzyło się tylko przez nią. Katastrofa nadeszła i pozostawiła po sobie same zgliszcza.

Nie wiedziała jednak, jak o tym wszystkim opowiedzieć.

Tak jak teraz. Mieszkanie nagle zrobiło się zbyt puste i zbyt ciche. Wypełniała ją wstręt do samej siebie. Głęboka, sięgająca samego źródła jej istnienia pogarda. Poczucie, że bez niej świat stałby się lepszym miejscem. Była złem. Małym, nieistotnym i banalnym, ale złem.

Przy stole wciąż leżały rzeczy Gniewka. Zaczęła je zbierać. Chciała oddać mu je w szkole, jednak uświadomiła sobie, że chłopak pewnie już nie wróci na jej lekcje, a ją samą prawdopodobnie zwolnią przy pierwszej okazji.

Opadła na krzesło. Poczwała się słaba, słaba i zmęczona. Miała dość siebie samej.

Zrozumiała, że ona i Gniewko są do siebie podobni. Oboje niedorobieni. Brakuje im czegoś, co mają inni, niektórzy nawet w nadmiarze. Nie do końca wiedziała, co to takiego. Może empatia, chociaż sądziła, że potrafi wczuć się w innych ludzi. Współczuła Eli, zmartwiła się, kiedy usłyszała o śmierci Marysi, ale dopiero sny pozwoliły jej zrozumieć, co się działo w sercu Dorotki. Dlaczego Klementyna tutaj zawiodła? Pod wieloma względami nie pojmowała świata. Zawsze oddzielała ją od innych jakaś bariera. Zawsze była kimś obcym, kimś z boku, kimś, kogo nie powinno być. To samo dotyczyło Gniewka. Świat ich nie chciał i dawał im o tym znać na każdym kroku.

Uśmiechnęła się mimowolnie, kiedy pomyślała, że łączy ich jeszcze jedno. Obojgu im brakuje słów. To jego pożegnanie. Mógł powiedzieć tyle rzeczy. Podziękować, złorzeczyć, wybuchnąć gniewem, tłumaczyć się, wściekać, krzyczeć lub płakać. Zarzucić zdradę lub przekląć. Zamiast tego usłyszała: „Dawałem te rysunki, ale nie ja je rysowałem”. Żałosna wymówka. Zupełnie w jej stylu.

Zawiesiła wzrok na grafice Weissa na ścianie. Śledziła te delikatne linie, precyzyjne kreski, łączące się w niespodziewany sposób, żeby stworzyć całość. Ciemne plamy zmieniające się w kształty.

Zmarszczyła brwi. Słowa Gniewka wróciły, a razem z nimi inne. Głos ojca chłopaka, kiedy zjawił się tu po raz pierwszy: „Mój syn też nieźle rysuje. Nie ten debil, którego szukam, ale starszy...”.

Klementyna zadrzała. Zaczęła przeglądać rzeczy Gniewomira. Znalazła jego zeszyt. Przerzucała kartkę za kartką, aż znalazła kilka rysunków na marginesach. Nieporadne sylwetki, proste ludziki z dzidami, wykoślawione, marne i brzydkie. Ela pokazywała jej szkice od niego. Widziała je. Obrzydliwe,

a przy tym realistyczne i starannie wykonane, świadczyły o talencie. Gniewko nie mógłby ich wykonać.

Jednak jego brat najwyraźniej tak.

Jeszcze nie wiedziała, co o tym sądzić. Jeszcze wszystko kotłowało się w jej głowie, choć nawet nie próbowała tego ułożyć. Zrobi to potem. Bo teraz liczyło się tylko jedno. Popęłniła straszliwy błąd – zdradziła Gniewka. I czuła, że musi to naprawić. Musi go uratować.

Jechali do szkoły, przypomniała sobie. Mieli się tam spotkać z bratem chłopaka.

Dlaczego tam?

Opanował ją głęboki niepokój. Coś było nie tak. Zdarzy się coś strasznego, była tego pewna.

Nie wiedziała do końca, jak znalazła się w przedpokoju. Włożyła buty i zarzuciła płaszcz na ramiona, po czym popędziła w stronę stacji metra z nadzieją, że zdąży na czas. Że chociaż raz w życiu uda jej się naprawić swój błąd.

7

Telefon Karoliny zatańczył, wibrując na blacie biurka. Dziewczyna wcześniej wyciszyła dźwięk, więc teraz tylko obserwowała, jak aparat podskakuje i drży. Na ekranie wyświetlił się numer Sławka, a jej podbrzusze ścisnął lęk. Niepewnie podniosła komórkę i odebrała połączenie.

– Cześć... – szepnęła.

– Cześć.

– Mówiłeś, żebyśmy się nie kontaktowali przez kilka najbliższych dni.

Westchnął ciężko do słuchawki. Wyobraziła sobie, że w tej chwili przeczesuje dłonią swoje gęste włosy.

– Tak. Tak mówiłem – przytaknął. – Ale coś się stało. Coś złego.

– Co takiego?

– Lepiej nie rozmawiajmy o tym przez telefon.

Zagryzła wargę niemal do krwi. Lęk zmienił się w strach. Chciało jej się płakać. Pomyślała, że zaraz usłyszy na ulicy dźwięk syren radiowozów, a policjanci wpadną do domu, by ją aresztować. Wyobraźnia sama podsuwała kolejne obrazy, a potem przez tę lawinę koszmarów przebił się głos Sławka.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział.

– Tak. Oczywiście. Co mam zrobić?

– Chciałbym, żebyśmy się spotkali w szkole.

– W szkole? Przecież jest sobota.

– Właśnie. Jest tam ktoś teraz?

Zastanowiła się. Ojciec w weekendy do szkoły nie chodził. Mama w soboty spała do późna. Pojawiała się tam dopiero po południu.

– Teraz nie.

– Możesz wykraść rodzicom klucze?

Kiwnęła głową, a kiedy dotarło do niej, że on przecież jej nie widzi, dodała:

– Tak.

– Świetnie. Widzimy się przy wyjściu za dwadzieścia minut?

– Dobrze.

Pospiesznie się ubrała. Włożyła bluzę i spodnie dresowe. Zerknęła na swoje odbicie w lustrze i pomyślała, że cokolwiek by się działo, idzie jednak na spotkanie ze Sławkiem. Szybko zdjęła spodnie i włożyła rajstopy oraz spódniczkę do kolan. Bluzę zmieniła na nową, czystą. Przeczesła włosy, związała je gumką, a na końcu szybko przejechała rzęsy tuszem i maznęła usta pomadką.

Weszła do sypialni rodziców. Mama ciągle leżała w łóżku. Spała, pochrapując. W weekendy potrafiła spać do południa albo i dłużej, pomagając w tym sobie sporą dawką tabletek nasennych. Karolina odnalazła jej torebkę. Otworzyła ją, wyjęła klucze od szkoły i zbiegła na dół. W przedpokoju zarzuciła na siebie kurtkę, kiedy usłyszała głos ojca.

– Gdzie idziesz?

Odwróciła się. Ojciec ciągle miał na sobie to samo ubranie co poprzedniej nocy, tylko bardziej pogniecione. Zobaczyła jego bose stopy i za długie paznokcie. Nieustannie mrużył oczy. W tle grał telewizor nastawiony na TVN24.

Chciała odpyskować, że po wydarzeniach wczorajszej nocy, po ich rozmowie nie ma powodów, by z czegokolwiek się tłumaczyć, jednak pomyślała, że to droga donikąd. W najlepszym razie rozpoczną kolejną kłótnię, w najgorszym każe jej zostać w domu. Sławek na nią liczył. Musiała być sprytna, choć i tak nie wymagało to zbytniego zachodu, nie z ojcem. Sławek na nią liczył.

– Umówiłam się w Złoty Tarasach.

– Z kim?

– Z koleżankami.

– Po co?

– Mama powiedziała, żebym kupiła sobie buty.

– Buty? Jakie buty? Masz przecież buty.

– Eleganckie. Na egzamin ósmoklasisty. Mama mówi, że na egzaminie trzeba ładnie wyglądać.

Ojciec chwilę jej się przyglądał, poruszając szczęką, jakby miętolił coś

w ustach, a potem wzruszył ramionami.

– Nie wydaj za dużo – mruknął i wrócił na kanapę, żeby dalej bezmyślnie wpatrywać się w ekran telewizora.

Karolina wyszła z domu i pobiegła do szkoły. Stała przed wejściem i rozglądała się dookoła. Chłopak pojawił się po kilku minutach. Dosłownie przemknął do niej, lekko skulony, z kapturem zarzuconym na głowę.

– Wejźmy do środka – powiedział.

Otworzyła drzwi. Chłopak chwycił ją za rękę i poprowadził prosto do sali od języka polskiego. Tam od razu podszedł do okien, opuścił rolety i dopiero wtedy zrzucił kaptur. Kiedy stanął tuż przy Karolinie, zadarła podbródek, żeby spojrzeć mu prosto w oczy, i poczuła lęk. Ale z zupełnie innych powodów niż jeszcze przed kilkunastoma minutami.

– Co się stało? – zapytała cichutko.

Nie odpowiedział. Pogłaskał ją po policzku. Potem nachylił się nad nią i pocałował. Rozchyliła wargi. Pozwoliła, by jego język wślizgnął się do jej ust. Przytuliła się mocno do Sławka. Zadrżała i poczuła, że coś w niej puszcza. Jakby była chora i właśnie dostała lekarstwo, którego tak długo szukała. Kogoś, kto jest przy niej. Kogoś, kto się o nią troszczy. Kogoś, dla kogo jest ważna.

Jego ręce wędrowały po jej ciele. Masowały plecy, a potem powoli, jakby nieśmiało zsunęły się w dół, na pośladki. Potrzebowała go. Tak bardzo go potrzebowała. Modliła się w myślach, żeby to trwało, żeby nie przestawał. Jej modlitwy zostały wysłuchane i Sławek przysunął się bliżej. Coś, co miał w kurtce, gniotło ją w pierś, ale wkrótce o tym zapomniała, bo wyczuła przez materiał spodni twardego penisa. Pomyślała, że się go boi. Że ten kształt jest wielki, obcy, straszny. A jednak kiedy chłopak przycisnął się do niej, dłonie Karoliny same zsunęły się w okolice rozporka. Potarła go tam, ścisnęła i gdy usłyszała jęk, również jęknęła, bo sądziła, że tak trzeba. Chwyciła go za pasek, szarpnęła.

Sławek przestał ją całować. Odsunął się trochę. Dostrzegła w jego oczach wahanie.

– Wiesz, co robisz? – zapytał.

Pokiwała głową, rozpaczliwie gmerając przy pasku. Jeszcze nie skończyła piętnastu lat, nie uprawiała dotąd seksu. Bała się. Była sama, a nie chciała być

sama. Nie dawała sobie rady. Nie tak to miało wyglądać. Inaczej to sobie wyobrażała. Miało być pięknie. Miało być romantycznie. Miała być plaża, zachód słońca, kolacja, długi spacer, a potem wielkie łóżko i zapach świeżo ściętych kwiatów. Tak miało być. Ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Wiedziała, że jeśli on odejdzie, jeśli ją wypuści, pęknie jej serce. To wszystko, co się wydarzyło przez ostatnie dni, te wszystkie uczucia – to ją zabije, jeśli nie będzie go przy niej.

– Chcesz tego?

Raz jeszcze kiwnęła głową, a wtedy chwycił ją pod pośladki, podniósł i usadził na ławce, właściwie rzucił tak mocno, że uderzyła o blat tyłem głowy. Sam zsunął sobie spodnie i gdy jego penis wyłonił się z majtek, duży, brzydki, czerwony, Karolina cofnęła dłonie, bo nie chciała go dotykać. Sławek podciągnął w górę jej spódniczkę. Jednym szarpnięciem zerwał z niej rajstopy i majtki. Chciała go poprosić, by przestał, ale bała się, że jeśli to zrobi, on sobie pójdzie.

Położył się na niej. Był ciężki. Ten twardy przedmiot w jego kurtce wgniótł się w jej pierś. Zaboląło. A potem zaboląło jeszcze bardziej, kiedy Sławek się w nią wbił. Nie potrafiła tego inaczej nazwać. Po prostu nagle poczuła go w sobie. Nie zaboląło tak bardzo, jak się tego spodziewała, ale jednak. Zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć, bo nie chciała sprawić mu przykrości. Otoczyła jego biodra nogami. Przytuliła się mocno. Czuła ciało Sławka, jego oddech, bicie serca i penisa, który poruszał się w niej coraz mocniej i coraz szybciej. Nagle chłopak zamarł i jęknął, a ona domyśliła się, że właśnie skończył.

Stęknął jeszcze dwa razy i opadł na nią bezwładnie. Oddychał ciężko. Spróbowała pocałować go w usta, jednak tylko musnęła policzek. Był szorstki. Sławek pogłaskał ją po włosach. Leżeli tak chwilę, on ciągle w niej, ona z jedną dłonią na jego gorącej szyi wpatrywała się w biały sufit szkolnej sali.

– Założyłeś prezerwatywę? – zapytała cicho, bo nagle o tym pomyślała. A potem doszła do wniosku, że lepiej, gdyby ugryzła się w język. Nie powinna pytać o takie rzeczy.

Podniósł się ostrożnie na łokciach. Spojrzał Karolinie prosto w oczy.

– Nie – powiedział – ale nie przejmuj się. Za pierwszym razem nie można zajść w ciążę.

Wydawało jej się, że to nie jest do końca prawda, jednak postanowiła mu uwierzyć.

Pocałował ją w czubek głowy.

– To po to mnie tu ściągnąłeś?! Żeby oglądać, jak pukasz córkę dyrektorki?!
– usłyszeli za sobą męski głos.

Sławek zerwał się z niej i błyskawicznie podciągnął spodnie. Karolina podniosła się powoli z ławki. Zeskoczyła na podłogę i poprawiła spódniczkę. Już miała się schylić po leżące na podłodze majtki, gdy zatrzymała się w pół ruchu. Nie byłaby w stanie teraz ich włożyć. Zamarła więc, czując, jak po wewnętrznej stronie uda spływa krew pomieszana ze spermą. Płonęła ze wstydu.

Do klasy wszedł ojciec Sławka. Ciągnął za sobą Gniewomira, trzymając go za połę kurtki. Patrzył to na swoich synów, to na dziewczynę, a potem wyszczerzył zęby w paskudnym uśmiechu.

– No, kurwa, niezły widok, to ci powiem – rzucił. – Nie sądziłem, synek, że masz zamiłowanie do tak młodych dup.

Karolina zerknęła na Sławka, pewna, że chłopak zaraz coś zrobi, rzuci się, by ją obronić, ale on stał obrócony plecami do niej i gmerał w zamku od spodni. Gniewek przykleił się do ściany. Spuścił wzrok i wbijał go teraz martwo w podłogę.

Mężczyzna podszedł do dziewczyny. Nie przestawał się uśmiechać. Chwycił ją za podbródek i uniósł lekko. Nie potrafiła się temu sprzeciwić. Chciało jej się wymiotować.

– Ładna jesteś – powiedział, a ona poczuła na swojej twarzy śmierdzący papierosami oddech. – Ciekawe, jak twój tatuś zareaguje, kiedy mu o tym opowiem. Albo czy mamusia się ucieszy, że córeczka daje się ruchać na szkolnej ławce...

Zarechotał, jednak jego śmiech urwał się, kiedy usłyszeli wściekły ryk. I nagle tuż obok pojawił się Sławek. Wpadł całym impetem ciała w swojego ojca i razem z nim poleciał na podłogę. Wtedy Karolina zobaczyła ten twardy przedmiot, który schował w kurtce – nóż. Duży, ostry, o ciemnej, drewnianej ręczce. Chłopak ryknął i wbił go w pierś ojca. I jeszcze raz. I jeszcze. Nie wiedziała, jak długo to trwało, może wieczność, a może tylko pół. Sławek

siedział na ojcu, wznosił ramię w górę i zatapiał ostrze w piersi, szyi i ramionach mężczyzny, tak że wszędzie dookoła tryskała krew.

– Nie pójdę do więzienia! – krzyczał. – Nie pójdę do więzienia!

A potem przestał.

Chwilę siedział bez ruchu. Oddychał ciężko. Kiedy wreszcie się podniósł, pociągnął nosem i odwrócił się do Karoliny. Był cały spocony. Jego twarz, policzki i szyję ozdabiała szkarłatne krople krwi.

– Musiałem to zrobić – powiedział cicho, nie patrząc na nią. – Musiałem. On wiedział wszystko. Wiedział, co wczoraj zrobiliśmy. Chciał mnie wydać policji. Mnie. Ciebie. Musiałem go zabić. Musiałem to zrobić. Musiałem go zabić, żebyśmy nie poszli do więzienia. Ty i ja. Rozumiesz, Karolina? Rozumiesz?

Kiwnęła głową. Nie potrafiła oderwać wzroku od ciała. Kolejny trup, jeden po drugim, dzień po dniu. Tyle że mąż pani Eli leżał daleko. Widziała zaledwie ciemny kształt, nic więcej. Właściwie przypominał zwykłą kupę śmieci. Ojca Sławomira miała na wyciągnięcie ręki. Mogła go dotknąć, jeśli tylko chciała. Taki bliski i taki prawdziwy. Czowała zapach jego krwi w nozdrzach. Zapach śmierci. Trochę słodki, trochę mdlący.

Gniewomir stał ciągle pod ścianą. Cały blady. Nagle się zgiął i zwymiotował. Sławek wskazał na brata nożem.

– Powiemy, że to on zrobił – ciągnął. – Powiemy, że zabił najpierw panią Elę, potem jej męża, a teraz tatę. Tak właśnie zrobimy. Zwalimy wszystko na niego.

– Ja... Nie wiem...

– Wszystko się pięknie składa, Karolina. Gniewko dawał pani Eli te zboczone rysunki. Miał na jej punkcie obsesję. W końcu ją zabił. Ich dwoje, a potem tatę, bo tata się dowiedział. I sprawa załatwiona. To jego zamkną. Nie mnie. Nie nas.

Karolina zerknęła na Gniewka. Spodziewała się, że chłopak coś zrobi, odezwie się, może spróbuje uciec. On jednak milczał, niezdolny do żadnej reakcji.

Sławek otarł rękawem czoło. Podeszedł do brata.

– Gniewko.

Chłopak nie zareagował. Sławek pstryknął kilka razy palcami tuż przed jego nosem i dopiero wtedy Gniewomir podniósł wzrok.

– To też dobre dla ciebie, Gniewko – powiedział. – Kocham cię, ale obaj wiemy, jaki jesteś. Dziwny, chory. Nie pasujesz tutaj. Nie pasujesz do tego świata. Ten świat tylko cię krzywdzi. Obaj wiemy, że tak jest, prawda?

Chłopak nie odpowiedział. Sławek uśmiechnął się smutno.

– Tak właśnie jest – powtórzył. – Nie zamkną cię w więzieniu, rozumiesz? Nie zamkną cię tam. Trafisz do jakiegoś zakładu, do szpitala psychiatrycznego. I tam będzie ci dobrze, tam się tobą zaopiekują. Tam będziesz naprawdę szczęśliwy. Rozumiesz, Gniewko? To właśnie ci daję: szczęście, miejsce, gdzie będziesz mógł być sobą, gdzie nikt cię nie skrzywdzi. A ja będę cię tam odwiedzał. Obiecuję. Dobrze, Gniewko? Dobrze?

Chłopak zaczął dreptać w miejscu, jakby chciało mu się siku. Mamrotał coś pod nosem. Sławek nachylił się w jego stronę.

– Co mówisz? – zapytał.

– Tak – wyszeptał chłopak.

– Tak?

– Tak – potwierdził Gniewko.

Sławek poklepał go po ramieniu i odwrócił się do dziewczyny.

– Karolina? – zaczął. – A ty? Zrobisz to, o co cię proszę? Powiesz to, o co cię proszę? Wiesz, że mam rację. Wiesz, co zrobiłaś pani Eli...

Przy tych słowach Gniewomir wyprostował się gwałtownie i spojrzał na Karolinę zszokowany.

– Tak będzie dla nas najlepiej – kontynuował Sławek. – Dla ciebie. Dla mnie. Ani ty, ani ja nie pójdziemy do więzienia. Zrobisz to, o co cię proszę.

– Zrobię – odparła. Nie miała innego wyjścia. Chciała już tylko stąd pójść. Wrócić do domu, do łóżka. Zamknąć oczy. Najlepiej na zawsze.

– To znakomicie – powiedział twardo Sławek. – Udało nam się w takim razie zamknąć tę sprawę.

8

Płuca Klementyny nie przywykły do biegu. Ani jej mięśnie, ani jej nogi. Gorzko żałowała każdego z tysięcy wypalonych w życiu papierosów. Co chwilę przystawała, chwytając się za bok, w którym ją kłuło, robiła kilka kroków, próbując złapać oddech, a potem znowu zrywała się, żeby przebiec kilkanaście metrów.

I cały cykl się powtarzał, jak w jednym z tych skeczów Monty Pythona. Stara baba pędzi ratować świat.

Dotarła do metra. Odpoczęła trochę w pociągu i wreszcie dobiegła do szkoły.

Drzwi budynku były otwarte. Nawet nie zastanawiała się dlaczego. Wpadła do środka. Usłyszała jakieś głosy dochodzące z jednej z klas i po prostu tam poszła.

Najpierw pomyślała, że to jakieś upiorne *déjà vu*. Znów stała w klasie do języka polskiego. Klasie Eli. Dopiero teraz się zorientowała. Znowu widziała krew na podłodze. Znowu ciało. Tyle że tym razem zamiast nauczycielki na ziemi leżał ojciec Gniewomira. Jeszcze niedawno z nią rozmawiał. Jeszcze niedawno zjawiał się u niej w domu. Teraz miał martwe oczy i rozprutą szyję, tak że widziała tchawicę.

Gniewomir stał z boku. Pod ścianą. W kałuży własnych rzygowin. Potem dostrzegła Karolinę, córkę dyrektorki, a niedaleko jej stóp dziewczęce majtki i rajtuzy. I wreszcie jego. Wysokiego chłopaka z nożem w dłoni. Domyśliła się, że to Sławomir. A ten nóż... Poznała go. Jeszcze wczoraj leżał w jej kuchennej szufladzie. Potem wziął go Bartek. A teraz miał go ten chłopak. Skąd, jak? Nie wiedziała. Ale tego akurat była pewna – stało się coś strasznego. I kiedy tylko to pomyślała, usłyszała własny krzyk. Odwróciła się na pięcie i rzuciła w stronę wyjścia. Chciała się wydostać ze szkoły, znaleźć kawałek bezpiecznej przestrzeni, gdzie mogłaby zadzwonić po policję.

Nie miała najmniejszych szans. Była zmęczona, była stara i tak naprawdę nie potrafiła nawet porządnie uciekać. Dopadł ją po kilku metrach, chwycił za ramię i uderzył w twarz, a potem zaciągnął do klasy i wrzucił z rykiem do

środku. Zamknął drzwi i wskazał na Klementynę palcem.

– Następnym razem po prostu cię zapierdołę. Rozumiesz?

Przerażona, odsunęła się pod ścianę. Stała obok Gniewomira. Chłopak zerknął na nią ze strachem, niemo błagał o pomoc. Klementyna chwyciła go za palce i chciała ścisnąć, żeby dodać mu otuchy, ale nagle ten gest wydał jej się głupi, sztuczny, więc puściła.

– Kto to jest? – Sławek zapytał Karolinę.

Dziewczyna poruszyła kilka razy ustami, jakby chciała się przekonać, czy w ogóle jest w stanie wydobyć z siebie jakikolwiek głos.

– Nauczycielka. Matematyki. Nowa – wyszeptała.

– Co ona tutaj robi?

Wzruszyła ramionami. Sławomir chwycił się dłońmi za głowę. W jednej ciągle trzymał nóż, więc wyglądało to tak, jakby nagle wyrósł mu diabelski róg. Powoli obrócił się w stronę Klementyny i Gniewomira. Wskazał nożem na nauczycielkę.

– Ją też będziemy musieli zabić – powiedział powoli.

– Ale... – zaprotestowała cicho Karolina – dlaczego? Ona nic nie zrobiła!

– Wszystko widziała! – zawołał rozjuszony Sławek. – Rozumiesz?! Ona to widziała! Jeśli ją puścimy, zacznie mówić!

– Nic nie powiem – odważyła się odezwać Klementyna, ale miała wrażenie, że nikt jej nie usłyszał.

– A jak ona zacznie mówić – kontynuował Sławek – wszystko wyjdzie na jaw. To, co wydarzyło się wczoraj. To, że zabiłaś panią Elę...

Klementyna poczuła się tak, jakby znowu dostała w twarz. Spojrzała na bladą dziewczynę, która obejmowała się ramionami i kiwała w przód i w tył, w monotonnym rytmie. Jej oczy były puste, nieruchome.

– Zabiłaś ją, Karolina? – zapytała kobieta. – Zabiłaś panią Elę?

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Tak – powiedziała głucho. – Chyba tak.

Klementyna pomyślała, że to jakoś składa się do kupy. Ela spotykała się z mężem dyrektorki, z ojcem Karoliny. Karolina się o tym dowiedziała. Chciała chronić rodzinę. Tak, to wszystko układało się w spójną całość. Tylko nie miało

sensu. Bo Klementyna siedziała w więzieniu, widziała prawdziwe zabójczynie. Poznała je. I wiedziała, że dziewczyna nie jest jedną z nich. Brakowało jej tego czegoś, tej nieuchwytniej, trudnej do nazwania części duszy, niezbędnej, by odebrać komuś życie. Może i Klementyna bazowała wyłącznie na swoim przeczuciu, ale była tego pewna jak niczego w swoim życiu – Karolina nikogo nie zabiła.

Nie byłyby w stanie.

– Zabiłaś ją, Karolina – odezwał się Sławek. – Właśnie tutaj, właśnie w tej sali. Wbiłaś jej nożyczki w szyję. Nawet jeśli wszystkiego nie pamiętasz, i tak pójdziesz za to siedzieć, dostaniesz dożywocie, rozumiesz? Dożywocie, jeśli ta kobieta wyjdzie stąd żywa!

Ostatnie słowa dosłownie wywrzeszczała. I chyba sam się przestraszył, że stracił nad sobą panowanie, bo nagle zamilkł i w klasie zapadła zupełna cisza. Przerwała ją dopiero Klementyna.

– Karolina, skąd on wie, że to się wydarzyło właśnie w tej sali? Skąd wie o nożyczkach?

Dziewczyna spojrzała na nią. Cień zrozumienia przemknął przez jej twarz. Coś do niej docierało. Powoli, niepewnie.

– Zamknij się – powiedział Sławek, a Klementyna wiedziała, że to jedyna rzecz, jakiej nie może teraz zrobić.

– Widziałam ciało pani Eli! – zawołała. Mówiła najszybciej, jak tylko potrafiła, nie robiła pauz, słowa zlewały się w jedno. Pod koniec brakowało jej tchu. – Leżało w tej sali, obok zakrwawionych nożyczek! Skąd on o tym wie? Powiedziałaś mu? Karolina, czy ty mu o tym powiedziałaś?! Czy ty mu powiedziałaś o nożyczkach?!

Sławek doskoczył do niej z uniesionym do ciosu nożem i chwycił ją za gardło. Gniewko skulił się przestraszony. Klementyna pomyślała, że to koniec, że tak właśnie umrze, kiedy nagle Karolina zapiszczała przeraźliwie i Sławomir się zatrzymał. Nauczycielka patrzyła na czubek noża, który znajdował się ledwo dwadzieścia centymetrów od jej twarzy. Lśnił od gęstej krwi ojca Gniewomira. Sławek zwolnił uścisk, a Klementyna wykorzystała okazję. Bo nagle wszystko już rozumiała. Ela, Marysia, prezenty, ciąża, Gniewko, rysunki. Wszystko.

– To ty ją zabiłaś... Zabiłaś Elę. Wcześniej spotykałaś się z Marysią. Marysia

zaszła z tobą w ciążę, więc najpierw ją zabiłeś, wepchnąłeś pod pociąg. A Ela nie wierzyła, że to wypadek. Prowadziła własne śledztwo. Jak potem ja i Gniewko. Ona się dowiedziała, że to ty, dlatego ją też zabiłeś! I wmówiłeś to wszystko tej biednej dziewczynie! Wmówiłeś! Słyszysz, Karolina? Nie ty to zrobiłaś, tylko on!

Sławek cofnął się o krok. Zerknął na dziewczynę. Zszokowana wbijała w niego wzrok.

– Ona kłamie – rzucił.

– To ty robiłeś te rysunki – odezwał się nieoczekiwanie Gniewko. – Kazałeś mi je dawać pani Eli. I spotykałeś się z Marysią. Dawałeś jej prezenty. Myślałem, że tylko się przyjaźnicie. Myślałem, że mnie lubi, a ona wypytywała o ciebie.

Sławek patrzył ciągle na Karolinę i wyczytał z twarzy dziewczyny coś, co kazało mu się jeszcze bardziej cofnąć. Coś, co kazało mu się wytłumaczyć.

– To wszystko nie tak. Nie zabiłem Marysi – powiedział. – Spotykaliśmy się, tak. Zaszła w ciążę. Powiedziała mi o tym tamtego dnia. Ale ja się ucieszyłem, wiesz? Zawsze chciałem mieć dziecko, dużo dzieci. Zawsze chciałem być ojcem. To ona chciała je usunąć. Chciała je zabić i iść do liceum, jakby komukolwiek do czegokolwiek było to potrzebne. Tłumaczyłem, że o nią zadbam, o nią i dziecko. Że nie jestem taki jak mój ojciec. Że się nimi zaopiekuję. Jednak nie chciała słuchać. Chciała tylko, żebym dał jej pieniądze na to, by zabiła moje dziecko. Rozumiesz?! Chciała za moje pieniądze zabić moje dziecko! Nie mogłem się na to zgodzić. Nie mogłem. Pokłóciliśmy się. Zaczęła uciekać. Pobiegła w stronę tego torowiska. Nie wiem, co chciała zrobić, nie wiem, co chciała osiągnąć, po prostu sama rzuciła się pod ten pociąg! Sama! Nie miałem z tym nic wspólnego!

Sławek oddychał ciężko.

– Teraz widzę, że ona była zła – ciągnął dalej. – Ona nie była dla mnie. Ty jesteś dobra. Ty jesteś dla mnie.

Zrobił kilka kroków w stronę Karoliny, a potem się zatrzymał. Szukał w jej wzroku aprobaty.

– A Ela? – odezwała się Klementyna. – Dlaczego ją zabiłeś?

Chłopak zaśmiał się cicho. Potrząsnął głową.

– Tak wyszło. Te rysunki to jedynie taki psikus, żarcik. Nie wiem – wzruszył ramionami – może mi się podobała. Chociaż nie bardzo. Przyszedłem z nią porozmawiać, wyłącznie porozmawiać. Nie powinna bić mojego brata, bo to ja go wychowuję. Nie mój ojciec, na pewno nie moja matka, ale ja. I tylko ja mam prawo go bić. Prawda, Gniewomir? – Odwrócił się do brata. – Potrafię być dla ciebie ostry, jednak tylko ja o ciebie dbam. I to chciałem jej powiedzieć, kiedy ona... Ona źle zareagowała. Zaczęła krzyczeć. Opowiadać rzeczy o Gniewku, o mojej matce, a te nożyczki... One po prostu tam leżały... Nie powinna bić mojego brata. Nie powinna...

Sławek powoli odłożył nóż na blat ławki, podszedł do Karoliny i dotknął jej policzków, zostawiając na nich krwawe smugi.

– A ja nie powinienem cię okłamywać – powiedział. – Nie powinienem ci mówić, że zrobiłaś coś, czego nie zrobiłaś. Ale wiesz przecież, że starałem się trzymać cię od tego z daleka, chciałem ci tylko pomóc. A wczoraj wydarzyło się to, co się wydarzyło, i może zrobiłem coś, czego nie powinienem robić, i za to cię przepraszam. Bo jesteś wyjątkowa. Bo jesteśmy bratnimi duszami. Twój rodzice są tacy jak moi. Tylko my nawzajem się rozumiemy. Kocham cię, Karolina. Kocham cię, rozumiesz?

Podczas całej tej przemowy Klementyna patrzyła na leżący na ławce nóż. Wreszcie zebrała się na odwagę. Rzuciła się w jego stronę, chwyciła za rękojeść, a potem błyskawicznie cofnęła się pod ścianę. Złapała Gniewka za poły kurtki i pociągnęła, jednak chłopak się nie poruszył. Sławek nie zwrócił na to w ogóle uwagi. Pocałował Karolinę, potem zerknął na nauczycielkę, zawiesił wzrok na ostrzu trzymanego przez nią noża i wrócił do dziewczyny.

– Będziemy musieli ją zabić, dobrze?

Kiwnęła głową.

– Kocham cię, Karolina.

– Kocham cię – wyszeptała dziewczyna.

Klementyna jeszcze raz pociągnęła Gniewka.

– Idziemy – syknęła.

– Nigdzie nie idziecie! – odezwał się Sławek, ruszając w jej stronę. Nauczycielka wysunęła przed siebie nóż, ale chłopak jakby go nie zauważył.

– Odsuń się! – krzyknęła. – Zostaw nas w spokoju!

Był tuż przy niej. Próbowwała go pchnąć, jednak on się uchylił i chwycił za ostrze. Jego twarz wykrzywiła się, kiedy przecięło skórę dłoni. Wyszarpnął broń z jej ręki i odrzucił na bok. Nozdrza drżały mu jak u wściekłego zwierzęcia. Jakby coś go opętało. Zły duch, którego spuścił ze smyczy. Szalony, wściekły pies.

Chwycił ją za gardło. Ścisnął mocno. Z całych sił. Dostrzegła jeszcze, jak napinają się mięśnie jego rąk, ramion. Jak nie tyle ją dusi, ile miażdży. Straciła oddech, ból eksplodował w głowie tysiącem fajerwerków. Obraz przed oczami zaczynał się zaciemniać.

A potem nagle ją puścił. Jego oczy zrobiły się niespodziewanie wielkie. Cofnął się o krok i dopiero wtedy Klementyna dostrzegła nóż wystający z szyi Sławka.

Chłopak padł na ziemię.

Za nim stała Karolina.

Cisza.

Tylko urywane oddechy ich trójki. Tylko rżenie umierającego na podłodze. A potem Sławek jęknął po raz ostatni, a dziewczyna powoli przeszła na drugi koniec sali. Kucnęła przy ścianie i zwiesiła głowę.

A świat jakby się zatrzymał.

PO LEKCJACH

Klementyna nie potrafiła powiedzieć, ile tak tkwili w bezruchu. Czas zwolnił, czas się skurczył albo wydłużył. Przede wszystkim jednak – czas nie miał znaczenia.

Pierwszy drgnął Gniewko. Oderwał się od ściany, przeszedł na środek sali i popatrzył na zwłoki. Potem zbliżył się do dziewczyny. Kucnął przy niej i przytulił ją. A ona, jakby już sam gest chłopaka nie był wystarczająco zdumiewający, odpowiedziała mu tym samym. Wtulili się w siebie nawzajem. Klementyna odwróciła wzrok. Czuła, że patrząc teraz na nich, bruka coś pięknego. Coś świętego.

– Trzeba zadzwonić na policję – odezwała się Karolina.

Klementyna nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Nie sądziła, że dziewczyna znajdzie w sobie siłę, by cokolwiek powiedzieć. Gniewko sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął telefon. Odblokował ekran.

– Nie! – krzyknęła Klementyna, a kiedy oboje zamarli, powtórzyła, tym razem ciszej: – Nie.

Wpatrywali się w nią bez słowa. I wiedziała już, że jest ich ostatnią nadzieją. Że Karolina powiedziała o policji, a Gniewko sięgnął po telefon, bo wydawało im się, że tak trzeba. Tylko dlatego. Tak naprawdę oboje czekali na kogoś, kto zdejmie z nich odpowiedzialność, uratuje ich. Na prawdziwego dorosłego.

I kiedy uświadomiła sobie, że tym kimś ma być właśnie ona, najpierw zachciało jej się śmiać, ale zaraz potem dotarło do niej coś jeszcze. Myśl, że być może po raz pierwszy jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Że po raz pierwszy może zmienić czyjeś życie na lepsze.

Była stara. Nie miała nikogo bliskiego. Nikogo, o kogo powinna się troszczyć ani kto zatroszczyłby się o nią. Paliła tyle, że jej ciało pewnie od dawna zżerał już rak. Nie radziła sobie w życiu. Jedyne, co ją tutaj czekało, to samotność, bieda i cierpienie. I co najważniejsze, nie bała się więzienia. Znała je. Bywało tam ciężko, choć i tak lżej niż tutaj. Dawali jeść. Opiekowali się. Dbali, by się nie nudziła. Aż się zdziwiła, że dopiero teraz dotarło do niej, że więzienie jest lepsze. Lepsze na tyle różnych sposobów, że nawet nie potrafiłaby ich wszystkich wymienić.

To będzie jej pokuta.

Wiedziała, że tak nie wymaże winy. Nie otrzyma wybaczenia, a grzechy nie zostaną wymazane, pomimo tego, co mówi na ten temat chrześcijańska teologia. Rana w jej sercu nigdy się nie zablizni. Ale zabiła jedno dziecko, a uratuje dwoje. Da im jeszcze jedną szansę.

Klementynie tego odmówiono.

– Idźcie do domu – dodała. – Zadzwoń na policję i wszystko wyjaśnię. Tylko nie mówcie nikomu, co tu się stało. Nie mówcie nawet, że tutaj byliście. Pozwólcie mi się tym zająć, samej.

Gniewko zrozumiał, co chciała powiedzieć. Co do Karoliny, nie wiedziała, jednak nie miała siły więcej tłumaczyć. Musiała się skupić na tym, co przekazać policji. Nie sądziła, żeby to było skomplikowane. Policja, prokurator, sąd, wszyscy lubili proste rozwiązania. A ona przyzna się do wszystkiego, o co ją tylko poproszą. Będą myśleli, że jest zła. Będą myśleli, że jest psychopatką. Zabiła w końcu własne dziecko. Uwierzą w każde jej słowo.

Chłopak pomógł Karolinie wstać. Potem podtrzymał ją za ramię, kiedy krok za krokiem szli w stronę drzwi. W pewnym momencie coś szepnęła i Gniewko ją puścił. Podniósł z ziemi majtki i rajtuzy, zaniósł dziewczynie i schował je do kieszeni jej kurtki.

– Gniewko! – zawołała Klementyna, kiedy już mieli wychodzić.

Zatrzymali się i oboje odwrócili w jej stronę.

– Dbajcie o siebie nawzajem – powiedziała. – Nikt inny tego nie robi. Nikogo innego nie macie.

Gniewko skinął głową. Karolina skrzywiła się, jakby właśnie usłyszała coś oczywistego.

– Idźcie już – poprosiła Klementyna.

Gdy dzieci opuściły szkołę, rozejrzała się dookoła. Na ławce dostrzegła ślady krwi. Domyśliła się, że to Karoliny, więc je wytarła. Potem wyjęła telefon i wybrała numer. Poczekwała, aż odbierze dyspozytor.

– Zrobiłam coś strasznego – oznajmiła i zdziwiła się, że jej głos brzmi aż tak spokojnie. – Komu mogłabym o tym opowiedzieć?

A kiedy skończyła rozmawiać, usiadła przy biurku nauczyciela i patrzyła na pustą klasę. Czekwała na przyjazd policji. Czekwała na to, co miało się wydarzyć.

Na karę. Na spokój.

Na noc bez koszmarów.

